PIOTR PATYKIEWICZ

I WRZUCĄ WAS W OGIEŃ

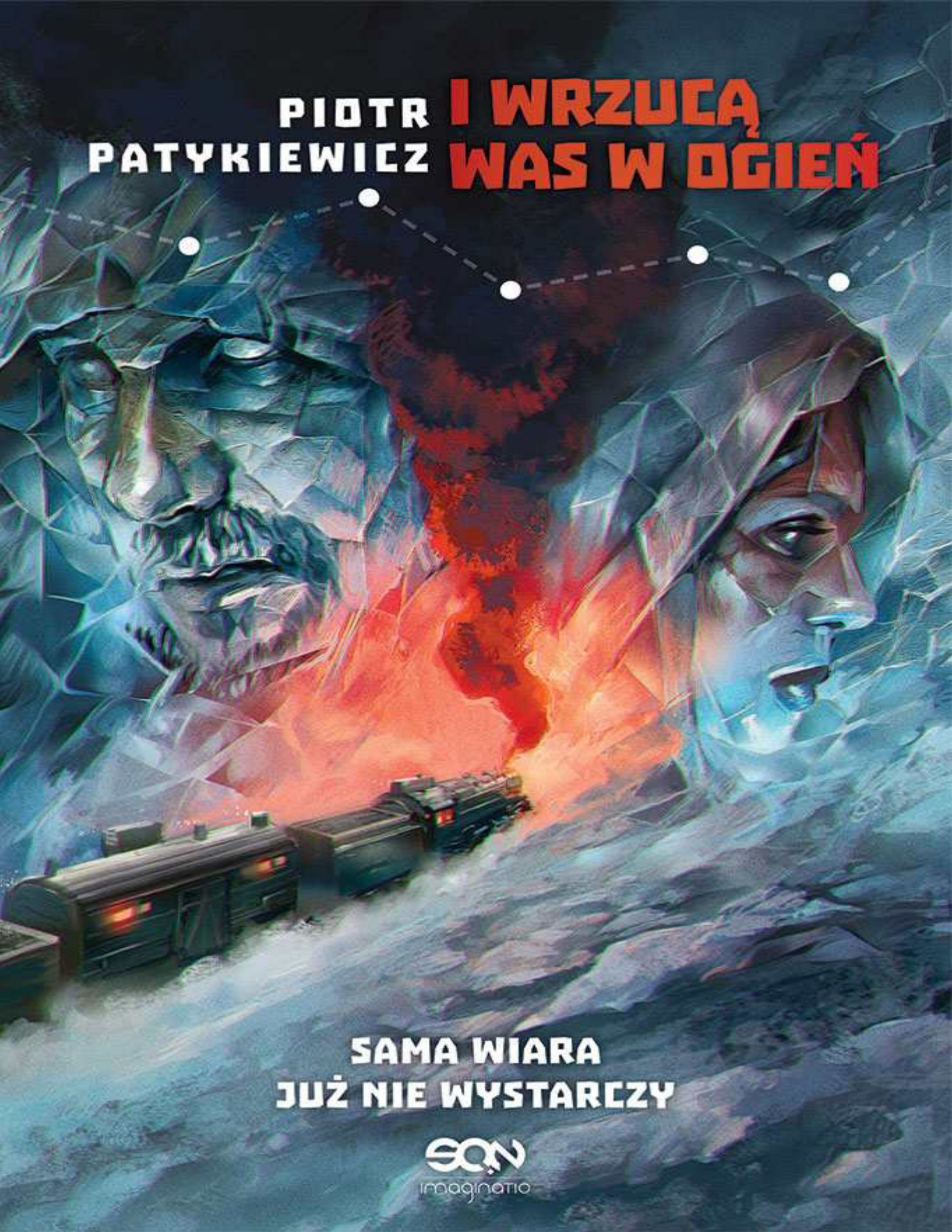

SAMA WIARA JUŻ NIE WYSTARCZY

SQN imaginatio

PIOTR PATYKIEWICZ

I WRZUCĄ WAS W OGIEŃ

KRAKÓW 2016

1

Biegł od samego świtu, równym, wypracowanym przez lata rytmem, ciągnąc za sobą przyprzężone sanki. Na całym Podgórzu niewielu było takich, którzy mogliby dotrzymać mu kroku, nawet pośród młodych myśliwych – a oni przecież urodzili się już w dolinie i wcześniej uczyli się biegać na nartach niż chodzić. Zdarzali się szybsi od niego, prawda. Byli tacy, którzy lepiej przecierali ślad w głębokim śniegu albo potrafili przeskakiwać nad lodowymi rozpadlinami – ale tylko nieliczni dorównywali mu w wytrwałości. Przy ładnej, bezwietrznej pogodzie, na dobrze nasmarowanych nartach, mógł biec bez odpoczynku przez cały dzień, popijając od czasu do czasu kumys z bukłaka, ogrzanego pod futrzanym kożuchem ciepłem ciała. Potrafił całkowicie zapomnieć się w takiej gonitwie, wsłuchany tylko we własne tętno, skrzypienie śniegu pod deskami i zziajany oddech Kudłacza, który nieznacznie go wyprzedzał. W takich chwilach nie wiedział już właściwie, dokąd zmierza i po co. Bieg był celem samym w sobie, czystą radością, najpełniejszym doznaniem życia.

A przecież prawda była inna – musiał biec, bo z roku na rok trzeba było wyprawiać się coraz dalej, aby nie wracać do wsi z pustymi rękami. Wszędzie tam, gdzie żyli ludzie, cała okolica została już pozbawiona drzew i podziurawiona wykopami aż do gołej ziemi. Ponad lód sterczały tylko niskie pniaki, zbyt mocno ukorzenione, aby opłacało się wyrywać je z twardej zmarzliny. Ostatnie stojące drzewa – najgrubsze, guzowate, odarte z gałęzi kikuty, z rzadka rozrzucone na białym pustkowiu – zachowały się jedynie daleko na północy, pod samym Lodowcem. Wszystkie mniejsze dawno temu obalił wiatr i pogrzebał lód albo wytrzebili drwale. Mimo to ludzie uparcie nazywali te rozległe poręby Martwym Lasem, jakby te słowa w jakiś dziwny sposób umacniały ich wiarę w życie.

Kudłacz pozwolił się wyprzedzić i trącił go pyskiem w zgięcie kolana. Nie sygnalizował w ten sposób przeszkody na drodze, obecności drapieżnika albo innego niebezpieczeństwa – po prostu ocenił, że w tym miejscu warto się zatrzymać.

Kacper przystanął niechętnie, rozgrzany ruchem, i wbił kijki w zmrożony śnieg.

– Tutaj? – Zgarnął rękawicą sople spod nosa. – Jesteś pewien?

Wyprostował się, głęboko wciągnął przez nos zimne powietrze. Wyczuł słabą woń wilczego moczu, zapewne sprzed paru dni, a także świeży zapach drewna i wystygłego popiołu.

– Wczoraj byli tu drwale – mruknął. – Nie nasi, bo spotkałbym ich po drodze.

Nie przepadał za tymi hałaśliwymi, skorymi do zaczepki ludźmi, którzy zawsze chadzali w gromadzie. Mieli porozrzucane po Lesie składziki na żywność i narzędzia, najczęściej urządzane w piwnicach zrujnowanych domów. Nie lubili, jeśli w pobliżu kręcili się obcy, na przykład kopacze; wówczas wdawali się z nimi w awantury. Niekiedy zastawiali przy zamaskowanych wejściach do takich skrytek pułapki na złodziei, a jeśli jakiegoś złapali,

karali okrutnie, na miejscu, bez sądu i bez litości.

Kudłacz skoczył w bok, w zaspy, niuchając i parskając głośno. Wygrzebał z popieliska jakiś ochłap i łyknął na raz, bez gryzienia.

– Słyszałem to! – Kacper pogroził mu kijkiem. – Żresz byle co, znowu skończy się sraczką.

Ściągnął rękawice – rzadko to robił, musiał chronić przed mrozem opuszki; gdyby stracił w nich czucie, stałby się podwójnie ślepy – wydobył zza pazuchy bukłak i pociągnął długi łyk. Odrzucił kaptur na plecy, uniósł twarz ku niebu. Było bezchmurnie – na lewej skroni wyczuł słoneczny blask, niczym delikatne łaskotanie.

– Przed nami jeszcze kawał dnia – ocenił.

Zsunął z ramion szelki uprzęży, przykucnął, odpiął narty i zarzuciwszy je na ramię, zboczył z przetartego szlaku w głębszy śnieg, stratowany buciorami. Teraz, kiedy Kudłacz swawolił beztrosko, musiał bardzo uważać na każdy krok. Natrafił na głęboką bruzdę po okrąglaku, który drwale wlekli z północy do którejś z podgórskich wiosek, nieco dalej znalazł gruby pniak, ucięty na wysokości kolan i na wpół spalony. Drwale swoim zwyczajem wydrążyli go i rozniecili w jego wnętrzu ogień.

Wszędzie wokół na śniegu walały się wióry. Podniósł jeden, powąchał, potem przeżuł i wypluł.

– Buk – szepnął z zadowoleniem. Ostatnio trafiał tylko na igliwie i szyszki, tym razem chyba znalazł cenniejsze złoże.

Zebrał trochę kawałków kory i odprysków drewna, zsypał do pniaka i rozpalił małe ognisko. Przez chwilę rozgrzewał dłonie, potem zawrócił do ścieżki, gdzie pozostawił sanki. Pies biegł obok w radosnych podskokach, na łydce Kacper czuł uderzenia merdającego ogona. Rozsupłał sakwę, wydobył spory kawał na wpół zamarzniętego mięsa i zważył w dłoni, udając namysł.

– Ty już jadłeś. Pewnie nie jesteś głodny?

Usłyszał pokorne skomlenie, ogon przestał się poruszać.

– Nie jesteś już szczeniakiem, powinieneś nabrać trochę rozumu. – Schylił się i poczuł na twarzy parę buchającą z rozdziawionego pyska. Wytarmosił psa za uszy, po czym rzucił mięso w śnieg. – No, żeby mi to było ostatni raz.

Położył na pniaku kratkę żelaznego rusztu, na niej dwa krwiste płaty; usiadł przy ogniu na zrolowanym kocu. Trzaskało drewno, skwierczały spadające krople tłuszczu. Kudłacz oparł łeb na jego kolanie i drżał lekko, podniecony wonią pieczeni.

Właściwie był jeszcze za młody na przewodnika, nie przeszedł nawet szkolenia, ale Kacper nie chciał słuchać niczyich rad. Wierzył, że ma dobrą rękę do psów. Ten był czwartym z kolei, odkąd ociemniał. Wszystkie poprzednie nosiły to samo imię i z wszystkimi postępował podobnie.

Najpierw wybierał sukę, która mu się spodobała – nigdy nie mówił, dlaczego właśnie tę, a nie inną – i przywiązywał na noc łańcuchem do drzewa w lesie, aby zahartować jej potomstwo wilczą krwią. Doświadczeni hodowcy uważali, że taki mieszaniec dobry jest do pilnowania obejścia, ale nie nadaje się na przewodnika, bo przecież dzika natura zawsze może wziąć nad nim górę – jednak Kacper nie dawał się przekonać. Brał ciężarną sukę do domu i pomagał jej, kiedy się szczeniła. Unosił po kolei w dłoniach wszystkie

ślepe, mokre psiaki, wybierał jednego, oblizywał mu pyszczek i gryzł lekko w kark. Nosił go w zanadrzu kubraka, mówił do niego, spał z nim. Matce oddawał tylko do karmienia, ale i wtedy najpierw maczał palec w suczym mleku i dawał szczeniakowi do ssania. Pieścił go, czasem karcił ostro, jeśli zasłużył, choć nigdy nie użył kija ani bata, jak myśliwi, którzy tylko w ten sposób utrzymywali posłuch w zaprzęgu.

Zwiesił głowę. Chyba zdrzemnął się na chwilę, rozleniwiony ciepłem, lecz rozbudził się natychmiast na odgłos krótkiego warknięcia.

Nie poruszył się, wstrzymał tylko oddech i stężał wewnętrznie, nasłuchując. W oddali zaskrzypiał śnieg. Ktoś przedzierał się ciężko bezdrożem przez las, na karplach, samotnie, bez przewodnika – a więc nie był ociemniały. Nie skradał się, zatem pewnie nie miał złych zamiarów.

– Nie rusz, Kudłacz – szepnął Kacper.

To nie mógł być nikt znajomy, świadczyła o tym zjeżona psia sierść pod dłonią Kacpra. Poza tym nadchodził od strony Miasta, a to nakazywało ostrożność. Zwłaszcza tutaj, na odludziu.

Kroki zbliżyły się i ucichły w pewnej odległości, zapewne na ścieżce przy saniach. Widocznie tamten także nie czuł się całkiem pewnie.

– Witaj, dziadku.

Głos zabrzmiał młodo, tak jak się Kacper spodziewał; pierwsi widzący urodzili się przecież ledwie przed ćwierćwieczem. Nie wyczuł w nim nieprzyjaznej zaczepki. Nie lubił wprawdzie, kiedy nazywano go w ten sposób – miał niewiele ponad czterdzieści lat – lecz już się do tego przyzwyczaił. Ślepota postarzała, do tego posiwiał przedwcześnie, o czym dowiedział się dopiero niedawno, przypadkiem, od córki. A poza tym dla młodego pokolenia każdy, kto pamiętał życie w Górach, musiał wydawać się starcem.

Dla Kacpra Góry były czymś więcej niż tylko podniebnym pustkowiem, gdzie nikt nie zaglądał. Były wspomnieniem dzieciństwa, kilkunastu najszczęśliwszych lat życia, kiedy świat, choć zacieśniony do paru sąsiednich wierchów, zdawał się obiecywać tak wiele. Pamiętał dobrze dzień, w którym w czerwonym świetle zachodzącego słońca po raz pierwszy z wysoka ogarnął spojrzeniem Podgórze – wtedy jeszcze nazywano tę bezludną krainę po prostu Martwym Lasem – i marzył, że już niedługo wyruszy z ojcem na swoją pierwszą myśliwską wyprawę.

Dzisiaj mógł się tylko gorzko uśmiechnąć. W sile swoich męskich lat nie potrafiłby ustrzelić nawet wrony z przetrąconym skrzydłem.

Zastanawiał się czasem, jak teraz wygląda wioska, w której dorastał. Czy spod śniegu sterczą przynajmniej kominy porzuconych chat? A dawna biskupia stolica na Krzywym Wierchu? Wieża starej Katedry wciąż stała, widać ją było w pogodne dni nawet stąd – tak przynajmniej twierdzili młodzi, kiedy dopytywał – ale w wąskich uliczkach, dawniej brukowanych, teraz pewnie zarosłych lodem, gwizdał tylko wiatr.

– Szczęść Boże! – Skinął głową.

– Mogę się przysiąść?

– Tylko zbój odmawia w lesie miejsca przy ogniu.

Kroki zaskrzypiały, lecz zaraz ucichły. Kacper domyślił się, że Kudłacz pokazał kły.

– Twój pies mnie nie lubi, dziadku.

Kacper obrócił mięso, aby przypiekło się z drugiej strony.

– Dziwi się tylko. Nigdy nie widział mężczyzny bez brody, co wygląda jak baba.

– Prawda, zapomniałem. Wy, z Lasu, nigdy się nie golicie.

Przybysz na wszelki wypadek podszedł do ognia od drugiej strony, zrzucił w śnieg plecak i usiadł na nim. Cmoknęła zatyczka bukłaka.

– Łykniesz, dziadku, gorzałeczki?

Kopacz w milczeniu pokręcił głową.

– Pewnie masz się za coś lepszego, bo pijasz tylko zepsute kozie mleko. Wiesz co? Raz mógłbyś darować sobie zasady. Dla rozgrzewki, nie dla grzechu.

– Wiele razy potykałem się w Lesie o zamarznięte trupy pijaków, którzy się w ten sposób rozgrzewali.

– Bo we wszystkim trzeba znać umiar, dziadku. – Tamten pociągnął z bukłaka, odsapnął. – Nie lubisz, kiedy miastowi kręcą się po lesie, co?

– To zależy, po co kto przychodzi. Coraz więcej dobrych przewodników ginie od waszych wnyków i sideł. A dla mnie pies to nie tylko oczy. To moja druga strona. – Zanurzył palce w sierści Kudłacza na karku. – Czasem ta lepsza strona, a czasem gorsza.

– Słyszałem, że każdy ślepiec chętniej gada ze swoim psem niż z własną żoną.

– A słyszałeś o tym, że kiedy myśliwi łapią w lesie kłusownika z samopałem, wieszają go bez sądu na najbliższym drzewie?

– Pochwalasz to?

Kacper nie odpowiedział. Powąchał pieczeń, podmuchał i skubnął kawałek zębami. Wyciągnął kijek w stronę młodzieńca. Tamten chętnie przyjął poczęstunek. Syknął przez zęby, po czym zaczął przerzucać gorące mięso z dłoni w dłoń.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Kacper czuł, że obcy przygląda mu się ciekawie.

– Na szczęście ani ja nie jestem kłusownikiem, ani ty myśliwym. – Przybysz odezwał się znowu, z pełnymi ustami. – Zamierzasz tu kopać?

– Masz coś przeciwko?

– Skądże, dziadku. Pomogę ci trochę, jeśli chcesz.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Przestań się tak stroszyć, nie miałem nic złego na myśli. Chcę się tylko odwdzięczyć za gościnę. Byłem bardzo głodny.

– Z daleka słyszałem, jak ci burczy w brzuchu. – Kacper przeżuł ostatni kęs, umył ręce śniegiem i wyciągnął w stronę ognia. – Podobno tam u was człowiek może zdechnąć z głodu na ulicy, pod drzwiami sąsiada.

– Nie jest aż tak źle, dziadku. – Wędrowiec roześmiał się. – Do domu nikt obcego przybłędy nie wpuści, ale pajdki suchego chleba zawsze można się doprosić.

Klepnął się dłońmi w uda; drzemiący Kudłacz znów czujnie nastawił uszu.

– Pójdę już, skoro wolisz sam grzebać w śniegu. Zdążę jeszcze zrobić przed nocą kawał drogi.

Ponaciągał rzemienie u karpli i otrzepał zaśnieżone rękawice. Stał już, gdy Kacper zapytał go jeszcze, jakby od niechcenia:

– Jeśli nie kłusujesz, po co snujesz się głodny po lesie?

Tamten zmieszał się na chwilę. Kacper poznał to po sposobie, w jaki przestąpił z nogi

na nogę.

– Za słabo się znamy, dziadku, na takie zwierzenia. – Odszedł kawałek i dorzucił jeszcze przez ramię: – Może gdybyś się ze mną napił, już bylibyśmy przyjaciółmi?

Kacper zabrał z sanek kilka dużych płóciennych worków i narzędzia. Kudłacz ożywił się natychmiast, gdy tylko kilof zadźwięczał stuknięty o łopatę; radośnie obskakiwał swego pana, w przysiadach zmiatał ogonem śnieg.

– Do roboty, pchlarzu, nie do zabawy! Pokaż, że można na ciebie liczyć, inaczej oddam cię Maćkowi do zaprzęgu.

Wciąż dokazując, pies obiegł kilka razy ognisko, zataczając coraz szersze kręgi. Zawarczał, nie wiadomo na co, obsikał pieniek, a wreszcie zaczął z zapałem podkopywać którąś z zasp.

Kacper groził tylko dla zasady. W gruncie rzeczy był pewien, że właśnie tutaj, pod śniegiem i lodem, kryje się zagłębienie gruntu wypełnione grubą warstwą leśnej ściółki. Niektórzy kopacze szkolili psy także do wyszukiwania trupów z czasów Upadku, których wiele jeszcze zalegało pod lodem, żeby przetrząsać ich kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy – ale Kacper nie chciał bogacić się w ten sposób. Niech inni okradają umarłych, jemu wystarczały zwykłe dary Lasu.

Mimo psotnej natury i braku doświadczenia Kudłacz już teraz lepiej wyszukiwał miejsca pod wykopki niż niejeden stary przewodnik ze wsi. Kacper obszedł zaspę z drugiej strony, aby przypadkiem nie zranić psa, i wbił łopatę w świeży, sypki śnieg. Z początku robota szła gładko, nawet się nie zasapał; dopiero później, gdy żelazo zachrobotało na lodzie, wyprostował na chwilę grzbiet, poprawił futrzaną czapę i łyknął kumysu.

– Teraz uwaga, żebyś mi się nie napatoczył pod kilof.

Krótkimi, pewnymi uderzeniami rozbijał twardą skorupę, wybierał łopatą kruszywo i znowu chwytał kilof, pogłębiając stopniowo wykop, długi i szeroki na jakieś pięć łokci. Rozstawił stopy, twarz osłonił szalem przed ostrymi odpryskami i pracował wytrwale, mocno ściskając stylisko w stwardniałych, pokrytych odciskami dłoniach. Pies nie mógł mu już w niczym pomóc, więc tylko krążył dookoła, przysiadając to tu, to tam i skamląc z niecierpliwości. Krawędzie wykopu sięgnęły kolan Kacpra, potem bioder; coraz trudniej było o swobodny zamach kilofem, coraz wyżej musiał podrzucać ciężką łopatę. Czasem ostrze odskakiwało od jakiegoś większego kamienia, który trzeba było mozolnie wyłuskiwać z lodu. Niekiedy natrafiał na zmrożone korzenie drzew – musiał wtedy klękać i każdy z osobna wycinać nożem, klnąc z cicha na Kudłacza, który dyszał mu w kark i trącał natarczywie nosem, najwidoczniej znudzony. Kacper nie robił już przerw, śpieszył się. Jak wszyscy ludzie Lasu zbyt cenił sobie takie pogodne wiosenne dni, aby pozwolić im przeciekać przez palce.

W końcu, gdy stał już w dole głębokim po pachy, otoczonym spiętrzonymi pryzmami wydobytej zmarzliny, kilof przebił lód i utknął w miękkim podłożu. Uderzeniem obcasa Kacper powiększył wyrwę, przysiadł na piętach, zębami ściągnął rękawicę i wwiercił w głąb rękę aż po łokieć.

– Dobrze to wygląda, Kudłacz! – zawołał uradowany. – Napełnimy tutaj ze dwa worki, a może i trzy.

Wydobył garść przemarzłej ściółki; kiedy roztarł ją w palcach, poczuł słabą woń butwiejących dębowych i bukowych liści – prawdziwą, zachowaną pod lodem woń żywego lasu sprzed trzech stuleci. Przyłożył do twarzy dłonie, oblepione brunatnymi strzępkami, jakby chciał wchłonąć poprzez skórę soki ziemi.

Pozwolił sobie jedynie na tę krótką chwilę odprężenia, zaraz znowu zabrał się do roboty. Musiał wyzyskać do ostatka czas przed zachodem słońca.

Wybrał i wyrzucił z wykopu resztki lodu, a potem szeroką szuflą zaczął ładować ściółkę do worka. Z wierzchu przykryta warstwą zmrożonych, pozlepianych liści, głębiej była wilgotna, miękka i oszałamiająco wonna. Nie tracił czasu, aby w niej grzebać – to zresztą praca dla kobiet. Wiedział, że w domu Mira wszystko dokładnie przesieje, nie przegapi ani jednego żołędzia na mąkę, ani jednej buczyny, a może i trafią się jakieś tłuste larwy albo kiełki. Resztę wysuszy nad piecem i domiesza do paszy dla kóz, razem z igliwiem i szyszkami.

Złoże okazało się nadspodziewanie obfite. Gdy dopychając zawartość kolanem, Kacper sznurował czwarty worek – ostatni, jaki mu pozostał – szufla nie zawadziła jeszcze nawet o twardy, kamienny grunt. Więcej i tak nie zdołałby uciągnąć na sankach, ale żal mu było pozostawiać tyle cennego surowca. Mógłby tu wrócić, Kudłacz powinien zapamiętać drogę, lecz marsz w obie strony zabrałby mu co najmniej trzy dni, i to przy dobrej pogodzie, a w tym czasie ktoś inny na pewno skorzystałby na jego robocie, opróżniając wykop. Nie miałby nawet o to żalu, takie było prawo kopaczy: tyle twego, ile potrafisz zabrać.

Wygramolił się z wykopu i przysiadł na krawędzi z opuszczonymi nogami. Zgrzany, w porozpinanym kubraku, z odrzuconym kapturem i rękawicami zatkniętymi za pas, dopiero teraz dotkliwie odczuł wieczorny mróz. Słońce musiało już być bardzo nisko, parująca z dołu wilgoć zamarzała mu na twarzy, płótno worków zesztywniało. A jednak wciąż było cicho, bezwietrznie, spokojnie.

Może za spokojnie.

– Kudłacz?

Pies nie przybiegł na pierwsze wezwanie, co nie zdarzało mu się często. Kacper usiłował sobie przypomnieć, jak dawno temu przestał słyszeć jego dreptaninę wokół wykopu. Pochłonięty pracą, nie zwrócił na to wtedy uwagi. Podniósł się zaniepokojony i zagwizdał głośno.

– Kudłacz!

W odpowiedzi dobiegł go krótki, żałosny pisk.

Natychmiast ruszył w tamtą stronę. Potknął się o pryzmę lodu, przykucnął i po chwili natrafił dłonią na łeb o stulonych uszach.

Pies leżał zwinięty w wygrzebanej pazurami, śnieżnej jamie. Polizał rękę Kacpra, ale nie wyszedł. Dyszał ciężko, jak po długim biegu.

– Co z tobą? Znudziło ci się czekanie? A może zaszkodziło ci to paskudztwo, któreś zeżarł? Wyłaź. Pomacam brzuch, czy nie twardy.

Kudłacz się nie ruszył, głębiej wcisnął pysk między łapy.

– Wyłaź, mówię!

Kacper odczekał jeszcze chwilę, potem chwycił go za obrożę i jednym mocnym szarpnięciem wywlókł z jamy. Pies zawarczał, kłapnął zębami, ale nie ośmielił się ugryźć.

– Wiesz, gdzie trafiają nieposłuszne kundle? Pod rzeźnicki nóż.

Kudłacz pokajał się szczenięcym skomleniem, ale jednocześnie na ugiętych łapach cofał się do jamy.

Kacper wyprostował się, z gniewu zacisnął pięści. Puszczał mu płazem wiele – na pewno więcej, niż inni ślepcy wybaczali swoim przewodnikom – lecz od psiego posłuszeństwa zależało przecież w lesie jego życie.

– Masz ostatnią szansę. Wyłaź albo pożałujesz.

Naraz urwał, podniósł głowę i na dłuższą chwilę zamarł w bezruchu, nasłuchując. Nad Lasem wciąż wisiał głęboki spokój, lecz to tylko wzmogło jego czujność. Bał się ciszy – kiedy zapadała, milczący świat rozpływał się w ciemności.

Kudłacz znowu zaskomlał.

– Tak, ja też to czuję, piesku – szepnął Kacper.

Powoli zwrócił się twarzą na południe, w stronę Gór. Niejasna dotąd obawa nagle spłynęła mu po plecach chłodem, aż dostał gęsiej skórki. Już wiedział, co się szykuje. Nie mógł widzieć ogromnego wału chmur, który przewalał się ponad oblodzonymi, przyrumienionymi blaskiem zachodzącego słońca graniami, ale przecież urodził się tam, w wiosce na zboczu, i dobrze wiedział, co oznacza nagłe łomotanie serca, przyśpieszony oddech i ucisk w uszach.

– Źle, piesku, zbiera się na Wietrzysko – zachrypiał, odchrząknął. – Dałem się zaskoczyć jak dziecko.

To nie powinno się przytrafić doświadczonemu kopaczowi, który więcej czasu spędzał w Lesie niż w chacie przy piecu. Udany wykop stępił jego czujność. A może po prostu zaczynał się już starzeć. Kudłacz próbował go ostrzec, naprzykrzał się przecież od dłuższego czasu, ale zlekceważył go i odpędził.

A teraz nie było już czasu na poszukiwanie jakiejś myśliwskiej koliby. Musiał przetrwać najgorsze pod gołym niebem.

– Za mną, Kudłacz! – rzucił ostro.

Tym razem pies usłuchał. Zrozumiał, że jeśli zignoruje to polecenie, zostanie sam.

Kacper ratował, co się dało; wrzucił do wykopu najcenniejsze narzędzia, narty, koce, sakwę z zapasami. Sanie uwiązał do pniaka, choć w głębi ducha już spisał je na straty, podobnie jak worki. Na dole było niewiele miejsca, a przecież nie wiedział, jak długo przyjdzie mu tam siedzieć – może tylko przez noc, a może przez cały tydzień.

Jeszcze raz zwrócił się ku Górom i dwoma palcami nakreślił w powietrzu znak krzyża, jak to robili ludzie Lasu, gdy pożeracz śniegu dopadał ich poza chatą. Potem wziął przestraszonego Kudłacza pod pachę, usiadł na brzegu wykopu i zsunął się w dół. W kącie między lodowymi ścianami rozgrzebał pokrytą szadzią ściółkę i przycupnął tam, owinąwszy się razem z głową w gruby koc.

Najpierw, jeszcze w ciszy, lekko zadrżała ziemia; z brzegów wykopu z szelestem osypało się trochę śniegu. Zaraz potem od południa dobiegł przeciągły, głuchy pomruk. Pobliskie pniaki zaczęły skrzypieć, każdy odrobinę inaczej, jakby ożyły nagle i w popłochu

usiłowały wyrwać spod lodu długie korzenie – jednak tę przejmującą skargę Lasu zagłuszył rychło narastający grzmot.

Wreszcie uderzył z całą siłą straszny, górski wicher, wzbijając wysoko pod niebo śnieżną kurzawę. Wydawało się, że nic nie zdoła przetrwać tej niszczycielskiej nawałnicy. Wszelkie żywe stworzenia już dawno pochowały się w norach, jamach, gawrach, dziuplach, pod lodem na rzece i w załomach ruin.

Ociepliło się gwałtownie, jakby na świat otwarły się bramy piekła. Kacper pocił się mocno, oddychał z trudem, raz po raz przechodziły go dreszcze, jak w gorączce, ale nie uchylił koca. Pies wtulił się w liście, nastawiając uszu na falujące wycie, tak bardzo podobne do wilczego. Ciepły wiatr od Gór nie przynosił nigdy nic dobrego, podsuwał tylko ludziom podłe myśli, roznamiętniał złe skłonności, budził wszelkie utajone choroby, rozjątrzał niezaleczone rany. Nie było na to innej rady, jak tylko ukryć się i przeczekać.

W ten sposób Kacper dotrwał do zmroku. Miał za sobą ciężki dzień, a jednak nie odczuwał głodu, jedynie tępe znużenie. Mimo to postanowił zmusić się do przełknięcia paru kęsów; w Lesie człowiek nigdy nie mógł być pewien, kiedy będzie potrzebował wszystkich swoich sił. Wydobył z sakwy jeden z ostatnich kawałków mięsa i zapalił małą tłuszczową lampkę, aby go rozmrozić. Kudłacz tym razem nie okazał żadnego zainteresowania. Wilcza część jego natury kazała mu przywrzeć bez ruchu do ziemi i udawać, że wcale go tu nie ma.

Żylasty ochłap przypalił się tylko z wierzchu, głębiej pozostał surowy i zimny, lecz Kacper zjadł wszystko, tłumiąc wstręt i mdłości. Nawet łyk kumysu nie wypłukał z ust paskudnego posmaku tłustej sadzy. Wiedział, że nie poczuje się lepiej, dopóki tam, w górze, wszystko się nie przewali. Liczył, że uda mu się zasnąć, ale zapadł tylko w jakieś chorobliwe odrętwienie, które zamiast odpoczynku przyniosło ból głowy.

Nagle coś go zaniepokoiło, jakieś nowe doznanie zmusiło do skupienia uwagi. Nie słyszał nic, poza łoskotem Wietrzyska, ale po chwili zdał sobie sprawę, że Kudłacz, wcisnąwszy pysk pod jego ramię, aż wibruje od nieustannego warczenia.

Półsenne otępienie ustąpiło natychmiast z chłodnym dreszczem, Kacper myślał teraz jasno i szybko. Pies wyczuł niebezpieczeństwo, ale jakie? Drapieżnik? Niemożliwe, w takiej zamieci nawet stary niedźwiedź nie utrzymałby się na łapach. Człowiek tym bardziej. Chyba że…

Płomyk lampki zaskwierczał i zakopcił gęstym, gryzącym dymem. Kudłacz wycofał się w przeciwległy kąt wykopu, warcząc i skomląc na przemian. Kacper poczuł silny, mdlący smród, jak z ropiejącej rany. Już wiedział, co się stało.

Odrzucił koc, który załopotał w górze, porwany przez Wietrzysko. Płomyk zasyczał, przyduszony podmuchem do ziemi, ale nie zgasł. Zadymił mocniej, w wykopie zawirowały nadpalone liście, a potem znowu strzelił prosto w górę, silniejszy niż przedtem, aż kopacz poczuł na policzkach jego żar i pryskające kropelki wrzącego tłuszczu.

Bez wątpienia – to musiała być brudna dusza, jedna z tych, które po Upadku uległy kusicielskiemu blaskowi Lucyfera, a teraz płaciły za to samotną tułaczką w mroku, w strachu przed słońcem. Od czasu do czasu zdarzało się, że któraś z nich opuszczała swoją ciemną kryjówkę, aby szukać złudnego zbawienia w leśnym ognisku drwali, a niekiedy i w domowym piecu. Kto zdążył w porę ugasić płomienie, ten nie musiał się już

niczego obawiać – żałosny, nieszczęśliwy cień ruszał dalej w swoją wędrówkę bez celu. Kto jednak nie zorientował się na czas czy zwlekał zbyt długo, sam musiał uciekać, i to szybko, aby czarny dym nie omroczył jego własnej duszy. Ci, którym się to przydarzyło, rzadko pozostawali przy zdrowych zmysłach. Porzucali zaprzęgi, uciekali od ludzi i błąkali się po lesie, aż w końcu padali z wycieńczenia albo rozszarpywały ich wilki.

Kacper nie miał dokąd uciekać – gdyby wystawił głowę ponad krawędź wykopu, Wietrzysko wywlekłoby go i wessało w noc. Ale i bez tego zostałby na miejscu. Nigdy jeszcze nie cofnął się przed brudną duszą, zawsze próbował pomóc, trochę z litości, trochę z przekory, bo wszyscy inni uważali to za głupotę, niegodną kopacza w jego wieku. A przede wszystkim robił to dlatego, że tak niewiele brakowało, aby i jego dotknęło niegdyś to straszne nieszczęście. Jako chłopak spotkał przecież na górskiej grani Świetlika i wchłonął przez oczy jego zdradliwą jasność. Czuł zarzewie samozapłonu, które już w nim pełgało, nie w żadnym określonym miejscu ciała, lecz jakby w samym środku roznamiętnionych uczuć. A potem, kiedy cudem go odratowano, już zawsze wyraźniej niż inni odczuwał bliskość brudnych dusz. Potrafił dzielić ich zagubienie, strach, wstyd i tęsknotę za prawdziwą Światłością.

Wsparł się plecami o zimną ścianę, ukrywając twarz w zgięciu ramienia. Smród wciąż gęstniał, nie uchodził na otwartą przestrzeń. Każdy oddech wydawał się teraz zatruty, aż cierpło podniebienie i potniały dłonie. Kacper czuł się słaby jak starzec. Zmoczył się chyba, zwymiotował wszystko, co zjadł, i bezwładnie osunął się na bok.

To, czego nie mógł zobaczyć, przenikało do jego wyobraźni. Bluźniercze, ohydne myśli lęgły mu się w głowie jak czerwie, czaszkę rozsadzał nieznośny zgiełk, jakby pomieszane krzyki przerażenia, jęki bólu i charkot wściekłości. Na przemian kostniał z zimna i dyszał z gorąca, gardło miał wyschnięte i obrzmiałe. Wydawało mu się, że poci się ukropem, podczas gdy w skronie wkłuwały się lodowate igiełki.

Wyczuwał teraz obecność znękanej duszy tak wyraźnie, jakby stał przed nim żywy człowiek. Musiał działać właśnie w tej chwili, kiedy i ona chłonęła jego emocje. Najwyższy czas, tłuszczu w lampce nie mogło wystarczyć na długo.

Dźwignął się na kolana, z trudem pokonując silne zawroty głowy. Obok Kudłacz miotał się rozpaczliwie, próbując się wydostać z wykopu. Raz po raz wskakiwał na ścianę, skrobiąc pazurami lód, spadał i natychmiast zrywał się znowu. Kacper chciał go skarcić, ale nie był w stanie wydobyć głosu ani nawet gwizdnąć, zresztą oszalały ze strachu pies nie usłuchałby teraz chyba nawet bata. Sięgnął po lampkę. Ręka drżała mu tak mocno, że musiał próbować kilka razy, nim udało mu się zacisnąć palce na drewnianym uchu. Podsunął kopcący płomień wprost pod swoje ślepe oczy.

To przypominało trochę próbę oswojenia dzikiego zwierzęcia. Musiał być bardzo ostrożny. Gdyby choć na chwilę przestał panować nad swoimi uczuciami, gdyby okazał strach, wstręt albo tylko wahanie, nie zdołałby udźwignąć ciężaru cudzej rozpaczy. Sam poczułby się jak potępieniec, załamałby się i oszalał. Ale robił to nie po raz pierwszy – oczyścił już dziesiątki brudnych dusz. Nauczył się, jak radzić sobie z tym bezmiernym nieszczęściem. Jak nie stchórzyć, kiedy nie wystarcza już zwykłe myśliwskie: „A kysz!”, kiedy zapomina się nawet słów codziennej prośby o wieczny odpoczynek dla tych, którzy odeszli. Dokonał tego kosztem wszystkich strasznych nocy, kiedy krzyczał przez sen, a Mira

nie mogła dobudzić go z koszmaru; kosztem niespodziewanych zamyśleń pośrodku rozmowy, którymi zasłużył sobie we wsi na miano dziwaka; kosztem przedwczesnej siwizny. Nigdy, nawet kiedy było mu najtrudniej, kiedy wątpił, czy wytrzyma następne takie spotkanie, nie tracił przekonania, że tak trzeba, że to być może jedyny wystarczająco ważny powód, dla którego warto uparcie się trzymać złamanego za młodu, pełnego zawiedzionych nadziei życia.

Przede wszystkim musiał uspokoić tę zalęknioną, osamotnioną duszę – sprawić, żeby choć na krótko przestała nienawidzić samej siebie. Miał na to wypróbowany sposób, który prawie nigdy nie zawodził. Ożywiał w pamięci radosne zdumienie, które ogarnęło go bez reszty, gdy przed laty pierwszy raz zobaczył w starej, poplamionej książce obrazek gęstego, zielonego, żywego lasu. Poczuł się wówczas tak, jakby podejrzał przez dziurkę od klucza kawałek prawdziwego raju, jakby spełniły się wszystkie jego marzenia, nawet te skryte tak głęboko, że sam o nich nie wiedział. Potem miał w ręku jeszcze wiele książek, pstrokaciły mu się w oczach odpryski świata sprzed Upadku, a jednak tamta pierwsza najgłębiej zapadła mu w pamięć. Zawsze, kiedy tego potrzebował, potrafił rozgrzać się tym jednym, odległym wspomnieniem.

Nie mógł podzielić się ze zbłąkaną duszą swoim jasnym marzeniem, a jednak łagodny spokój, który z niego płynął, stopniowo udzielił się także i jej. Przestała trzepotać się w płomieniu, skwierczeć i kopcić. Przyczaiła się gdzieś na dnie lampki, próbując jednocześnie wchłonąć jak najwięcej tego ludzkiego ciepła i ukryć swoją szpetotę. Musiał być teraz bardzo czujny, łatwo bowiem mógłby ją spłoszyć zbyt natarczywą bliskością. Tylko samotność chroniła ją przed udręką palącego wstydu.

Powolutku, bez pośpiechu, rozbudził w sobie kolejne wspomnienie, które nigdy nie zetlało – chwilę, gdy przed dwudziestoma przeszło laty jedna z pomagających przy porodzie bab położyła mu na kolanach nowo narodzonego Maćka. Kiedy poczuł na dłoni jego maleńką, miękką, pokrytą meszkiem główkę, wezbrała w nim tkliwa duma i mocne pragnienie zaopiekowania się tym bezbronnym stworzeniem.

Osamotnioną, wyziębłą duszę wywabiłby z ukrycia nawet nikły odblask tego uczucia. Tańczyła w płomieniu, zapatrzona, zaczarowana, od nowa odkrywając, czym jest życie. Nie pierzchła, choć miłość ją parzyła. Brud łuszczył się na niej i odpadał niczym czarne płatki sadzy.

Wtedy Kacper dmuchnął w płomyk, ile tylko miał sił w płucach.

– Teraz znasz drogę – szepnął, choć nie mogła go już usłyszeć. Zniknęła od razu, jak uniesiona wichrem.

Pierwsze chwile po takim zbliżeniu zawsze były bardzo ciężkie. Kacper wiedział, że nieprędko otrząśnie się z przygnębienia. Tkwił w ciemnościach, śmiertelnie znużony, podczas gdy wokół szalała niesłabnąca, wściekła zawieja. Czuł się zużyty, splugawiony i porzucony. Samego siebie nie potrafił tak łatwo omamić marzeniami. Czekała go długa, bardzo niespokojna noc.

Kudłacz nie przestawał wyć, chociaż było już po wszystkim. Kacper złapał go za puszysty, podwinięty ogon. Pies odwinął się, zadrasnął mu zębami przedramię, ale się opamiętał i przywarował nisko, jeżąc sierść. Wtedy przyciągnął go za obrożę i przycisnął do policzka oblepiony na wpół odtajałymi liśćmi pysk.

– Przyzwyczaisz się, zobaczysz – mruknął. – Musisz.

Leśni ludzie od dawna już nie palili cennym drewnem, brakowało go często nawet do naprawy chat. Pozostawał węgiel, a to już było babskie zajęcie. Myśliwi nie lubili brudzić sobie nim rąk, nawet jeśli polowanie wypadło im gdzieś w pobliżu Czarnego Szlaku, no i szkoda im było męczyć psy dodatkowym ciężarem na saniach. Co innego panny na wydaniu – nad nimi nie roztkliwiano się aż tak bardzo. Wiadomo, każda z nich musiała przedreptać swoje – uginając się pod brzemieniem wielkich koszów przytroczonych do pleców, czasem w zamieci, często poprzez głęboki śnieg – nim mogła wyjść za mąż, ściąć warkocze i zacząć tyć spokojnie w kuchennym cieple, z każdym kolejnym szczęśliwie powitym dzieciakiem.

Czarny Szlak, zagłębiony w lodową skorupę aż do gołej ziemi, przecinał Podgórze z zachodu na wschód, oddzielając zaludnione obszary na południu, u podnóży Gór, od terenów łowieckich, które rozciągały się na północy do samego Lodowca, i łącząc podziurawione kopalnianymi szybami niezamieszkałe pustkowia z wiecznie głodnym paliwa Miastem. Był niczym pępowina, która utrzymywała przy życiu to ludzkie rojowisko. Przypominał nieskończenie długi, wąski rów o ścianach poszarzałych od pyłu, ze lśniącymi szynami na dnie i popielatymi wałami śniegu, wyrzucanego pracowicie, dzień po dniu, które ciągnęły się nieprzerwanie z obu jego stron. Między spękanymi podkładami zalegała warstwa żwiru przemieszanego z pokruszonym lodem, w którym z rzadka trafiała się czarna grudka węgla. Ułożone jeszcze przed Upadkiem szyny wiosną i latem rzadko znikały pod śniegiem, chyba po najsroższych śnieżycach, a i to zwykle na dzień czy dwa. Nocami wzdłuż torów nieustannie wędrowały długie kolumny pokutników – każdy z łopatą na jednym ramieniu i kilofem do kruszenia lodu na drugim – aby utrzymać drożność Czarnego Szlaku. Dobrze znosili mróz, bo grzał ich parch, ale często padali z wyczerpania, a czasem pokonywała ich rozpacz, i wtedy rzucali się pod nadjeżdżający parowóz. Zamarzniętych trupów nie tykały wilki ani wrony. Za dnia sprzątacze zbierali je, rzucali do otwartego wagonu i wywozili do Miasta.

Kaśka zmieniła rękawice na stare, robocze, zesztywniałe od brudu, upchnęła warkocze głębiej pod kaptur, obwiązała twarz szalem i poszukała dogodnego zejścia po z grubsza wyciosanych w lodzie stopniach. Umiała znosić trudy wędrówki, nie narzekała, kiedy pasy kosza mimo grubego kożucha siniaczyły jej ramiona. Nie przerażały jej drapieżniki, niestraszne jej było nawet Wietrzysko, a przecież za każdym razem, gdy dotykała nogami dna rowu, przechodził ją nieprzyjemny dreszcz. Już nie strach, jak na początku, gdy zaczynała chodzić na Szlak – wówczas bała się śladów bosych stóp na nasypie torowiska, po których musiała stąpać, bała się dotykać szyn, po których nocą przetaczały się wózki parszywców, bała się nawet oddychać tym samym powietrzem, którym oddychali oni. Dziś

nie przejmowała się już byle odciskiem dłoni na pochyłej ścianie albo chrzęszczącym pod butem zamarzniętym gałganem czy rzemykiem. Nie bladła na widok dymów snujących się nad schroniskami chorych rozrzuconymi wzdłuż całego torowiska – wiedziała, że za dnia żaden z nich nie wyjdzie z ukrycia.

Ale skulone trupy w czarnych płaszczach omijała szerokim łukiem, odwracając twarz. Czasami z parszywca pozostawał tylko popiół i osmalone łachy, widoczne z daleka na roziskrzonym słońcem śniegu – znak, że ciało strawił ogień samozapłonu.

Robiła, co do niej należało, jak cała reszta dziewczyn. A tej wiosny nawet polubiła swój panieński obowiązek. Matka nie musiała jej już przypominać, że w skrzyni na węgiel szufla skrobie o dno. Nabrała zwyczaju, żeby chodzić na Szlak samotnie, nie oglądając się na inne węglarki. Tego akurat Mira nie pochwalała, lecz gdy któregoś dnia posprzeczały się o to, Kaśka wykrzyczała hardo:

– Byłaś młodsza ode mnie, kiedy uciekłaś ze wsi, żeby harować u mcharzy!

Zaskoczona matka przez chwilę tylko kręciła głową.

– To co innego. Musiałam zarobić na życie, kiedy mojego ojca opętał Lucyfer.

– Zrozum, mamo, ja też nie jestem już dzieckiem. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Na pewno. Ale po co niepotrzebnie się narażać? Zasłabniesz w drodze albo się poślizgniesz i zwichniesz nogę, i kto ci wtedy pomoże?

– Ojciec zawsze chodzi do Lasu sam.

– Ma Kudłacza. I jest mężczyzną.

– Ach, więc o to chodzi! Chciałabyś, żebym całe życie przesiedziała w kuchni, jak ty? – Zachrypła z gniewu. – Nie jestem tobą, mamo. Mam oczy i chcę zobaczyć świat. Nie będę się tu wędzić przy kopcącym piecu tylko dlatego, że jesteś ślepa i nienawidzisz wszystkiego, co nowe.

Może nie całkiem tak to chciała powiedzieć, ale stało się. Wybiegła z chaty, ukryła się w spiżarni za workami z mąką i tam przepłakała cały wieczór, jakby te ostre słowa, które jej się wyrwały, zraniły ją nie mniej niż matkę.

Schyliła się po większy kawałek węgla i wrzuciła do kosza. Ze szpary pod szyną wygrzebała następny, lecz w zasięgu wzroku nie wypatrzyła już nic więcej. Zdjęła zawieszone na szyi duże, okrągłe sito i zaczęła przesiewać bez przekonania sczerniały śnieg, rozkruszając w palcach zmrożone grudki. Po dłuższym czasie na drucianym dnie sita zagrzechotała ledwie garstka ciemnych bryłek. Kaśka skrzywiła się – najwidoczniej trafiła na zły odcinek Szlaku, przebrany niedawno przez dziewczyny z innych wsi. Zawiedziona ruszyła wzdłuż torów, żeby spróbować nieco dalej. W ostateczności mogła po prostu napełnić kosz zanieczyszczonym śniegiem, przydźwigać do chaty i wytopić z tego pół wiaderka węglowego miału, ale nie miała ochoty słuchać docinków brata. Stare kobiety lubiły powtarzać, że panna, która nie potrafi nazbierać porządnego opału, nigdy nie będzie dobrą żoną. Matka wprawdzie śmiała się z takiego gadania, ale i ona przecież kręciła nosem, gdy musiała palić w piecu trocinami.

Przewędrowała spory kawałek, rozglądając się nieuważnie; nie miała dzisiaj serca do

tej roboty. Dziabnęła kijkiem tu i tam, postukała obcasem w podkład – i nagle zastygła w pół kroku, nasłuchując.

Zdawało jej się, że gdzieś w oddali rozbrzmiał przeciągły, niski gwizd. Zrzuciła kaptur i czekała, wstrzymując oddech, ale odgłos się nie powtórzył. Padła na kolana i przyłożyła ucho do zimnej szyny, zapominając o wstręcie. Serce zabiło jej szybciej, gdy usłyszała cichutki, miarowy stukot kół zbliżającego się od strony Miasta parowozu.

Pół roku wcześniej uciekłaby na widok sypiącej iskrami maszyny. Niektórzy leśni ludzie opowiadali, że napędza ją Lucyfer, skoro nic jej nie ciągnie ani nie popycha, a mimo wszystko jedzie, nawet pod górkę – ale Maciek śmiał się z tego, więc i ona w to nie wierzyła. Czego innego należało się bać. Matka wiele razy ostrzegała ją przed łotrami z Miasta. Wszystkie dziewczyny wiedziały, że nie wolno im ufać. Kiedy parowóz zwalniał na podjazdach, a w pobliżu kręciły się zbieraczki węgla, rozsuwały się żelazne drzwi rozklekotanego wagonu i sprzątacze zapraszali do ciepłego, opalanego piecykiem wnętrza, cmokając lubieżnie i potrząsając bukłakami z gorzałką. Czasem nie kończyło się tylko na zaczepkach – potrafili wciągnąć nieostrożną pannę do wagonu i wypuszczali dopiero pół dnia drogi dalej, zapłakaną, w potarganej kiecce i ze złamanym życiem. Zhańbione wieśniaczki bardzo rzadko dochodziły potem swojej krzywdy przed Radą Starszych, a jeśli już któraś się odważyła, sędziowie zwykle kiwali tylko siwymi głowami i przypominali, że parowóz po to gwiżdże z daleka, żeby każda uczciwa dziewczyna mogła na czas odejść od torów. A skoro nie odeszła – widać sama chciała tego, co ją spotkało.

Bywało niekiedy, że jakiś wartogłowy myśliwy – brat czy narzeczony – szukał zemsty, rozkręcał szyny albo rzucał na tory ciężką kłodę, żeby zatrzymać skład. Sprzątaczom i tak zwykle nie działa się żadna krzywda, strzały z łuku nie mogły dosięgnąć ich za żelaznymi ścianami wagonu, a jeśli narwaniec zbliżył się za bardzo, technik z parowozu mógł łatwo ustrzelić go z samopału. Po wszystkim zjawiali się strażnicy na nartach, z psami tropiącymi, i na ogół trafiali bez trudu do wsi, z której pochodził zamachowiec. Dla przykładu puszczali z dymem cały jego dobytek, nie oszczędzając kóz ani psów.

Kaśka nasłuchała się wiele podobnych historii, gwizd parowozu od dziecka był dla niej sygnałem do ucieczki, aż któregoś dnia, po jednej z pierwszych tej wiosny wypraw, zmieniło się wszystko.

Nie powinna wtedy iść na Szlak, bo od Lodowca napłynęły nad Podgórze ciemne chmurzyska i trzymał taki mróz, że nawet szczury nie wyłaziły ze swoich kryjówek, ale opał się kończył, a nie było wiadomo, czy prędko się rozpogodzi. Wyruszyły we dwie, z Hanką – mocną, śmiałą dziewuchą, która w karplach, na głębokim śniegu, potrafiła prześcignąć niejednego chłopaka. W połowie drogi zrobiło się ciemno jak o zmierzchu i wszystko wokół zniknęło w gęstej śnieżycy. Hanka postanowiła wracać, ale Kaśce wstyd było pokazać się we wsi z pustym koszem, zwłaszcza przed Maćkiem. Nieraz już przeczekiwała niepogodę w rowie przy torowisku i przychodziła do chaty długo po zachodzie słońca. Uparcie parła więc naprzód.

Dotarła do Czarnego Szlaku bardzo zmęczona i głodna, ale nie zamierzała tracić czasu na odpoczynek. Jeśli chciała zebrać choć trochę węglowych okruszyn, musiała grzebać głęboko w świeżo spadłym śniegu. Od razu zabrała się do roboty. Tutaj, w dole, było trochę cieplej i nie dokuczały lodowate podmuchy. Pracowała wytrwale, cały czas

schylona; gdy wreszcie uniosła głowę, zobaczyła o parę kroków przed sobą wyłaniającą się ze śnieżycy czerwoną latarnię parowozu.

Nie usłyszała gwizdka, a może pomyliła go z wyciem wiatru. Parowóz jechał powolutku, rozgarniając pługiem śnieg.

W nagłym przestrachu skoczyła na lodową ścianę, ale nie sięgnęła górnej krawędzi rowu i ześlizgnęła się z powrotem. Z kosza wysypało się wszystko, co zdążyła nazbierać. Nie miała czasu na szukanie wyżłobionych stopni, pobiegła przed siebie środkiem torów. Parowóz wciąż stękał tuż za nią, syczał, świstał, stukał, podświetlał czerwienią wirujące płatki śniegu. Podjechał tak blisko, że owiewała ją gorąca para. Nie przyśpieszał, sunął po prostu w ślad za nią, niczym jakiś leniwy potwór.

Zawadziła stopą o podkład, przebiegła kulawo jeszcze kawałek, po czym poślizgnęła się i upadła. Nie wstała już, obezwładniona grozą; skuliła się pomiędzy szynami i ukryła twarz w rękawiczkach.

Parowóz zatrzymał się, trącając ją lekko czubkiem wygiętego pługa. Usłyszała trzask otwieranych drzwi, ktoś zeskoczył z wysoka na torowisko i podszedł do niej.

– Nie chcę być uparty, ślicznotko, ale musisz zejść mi z drogi, inaczej nie przejadę.

Zaskoczył ją ten młody, czysty głos. Poczuła wstyd – mogła się wystraszyć parowozu, szczególnie że pojawił się tak znienacka, ale nie miała zamiaru pozwolić, aby kpił sobie z niej jakiś miejski chłopczyna.

Usiadła, podciągając nogi.

– Zrobię, co mi się podoba! – odkrzyknęła zaczepnie.

– A pewnie. Każdy wie, że z leśnymi dziewczynami trzeba grzecznie, bo to nie jakieś głupie kozy.

Nadąsała się. Nie była pewna, czy tamten wciąż z niej nie żartuje, tym bardziej, że w zamieci nie widziała dobrze jego twarzy.

– A każdy leśny chłopak najpierw pomógłby mi wstać zamiast gadać.

– Słusznie. – Pochylił się, wyciągając rękę.

Teraz zobaczyła go lepiej: żelazny hełm z czerwoną literą T na czole, a pod nim szczupła, gładko ogolona, wesoła twarz o lekko przymrużonych, roześmianych oczach.

Speszyła się. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z technikiem.

– Myślałam, że takie hełmy noszą tylko mądrzy starcy… – Wstała i zaczęła otrzepywać spódnicę, aby ukryć zakłopotanie.

Nie obraził się, skinął ze zrozumieniem głową.

– Dawniej tak było. Ale ślepy przecież nie poprowadzi parowozu, więc parę lat temu zaczęli przyjmować do roboty w Ciepłowni także młodych, prosto po szkole. – Zamilkł na chwilę, przyglądając się jej ciekawie. – A ty skąd się tu wzięłaś w taką zamieć?

– Zbieram węgiel.

Zajrzał do kosza na jej plecach.

– Niewiele uzbierałaś, a słoneczko coraz niżej.

– Dam sobie radę.

– Wiesz co? Odsypię ci trochę z tendra. Jak się pośpieszysz, zdążysz wrócić do domu przed zmrokiem.

Cofnęła się o krok, znowu czujna. Technik rozłożył ręce.

– Nie krzyw się, chcę tylko przeprosić za to, że przegoniłem cię taki kawał po torach. Rozstaniemy się bez urazy, zgoda?

Potem, gdy już stanęła na górze, pochylona nieco pod ciężarem wypełnionego kosza, a chłopak wspinał się po drabince do swojej budki, przyszło jej do głowy, że nie wie nawet, jak on ma na imię. Miała ochotę zapytać, ale się powstrzymała. Nie powinno jej to obchodzić.

Ruszając, pomachał do niej przez wąskie okienko i puścił parę w gwizdek – dwa krótkie sygnały, jeden długi.

Odeszła, nie oglądając się, trochę oszołomiona, jak po zbyt mocnym kumysie. Myślała tylko o drodze do domu, lecz po pewnym czasie przyłapała się na tym, że próbuje dosłuchać się w poświstywaniu wiatru czegoś, czego w nim nie było.

Dwa krótkie, jeden długi…

Nie powiedziała matce prawdy, choć przecież nie zrobiła nic złego, niczego nie musiała się wstydzić. A jednak skłamała, że znalazła na Czarnym Szlaku porzucony wózek – nie byłoby w tym nic dziwnego, wielu pokutników padało w drodze do Ciepłowni, pchając swój cenny urobek.

Mira nie ucieszyła się, choć tak bardzo potrzebowali opału i choć rzadko oglądała tak piękny węgiel – nie nędzne okruchy, jak zazwyczaj, ale wielkie, połyskujące złotawo bryły, na których mimo tęgiego mrozu nie osiadła nawet odrobina szronu. Uważała, że to jakby palić w piecu ludzkimi łzami, że taka pazerność może przynieść nieszczęście całej rodzinie. Ale z drugiej strony nie była aż tak lekkomyślna, żeby kazać córce opróżnić kosz za płotem. Sąsiedzi na pewno nie mieliby takich skrupułów, rozdrapaliby wszystko i wyszłoby na to, że Kaśka harowała na obcych.

To pierwsze kłamstwo, które wymknęło jej się jakoś tak mimochodem, bez zastanowienia, pociągnęło za sobą następne. W tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed Hanką, zaczęła chodzić na Szlak samotnie, mniej starannie przesiewała śnieg i częściej prostowała plecy, wypatrując w oddali kłębów dymu z komina parowozu. Nie uciekała już, jak dawniej, na pierwszy gwizdek, nasłuchiwała w napięciu, czy po dwóch krótkich sygnałach nastąpi jeden dłuższy, i dopiero w ostatniej chwili wyskakiwała z rowu. Przykucała wśród zasp, nieraz tak blisko torów, że docierały do niej nieprzyzwoite piosenki sprzątaczy.

Parowóz, którego wyczekiwała tak niecierpliwie – choć do tej niecierpliwości nie przyznałaby się nawet sama przed sobą – wyłonił się wreszcie zza łagodnego zakrętu, parskając raźno i pogwizdując właśnie tak, jak powinien.

Był słoneczny, cichy dzień, od patrzenia na biały bezkres aż bolały oczy. Kaśka wspięła się na górę, ale nie odeszła; udała, że jest zajęta wydłubywaniem z rękawic grud zlodowaciałego śniegu. Parowóz zwolnił, zapiszczał hamulcami i zatrzymał się dokładnie obok niej. Nie podniosła głowy, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, tak stać w chmurze siwej pary i skubać rękawice.

Z łomotem rozsunęły się drzwi pierwszego wagonu.

– Marzną rączki? Wskakuj do nas, panienko, rozgrzejemy!

Poczerwieniała gwałtownie pod kapturem. Przez ostatnie dni wyobrażała sobie tę scenę na dziesiątki różnych sposobów, ale jakoś nie chciała pamiętać, że parowozem jechali także ci cuchnący gorzałką zbieracze trupów.

– Co tam, wstydzisz się? Nie ma czego, tu same miłe chłopaki. Masz, łyknij na śmiałość, nie pożałujesz. No, chodźże! Albo zaczekaj, idę po ciebie.

Coś zakłuło ją w sercu, zrobiło się jej słabo. Chciała spojrzeć na parowóz, ale szarzało jej w oczach. Czy to możliwie, że pomyliła się aż tak bardzo? Czy naprawdę była tak beznadziejnie głupia?

Sprzątacz wygramolił się z wagonu na krawędź rowu. Kaśka stała bez ruchu, jakby podeszwy przymarzły jej do lodu.

Nagle huknął wystrzał samopału. Szarość rozwiała się. Z wąskiego okienka budki sterczała dymiąca lufa, a w ślad za nią wychyliła się odziana w hełm głowa młodego technika.

– Wracaj do wagonu, szczurze, albo dalej pójdziesz piechotą! – zawołał chłopak ostro, a potem otworzył drzwiczki i uśmiechnął się do Kaśki, jakby nic się nie stało. – Drugi raz zatrzymujesz mój skład, węglareczko.

Szczęście zamrowiło jej w brzuchu. Poznał ją! Nie zapomniał!

– Nie zatrzymuję cię, masz wolną drogę. – Zabrzmiało to jakoś sucho. Przeraziła się, że technik naprawdę odjedzie, więc dodała szybko: – Ale wcale nie musisz… jeśli nie chcesz.

Chłopak zerknął na sprzątacza i kiwnięciem lufy ponaglił go do odwrotu.

Kaśka znów pogrążyła się w jasnym błękicie jego oczu.

– Mam mało czasu. Rozumiesz, taka służba. Nie możemy długo rozmawiać, dlatego zadam ci tylko jedno pytanie. – Pięścią uniósł szeroki okap hełmu. – Wyjdziesz za mnie?

W czasie tych króciutkich spotkań na Szlaku z rozpaczliwym pośpiechem usiłowała dowiedzieć się o nim jak najwięcej, dopytać o różne sprawy ważne i błahe, lepiej go poznać – bo z początku miała pewność tylko co do jednego: że zakochała się w nim niedorzecznie, bez żadnych widoków na przyszłość, a jednak prawdziwie i mocno.

Nazywał się Grzegorz i był mniej więcej w jej wieku, choć nie wiedział dokładnie, kiedy się urodził. Rodzice osierocili go wcześnie, ledwie ich pamiętał, a żadni krewni nie chcieli się do niego przyznać. Miał szczęście, że trafił do kościelnego sierocińca. Tam nauczyli go pisać i czytać, a że był zdolny i ciekawy świata, ksiądz wystarał się dla niego o miejsce w katedralnej szkole. Grzegorz uczył się nieźle, ale nie tak dobrze, jak mógłby, gdyby tylko bardziej mu na tym zależało. Nie przesiadywał w bibliotece, jak inni, zasypiał nad katechizmem, nudziła go mityczna historia sprzed Upadku, z trudem dukał stare teksty pisane martwym językiem, pełnym niezrozumiałych słów. Wolał szkolne warsztaty – dłubał w drewnie, tkał na krosnach, szklił okna, ale prawdziwą radość sprawiało mu ślusarstwo. Szybko oswoił się z gwintownikami, kluczami, obcęgami, pilnikami, zaczął majstrować przy zamkach, młynkach do mielenia żołędzi, nawet przy zegarach.

To wszystko jednak to tylko wprawki. Naprawdę pociągała go tajna wiedza, którą zdobyć było najtrudniej. Postanowił, że zostanie technikiem.

Gdy powiedział o tym księdzu, staruszek uśmiechnął się dobrotliwie.

– Nikt nie staje się technikiem tak po prostu. Trzeba zostać wybranym.

– Jak to wybranym? Przez kogo?

– Przez Ciepłownika.

Zafrasował się. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że sięgnął marzeniami zbyt wysoko.

– Jak Ciepłownik może mnie wybrać, skoro nic o mnie nie wie?

– Wie więcej, niż przypuszczasz. Ucz się pilnie, bądź cierpliwy, a być może kiedyś zasłużysz na ten zaszczyt.

Ale Grzegorz nie był cierpliwy. Wiedział dobrze, że Naczelny Technik, zwany przez ludzi Ciepłownikiem, żyje za podwójnym ogrodzeniem z kolczastego drutu i nie rozmawia z byle kim. Długo myślał, w jaki sposób ściągnąć na siebie jego uwagę – aż w końcu wymyślił.

Wdrapał się nocą na wieżę Katedry i naprawił stary mechanizm zegarowy, z którym nikt wcześniej nie potrafił dać sobie rady. Co prawda zegar chodził tylko przez kilka dni – przekładnie, obciążniki i bloczki szybko zamarzły na nowo – ale poruszające się wskazówki były widoczne z daleka, nawet z Ciepłowni.

Niebawem przyszedł do szkoły stary, ślepy technik w lśniącym hełmie. Położył Grzegorzowi na ramieniu kościstą dłoń o paznokciach brudnych od smaru i powiedział po prostu:

– Zbieraj swoje rzeczy, chłopcze. Pójdziesz ze mną.

Nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, że w takim szalonym, szarpanym, ukradkowym narzeczeństwie można się poczuć szczęśliwą – a jednak tak właśnie było.

Pocałowali się ledwie parę razy, i to jakoś niezręcznie, w pośpiechu, z onieśmielającą świadomością, że zza uchylonych drzwi parowozu podgląda ich palacz. Nie spacerowali pod rękę, nie odwiedzali znajomych, nie planowali przyszłości dalej niż do kolejnego spotkania. Kaśka wiedziała, że prędzej czy później czeka ją burza – ojciec na pewno nie pogodzi się łatwo z takim małżeństwem, matka będzie płakać – lecz tak mało mieli dla siebie czasu, że nie chciała tracić go na zamartwianie się czymś, co i tak jej nie minie.

Mimo wszystko nie potrafiła ukryć przestrachu, gdy Grzegorz oznajmił, że wreszcie udało mu się dostać kilka wolnych dni i zamierza odwiedzić jej rodziców, aby poprosić ich o rękę córki.

– Co jest? – Źle zrozumiał jej zalęknione spojrzenie. – Już nie chcesz być moja?

– Zawsze będę twoja! Ale chyba wolałabym, żebyś nie rozmawiał z ojcem.

– Wstydzisz się mnie?

– Nie chodzi o ciebie, tylko o to, skąd pochodzisz. Ojciec często powtarza, że Miasto psuje ludzi. Każdy, kogo ogrzewa Cieplarnia, jest niewolnikiem Lucyfera, a on nie daje nic za darmo, kiedyś zażąda zapłaty.

– Ty też tak uważasz?

– Dawniej w to wierzyłam, ale teraz myślę, że każdy ma prawo do lepszego życia. I że ludzie łatwo zwalają na Lucyfera winę za własne grzeszki.

Rozpromienił się i wyściskał ją mocno.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. A ojciec też zmieni zdanie, kiedy przyjedziesz pokazać mu pierwszego wnuka.

Skryła rumieniec w jego futrzanym kołnierzu.

– Tak bardzo bym chciała, żebyśmy to najgorsze mieli już za sobą.

Palacz niecierpliwie zastukał w okienko. Robota nie mogła czekać.

Maciek odkrył to miejsce właściwie przypadkiem, przed paru laty, gdy w pościgu za postrzelonym renem dotarł daleko na północ, prawie pod sam Lodowiec. Myśliwi na ogół nie zapuszczali się tutaj, bo zwierzyny było niewiele, a zła sława tych okolic także robiła swoje, choć pewnie nikt otwarcie by się do tego nie przyznał.

Niedobrze było patrzeć z tak bliska na szarawą lodową ścianę, która ciągnęła się nieprzerwanie na wschód i zachód, wyższa od wieży miejskiej Katedry, ze śnieżnymi nawisami u szczytu i spękanymi urwiskami, groźna i niesamowita. Panowała tu cisza większa niż w Lesie, gdzie czasem na lodzie zadudniły w oddali kopyta, zaszumiały rozłożyste skrzydła sowy albo rozległo się krakanie wron, które wypatrzyły padlinę. Tutaj przetaczało się tylko niekiedy długie echo grzmotu, gdy u podnóża urwiska roztrzaskiwał się jakiś wielki odłam, lecz zaraz potem w ciemnych rozpadlinach znowu przyczajała się martwota. Wyżej nie było już żadnego życia. Jedynie pingwiny potrafiły przemierzyć białą pustynię w drodze znad mitycznego Morza do górskich lęgowisk.

Lodowiec był królestwem Lucyfera. W pogodne dni jego skrzydlate demony śpiewały do słońca, wabiąc parszywców na pustkowie, gdzie gorzeli w ogniu samozapłonu, a ich brudne dusze ulatywały z czarnym dymem. Ale i uczciwi ludzie musieli się strzec.

Demoniczna pieśń była tak przerażająca, tak trudna do zniesienia, że nawet twardzi myśliwi popuszczali w spodnie, a czasem tracili rozum. Mogła być też cudownie piękna, dźwięcząca echem utraconego raju – tak słyszeli ją ci, którzy lekkomyślnie przyłączali do niej swój głos – ale przez to jeszcze groźniejsza. Kto uległ jej raz, już nigdy nie potrafił się otrząsnąć z tęsknoty za tym zwodniczym szczęściem. Wielu nawet po latach porzucało rodziny, żeby odejść na Lodowiec i jeszcze raz zaśpiewać z demonami. Tacy nigdy już nie wracali; zamarzali w nocy, uśmiechając się radośnie do swoich czarodziejskich snów.

Wstrzymał zaprzęg i zeskoczył z sań. Na wszelki wypadek zatkał uszy wytopionym ze świeczki woskiem, mimo że dzień był pochmurny i demony na pewno siedziały osowiałe w swoich lodowych kryjówkach. Zapobiegliwości uczył go jeszcze dziad, stary Józwa. Powtarzał nieraz, że myśliwego może zabić rozwścieczona niedźwiedzica z młodymi, ale również przetarte sznurowadło w bucie. Różnica polega tylko na tym, że pierwsza śmierć jest chwalebna, a druga głupia.

Psy już od dłuższego czasu okazywały niepokój – strzygły uszami, gryzły się nawzajem po karkach i gubiły rytm biegu. One także się bały, choć nie zauważyły po drodze

wygniecionych w zaspach legowisk z wilczymi kłakami ani szerokich śladów niedźwiedzich łap. Przerażał je ogrom Lodowca, który przytłaczał całą północną stronę świata, i jeszcze coś nieuchwytnego, nieokreślonego, co jednak przemawiało do instynktu silniej niż bat.

Maciek wyprzągł je wszystkie i rzucił każdemu po suszonej rybie; łapały je w locie i przełykały w pośpiechu, bez gryzienia. Zabrał z sań harpun i łuk, powiesił na ramieniu kolce do chodzenia po lodzie, a potem ruszył pod górę łagodnym zboczem niewysokiego wzgórza. Gwizdnął na Diablika – przodownika, który ochoczo skoczył za nim – a pozostałe psy osadził na miejscu krótką komendą. Pospuszczały ogony i szybko zagrzebały się w śniegu. Wiedział, że nie ruszą się stąd aż do jego powrotu, choćby musiały czekać kilka dni. Nic nie wyciągnie ich z jam, nie wysuną nosów, nawet jeśli nieopodal przekica jakiś zagubiony bielak. Na wyprawę pod Lodowiec zawsze zabierał tylko najlepsze zaprzęgowce, którym bez wahania powierzyć mógł własne życie.

Za każdym razem, kiedy podchodził do grzbietu wzgórza, przygotowywał się w głębi ducha na rozczarowanie. Ufał wprawdzie w swoje łowieckie szczęście, a dla każdego myśliwego znaczyło ono więcej niż dobry zaprzęg i celne oko. Wierzył nawet po trochu, że tamten byk, który niegdyś wskazał mu drogę, był czymś więcej niż tylko zranionym zwierzęciem. Widział w nim znak przychylności świętego Huberta, nagrodę za to, że nigdy nie złamał żadnego ze starych łowieckich praw: nie zastawiał sideł ani nie strzelał z samopału.

Ale przecież inni też wypraszali łaski u potężnego patrona, stawiając przed jego leśnymi kapliczkami świeczki, a w tajemnicy przed księdzem także i bukłaczek gorzałki albo pęto wędzonej kiełbasy. Skoro Maciek tu zbłądził, prędzej czy później trafią w to miejsce kolejni łowcy, choćby po śladach jego sań. Już i tak co sprytniejsi mieli go na oku, bo w tych chudych czasach wiodło mu się podejrzanie dobrze. Niektórzy, nawet starsi i bardziej doświadczeni, całymi miesiącami nie mogli znaleźć foki – dobrze, jeśli ustrzelili kilka chudych zajęcy – a on odsprzedawał jeszcze mięso kupcom z Miasta.

Dobrnął do szczytu pagórka i zatrzymał się tam na dłużej, teraz już uspokojony. A więc szczęście go nie opuściło, święty Hubert jeszcze raz dał się uprosić.

Nieduże, okrągłe jeziorko leżało ukryte pośród falistych pagórków. Trudno byłoby dostrzec je pod śniegiem nawet z tego miejsca, gdyby nie ciemniejsze plamy oparzelisk, gdzie lód był cieńszy. W pobliżu Lodowca rozciągało się wiele podobnych stawów, które nie zamarzały całkowicie nawet w najsroższe zimy, i nikt nie wiedział na pewno, dlaczego tak się dzieje. Myśliwi lubili opowiadać, że to święty Hubert chucha na nie z nieba, ale nawet oni sami nie bardzo w to wierzyli. Złośliwcy – zwłaszcza ci z Miasta – szydzili, że to raczej ogień piekielny podgrzewa wodę od spodu.

Jakkolwiek było, tylko w takim odległym zakątku Podgórza udawało się jeszcze trafić na focze siedlisko. Maciek wprawnym okiem wypatrzył coś, od czego radośniej zabiło mu serce. Niedaleko od brzegu czerniło się kilkanaście otworów oddechowych – dowód na to, że focze stadko wciąż tu przebywało, nie przepadło, nie wymarło, nie wybili go kłusownicy z Miasta ani nie wytruli pokutnicy z Kopalni.

Zbiegł raźno do osłoniętej ze wszystkich stron kotlinki, podniecony bliskością zdobyczy. Łowy na foki nie były trudne, kiedy już udało się je odnaleźć. Nie musiał zachowywać

ciszy, skradać się, zważać na kierunek wiatru czy głębokość zasp. Zwierzęta mogły uciec tylko do wypłukanej pod Lodowcem przez ciepły strumień jaskini – tam, gdzie matki rodziły i karmiły młode, których nie mógł zabijać, jeśli chciał pozostać w zgodzie ze swoim myśliwskim sumieniem – ale żeby się tam dostać, musiałyby się przeczołgać spory kawałek po śniegu, a na to było już za późno.

Całe niebezpieczeństwo polegało tylko na tym, że lód mógł się załamać, jeśli nierozważnie postawiłoby się stopę, cały myśliwski spryt – na cierpliwym oczekiwaniu, aż wąsaty pysk ukaże się w otworze dla nabrania oddechu, zaś cała zręczność – na jednym mocnym i celnym ciosie harpuna. A jednak zawsze była to najszlachetniejsza, najbardziej pożądana zdobycz, nawet dawniej, kiedy foki gromadnie wylegiwały się nad ciepłymi jeziorkami. Mądrzy starcy opowiadali, że to właśnie dzięki fokom nieliczni ocalali ludzie przetrwali ciężkie trzy wieki po Upadku, gdy nad całym światem panoszył się Lucyfer – dzięki ich mięsu, tłuszczowi, skórom i kościom.

Maciek przystanął na płaskim brzegu, założył kolce i powoli wszedł na zamarzniętą powierzchnię jeziorka. Gdyby nie zatyczki w uszach, umiałby ocenić grubość lodu po tym, w jaki sposób skrzypiał, ale na ogół wystarczyło trzymać się środka białego pasa między oparzeliskami.

Pierwszy z otworów wyglądał na rzadziej używany, zarósł bowiem cienkim szkliwem. Maciek zatrzymał się przy następnym, gdzie na wyciągnięcie ręki lśniła czarna toń. Stanął okrakiem nad wytopioną ciepłym oddechem dziurą, oburącz ujął harpun, a potem gwizdnął krótko na psa, który już przebierał łapami z niecierpliwiej ochoty. Diablik rzucił się do żwawej nagonki. Przyskakiwał kolejno do wszystkich pozostałych otworów, obszczekując każdy i szarpiąc pazurami lodowe krawędzie. Powęszył trochę z nosem w śniegu i zaraz ruszył do nowej gonitwy, płosząc skutecznie foki, które próbowałyby wypłynąć. Pozostał im tylko jeden otwór, ani na chwilę nie omroczony ruchliwym psim cieniem, gdzie było cicho i do wody nie sypały się odpryski lodu. Foki leżały przyczajone na dnie, łudząc się, że przeczekają tam najgorsze, ale Maciek dokładnie wiedział, jak długo mogą jeszcze wytrzymać, wiedział też, że pierwszy wynurzy się zapewne największy, najodważniejszy, gruboskórny samiec.

Nie niecierpliwił się, oddychał spokojnie, aby w decydującym momencie, gdy oczko ciemnej toni zmarszczy się i wypłyną pęcherzyki powietrza, nie zawiodła go ręka. Musiał zadać śmiertelny cios już za pierwszym razem, bo zraniona foka mogłaby się wyrwać i utonąć, a takie niepowodzenie byłoby czymś więcej niż tylko zmarnowaniem cennego mięsa. Byłoby świętokradztwem.

Raptem Diablik przestał szczekać, uniósł łeb i zastrzygł uszami. Maciek natychmiast odłożył harpun i chwycił łuk. Rozejrzał się szybko po niebie, wypatrując skrzydlatego cienia. Demony nie dawały się łatwo ustrzelić, jako że zwykle nie zapuszczały się poza Lodowiec i były bardzo ostrożne, ale czasem, gdy w pogoni za światłem usiłowały wzbić się ponad chmury, traciły siły i przysiadały gdzie bądź.

Jednak nie tym razem.

Na grzbiecie wzgórza ktoś stał. Myśliwy nie mógł przyjrzeć mu się lepiej, ponieważ oślepiało go słońce, które zajaśniało pod wieczór.

Uśmiechnął się gorzko. To musiało się tak skończyć. Któryś z zawistników wyśledził go,

choć Maciek w drodze upewnił się kilkakroć, czy nikt za nim nie jedzie. I tak bardzo długo udawało mu się wodzić wszystkich za nos.

Ściągnął rękawicę i wydłubał zatyczki z uszu.

– Szczęść Boże! – zawołał, wstając i osłaniając oczy dłonią.

Tamten nie odpowiedział, długi cień na białym zboczu nie poruszył się.

Wszystkie kształty i barwy natychmiast stały się wyraźniejsze, jak zawsze, gdy Maćka zaskakiwało niespodziewane zagrożenie. Żaden myśliwy nie zlekceważyłby tego odwiecznego pozdrowienia, podobnie jak nie zabiłby pingwina, nie zjadł psa i nie zrąbał na opał leśnej kapliczki. Człowiek, który przyglądał mu się w milczeniu ze wzgórza, musiał być kimś innym – najpewniej kłusownikiem.

– Co z tobą? Bóg nie przechodzi ci przez gardło, miejski cwaniaku?

Obcy wciąż tylko patrzył. Maciek aż drżał z bezsilnego gniewu. Wolałby, żeby myśliwi wybili na jego oczach całe focze stadko, niż by kłusownikowi dostała się z tego choćby jedna płetwa. Nic jednak nie mógł zrobić – stał w dole, odsłonięty, patrząc pod słońce, a na domiar złego tamten zapewne miał samopał.

Usłyszał, że tuż u jego stóp foka zaczerpnęła oddechu i zanurzyła się znowu, w innych otworach także pluskała woda. Nie schylił się po harpun. Dla niego polowanie było jak obrzęd, nie mógłby zrobić z tego widowiska dla przybłędy z Miasta.

Wściekłość zamroczyła mu rozsądek. Półgłosem rzucił Diablikowi krótki rozkaz:

– Bierz!

Pies nie usłuchał – po raz pierwszy, odkąd biegał w zaprzęgu jako przodownik. Patrzył spode łba to na swego pana, to na postać na wzgórzu. Powarkiwał głucho, obnażając kły, ale nie ruszył z miejsca.

Wtedy nagle Maciek zrozumiał, z kim ma do czynienia. To był zbieg z Czarnego Szlaku, który uciekał na Lodowiec do Lucyfera, żeby oddać mu brudną duszę w ofierze samozapłonu, a po drodze chciał pewnie zatruć wodę w stawie.

W tej samej chwili ogarnął go zimny spokój. Już wiedział, że musi spełnić najtrudniejszy z myśliwskich obowiązków.

Szybkim, płynnym ruchem sięgnął do kołczanu na plecach, nałożył strzałę na cięciwę, naciągnął aż do ucha i strzelił prawie bez mierzenia, prosto w jaskrawe światło.

Spudłował. Długi cień na śniegu zachwiał się i zniknął.

Maciek skoczył naprzód, przebiegł niebezpiecznie blisko oparzeliska, wydostał się na przeciwległy brzeg i nie tracąc czasu na odpinanie kolców, zaczął się wspinać na opustoszałe wzgórze. Nim dotarł na wierzchołek, kolejna strzała już tkwiła na cięciwie. Wiedział, że teraz o udany strzał będzie jeszcze trudniej – cel był w ruchu, a on nie mógł czekać, aż uspokoi mu się oddech.

Zobaczył go z góry, na płaskim terenie po północnej stronie pasma wzgórz. Biegł w karplach, podskakując pokracznie na szeroko rozstawionych nogach, najkrótszą drogą w stronę Lodowca. Zbyt długie poły czarnego płaszcza plątały mu się wokół łydek. Zdążył już oddalić się znacznie, ale Maciek widział go teraz lepiej, gdyż nie musiał mrużyć oczu przed słońcem: obszerny kaptur, sakwa podróżna na ramieniu, brząkający u pasa dzwoneczek. U stóp wzgórza leżał porzucony podczas ucieczki okuty kij do oganiania się przed dzikimi psami.

Tym razem wymierzył staranniej. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał kolejnej szansy. Jeszcze kilkanaście kroków i zbieg zniknie w rozpadlinie Lodowca.

Świsnęła cięciwa, zafurkotały lotki z sowich piór. Strzała trafiła parszywca prosto między łopatki. Upadł bez krzyku, z rozkrzyżowanymi ramionami, twarzą w śnieg. Pod płaszczem zarysowało się wyraźnie drobne, wychudzone ciało.

Maciek odwrócił się i zaczął schodzić nieśpiesznie z powrotem do jeziorka, gdzie między dziurami w lodzie kręcił się zmarkotniały Diablik. Zrobił, co należało, ale foki przepadły, przynajmniej na kilka dni. Aby znowu było wolno mu polować, powinien położyć na ołtarzu w kościele złamaną strzałę i obmyć ręce wodą święconą. Musiał oczyścić ciało i duszę z lucyferiańskiego brudu, aby znowu stać się godnym opieki świętego Huberta.

A jednak demony zaśpiewały jeszcze tego dnia, do gasnącego już, czerwonego, spłaszczonego słońca.

Maciek zajmował się budową koliby na noc. Długim nożem wycinał ciężkie kloce zmrożonego śniegu i wznosił koliste, zwężające się ku górze ściany. Pozostało mu już tylko wykończyć kopułkę z otworem dymnika i zawiesić koc w niskim wejściu, gdy naraz poczuł znajome mrowienie między łopatkami. Zdążył wcześniej przezornie odejść wystarczająco daleko od Lodowca, tutaj pieśni Lucyfera nie było już słychać, jednak nawet z takiej odległości jej najwyższe, nieuchwytne dla uszu tony wzbudzały nieokreślony, męczący lęk.

Przeżegnał się szeroko, po myśliwsku, i naciągnął kaptur. Wiedział, że gdyby teraz spojrzał w stronę zachodzącego słońca, trujący czar pieśni podziałałby na niego jeszcze mocniej. Nie był nowicjuszem, potrafił trzymać pragnienia w ryzach, lecz na pewno zapłaciłby za takie lekkomyślne spojrzenie bezsenną nocą, a jutro bólem głowy, jak po ciężkim przepiciu.

Położył się w nieukończonej kolibie i obłożył śniegiem rozpalone uszy. Spocił się, drżał od niezaspokojonych pragnień i gryząc wąsa, czekał na rychły zmierzch.

W półkolistym wejściu przysiadł Diablik i strzygąc uszami, przyglądał mu się, zdziwiony jego zachowaniem.

– Wiem, nic nie słyszysz i nic nie czujesz… – szepnął do niego Maciek. – To dlatego, że nie masz duszy, piesku. Czasem ci tego zazdroszczę.

2

Przez cztery dni ludzie prawie nie wychodzili z chat. Spali mało i źle, a kiedy budził ich wyjący w kominie wicher, nie mogli sobie znaleźć miejsca, źli, kłótliwi, podpici kumysem. Pozamykane okiennice nie pozwalały nawet wyjrzeć na boży świat, nie otwierali też drzwi, bo wiatr mógłby je wyrwać z zawiasów. Nasłuchiwali ochrypłego szczekania pobudzonych psów i godzinami bezmyślnie gapili się w ogień. Kobiety łatwiej znajdowały sobie jakąś robotę, coś tam dziergały, szyły, naprawiały, ale kłuły się przy tym po palcach, złorzeczyły z cicha, pruły krzywo poprowadzony ścieg i zaczynały od początku. Najtrudniej było dzieciom – przeganiane z kąta w kąt, poszturchiwane, uciszane, czasem musiały chronić się przed gniewem starszych w zimnych psiarniach albo kozich obórkach.

A jednak, mimo tego wszystkiego, ludzie nigdy nie przeklinali Wietrzyska. Wiedzieli, że gdyby nie ono, całe Podgórze już dawno zniknęłoby pod Lodowcem. Tylko dzięki niemu wciąż jeszcze mogli polować, znaleźć drzewo na opał i dogrzebać się do zmrożonej leśnej ściółki. Jemu zawdzięczali życie.

Czwartej nocy wiatr zaczął wreszcie słabnąć. Jeszcze szarpał, jeszcze kąsał, tłukł w okiennice grudkami lodu i łomotał w zawarte drzwi, ale starcy czuli już w kościach, że gniewny duch gór zmęczył się i przed świtem zalegnie gdzieś tam w zlodowaciałych żlebach, aby zebrać siły i za jakiś czas rozsrożyć się na nowo.

O pierwszym brzasku leśni ludzie już dreptali po swoich obejściach, grzechocząc kolczastymi podeszwami na odmiecionym ze śniegu i wygładzonym do połysku lodzie. Cała wioska skrzyła się w blasku wstającego dnia niczym lustrzana tafla. Resztki śniegu pozostały jedynie pod północnymi ścianami zabudowań i dalej w Lesie – w jarach, między skałkami, w łożyskach zamarzniętych strumieni. Było bezchmurnie, jasno i znów bardzo mroźnie – szybki małych okien pokrył szron – lecz mimo to nikomu nie śpieszyło się z powrotem pod dach, do zasmrodzonych, zadymionych, niewietrzonych od dawna izb. Dzieciaki biegały całymi gromadami po tej ślizgawicy, przewracały się i piszczały radośnie, gospodynie obchodziły podwórza, rozsypując szuflami popiół. Półdzikie psiska snuły się bojaźliwie z podkulonymi ogonami, szukając resztek, które wiatr rozwłóczył po całej okolicy.

Bladzi, zgnuśniali w czterodniowym nieróbstwie wieśniacy o podpuchniętych oczach i potarganych brodach szacowali zniszczenia i straty. Nie było tego wiele – na Podgórzu ludzie umieli stawiać solidne chaty z grubych bali na ceglanych podmurówkach, a obórki i spiżarnie wkopywali w głąb zmarzliny – trochę pozrywanych gontów z dachów, kilka przewróconych płotów. Tylko u Błażeja wicher rozniósł zaniedbaną komórkę, w której starzec trzymał w kojcu osłoniętym z góry drucianą siatką kilkadziesiąt kastrowanych, tuczonych na rzeź szczurów. Samotny wdowiec niewiele już potrafił zrobić poodmrażanymi rękami, a do pomocy nie miał nikogo – synów napłodził wielu, lecz samych cherlawych

i wszyscy pomarli, zanim jeszcze na dobre zaczęli się oglądać za dziewczynami.

Mira zarzuciła na głowę wzorzystą wełnianą chustę obszytą lisim futrem, przypięła do butów kolce, wyszła kilka kroków za próg chaty i wystawiając twarz do słońca, przysłuchiwała się przez chwilę wioskowemu rozgardiaszowi. Wszystkie wietrzne noce przesiedziała na ławie przy piecu, ledwie drzemiąc od czasu do czasu, bardziej zaniepokojona o męża, niż chciałaby to przyznać przed dziećmi, ale teraz, o rześkim poranku, prawie nie było widać po niej zmęczenia. Cieszyła się na dzisiejszą robotę – chciała mieć zajęcie, aby szybciej minął ten długi już, wiosenny dzień. Liczyła na to, że jeszcze przed zachodem słońca usłyszy z daleka szczekanie Kudłacza.

Za jej plecami zaszeleściła gruba, falbaniasta spódnica córki. Kaśka niechętnie używała kolców, nawet wówczas, gdy wszędzie dookoła lśnił tylko goły lód. Uważała, że od tego krzywią się nogi.

– Cóżeś się tak wystroiła? – Mira uśmiechnęła się mimo woli. Tę spódnicę sama kiedyś ozdobiła cekinami na świętojańską potańcówkę. – Chcesz ładnie wyglądać przy kozach? Trzeba je nakarmić i powybierać gnój z obórki.

Kaśka podeszła z ociąganiem i matka natychmiast wyczuła jej zakłopotanie.

– Zrobię to później, jak wrócę.

– A gdzie się wybierasz?

– Rozejrzę się trochę po wsi, może gdzieś trzeba pomóc…

Mira odwróciła się do niej, z udaną surowością marszcząc brwi.

– Czemu po prostu nie powiesz, że sprzykrzyło ci się siedzenie w izbie ze starą matką i zrzędzącym bratem?

– Ale mamo…

– Nie przerywaj mi. Przecież wiem, że od samego rana myślisz tylko o tym, jak uciec z domu na plotki z innymi latawicami. Długo siedziałaś przed lustrem, pewnie zaplotłaś warkocze ze wstążkami. – Niewidzące oczy pozostały bez wyrazu, ale czoło wygładziło się niespodziewanie, a kąciki ust drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu. – Na twoje szczęście jeszcze nie zapomniałam, jak to jest, kiedy się ma siedemnaście lat i nową kieckę do pokazania. Leć. Masz być z powrotem przed południem.

Dziewczyna chwyciła matkę za ręce i okręciła ją dokoła jak w tańcu, aż zafurkotały falbany.

– Będę na pewno! A potem zrobię wszystko, nawet poceruję Maćkowi te jego brudne onuce. I wiesz co? Wcale nie jesteś stara.

– Czekajże jeszcze, pleciugo. – Mira tupnięciem wbiła kolce prawego buta w lód, aby powstrzymać te pląsy. – Zabierz dzban kumysu i bochen chleba, zaniesiesz po drodze Błażejowi. Zaproś go, niech zajdzie do nas wieczorem. Człowiek nie powinien być sam w nieszczęściu.

Wypuściła na ogrodzony wybieg stadko chudych, długowłosych kóz o ponaciąganych wymionach; stłoczyły się przy paśniku, mecząc żałośnie. Podsypała im paszy z worka, dorzuciła trochę pokruszonych sucharów, do których wcześniej dobrały się szczury, i kilka

wiechci cennego zżółkłego zielska, po które Kacper musiał wyprawiać się najdalej, aż za rzekę. Nie żałowała im niczego; one także, jak ludzie, musiały dojść do siebie po złym czasie Wietrzyska. Usłyszała bojaźliwe pomekiwanie najmłodszego koźlątka, nie mogło się dopchać do paśnika, bo raciczki rozjeżdżały mu się na lodzie. Przywołała je, oczyściła z grubsza szczotką ugnojone na brzuchu włosie, a potem nakarmiła z ręki, czochrając od czasu do czasu kościsty grzbiet.

Starannie uprzątnęła obórkę, zbierając bobki do plecionego łykowego kosza na nawóz pod pieczarki. Najedzone kozy brykały jeszcze przez jakiś czas na słońcu, lecz niebawem zaczęły szukać pod dachem schronienia przed mrozem. Wydoiła je wówczas kolejno; rozpoznawszy każdą po trochę innym kształcie rogów i pogłaskawszy chłodne chrapy.

Niosła właśnie pełen cebrzyk do chaty, gdy usłyszała ciężkie kroki syna.

– Co z psami? – Zwróciła twarz w jego stronę.

Odburknął coś pod nosem. Był zły, bo po Wietrzysku musiał czekać na pierwszy śnieg, żeby wyruszyć na polowanie – na lodzie nie znalazłby żadnych tropów – a nie zanosiło się na to, by niebo miało się dziś zachmurzyć. Poza tym nie lubił, kiedy Mira wtrącała się do męskich spraw. Kobietom nie wolno było zaglądać do psiarni, wołać zaprzęgowców po imieniu, karmić ich ani dotykać. Gdyby ktoś podsłuchał, że Maciek rozmawia z matką o psach, chłopak stałby się pośmiewiskiem wśród wszystkich myśliwych.

Cóż, kiedy Mira nie była jak inne kobiety. Nie przejmowała się ludzkim gadaniem i uważała, że we własnym obejściu i z własnym synem wolno jej rozmawiać, o czym zechce.

– No więc? – Nie odpuściła i tym razem.

– Pożarły się trochę, jak zwykle przy Wietrzysku. Diablik ma poszarpane ucho – odpowiedział niechętnie, półgębkiem, i szybko zmienił temat. – Gdzie Kaśka? Podwórza wszędzie już posypane, szyby oskrobane, tylko nie u nas. Nie wyniosła na mróz koców i futer, wszy nas zeżrą.

– Gdzieś ją poniosło.

– Pozwoliłaś jej?

– A co, miałam może uwiązać ją na łańcuchu? Młoda jest, ma czas. Jeszcze się nadrepce przy robocie.

Maciek, choć ledwie trzy lata starszy od siostry, zawsze zżymał się na takie pobłażanie. Do tego bolała go głowa z niewyspania i z przepicia kumysem, więc wybuchnął nierozważnie:

– Żeby tylko z tego jej biegania po Lesie nie było dla ciebie z ojcem jakiegoś wstydu!

Od razu zrozumiał, że powiedział za dużo. Chciał odejść, ale matka szybko postawiła cebrzyk i poszukała dłonią jego twarzy. Gdyby uchylił się przed tym dotknięciem, wiedziałaby, że ma coś do ukrycia.

– Nie powiedziałam, że poszła do Lasu – mówiła teraz cicho i spokojnie, wodząc opuszkami po jego szorstkich, odmrożonych policzkach i obrzmiałych powiekach. – Skąd to wiesz?

– Tak słyszałem.

– Od kogo?

Wyczuła, że zacisnął szczęki. Odstąpił o krok, zagniewany.

– Ciebie przecież nie obchodzą plotki, prawda?

Odszedł w stronę drewutni, wyrywając po drodze wbitą w pniak siekierę.

Mira jeszcze przez parę chwil stała samotnie pośrodku podwórza. U jej stóp zakrzepła kałuża rozlanego mleka.

Mira lubiła swoje życie. Kobiety z jej pokolenia, które ociemniały na samym progu młodości, często gorzkniały z biegiem lat, żałując tego wszystkiego, co odebrała im ślepota. Tęskniły za widokiem słońca, nieba, gór i śniegu, nie znały twarzy swoich dzieci, a najczęściej i mężów, zapominały z czasem, jak wyglądało ich własne odbicie w lustrze. Nauczyły się żyć ze ślepotą, zajmowały się domem i poruszały po wsi, przywykły oceniać obcych ludzi po głosie – ale w głębi ducha uważały się za kaleki. Młodszym i starszym od niej było łatwiej. Te pierwsze, oślepione w dzieciństwie, zachowały ledwie mgliste wspomnienia życia w Górach – i to najczęściej wspomnienia przerażające, których lepiej nie przywoływać. W ciemności, oswojonej dotykiem i rozbrzmiewającej znajomymi dźwiękami, czuły się bezpieczne. Te starsze, chociaż do ślepoty przyzwyczajały się dłużej i chodziły powoli, przedwcześnie zgarbione, ostukując laską płoty – swoje już przeżyły i nie gnębiło ich aż tak wielkie poczucie straty. Każda z nich nosiła w sobie swój własny obraz świata, jasny i barwny, w którym nigdy nie zapadała noc, śnieg skrzył się niezmiennie, a twarze ludzi nie starzały się mimo upływu czasu.

Mira nie rozpamiętywała przeszłości, chociaż nigdy nie zapomniała, jak trudne były pierwsze lata w tej zacisznej dolince pomiędzy wzgórzami.

Kiedy zaraz po ślubie przywędrowała tutaj z Miasta – z mężem, z teściem i z kilkoma jeszcze osadnikami, z których do dziś pozostał przy życiu tylko stary Błażej – nie było jeszcze wioski, tylko trochę zasypanych ruin na pustkowiu. Przez cały rok dla zaoszczędzenia opału wszyscy, razem z psami i kozami, gnieździli się w jednej piwnicy, którą odgrzebali spod śniegu własnymi rękami. Przywieźli ze sobą trochę wędzonego mięsa, robili kumys i sery. Mieli szczęście, bo psy znalazły padlinę niedźwiedzia – żywili się nią przez całą zimę. Na wiosnę Mira urodziła Maćka – wtedy już ludzie starali się powolutku urządzać każdy na swoim. Na starych fundamentach wznosili drewniane szałasy; wszystkie kłody trzeba było wydobyć spod lodu i przyciągnąć do wsi, czasem z bardzo daleka. Na porządne chaty musieli jeszcze trochę poczekać, aż pierwsze z widzących dzieci podrosły na tyle, żeby pomóc ślepcom przy robocie.

Gdy Maciek skończył pięć lat, dziadek zaczął uczyć go wszystkiego, co sam wiedział o polowaniu. W swoje piętnaste urodziny chłopiec wyruszył na pierwszą samotną wyprawę do Lasu.

Niedługo potem stary Józwa uznał, że wieś poradzi sobie dalej bez niego. Niespodziewanie odszedł do Miasta, żeby już nigdy nie wrócić.

Dziś Mira umiała cieszyć się tym, co przynosiło życie. Od dwudziestu pięciu lat nie opuszczała wioski, rzadko wychodziła nawet za płot własnego podwórza, tyle co w niedzielę na nabożeństwo, na targ albo gdy wołano ją do pomocy przy porodzie. Dużo czasu spędzała sama – wiadomo, mąż w lesie przy wykopkach, syn na łowach, a córka Bóg

wie gdzie – ale i to jej nie przeszkadzało. Lubiła nawet samotność, byle tylko towarzyszyło jej poczucie, że wszyscy wrócą do chaty o właściwej porze. Lubiła obszerną, niską izbę, pachnącą igliwiem, którego dosypywała do ognia. Wszystko miało tutaj swoje miejsce, a jeśli coś się zapodziało, to zawsze z winy Kaśki albo Maćka. Lubiła zwyczajne, codzienne zajęcia – przy garach, przy zwierzętach, przy odzieży męża i syna, wymagającej nieustannych napraw. Lubiła podlewać kiełkujące w podłużnej skrzynce pod oknem żołędzie, chuchała na nie całymi tygodniami, a potem zrywała wiotkie łodyżki i siekała do polewki albo do pieczeni. Umiała czerpać zadowolenie nawet z umytych okien czy wyszorowanych popiołem kątów, choć mogła tylko sobie wyobrażać, że w chacie pojaśniało, a deski podłogi lśnią w słońcu.

Lubiła to wszystko, bo nigdy nie zapomniała, jak niewiele brakowało, by ta spokojna powszedniość w ogóle się nie ziściła.

Miała także i swoje troski, rzecz prosta. Któż ich nie miał? Po urodzeniu Maćka długo nie mogła dochować się następnych zdrowych dzieci, potraciła wszystkie w niemowlęctwie, rok po roku. Myślała nawet, że to jej wina, że coś robi źle, ale stare, mądre baby tylko kręciły głowami i mówiły, że musi być cierpliwa, bo i u innych nie jest lepiej. Doczekała się w końcu Kaśki. Oboje przetrzymali szczęśliwie wszelkie dziecięce choróbska, dzięki zapobiegliwości matki nie zmarnieli w czasie kilku szczególnie głodnych zim, choć czasem miała dla nich tylko garstkę ziaren z szyszek i kawałek zjełczałego foczego tłuszczu. Nie dopuściła, aby zgubili się w Lesie, zamarzli, wpadli do przerębli, aby zagryzły ich wilki albo zdziczałe psy, aby zasypała ich śnieżyca albo porwało Wietrzysko. Uchroniła ich od tego wszystkiego, co zwykle zagrażało leśnym dzieciom. Długo wymagała, aby byli zawsze w zasięgu głosu i nosili na szyjach dzwonki, jak kozy, ale gdy podrośli, zaczęli się przeciw temu buntować. Po krótkiej walce ustąpiła. Zdawała sobie sprawę, że czas jej macierzyńskiej opieki dobiegł końca.

Wysypała popiołem szlaki swojej codziennej dreptaniny, otwarła okiennice, postrącała pogrzebaczem sople znad drzwi. Gdy zajrzała do spiżarki, usłyszała jakiś szelest i poczuła słaby, ale wyraźny szczurzy smród. Odwróciła się, aby zawołać na syna, lecz nagle zmieniła zamiar. Nie opuściło jej jeszcze przykre wrażenie tamtej niedokończonej rozmowy i nie chciała do niej wracać, dopóki pierwszy po Wietrzysku śnieg nie poprawi Maćkowi nastroju. Zresztą wolałaby, żeby był przy tym i Kacper. Czuła, że w tej sprawie jego rozwaga i spokój będą bardzo potrzebne.

Powolutku, na kolanach, obeszła sterczący ponad lód dwuspadzisty daszek spiżarki. Znalazła podkop po drugiej stronie, w miejscu, gdzie uchował się spłacheć zaskorupiałego śniegu. Tutaj, po zawietrznej, szczur mógł bezpiecznie ryć aż pod głęboki, kamienny fundament. Wiedział, że dopóki wieje, nikt go nie wypłoszy.

Nawrzucała do dziury sporo śniegu, ubiła w głębi długim kijem, a na koniec wlała wiadro wody, żeby zaczopować podkop lodem. Przystawiła do pochyłego daszku drabinę z żelaznymi szpikulcami u dołu, wspięła się na szczyt, przysiadła bokiem na kalenicy i poszukała ręką dużego, dziuplastego pniaka, który wieńczył dach.

– Wystarczy tego leniuchowania, dawno się uciszyło. – Zapukała z góry w osędziały kloc i ostrożnie sięgnęła dłonią do dziupli. – Znowu przepuściłeś szczurzysko. Jak tak dalej pójdzie, Maciek wsadzi cię do worka i wyniesie do Lasu, a tam nie żyje się tak łatwo jak przy ludziach.

Dotknęła nastroszonych piór. Rozespany puchacz dziobnął ją w palec, lecz gdy syknęła groźnie, posłusznie przeszedł na przedramię. Mimo futrzanego rękawa poczuła uścisk mocnych, ostrych szponów. Wyciągnęła dużego ptaka z dziupli, poskrobała pieszczotliwie po puszystym brzuchu, a potem niespodziewanie dmuchnęła mu w ślepia, aby pobudzić go do czynu.

– Dalej, staruszku, polataj chociaż trochę. Niech wiedzą, że to podwórze ma strażnika.

Podrzuciła go, zmuszając do rozpostarcia skrzydeł. Z uniesioną twarzą nasłuchiwała poszumnego lotu. Nie wzbił się wysoko, dwukrotnie zatoczył krąg ponad dachami zabudowań i przysiadł gdzieś niżej, chyba na płocie.

Mira cisnęła w tamtą stronę obłamanym soplem.

– Byle dzieciuch z kołatką lepiej płoszy szczury od ciebie!

Zawstydziła się od razu tego wybuchu. Na niemrawym puchaczu skupiło się całe jej tłumione rozdrażnienie. Na ogół łatwiej od innych znosiła wietrzny czas, szybciej też wracała potem do równowagi, ale tego dnia nie potrafiła jakoś sama z sobą dojść do ładu. Niby nic wielkiego się nie wydarzyło – ot, zwyczajne troski każdej wiejskiej gospodyni – jednak miała poczucie, jakby sprawy powolutku, lecz nieuchronnie wymykały jej się z rąk. Co to mogło być? Chwilowa słabość, złe przeczucie? A może w tym wieku powinna się już zacząć przyzwyczajać do takich nagłych zmian nastroju?

Ocknęła się z zamyślenia, gdy gdzieś w oddali zadźwięczały dzwonki sań. Zmarszczyła czoło. Wszyscy myśliwi siedzieli jeszcze w chatach, zresztą oni jeździli cicho, aby nie płoszyć zwierząt, a żaden z kupców nie ryzykowałby niepotrzebnie jazdy po gołym lodzie. Znów ogarnął ją nieokreślony niepokój, ale tym razem mu się nie poddała.

Przy Wietrzysku łatwo było utracić rachubę czasu; szybko przeliczyła na palcach dni od ostatniej niedzieli. Jeśli się nie pomyliła, nazajutrz wypadał odpust. Jak mogła zapomnieć!

W pośpiechu zeskoczyła z drabiny i pobiegła przez podwórze, chowając rozwiane włosy pod kaptur. Zastanawiała się gorączkowo, czy izba zdążyła się dobrze wywietrzyć, czy stół i ława uprzątnięte, czy jakiś kundel nie napaskudził przypadkiem tuż przed furtką.

Kiedy dopadła do płotu, po drugiej stronie już zajeżdżały sanie. Zdrożone psy warczały na siebie. Kościelny trzasnął im z bata nad łbami, wymruczał ponure „Szczęść Boże” i splunął głośno. Mira od razu się zorientowała, że to ktoś nowy, nie znała jeszcze tego głosu.

Rozpoznała księdza Rafała po zmieszanych woniach kadzidła, zawilgoconych miejskich murów i starego habitu ze zgrzebnej koziej wełny. Lubiła ten zapach – pośród codziennych psich smrodów czy kuchennych oparów przywodził na myśl coś tajemniczego i wzniosłego. Grzechotał przy każdym kroku zawieszony na szyi różaniec o paciorkach wielkich jak żołędzie, aby łatwo było je wyczuć poprzez grubą rękawicę.

– Szczęść Boże. – Otwarła furtkę, ustąpiła z drogi. – Jak tylko zaczęło wiać, ludzie stracili nadzieję, że zobaczą w tym roku księdza na odpuście.

Niezadowolony puchacz kłapnął dziobem i odleciał z powrotem na dach spiżarki.

– Uspokoiło się w sam czas. – Ksiądz zrobił naprzód kilka ostrożnych kroków, stukając laską po lodzie. Chodził bez przewodnika, jak wiejskie kobiety albo ostatni biedacy.

– Niebezpiecznie podróżować przed pierwszym śniegiem.

– Jestem w ręku Boga. No i mam młodego kościelnego, który powozi jak sam diabeł. – Głos rozjaśnił się uśmiechem. – Kacper w domu?

– Na wykopkach, jeszcze nie wrócił.

Przybysz zawahał się, wyczuła to. Oboje dobrze znali leśne baby i wiedzieli, że gdyby kapłan skorzystał z gościny u samotnej kobiety, na jutrzejszym nabożeństwie aż szumiałoby od zgorszonej szeptaniny.

– Jest Maciek – dodała szybko. – Pójdę do niego, niech zajmie się psami. Was proszę do izby.

Ksiądz Rafał ruszył z wolna przez podwórze. Kościelny wprowadził zaprzęg przez furtkę, kopniakami przywołując do porządku psy, które nie trzymały szyku.

W czasie wiosennego objazdu Podgórza ksiądz Rafał starał się dotrzeć do wszystkich wiosek i przysiółków, także tych najodleglejszych, gdzie dymiły ledwie dwa czy trzy kominy i nie było nawet kapliczki. Gdy zawitał w te strony, zatrzymywał się na ogół u Kacpra, chociaż we wsi było kilku starszych i godniejszych gospodarzy. Przez pierwsze lata ludzie trochę na to sarkali, ale potem przywykli. Wiedziano, że ci dwaj znali się od dawna, przez kilka lat wychowywali się nawet pod jednym dachem, jak rodzeni bracia, więc pewnie mieli tam o czym gadać na osobności. Kacper zresztą wcale nie chełpił się tym wyróżnieniem, Mira też starała się nie podsycać babskiej zawiści, więc nikt im tego głośno nie wymawiał.

Gospodyni usadziła księdza na ławie przyrzuconej zajęczymi skórkami. Usłużyła mu, jak to było w zwyczaju wobec czcigodnych gości – rozsznurowała i zzuła jego podniszczone buty, odwinęła onuce i podsunęła pod bose stopy miskę z ciepłą wodą. Postawiła przed nim dzban kumysu, pieczeń, stos placków i na małej miseczce garść zasuszonych, pomarszczonych jagódek, na które Kacper trafił pod lodem przed trzema laty. Przechowywała ten cenny specjał w małym woreczku zawieszonym u powały, aby nie dobrały się do niego szczury, i wydzielała skąpo tylko od wielkiego święta.

– A na cóż to wszystko? – Pociągnął nosem. – Wystawiasz na ciężką próbę moją cnotę umiarkowania w jedzeniu i piciu.

– Takie cnoty może są i dobre, jak się siedzi przy piecu, ale nie w podróży.

Pomyślała w popłochu, że nie powinna odzywać się tak śmiało w obecności nowego kościelnego, który przysiadł z boku na zydlu, ale ten chyba niczym się nie przejmował. Nalał sobie kumysu do drewnianego kubka, siorbnął głośno i bez słowa odkroił kawał pieczeni. Mira była pewna, że nawet się nie przeżegnał.

Ksiądz również się napił, odetchnął.

– Taak… Wy tu, w Lesie, wciąż żyjecie po staremu, jakby świat w ogóle się nie zmienił. Czasem sam nie wiem, czy ganić was za to, czy chwalić.

Mira usiadła, podsuwając mu jednocześnie miseczkę z jagodami, tak aby nie mógł

sięgnąć jej kościelny.

– Może po prostu dla nas świat nie zmienił się aż tak bardzo?

– Uważasz, że to dobrze? Dwadzieścia pięć lat temu, gdyśmy zeszli z Gór, mieliśmy inne marzenia. Wszyscy, ty także.

– Nie wiem. I na szczęście nie muszę o tym za wiele rozmyślać. Wystarczy mi, kiedy po spiżarce nie biegają szczury, kozy nie mają wzdęć, a piec nie kopci. No i kiedy wszyscy są w domu… – Mimo woli poruszyła się niespokojnie.

Z hałasem otwarły się drzwi. Maciek z przyzwyczajenia przytupnął na progu, choć przecież nie było śniegu.

– Szczęść Boże – pozdrowił gości, jak trzeba, ale bez wylewności. – Psy nakarmione. Przodownik ma zwichniętą łopatkę.

– Wiem o tym – odburknął kościelny z pełnymi ustami.

– Jutro nie ruszy.

– Pod batem ruszy.

– Padnie w drodze.

– Nie on pierwszy.

Maciek zrobił kilka kroków naprzód i znowu przystanął. Mira znała dobrze każdy rodzaj jego milczenia. Teraz cisza oznaczała powstrzymywany gniew. W ten sposób nie należało rozmawiać z nim o psach, a już na pewno nie powinien tego robić nikt z Miasta.

– Przodownik zostanie tutaj, w zamian dam jednego ze swoich – odezwał się ciszej, na pozór bardzo spokojnie.

Kościelny rozgryzł jakąś chrząstkę, kaszlnął i przełknął.

– A kto tam wie, co za kundle tutaj trzymacie?

Wybity kopniakiem spod kościelnego zydel potoczył się aż pod ścianę.

Mira zerwała się natychmiast.

– Nie rusz! To gość.

Maciek walczył ze sobą przez chwilę, sapiąc ciężko, ale potem odwrócił się i wyszedł szybko, trzaskając drzwiami. Dopiero wtedy kościelny zaczął się gramolić z podłogi, klnąc na głos.

– Powinno się ich wszystkich powywieszać, przeklętych kozojebców!

– Dosyć! – Ksiądz uderzył otwartą dłonią w stół, aż zadźwięczał pękaty dzban. – Ty też uciekaj, mróz ostudzi ci głowę. I nie wchodź w drogę tamtemu, bo skończysz z połamanymi żebrami.

Kiedy zostali sami, Mira odszukała zydel i ustawiła go na zwykłym miejscu, aby się o niego nie potknąć.

– Przepraszam za syna – westchnęła. – To dobry chłopak, ale częściej sypia w leśnych kolibach niż w domu, więc trochę zdziczał. Powinien się ożenić, przychodzili nawet swaci od posażnych panien, ale jakoś mu się nie śpieszy.

– Nie musisz przepraszać. Wiadomo, jak to jest u myśliwych: z nimi o psach się nie pożartuje. Mój łobuz sam sobie winien.

– Maciek się złości, bo wrócił z polowania z pustymi saniami.

– To żaden wstyd.

– W Lesie chyba przydarzyło mu się coś… coś złego. Nie mówił o tym, nigdy nie mówi,

ale zaraz pobiegł do kościoła, ledwie wyprzągł psy.

Głos księdza ochłódł wyraźnie.

– Jeśli znowu zabił niewinnego człowieka, woda święcona nic mu nie pomoże.

– To są sprawy myśliwych, niewiele o tym wiem…

– Bo tak ci jest wygodniej. Ale pamiętaj, że porządny człowiek nie może spać spokojnie z takim strasznym grzechem na sumieniu. Pokutnikom potrzebne jest nasze miłosierdzie, nie pogarda.

– Mówią, że parch to kara Boża za jakieś ciężkie winy.

– To choroba, jak inne. Można się nią zarazić przez dotyk. Niektórzy z tego wychodzą.

– Przecież ty sam wykluczasz ich z Kościoła i odsyłasz na pokutę do Kopalni!

– Gdybym tego nie robił, ich los byłby jeszcze gorszy. Ludzie od razu paliliby ich na stosach, jak robili to dawniej, kiedy pojawili się pierwsi nieczyści. A tak przynajmniej zyskują jakąś szansę. Mamy już w Mieście wielu ozdrowieńców, całe setki.

Mira czuła, że Rafał ma rację, ale wiedziała też, że niektórych rzeczy nie da się zmienić. Kto walczy z Lucyferem, jak Maciek, ten czasem sam musi się zapaskudzić.

– Co się stało z poprzednim kościelnym? – Spróbowała zmienić przedmiot rozmowy. – Jeździł z tobą od lat.

– Odszedł. Chciał się żenić, potrzebował porządnej roboty. Długo szukałem kogoś na jego miejsce, dzisiaj ludzie nie garną się chętnie do służby bożej. Tego tam wyciągnąłem z kanałów, śmierdzącego i zawszonego. Sypia u mnie pod dachem i nie głoduje, więc został, przyuczył się jako tako do ołtarza i do zaprzęgu, ale i on ucieknie, kiedy tylko nadarzy się coś lepszego. Nie wiem, co wtedy zrobię. Na piechotę nie obejdę przecież całego Podgórza.

Mira z oburzeniem potrząsnęła głową.

– Słyszałam, że w Mieście nie dzieje się dobrze, ale żeby aż tak? Na szczęście u nas jest inaczej. Jeśli będzie trzeba, myśliwi mogą wozić cię od wsi do wsi swoimi zaprzęgami.

– W lecie im wszystkim w głowach tylko łowy. Sądzisz, że twój syn zmarnowałby na mnie choć jeden pogodny dzień?

Nie odpowiedziała, w zamyśleniu zgarnęła dłonią ze stołu okruchy placka. Znów poczuła się staro – przecież pamiętała czasy, kiedy takiego pytania nikt nawet by nie zadał.

Wstała, poczłapała do pieca, zestawiła z ognia garnek z bulgocącą polewką, poszczękała fajerkami, a potem, nie odwracając się, zaczęła mówić jakby do siebie:

– Nie wiem, co myśli Maciek. Urodziłam go, wykarmiłam, wychowałam, ale czasem mi się wydaje, że w ogóle go nie znam. Dawniej tłumaczyłam sobie, że tak po prostu musi być, kiedy dzieci dorastają, ale w tym jest coś więcej… Oni wszyscy, młodzi, trzymają się teraz razem, mają własne sprawy. Swój świat. Dla nich ślepcy to jakiś inny, dziwny gatunek ludzi. Niechętnie słuchają o przeszłości, nie rozumieją naszych strachów i marzeń. Znoszą nas cierpliwie, bo tak trzeba, może się nad nami litują, ale w gruncie rzeczy odetchną z ulgą, kiedy w końcu wszyscy wymrzemy, a z nami ta głupia tęsknota za czymś, czego nawet nie potrafimy nazwać.

Na podwórzu rozjazgotały się psy, pospołu miejscowe i księżowskie. Od gwałtownie pchniętych drzwi wionął ziąb.

– Po wsi się rozniosło, że ksiądz przyjechał, ale nie chciałam wierzyć! – wyrzuciła

z siebie Kaśka jednym tchem. – Tak zaraz po Wietrzysku to nawet Maciek bałby się jechać!

Mira, stojąc przy kuchni, pogroziła córce chochlą. Kaśka od dziecka przywykła traktować Rafała jak wuja, członka rodziny, ale przecież nie była już małą dziewczynką i powinna wiedzieć, na ile może sobie pozwolić.

Gość roześmiał się i skinął ręką, żeby podeszła bliżej.

– Dobrze wiedzieć, że ktoś tak bardzo mnie wyczekiwał. Właśnie narzekaliśmy z twoją matką na młodych, a tu proszę, okazuje się, że nie doceniła pobożności własnej córki.

Kaśka przycupnęła na zydelku, zaczerwieniona po biegu na mrozie, a i trochę ze wstydu.

– Wszyscy czekaliśmy, cała wieś… – bąkała zmieszana.

– Wyobrażam sobie. Gdybym nie przyjechał, nie byłoby odpustowego nabożeństwa. – Pochylił się do niej i dokończył poufale: – A po nabożeństwie nie byłoby tańców.

Ośmielona Kaśka, zerknąwszy niepewnie na zagniewaną matkę, skinęła głową.

– U nas niewiele się dzieje. Czasem wesele, czasem chrzciny, ale to przecież nie dla wszystkich, tylko dla najbliższych. Nie to co w Mieście. Słyszałam, że tam tańczą w każdą niedzielę, i to nie na ubitym śniegu, przy ogniskach, ale pod dachem.

– Przestańże kłapać jęzorem, jak nie masz o czym! – Rozzłoszczona Mira strzepnęła ścierką. – Ciekawe, kto ci naopowiadał takich bzdur, bo na pewno nie brat.

– Pewnie. Szkoda mu czasu na gadanie ze mną.

– Słuchaj no, moja panno…! – Mira ostrzegawczo zawiesiła głos; wobec gościa pohamowała rozdrażnienie i dokończyła sucho: – Jeszcze sobie o tym porozmawiamy. Teraz idź napal dla księdza w łaźni, tylko mocno.

Zanim dziewczyna odeszła, Rafał położył jej na głowie szorstką dłoń o połamanych paznokciach.

– Może i w Mieście tańcują każdej niedzieli, ale na pewno nie potrafią już cieszyć się tym tak szczerze jak ty. To oni powinni zazdrościć tobie, nie ty im.

Pod wieczór niespodziewanie zaczął padać gęsty, drobny, suchy śnieg, bieląc szybko podwórka i dachy. Zrobiło się czysto i cicho, dymy z kominów smużyły się prosto w poszarzałe niebo, miękki puch tłumił odgłos kroków.

Mira z gołą głową, chowając dłonie pod fartuch, wyszła z chaty. Ksiądz wyparzył się w łaźni, wychłostał rzemiennym biczykiem i przysnął na ławie, zmęczony długą podróżą. Kościelny popił gdzieś we wsi i nie śmiał wracać do izby, więc zwalił się między kozami w oborze. Gospodyni narzuciła tylko na niego stary kożuch, żeby nie zamarzł do rana. Maciek przepadł; wątpiła, czy pojawi się w domu, póki nie wyjadą goście.

Stała bez ruchu, wsłuchana w ciszę, czując na twarzy łaskotliwe muśnięcia opadających płatków. Po chwili skrzypnęły drzwi, świeży śnieg zaszemrał pod lekkimi krokami.

– Dziś już nie przyjdzie, prawda? – zapytała z troską Kaśka.

Mira splotła pod fartuchem drętwiejące na mrozie palce.

– Chyba nie.

– Inni kopacze wrócili. Jasiek, Jędrek, Franek, nawet kulawy Szczepan.

– Oni nie chodzą tak daleko jak ojciec.

– Nigdy się o niego nie martwisz?

Gospodyni poruszyła ramionami, jakby zniecierpliwiona.

– Wiedziałabym, gdyby coś mu się stało.

– Skąd?

– Po prostu. Kiedy ludzie są ze sobą wystarczająco długo, czują takie rzeczy. – Odwróciła się niespodziewanie i podeszła blisko, aż poczuła parujące od córki ciepło. – Jak on ma na imię?

– Kto, mamo?

– Ten chłopak, z którym się spotykasz.

Dziewczyna najpierw się zmieszała, a zaraz potem nastroszyła, gotowa do nowej kłótni.

– Kto ci powiedział?

– Nikt nie musiał mówić. Przyniosłaś jego zapach we włosach.

– Nie robię nic złego…

– Więc czemu kryjesz się z nim po zaspach zamiast przyprowadzić go do domu i przedstawić ojcu?

– Bo wiem, że ojciec poszczułby go psami!

Uciekła. Pochlipując, wspięła się po drabinie na stryszek i zakopała w stercie szeleszczących, suchych liści, obok ciepłego komina.

Mira długo jeszcze nie szła do izby, chociaż mróz tężał z każdą chwilą. Drgnęła, gdy gdzieś w oddali zaszczekał pies, ale inne się nie przyłączyły. Żaden spóźniony wędrowiec nie pokazał się na skraju wsi.

– Wracaj, Kacper – szepnęła, ledwie poruszając wargami. – Potrzebuję cię.

Rafał, ściśle rzecz biorąc, wcale nie był księdzem. Ostatni prawdziwy – wyświęcony przez biskupa – kapłan stał się już zniedołężniałym staruszkiem i nie mógł opuszczać Miasta. Rafał posługiwał na wsiach, głosił kazania, chrzcił, błogosławił nowożeńców, ale w jego dłoniach chleb nie zmieniał się w Ciało Pańskie – w czasie procesji musiał obnosić pustą monstrancję. Cierpiał z tego powodu: cierpiał tym bardziej, im mniejszą wagę przywiązywali do tego wierni. Modlili się wprawdzie razem z nim o nowego biskupa – chociaż nikt nie wiedział, jakim sposobem ktoś taki mógłby się pojawić – ale w gruncie rzeczy przywykli do tej tymczasowości, która rozciągnęła się na lata. Coraz mniej było takich, którzy pamiętali dawne czasy, kiedy przy ołtarzu dokonywało się prawdziwe Przeistoczenie, a ci, którzy żyli wystarczająco długo, często nie umieli już wytłumaczyć, na czym właściwie polega różnica.

Jako chłopak, jeszcze w Górach, na Krzywym Wierchu, Rafał uczył się przez dwa lata w biskupiej szkole. Służąc codziennie do mszy, dobrze poznał liturgię, potrafił śpiewać psalmy, słuchał pilnie najlepszych kaznodziejów. Był pewien swego powołania, nigdy nie miewał wątpliwości, jak wielu jego szkolnych kolegów. Kapłaństwo wydawało mu się wtedy prostą i jasną drogą przez życie, choćby nawet przyszło mu objąć parafię w jakimś zapadłym górskim przysiółku, gdzie prości ludzie słabo odróżniali prawdy wiary od dziwacznych zabobonów.

Stało się jednak inaczej. W Górach pojawiły się Świetliki i nastał straszny czas zamętu, spłonęła Katedra i Biblioteka, opustoszała szkoła. Kto nie uciekł w porę z Krzywego Wierchu i nie oślepił się dobrowolnie, tego trawił ogień samozapłonu.

Rafał z garstką ocalałych uczniów trafił do ruin Miasta w dolinie, ale tylko on jeden nie zrzucił habitu. Inni chłopcy szybko wsiąkli w odradzające się życie – pozakładali rodziny i próbowali przetrwać jakoś te najtrudniejsze, pierwsze lata. Odwrót z Gór przeżył młody sufragan i jeszcze dwóch księży. Pierwszy z nich zmarł przy oślepieniu, drugi duszpasterzował w podnoszącej się z wolna z ruin miejskiej Katedrze. Biskup przez kilka lat pędził z wyboru tułaczy żywot, zdany na łaskę ludzi. Do pomocy miał tylko Rafała. Jako ślepy apostoł żebrzącego Kościoła starał się dotrzeć wszędzie tam, gdzie dymiły kominy nowych osiedli – odprawiał nabożeństwa w chatach, a czasem i pod gołym niebem, przy drewnianym krzyżu, spowiadał, nauczał, karmił dusze Eucharystią.

Zaginął podczas jednej z takich podróży, jak wielu w tamtych czasach, kiedy dopiero wyrastało pierwsze pokolenie widzących, a na dobrego psa przewodnika mogli sobie pozwolić tylko nieliczni. Zniknął Rafałowi z oczu w zamieci; nigdy nie odnaleziono jego ciała, pewnie zamarzł w nocy i pożarły go wilki. Chłopak ocalał tylko cudem. Rozpaczliwie próbował podpalić pień martwego drzewa, ale udało mu się dopiero wówczas, gdy spryskał go olejem do namaszczania chorych. Dotrwał do świtu, rzucając w krążące dokoła drapieżniki rozżarzonymi kawałkami kory. Kiedy trafiał, słyszał skomlenie i swąd nadpalonego włosia.

Za dnia odnaleźli go ludzie z pobliskiej wioski, półżywego, z poparzonymi dłońmi i odmrożoną nogą. Zabrał go do siebie Józwa, ojciec Kacpra. Kazał mu wypić kubek gorzałki, przywiązał do ławy i kowalskimi obcęgami poobcinał sczerniałe palce u stopy. Potem opiekował się nim, dopóki nie wydobrzał, odkarmił i któregoś dnia stanął nad nim, chrząkając z powątpiewaniem.

– Co będzie z tobą dalej, chłopcze?

Rafał milczał. Miał dużo czasu na przemyślenia i dobrze rozumiał, że razem z biskupem umarła także i jego przyszłość.

– Zostaniesz u nas – postanowił Józwa. – Podrośniesz, zmężniejesz, a za kilka lat sam zdecydujesz, czy chcesz wracać do Miasta.

Z powodu Wietrzyska odpustowy jarmark nie wypadł tak okazale jak zwykle. Niewielu kupców zdołało dotrzeć na czas, a ci, którzy odważyli się na jazdę po lodzie, musieli zważać, aby nie przeładować sań. Ale i tak, gdy tylko rankiem porozstawiali swoje stragany na udeptanym placu przed kościołem, natychmiast zaroiło się wśród nich od dzieciaków i młodych dziewczyn. Nieco później pokazały się starsze gospodynie, otulone w barwne, świąteczne chusty z frędzlami. Wreszcie na plac zaczęli zachodzić pierwsi wieśniacy, spacerując z udaną obojętnością. Młodzi zerkali tylko zza pleców innych, starsi, ociemniali, od czasu do czasu ściągali rękawicę i bez przekonania przebierali w odpustowym towarze – świecidełkach, koronkach, garnuszkach, koralikach, grzechotkach, pachnidłach, lusterkach, fatałaszkach, łakociach i stertach innych, całkowicie

niepotrzebnych śmieci, za które przecież musieli płacić szczurzymi, zajęczymi i lisimi skórkami, woreczkami z mąką albo – dobrem szczególnie rzadkim – pieniędzmi. Tak już się jednak utarło: kto na jarmarku nie kupił choćby lalki z gałganków, tego zaraz baby brały na języki i przez całe lato uchodził za sknerę.

Krzyki, śmiechy, złorzeczenia, gwizdy i ujadanie psów, podnieconych obecnością tylu przybyszów, przycichły trochę dopiero w południe, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić do domów, aby się posilić i ogrzać przed nabożeństwem.

Niebawem zaśmiecony, zapaskudzony przez zaprzęgowce plac całkiem opustoszał. Po gołych deskach straganów kręciły się teraz szczury, wygryzając ze szpar okruchy wypieków. Znikały w jednej chwili, kiedy po śniegu przemykał cień puchacza.

Słońce przechyliło się już mocno na zachód, gdy od strony Kacprowego obejścia nadszedł chwiejnie słaby z przepicia kościelny, ciągnąc niewielkie sanki. Spod jego kaptura sypały się pokruszone liście, na policzku odcisnął się deseń parcianego worka. Mężczyzna kopnął jakiegoś starego kundla, który nie zdążył w porę zejść mu z drogi, ziewnął rozgłośnie i zbliżył się do kościoła.

Dwuspadzisty, stromy dach świątynki, wsparty z obu stron na rzeźbionych kolumienkach i zwieńczony od frontu żelaznym krzyżem o ramionach obwieszonych soplami, górował nad dachami pobliskich chat. Postawił go jeszcze Józwa na miejscu wcześniejszej kapliczki, zanim wywędrował do Miasta. Nie miał w tym wprawy, a cieśle z okolicy nie pomagali mu chętnie. W tamtych czasach wielu jeszcze nie miało własnego dachu nad głową, ludzie tłoczyli się z psami i kozami w jednej izbie. Stracił przy tej robocie większość palców – od mrozu i od siekiery – a spadająca belka przetrąciła mu bark i nigdy już nie potrafił całkiem się wyprostować. W końcu jednak dopiął swego. Gdy na Wielkanoc przyjechał ksiądz Rafał, mógł po raz pierwszy odprawić nabożeństwo w prawdziwym kościele, nabitym ludźmi od ściany do ściany.

Kościelny skręcił do wysokiej dzwonnicy, rozkraczonej obok na czterech pochylonych słupach. W górze wisiały tuż przy sobie dwa dzwony. Pierwszy, mniejszy, odzywał się zawsze, kiedy przyjeżdżał ksiądz albo gdy odbywały się śluby, pogrzeby czy chrzciny. Drugi, wielki, zwany Trwożnym Dzwonem, nie bił już od wielu lat. Zawieszono go jeszcze przed ukończeniem kościoła, kiedy pamięć o lucyferiańskich Świetlikach była wciąż żywa. Miał ostrzec wieś, a także drwali, kopaczy i myśliwych daleko w Lesie, gdyby powróciła dawna groza. Kilka razy zdarzyły się fałszywe alarmy, kiedy kogoś zmyliły lśniące w ciemnościach ślepia zgłodniałej watahy, lecz powoli ludzie przywykli do nowego, spokojniejszego życia. Okutali nawet z czasem ciężkie serce Trwożnego Dzwonu w grube szmaty, aby nie wydał przypadkiem z siebie dźwięku w czasie Wietrzyska, choć wtedy i tak wszyscy głuchli od niemilknącego, opętańczego wycia.

Kościelny wspiął się po drabinie na wąski pomost obiegający dzwonnicę w połowie wysokości, chwycił za sztywny od mrozu, węzlasty sznur i rozkołysał mały dzwon, krzywiąc się przy każdym uderzeniu, bo bardzo bolała go głowa.

Gdy po dłuższej chwili dzwon ucichł, spłoszone puchacze zaczęły wracać na swoje dachy i płoty, wzbijając trzepotem skrzydeł śnieżną kurzawę. Kościelny zlazł na dół, niedbale odgarnął butem śnieg z drewnianych schodków kościoła i szeroko otworzył oba skrzydła drzwi. Nigdy nie były zamknięte na klucz, każdy, swój czy obcy, mógł wejść i się

pomodlić w dzień i w nocy.

W środku było ciemnawo i duszno, stara podłoga skrzypiała pod stopami. Na sankach kościelny przywiózł wszystko, co potrzebne. Przykrył ołtarz białym obrusem, który Mira wyprasowała ostatniej nocy, zapalił świecie, pochuchał i wytarł szmatką okrągłe szkiełko monstrancji. Miał nadzieję, że uda mu się jeszcze zdrzemnąć na ławie, ale w przedsionku już szurały kroki pierwszych ociemniałych gospodyń, które chciały odmówić różaniec. Obawiał się, że ich monotonne mamrotanie uśpi go na dobre i przegapi chwilę, kiedy trzeba zadzwonić na początek nabożeństwa. Ksiądz pewnie puściłby mu to płazem – wybaczał już gorsze wybryki – ale z kmiotkami nigdy nie wiadomo. Zeszłej jesieni w innej wiosce kazali mu się rozebrać do naga i przegonili batami wokół placu targowego za to tylko, że dłubał w nosie w czasie kazania, a potem za plecami księdza wytarł palec w róg obrusa.

Kościół z wolna napełniał się ludźmi, raz po raz piszczały zawiasy drzwiowe. Kobiety z dziećmi siadały w ławkach po lewej stronie, mężczyźni po prawej. Ociemniali wchodzili śmiało, każdy z psem u nogi. Ksiądz Rafał próbował dawniej wykorzenić ten niestosowny, leśny obyczaj, lecz poddał się, gdy któregoś razu wszyscy ślepcy wysłuchali nabożeństwa na zewnątrz, z odkrytymi głowami, i paru z nich przypłaciło tę demonstrację odmrożeniem uszu. Myśliwi głośno przytupywali w przedsionku, rozkruszali palcami warstewkę lodu na święconej wodzie i żegnali się zamaszyście. Muzykanci po stromych schodkach wspinali się na chórek. Słychać już było, jak brzdąkają z cicha w struny i dmuchają w dudy. Dla zwykłych drwali, cieśli i różnych łazików bez stałego zajęcia nie starczyło już miejsca na ławach; tłoczyli się pod ścianami i w przedsionku, depcząc sobie po stopach i rozpychając się łokciami.

Szmer szeptów wzmógł się, a potem urwał nagle, gdy zadźwięczał dzwonek. Wszyscy wstali. W drzwiach ukazał się ksiądz Rafał w białej liturgicznej szacie i z poczerniałym od starości krucyfiksem w dłoniach. Ruszył naprzód wolnym przejściem pośrodku kościoła, poprzedzany przez małe dziewczynki, które sypały mu pod nogi pachnące igliwie.

– Chwalcie łąki umajone! – gruchnęła radosna pieśń.

Żaden spośród prostych ludzi nigdy nie zaglądał do książek, nie mogli więc wiedzieć, jak wygląda kwitnąca łąka, cienisty gaik i kręty strumyk. Przeczuwali tylko, że to wszystko musi być bardzo piękne – jak raj utracony, jak Królestwo Boże. Śpiewali więc pełną piersią, ufni, że kiedyś i oni będą chodzić boso po takiej ciepłej, miękkiej, pachnącej łące, kiedy nastanie nowa ziemia i nowe niebo.

Młodzi odwracali głowy i wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć, ociemniali tylko prostowali się uroczyście i na wszelki wypadek chwytali psy za obroże, aby któryś, ogłupiały od hałasu, nie capnął księdza zębami za łydkę.

Rafał zapalił od paschału małą świeczkę, pomodlił się krótko nad płomykiem, a potem oddał ją staremu ślepcowi, który siedział na skraju w pierwszej ławce. Ten potrzymał ją chwilę i ostrożnie przekazał sąsiadowi; wierni podawali sobie świeczkę dalej z rąk do rąk, ławka po ławce, skupieni i przejęci. Wierzono, że jeżeli komuś ognik zgaśnie, to znak, że jest nieczysty, nawet jeśli jeszcze nie widać pierwszych pewnych oznak na ciele – krwawych wybroczyn w oczach i czerniejących paznokci. Ktoś taki musiał natychmiast wyjść z kościoła, a w ciągu trzech dni wynieść się także ze wsi. Jeżeli przez rok nie

sparszywiał, mógł wrócić; ludzie uznawali, że widocznie tym razem to nie Lucyfer zgasił świeczkę, ale zwykły przeciąg. Co prawda każdy wiedział, że prawie wszyscy pokutnicy pochodzą z Miasta – to tylko utwierdzało ich w przekonaniu, że w ten sposób objawia się jakaś wyższa sprawiedliwość, która karze parchem najcięższe występki. To przecież w Mieście – w burdelach, w knajpach i w kanałach – Lucyfer zbierał swoje najobfitsze żniwo.

Rozpoczęła się uroczysta liturgia. Opar oddechów mieszał się z dymem kadzidła, a wielobarwne plamki światła przesianego przez okrągły witraż nad drzwiami drżały na białym obrusie ołtarza. Gdy przyszło do czytań, ludzie zamarli w nabożnym skupieniu. Prawdziwe, nieskażone Słowo Boże trafiało do nich tak rzadko, że wszyscy słuchali chciwie, nawet ci, którzy na co dzień mało dbali o zbawienie duszy. Była wprawdzie we wsi Biblia, ciężkie tomisko o zatłuszczonych, nadpalonych przy brzegach stronicach – Kacper trzymał ją u siebie, w skrzyni pod kluczem, bo w kościele mogłyby dobrać się do niej szczury – ale starzy nie mogli przecież jej czytać, a młodzi nie potrafili. Pojawiali się czasem na większe święta wędrowni mnisi-żebracy, którzy twierdzili, że cały Stary i Nowy Testament znają na pamięć, od „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię" do „Łaska Pana Jezusa ze wszystkimi", jednak bardzo różnie to z nimi bywało. Przekręcali trudniejsze słowa, zmieniali kolejność ksiąg, pomijali całe ustępy, a niekiedy dodawali własne, zwłaszcza tam, gdzie sami nie rozumieli za dobrze, o czym mowa. Kiedy Apostołowie łowili ryby, musieli przecież najpierw wyrąbać przerębel, Trzej Królowie ostro poganiali psie zaprzęgi, żeby zdążyć na czas do Betlejem, a Pan Jezus przez czterdzieści dni mieszkał na pustyni w śniegowej kolibie. Słuchacze zazwyczaj nie zwracali uwagi na takie szczegóły, ale sami braciszkowie często zarzucali sobie nawzajem szachrajstwo i nieuctwo; każdy z nich uważał się za jedynego prawdziwego głosiciela Dobrej Nowiny.

Z księdzem było jednak inaczej. Wiedziano, że jeszcze za młodu dobrze poznał Pismo w biskupiej szkole na Krzywym Wierchu i że kiedy bywa w Katedrze, któryś z uczniów codziennie odczytuje przed nim na głos inną księgę, aby mógł odświeżyć sobie w pamięci każdy wers. Wierzono poza tym, że gdy staje na ambonie i kładzie rękę na Biblii, jego ustami przemawia sam Duch Święty.

Nikt więc nawet nie zakaszlał do końca ostatniego czytania, tylko psy powarkiwały na siebie z cicha.

– „Ja jestem krzewem winnym, wy – latorośla mi. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić. Ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie"[*].

Gdy kapłan ucałował Pismo, przez kościół przeszedł szmer odprężenia, ludzie rozsiedli się wygodniej.

W kazaniach księdza Rafała nigdy nie było niczego, czego nie mogliby zrozumieć. Mówił do nich prosto, a jednak mądrze. Wytykał grzechy i zaniedbania, ganił zabobony, ale przede wszystkim błogosławił to ich ciężkie, znojne, leśne życie, które samo w sobie stanowiło nieustające wyznanie wiary. Prosił, aby wytrwali, i przekonywał, że dobry Bóg nigdy o nich nie zapomniał, nie porzucił i nie zostawił na niepewny los, choć nie brakuje

niedowiarków myślących inaczej. Nigdy ich nie straszył, jak mnisi, którzy najchętniej cytowali Apokalipsę albo historię o potopie, dużo za to mówił o nadziei, której trzeba się trzymać, i o światłości, której nie można tracić z oczu pomimo ślepoty.

Lecz tym razem było inaczej niż zwykle. Ksiądz długo milczał, jakby zapomniał, co chciał powiedzieć; tak długo, że baby zaczęły wiercić się i szeptać. Wreszcie pochylił się nad ciżbą z wysokości ambony i odezwał cicho, tak że w ostatnich ławkach ledwie go słyszano.

– Dziś nie będzie kazania.

Ktoś zakaszlał, ktoś zaszurał butami i znów zapadała cisza.

– Jesteście jak uschnięta latorośl. Na waszym ołtarzu zabrakło pokarmu życia. Teraz tylko cud mógłby was wskrzesić, zaszczepić na nowo na winnym krzewie. Już nie wystarczy odwaga, męstwo i wytrwałość. Potrzebujecie cudu, bracia i siostry.

Zszedł z ambony, otworzył tabernakulum, wyjął pustą monstrancję i postawił pośrodku ołtarza. Potem cofnął się aż między baby, klęknął z rozpostartymi ramionami i zawołał tak niespodziewanie, że ludzie skamienieli, a psy zastrzygły uszami:

– Nie będzie cudu bez wiary, więc módlcie się razem ze mną, bracia i siostry! Módlcie się najżarliwiej, jak umiecie!

Upadł na twarz, prosto w naniesiony butami wiernych popiół.

A oni patrzyli po sobie, na poły przestraszeni, na poły zgorszeni, muzykanci nie wiedzieli co robić. Tylko kościelny przy ołtarzu uśmiechał się półgębkiem na to wioskowe widowisko.

Tak skończyło się dziwne nabożeństwo. Nie było łamania chleba ani błogosławieństwa. Kiedy ludzie uznali, że ksiądz nieprędko wstanie sprzed ołtarza, zaczęli po prostu rozchodzić się z wolna; najwytrwalsze baby doczekały aż do chwili, kiedy znudzony kościelny pogasił świece.

Niewiele potem rozmawiano, bo i nie było o czym. Na ogół zgadzano się, że ksiądz źle zniósł ostatnie Wietrzysko i powinien przez kilka dni odpoczywać. Człowiek jest tylko człowiekiem. Nie był jeszcze stary, ale nie oszczędzał się przecież przez te wszystkie lata, więc nic dziwnego, że przydarzyła mu się taka chwila wstydliwej słabości. To jednak nie mogło zepsuć ludziom święta! Niech leży krzyżem w pustym, ciemnym kościele, choćby i przez całą noc, niech prosi o cud – jaki właściwie? – lecz niech się nie spodziewa, że z tego powodu wszyscy inni będą chodzić na palcach.

O zmroku kupcy pozatykali przy swoich straganach płonące łuczywa i na nowo porozkładali odpustową pstrokaciznę, ale o tej porze wieśniacy garnęli się bardziej do dymiących kotłów i do beczułek z gorzałką. Pośrodku placu zawieszono na wielkim trójnogu żelazny kosz z węglem; jasny płomień rozświetlił całą wolną przestrzeń, aż po zaspy pod płotami. Muzykanci dostali na zachętę kilka bukłaczków i wkrótce, rozgrzawszy przy ogniu dłonie w rękawicach bez palców, zagrali skocznie – nie do pobożnego śpiewania, ale do tańca. Psy zaczęły wyć w całej wsi, nawet w najdalszych podwórzach, nad dachami krążyły puchacze. Ludzie z początku tylko zabijali dłonie, dziewczyny przytupywały w miejscu, nikt nie chciał wyrwać się pierwszy, ale w końcu któryś z młodych łyknął gorzałki prosto z drewnianego czerpaka, gwizdnął zawadiacko i chwycił wpół upatrzoną pannę, po czym pociągnął ją na plac.

Maciek pił równo z innymi, ale bez wielkiej ochoty, nie zatańczył też ani razu, chociaż dziewczyny wdzięczyły się do niego, błyskając zębami. Był w podłym nastroju, nie rozweselił go nawet świeży śnieg i nadzieja na udane łowy. Na dobrą sprawę sam nie wiedział, co właściwie mu doskwiera i dlaczego tak trudno rozmawiać mu z ludźmi – nawet z matką – bez wpadania w złość. Nie potrafił wysiedzieć w izbie, wolał zamykać się w psiarni albo włóczyć bez celu po bezdrzewnych pagórkach w okolicach wioski. Przez całą zimę mówił sobie, że wiosną wszystko się zmieni, byle znowu ruszyć w Las, ale teraz już wiedział, że to nie to. Czegoś mu brakowało, i wcale nie dobrej żony, jak zrzędził czasem ojciec. Męczył się tym brakiem, wyładowywał gniew na kim popadło, lecz czas mijał i nic nie zmieniało się na lepsze.

Dlatego dziś nie odpowiadał na zaczepne kpinki chłopaków i nie przysłuchiwał się chełpliwym opowieściom myśliwych, tylko pił w ponurym milczeniu, kiwając głową, kiedy czujny gorzelnik karbował na kijku każdy czerpak zanurzony w beczułce.

Dostrzegł w tłumie na placu Hankę, myśliwską córkę, z którą swego czasu próbowano go swatać. Wirowała wokół ognia w ramionach któregoś z przybyszów; takich łatwo było poznać nawet z daleka, bo spod kaptura nie sterczała skudlona broda. Maciek się skrzywił. Ta dziewucha, w przeciwieństwie do niego, zawsze wiedziała, czego chce, nigdy nie przychodziły jej do głowy żadne pogmatwane myśli. Wystarczało jej do szczęścia, kiedy mogła pokłuć w oczy inne panny nową kiecką, poszperać na straganach i umoczyć usta w gorzałce, kiedy nikt nie patrzył. Tańczyła z każdym, kto poprosił, ale tylko przyjezdnym z Miasta pozwalała się poobściskiwać za płotem. Wolała ich od miejscowych mruków z czerwonymi plamami odmrożeń na twarzy, cuchnących psiarnią.

Naraz Maciek drgnął. Mrużąc oczy, przypatrzył się uważniej temu, który obtańcowywał jego niedoszłą narzeczoną. Zacisnął zęby, gdy nabrał pewności, że to kościelny. Gniew aż zadudnił mu w skroniach. Odstawił niedopity kubek i ruszył naprzód, torując sobie drogę w ścisku.

Odpustowa bitka była równie ważną częścią tradycji co słodkie łakocie i pląsy przy ogniach. Czasem bili się miejscowi z chłopakami z sąsiednich wiosek, których sporo przybywało na zabawę, czasem myśliwi z drwalami, ale najczęściej tłukli się wszyscy młodzi, jak komu wypadło, zależnie od tego, kto z kim wcześniej pił i kto z kim miał jakąś zadrę. Dziewczyny piszczały – trochę ze strachu, trochę z uciechy – ociemniali dalej popijali spokojnie na boku, z zadowoleniem wsłuchując się w odgłosy awantury, a kiedy któryś z walczących się na nich zatoczył, ze śmiechem podszczuwali go psami. Przewracały się stragany i beczki, fruwały nad głowami powyrywane z płotów deski i płonące szczapy, skamlały przeraźliwie przydeptane w tłoku kundle. Trwało to jakiś czas, dopóki starsi nie uznali, że wystarczy już tej zabawy. Któryś chwytał wówczas za sznur dzwonu i dawał sygnał do zakończenia bitki. Zawsze znalazło się paru narwańców, którzy nie mieli jeszcze dosyć i dalej przewalali się po skrwawionym śniegu – tych studziły baby zimną wodą z cebrów. Potem zaczynało się liczenie rozbitych głów, połamanych nosów i powybijanych zębów. Nieprzytomnych odnoszono do izb, zbierano porozrzucane rękawice i czapy, podsycano ogień i niebawem znów lała się gorzałka, jakby nic nie zaszło.

Ale widocznie tak już musiało być, że po zepsutym nabożeństwie tegoroczne święto

miało zawieść i od tej strony. Na widok Maćka, który odpychał każdego, kto stanął mu na drodze, ktoś gwizdnął przeciągle, nie wiadomo, dla ostrzeżenia czy dla zachęty. Muzyka urwała się, panny natychmiast pouciekały między chaty, a chłopcy zrywali z głów kaptury i rozglądali się na wszystkie strony, próbując naprędce ustalić, kto kogo zaczepił i czyją brać stronę. Jeden kościelny na całym placu nie wiedział jeszcze, na co się zanosi. Gdy dziewczyna wywinęła mu się z objęć i zniknęła, stał ogłupiały, zamroczony gorzałką, wiercąc obcasem dziurę w stwardniałym śniegu.

Maciek był w pół drogi do niego, kiedy ktoś chwycił go z tyłu za pas. Szarpnął się, nie patrząc, lecz tamten nie puścił.

– Zostaw, nie pora na to.

Obejrzał się zagniewany. Stary Błażej – maleńki, pomarszczony, z białą brodą pozaplataną dawnym zwyczajem w warkoczyki – stroszył surowo oszronione brwi.

– Nie twoja sprawa! – odwarknął Maciek.

– Mira posłała mi kumysu. Chciałem oddać dzban.

– Co mnie to obchodzi?

– Nie ma jej w domu.

– Dziś nikt nie siedzi w domu!

Stary puścił go wreszcie i położył dłoń na łbie swojego przewodnika – sędziwego jak on sam, o posiwiałym pysku, pokrzywionych łapach i kaprawych ślepiach.

– Poszedłem kawałek jej tropem, prowadzi w stronę wzgórz.

Musiała wyjść nagle, w pośpiechu – nie zdmuchnęła płomyka świeczki, nie domknęła nawet drzwi. W blasku księżyca świeże ślady tak wyraźnie czerniły się na śniegu, że Maciek nie zaszedł nawet do psiarni po któregoś z tropicieli. Ruszył między chaty, tej świątecznej nocy puste i ciemne.

Z początku chyba biegła, po kilkudziesięciu krokach poślizgnęła się i upadła. Dalej brnęła już wolniej, nieprzetartą jeszcze ścieżką, przytrzymując się szczerbatych płotów. Na skraju wsi, za ostatnim podwórzem otoczonym palisadą z zaostrzonymi kołkami u góry i z płonącymi tu i ówdzie łuczywami dla ochrony przed drapieżnikami, najwyraźniej zawahała się nad wyborem drogi. Wydreptała tutaj jakiś zawiły wzór i w końcu ruszyła dalej wprost pod górę, na grzbiet jednego z niewysokich wzgórz, poprzez najgłębszy śnieg.

Maciek zaklął półgłosem. Gorzałka wywietrzała mu już nieco z głowy, ostygła chęć do bitki. Daleko z tyłu pozostała wrzawa potańcówki i podświetlona płomieniami dzwonnica. Matka nigdy wcześniej nie robiła takich rzeczy, nie miała żadnego powodu, aby biegać samotnie po zmierzchu. Bez karpli, w zwykłych gospodarskich ciuchach nie mogła oddalić się za bardzo, prędzej czy później musiała utknąć gdzieś w zaspach na bezdrożu. Gdyby Błażej nie zaszedł do niej akurat tego wieczoru i gdyby nie zadał sobie trudu, aby odszukać w tłumie na placu, kogo trzeba, jej zniknięcie wyszłoby na jaw dopiero rano, a wtedy byłoby już za późno na ratunek.

Maciek wziął łuczywo i wspiął się szybko po zboczu. Dobrze znał łańcuch wzgórz, zamykający od północy zamieszkałą kotlinkę. Zachodził tutaj czasem, kiedy sprzykrzyło mu

się między ludźmi. Pomimo bliskości wsi na śniegu krzyżowały się lisie i wilcze tropy. Po drugiej stronie zaczynał się już Las.

Mira stała w najwyższym miejscu, po kolana w sypkim puchu, odwrócona plecami do wsi. Wychłodła już po marszu i teraz drżała z zimna, otulona razem z głową w stary, połatany koc. Na pewno usłyszała i rozpoznała kroki syna, ale nie poruszyła się; całą jej uwagę pochłaniała rozległa, wroga głusza, która rozpościerała się u stóp wzgórza.

Gdy Maciek stanął obok i oświetlił jej twarz, nie drgnęły jej nawet powieki. Pod wpływem oddechu krawędź koca obrosła drobnymi sopelkami.

– Co jest, mamo? Zabłądziłaś?

– Cii… – Zachwiała się lekko w przód i w tył. – Patrz.

Ogarnął niechętnym spojrzeniem bezkresną pustkę, posiniałą w księżycowej poświacie, sfalowaną długimi szeregami zasp i poprzetykaną z rzadka czarnymi kikutami najpotężniejszych drzew.

– Tam nie ma nic, na co warto patrzeć, mamo.

– Świat jest piękny.

– Może był taki dawniej. Albo źle go zapamiętałaś.

– A może jesteś bardziej ślepy niż ja? – Zmarszczyła gniewnie czoło. – Masz dobre oko do strzelania z łuku, ale to jeszcze nie wszystko. Można zobaczyć więcej, o wiele więcej. Trzeba tylko bardzo chcieć.

Maciek umilkł na dłuższą chwilę. Matka mówiła czasem różne dziwne rzeczy, na które zwykle nie zważał, zajęty swoimi sprawami, lecz dopiero dzisiaj po raz pierwszy dotarło do niego, że ją także może obchodzić coś więcej poza dojeniem kóz i praniem onuc. Spojrzał na nią z ukosa. Tutaj, poza izbą, poza obszczanym przez psy podwórzem, wydała mu się jakaś inna. Prawie obca.

– Chodźmy do domu – poprosił łagodniej. – Cała przemarzłaś.

Odtrąciła jego rękę i zrobiła parę kroków naprzód, z trudem wyrywając buty ze śniegu.

– Patrz! – przynagliła go, pokasłując. – Teraz widzisz?

Uniósł wyżej pochodnię, zmrużył oczy – i wtedy raptem dostrzegł daleko w dole, pomiędzy drzewami, maleńki skrawek księżycowego cienia, który posuwał się mozolnie w stronę wsi.

– Widzę! – zawołał.

– To ojciec. Ma kłopoty, musisz mu pomóc.

3

Kacper zawsze podziwiał ojca, choć nigdy do końca nie potrafił go zrozumieć.

Nie miał żadnych wątpliwości, że gdyby nie Józwa, gdyby nie jego śmiałość i upór w tamtych strasznych czasach, gdy lucyferiańskie Świetliki przegnały ludzi z Gór, dziś Podgórze wyglądałoby całkiem inaczej. Nie byłoby Miasta, nie byłoby wiosek i przysiółków, nie byłoby Kopalni i Czarnego Szlaku. Na pustkowiu, od wierchów po Lodowiec, wyłyby tylko wilki i demony, a w każdej oblodzonej dziupli, w każdej jamie i w każdym wykrocie drżałaby z przerażenia czyjaś brudna dusza. Stary myśliwy przekonał ludzi, najpierw garstkę, potem całe setki, że aby przetrwać, trzeba oślepnąć. Że jedynym pewnym schronieniem przed zdradliwym blaskiem Lucyfera jest wieczna ciemność. Małe nacięcie źrenicy, trochę bólu – i już. Sam zrobił to własnemu synowi, Mirze, każdemu, kto mu zaufał, a w końcu i sobie. Ludzie, którzy byli z nim tamtej pamiętnej nocy, kiedy tysiące samozapłonów napełniały Las błękitną poświatą, ocaleli prawie wszyscy. W innych grupach bywało gorzej. Uciekinierów zabijały mróz, głód i wilki, a po tych, którzy nie mieli odwagi pozbawić się wzroku albo zwlekali z tym zbyt długo, pozostawał tylko krąg smolistej sadzy na śniegu. Ale i ci, którzy próbowali naśladować Józwę, gdy tylko rozniosła się wieść, że jego ślepców Lucyfer nie rusza, często nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Okaleczali się niepotrzebnie, wielu umierało potem od ran po wyłupionych albo wypalonych oczach.

A jednak, kiedy po kilku trwożnych nocach pozbawione żeru Świetliki ostatecznie zniknęły, w Lesie pozostały przy życiu tysiące ociemniałych mężczyzn, kobiet i dzieci. Rzesza nieszczęśliwych, bezradnych, wygłodzonych zbiegów, którzy chowali się w szałasach, kolibach, namiotach i piwnicach. Nikt z nich nie wiedział, co będzie dalej, gdy zjedzą już ostatnie okruchy zapasów przyniesionych z Gór i wrzucą do ogniska ostatnią szczapkę.

Nikt oprócz Józwy.

Od lat przygotowywał swoje psy do tego, aby umiały pomagać ociemniałym. Teraz obszedł z nimi całą okolicę, którą znał na pamięć z licznych myśliwskich wypraw. Wiedział, gdzie szukać uchodźców; dotarł do każdej większej grupy, wszędzie wyznaczał jakiegoś doświadczonego, godnego zaufania człowieka, zostawiał mu jednego ze swoich cennych przewodników i kazał prowadzić ludzi do Miasta, które wówczas nazywano jeszcze Ruinami. Na ogół słuchali go chętnie; w swojej bezradności czekali na kogoś, kto wskaże im jakiś cel.

W Ruinach łatwo było o dach nad głową, trudniej o drewno na opał, najtrudniej o strawę. W pierwszych miesiącach zastawiali pułapki na szczury, rozbijali lód w poszukiwaniu dawnych śmietników i gotowali w kociołkach okrawki skóry. Z czasem Józwa zaczął wychodzić z młodymi myśliwymi do Lasu. Psy odnajdywały lisie i zające

nory albo osaczały nieostrożne foki, które oddaliły się od wody, przez co nawet po omacku bez problemu dało się zatłuc je pałką.

Dzień po dniu ludzie przyzwyczajali się do ślepego życia, radzili sobie coraz lepiej. Wciąż umierali – od odmrożeń, wypadków, zagryzieni na ulicy przez watahy dzikich psów – ale ci, którzy przetrwali pierwszą zimę, poczuli się w Ruinach u siebie i zaczęli nazywać to miejsce Miastem. Mieli biskupa, dawnym górskim zwyczajem zbierała się Rada Starszych, rodziły się dzieci.

Józwa doradzał, pomagał, ale już nie przewodził, wyraźnie trzymał się z boku. Wreszcie, niedługo po tym, gdy zaczęło być głośno o Ciepłowniku i jego cudach, zabrał syna z jego młodą żoną, skrzyknął jeszcze paru chętnych, głównie spośród dawnych myśliwych, którzy tęsknili za otwartą przestrzenią, i wywędrował do Lasu. Właśnie wówczas, gdy ludziom zaczęło dziać się lepiej, uznał, że woli zacząć wszystko od początku, gdzieś w głuszy.

Z czasem za jego przykładem poszło wielu innych, ale tamtej wiosny częściej wyśmiewano go, niż podziwiano.

Kacpra łatwo było wziąć za jakiegoś pijaka, który oddalił się za potrzebą od ognisk, a potem zawieruszył się i już nie potrafił wrócić. Szedł chwiejnie, z opuszczoną głową, potykał się często i padał na kolana. Nie miał nart ani nawet karpli, stracił gdzieś sanki ze sprzętem i zapasami. Był u kresu sił, zapewne długo przedzierał się przez zaspy. Musiał się bardzo śpieszyć, skoro zaryzykował nocny marsz o głodzie.

Przystanął, słysząc odgłos kroków, i uchylił kaptura, aby lepiej słyszeć. Czekał w milczeniu, nie odezwał się nawet wówczas, gdy poczuł na twarzy ciepło płonącego łuczywa.

– Szczęść Boże, ojciec. – Maciek obrzucił go szybkim spojrzeniem, rozglądając się równocześnie z niepokojem. – Jesteś ranny? Poodmrażany?

Kopacz skrzywił się, gdy zaleciał go kwaśny odór gorzałki.

– Co tu robisz? – Syn nie odpowiedział na pytanie.

– Matka martwiła się o ciebie. Czeka na wzgórzu.

– Nie powinieneś pozwalać, żeby odchodziła tak daleko od wsi.

– Kiedy matka coś sobie postanowi, nie słucha nikogo. Przecież wiesz.

Kacper zmrużył oczy, jak do uśmiechu, lecz ton jego głosu ani trochę nie złagodniał.

– Na pewno nie usłucha podpitego gnojka.

– Jest odpust, dzisiaj wszyscy piją… – zaczął i urwał nagle; w mroku za plecami ojca dostrzegł wreszcie to, czego przez cały czas wypatrywał: dwie pełgające plamki ślepi.

Kacper trafnie odgadł powód tej nagłej ciszy.

– Kudłaczowi nic nie będzie, przestraszył się tylko i zdziczał trochę. Dojdzie do siebie za kilka dni.

– Znów to zrobiłeś, ojciec? Zadawałeś się z brudnymi duszami? No pewnie, teraz widzę, że masz osmaloną brodę.

– Nie twoja sprawa.

– Szedłeś taki kawał bez przewodnika!

– I doszedłem.

– Wcale nie musiało ci się udać. Ale masz rację, nie moja rzecz. Tylko Kudłacza szkoda, w końcu całkiem go zbiesisz. – Gwizdnął ostro. Plamki zakołysały się i zgasły.

– Zostaw. Nie przyjdzie.

– Cud, że w ogóle nie przepadł gdzieś w Lesie.

– Wychowałem go, nie porzuci mnie. Ale przez jakiś czas będzie unikał ludzi i ognia. – Mówił teraz cichym, zmęczonym głosem. – Złapiesz go na pętlę i poprowadzisz krótko przy nodze. Inne psy rozszarpałyby go, gdyby wyczuły od niego brudną duszę. Jeśli będzie trzeba, obronisz go kijem.

– A ty? Ledwie trzymasz się na nogach.

– I tak lepiej od ciebie. No, idź już. Ja zajmę się matką.

Mira nigdy nie robiła mu wyrzutów, kiedy wracał z wykopek z pustymi rękami, choć zdarzało mu się to częściej niż innym kopaczom. Wiedziała, że nie jest leniwy ani nieporadny i jeśli poświęciłby się bez reszty swojej robocie, byłby jednym z najlepszych, a wtedy żyłoby im się dostatnio i nie musiałaby wiecznie przerabiać starych kiecek i kubraków. Ale Kacper zawsze miał jakieś swoje sprawy, o których niechętnie rozmawiał i które nie przysparzały mu szacunku pośród sąsiadów. Zawsze taki był, już jako chłopak, przychodziły mu do głowy dziwne myśli i szarpały tęsknoty, których często sam nie potrafił wytłumaczyć. Takim go poznała i takiego poślubiła. Kto wie, może gdyby nie ta jego niespokojna natura, nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi?

Także i teraz nie zapytała ani o urobek, ani o Kudłacza. Objęła go, wtuliła twarz w futrzany kołnierz jego kubraka i zamruczała cicho:

– Zmarniałeś mi bardzo. Wychudłeś, że nie ma za co chwycić.

– To mi dobrze zrobi, ostatnio za bardzo obrosłem sadłem. – Poczuł, że Mira drży, więc przygarnął ją mocniej. – A ty znowu biegasz po nocy bez kożucha. I po co? Myślisz, że bez ciebie nie trafię do domu?

– Nie mogłam wysiedzieć w izbie… Czułam, że ci ciężko. – Zziębniętymi palcami pieszczotliwie przeczesała jego brodę, wyskubując drobne sopelki. – Dobrze, że jesteś.

Dopiero po tym, jak straciła wzrok, odkryła, jak ważne mogą być przeczucia. Przez kolejne lata nauczyła się im ufać, zwłaszcza jeżeli odnosiły się do ludzi, których kochała. A że Kacpra kochała najdłużej, zawsze wiedziała, kiedy jest mu dobrze, a kiedy źle, nawet jeśli był bardzo daleko od niej. Nigdy się temu nie dziwiła, nie zastanawiała nad tym. Sądziła, że ten dar mają wszyscy ociemniali – a przynajmniej ci, w których nieszczęście nie zabiło miłości.

Objęci wpół, podtrzymując się nawzajem, zeszli ze wzgórza do wsi. Słychać było muzykę, piski dziewczyn i pijacką wrzawę; psy ujadały jak oszalałe.

– Nie znoszę tego – burknął Kacper. – Gdybym pamiętał, że dziś wypada odpust, przebiedowałbym w Lesie jeszcze ten jeden dzień.

– Ludzie tylko świętują. Zawsze tak było.

– Nieprawda! – obruszył się niespodziewanie. – Dawniej byle chłystek znał umiar, nikt nie rzygał pod płotem. Każdy wiedział, co przystoi, a co nie. Gdybym ja wtedy pokazał się ojcu pijany, trzasnąłby mnie w pysk i na trzy dni zamknął w oborze z kozami.

Mira dobrze znała swego męża i wiedziała, że kiedy zaczyna mówić o życiu w Górach, lepiej mu się nie sprzeciwiać. Ale nie chciała też dopuścić, aby złość Kacpra na syna odebrała jej tę chwilę cichego szczęścia, kiedy szli sami po skrzypiącym śniegu, tylko we dwoje, nawet bez psa, zatroskani o siebie nawzajem.

– Dawniej ty też nie we wszystkim zgadzałeś się z ojcem – przypomniała mu łagodnie. – Tak to już jest. Czasy się zmieniają.

– Nie czasy się zmieniają, tylko ludzie. I to zwykle na gorsze.

Maćkowi wcale nie poszło z Kudłaczem tak łatwo, jak się spodziewał. Długo musiał się za nim uganiać po płaskim pustkowiu między wzgórzem a lasem, choć pies miał zapadnięte z głodu boki i kulał na prawą przednią łapę. Wreszcie myśliwy zdołał zarzucić mu na kark skórzaną pętlę na kiju, ale rozwścieczony przewodnik opierał się jeszcze długo, wywijał w śniegu kozły, próbował gryźć i charczał, dławiony zaciskającym się rzemieniem. W końcu, gdy na wpół zaduszony opadł z sił, Maciek był w stanie powlec go do wsi, strzegąc się przy tym jego kłów. Po drodze rozpędzał batem i kopniakami zgraję zajadłych kundli, lecz mimo to któryś dopadł bezbronnego Kudłacza i poszarpał mu grzbiet.

Nie mógł zamknąć go w psiarni razem ze swoimi zaprzęgowcami, więc wrzucił go do drewutni, skrwawionego, ze skłaczoną sierścią i pianą na pysku. Zaryglował drzwi i kopnął w nie jeszcze ze złością, gdy usłyszał z drugiej strony buntownicze powarkiwanie. Miał ciężką rękę do psów, jak wszyscy myśliwi, i tego rozbestwionego wilczego bękarta też chętnie nauczyłby pokory, gdyby to nie był przewodnik ojca. Nie mógł go uderzyć – zhańbiłby się tym niemal tak samo, jakby pobił ślepca.

Klnąc głośno, ruszył z powrotem pod kościół. Chciał się ogrzać przy ognisku, napić, a nade wszystko dać wreszcie upust tak długo powstrzymywanej złości.

Tymczasem na placu mocno się przerzedziło. Wielu starszych ślepców ulegało swoim psom, które ciągnęły ich do domów, zniecierpliwione hałasem i zamieszaniem. Sporo młodych, spitych do nieprzytomności, kobiety pozbierały ze śniegu i pozwoziły na sankach. Kupcy także powoli zbierali towar do koszy i sakw, wycisnęli już z kmiotków, ile się dało. Jeszcze tańczono, chociaż już nie z takim zapałem. Przemarznięci muzykanci rzępolili nierówno.

Maciek rzucił straganiarzowi mały żółty pieniążek, z mocno zatartym rysunkiem ptaka o rozpostartych skrzydłach i nieczytelnymi literami, który musiał być w obiegu już od wielu pokoleń. Zdarzały się czasem monety lśniące nowością, znalezione dopiero niedawno pod lodem przez kopaczy albo drwali, ale ceniono je po równo, bo wszystkie pochodziły z czasów sprzed Upadku.

Wychylił kubek gorzałki, zagryzł sucharem i mrużąc oczy od blasku ognia, zaczął się rozglądać za kościelnym. Nie dostrzegł go – pewnie leżał już w kozim gnoju, jak ostatniej

nocy – ale naraz odstawił pusty kubek i się wyprostował.

Pośrodku placu, owiana kłębami pary, przytupywała w tańcu Kaśka. Miała na sobie kusy kubraczek z kapturem obszywanym białym zajęczym futrem, na plecach haftowaną chustę z frędzlami. Pobłyskująca cekinami kiecka przy każdym obrocie podfruwała wysoko, odsłaniając natłuszczone cholewki czerwonych butów, sznurowanych aż pod kolana. Jakiś przyjezdny chłopak obejmował ją tak śmiało, że w Maćku aż zagotowała się krew.

Tym razem nikt mu nie przeszkodził. Ludzie rozstępowali się przed nim, gdy szedł przez plac, wtykając za pas rękawice. Milkły kolejne instrumenty, aż wreszcie muzyka ucichła zupełnie, a grajkowie przezornie wycofali się do kościelnych podcieni.

Obcy rozejrzał się szybko. Na widok zbliżającego się Maćka szepnął coś Kaśce, a gdy potrząsnęła w proteście głową, pchnął ją lekko w stronę grupki dziewczyn, które zebrały się przy straganach, przestraszone i zaciekawione zarazem.

– Za późno, przybłędo – zaśmiał się szyderczo Maciek. – I tak widziałem, jak obściskiwałeś moją siostrę.

Tamten zsunął kaptur na plecy i rozluźnił rzemienie pod szyją, aby zapewnić sobie swobodę ruchów. Wyglądał na młodszego od Maćka, z parodniowym ledwie, jasnym zarostem, bez czerwonego piętna mrozu na szczupłej twarzy. Miał intensywnie błękitne oczy.

– Tańczyliśmy jak wszyscy – odpowiedział spokojnie.

Ktoś zapobiegliwie podsycił ogień, aby oświetlić cały plac.

– Lubisz tańczyć, gołowąsie? Bardzo dobrze. Teraz pohulamy razem.

Chłopak nie próbował niczego więcej wyjaśniać. Rozstawił szerzej stopy i pochylił się lekko, nie spuszczając z myśliwego czujnego spojrzenia.

– Nigdy nie odmawiam, kiedy mnie grzecznie proszą.

– Przestańcie! – Niespodziewanie wpadła między nich blada ze złości Kaśka. Tupnęła na brata jak na krnąbrnego wyrostka, budząc szmer rozbawienia w tłumie, który zebrał się wokół nich. – Dlaczego zawsze musisz przynosić mi wstyd?

– Idź do domu – mruknął, patrząc w ziemię.

– Nie będziesz mi rozkazywać, nie jesteś moim ojcem!

– I twoje szczęście, bo wtedy miałabyś dupę posiniaczoną od pasa.

Śmiech rozbrzmiał głośniej. Krąg ludzi zakołysał się, z zewnątrz napierali kolejni ciekawscy.

– Bardzo dzielny ten twój młody wilczek, Kaśka! – zakpił ktoś. – Przyczaił się za kiecką i warczy.

– Co was to obchodzi! Dajcie nam spokój!

– Żebyście mogli gzić się po zaspach?

– Mogę robić z narzeczonym, co mi się podoba!

Chichoty urwały się nagle. Cienie zastygły na śniegu, w żelaznym koszu szumiał płomień.

Kaśka pobladła jeszcze bardziej, gdy zdała sobie sprawę, że wyrwało jej się o kilka słów za dużo. Chciała jeszcze jakoś to naprawić, choćby głupim, upokarzającym żartem, ale głuche milczenie tłumu pozbawiło ją nagle całej odwagi. Ktoś pociągnął ją w tył.

Oprzytomniała, gdy zobaczyła okryte włochatymi kubrakami plecy myśliwych, ale wtedy nic już nie mogła zrobić.

Maciek powoli podniósł wzrok na obcego chłopaka.

– A więc to dla ciebie tak często ostatnio znikała z domu. Myślałem, że to ktoś z naszych, machnąłem ręką. – Zaplótł palce, trzasnął stawami. – Masz pecha, miejski szczurze. U nas takich rzeczy się nie wybacza.

Uderzył bez ostrzeżenia, lecz tamten uchylił się zwinnie. Był niższy i szczuplejszy, ale bardzo szybki, a przy tym chyba nie wypił tak wiele. Odpowiedział błyskawicznym, celnym ciosem w podbródek, po którym myśliwy poleciał do tyłu, w ramiona gapiów. Pchnęli go zaraz z powrotem do bójki. Rozwścieczony docinkami runął na przeciwnika całym ciężarem, objął go w pasie i obalił w śnieg.

W jednej chwili zakotłowało się wszędzie dokoła. Myśliwi skrzykiwali się ochrypłymi od gorzałki głosami i na chybił trafił zrywali przyjezdnym kaptury, szukając ogolonych twarzy, ale poturbowali tylko paru spóźnialskich, którzy nie schowali się w porę w kościele albo w gościnnych izbach. Zawiedzeni połamali stragany, płonącymi szczapami porozganiali obce psy, lecz bijatyka zbyt długo wisiała w powietrzu, aby się rozładować w tym krótkim tumulcie. Zaczęli tłuc się między sobą, jak popadło, za jedno złe słowo czy tylko krzywe spojrzenie. Okładali się pięściami i ciężkimi sprzączkami pasów, rzucali kubkami, targali za brody, deptali po leżących. Raz po raz ktoś potrącał wielki trójnóg, a wtedy iskry sypały się na czupryny jak ognista zamieć, aż czuć było swąd nadpalonych włosów.

Maciek z początku zyskał przewagę nad wątłym chłopakiem – przycisnął go do ziemi i nie pozwolił się wywinąć. Zarazem jednak miał zajęte ręce, więc tylko bódł czołem, rozbijając mu nos i wargi. Jednak i tamten nie odpuszczał, prężył się, wierzgał i kopał, aż wreszcie udało mu się oswobodzić prawe ramię. Wtedy złapał myśliwego za włosy i odciągnął jego głowę w bok. Siłowali się tak przez dłuższy czas, charcząc na siebie z bliska zduszonymi przekleństwami – jeden zbyt pijany, drugi zbyt słaby, żeby się wyrwać – dopóki nad zgiełkiem nie rozbrzmiały donośne, głębokie tony Trwożnego Dzwonu.

W nagle zapadłej ciszy, pod bezchmurnym, gwiaździstym niebem, każde uderzenie dzwonu trzeźwiło ludzi lepiej niż ceber zimnej wody na łeb. Przestali walczyć, podnosili się chwiejnie na nogi, odgarniali z twarzy skrwawione kudły, przykładali do rozbitych nosów śnieg. Popatrywali z niepokojem w mrok pomiędzy chatami, a potem, zadzierając głowy, spoglądali na dzwonnicę.

Głos Trwożnego Dzwonu nawet u tych, którzy słyszeli go po raz pierwszy, budził głęboko tajony, nigdy niewygasły strach.

– Który skurwysyn wylazł na górę? – zawołał ktoś ochryple. – Zrzucić go na łeb!

Kilkunastu myśliwych stłoczyło się wokół drabiny, sapiąc z niecierpliwości w potargane brody, aby ukarać świętokradcę, jednak nim pierwszy z nich złapał za obrosłe soplami szczeble, w zbiegowisku na placu wybuchła nowa wrzawa. W blasku podsyconego ognia ludzie rozpoznali uczepionego liny zuchwalca, który przy każdym wychyleniu dzwonu wzlatywał wysoko w górę, łopocząc habitem.

– Ksiądz Rafał? To chyba ksiądz Rafał! – mieszały się bezładne okrzyki.

Po krótkim wahaniu myśliwi odstąpili od dzwonnicy. Tłum na placu gęstniał szybko: ze wszystkich stron biegły kobiety, niektóre już rozebrane do snu i otulone w grube koce, dreptali starcy, z trudem utrzymując na smyczach podniecone hałasem psy, wracali nawet, przytrzymując się płotów, lekko otrzeźwiali opilcy.

Ksiądz puścił wreszcie sznur i oparł się na poręczy, wyczerpany do ostatka nadludzkim wysiłkiem. Dzwon przechylił się jeszcze kilka razy, serce uderzało coraz słabiej. W końcu zapadła tak głucha cisza, że zaskoczeni ludzie przystawali w pół kroku.

Usłyszeli zadyszany, słaby, drżący głos księdza:

– Jesteście głusi na Słowo Boże, na nic moje przestrogi. Tylko ten dzwon potrafi jeszcze was poruszyć, przynajmniej na chwilę. – Przerwał i zakaszlał. Z trudem chwytał oddech. – Brakuje wam wiary, brakuje wytrwałości i rozwagi. Pozostał tylko strach.

Ludzie potrzebowali dłuższej chwili, aby przetrawić te twarde słowa. Przestępowali z nogi na nogę, spoglądali na siebie i kręcili głowami, zdumieni i zgorszeni.

– Jesteś nietutejszy, księże, to może nie wiesz, że w Trwożny Dzwon nikomu nie wolno bić bez potrzeby – odezwał się z wolna jeden ze starych kopaczy.

– Chcę obudzić wasze sumienia! Znasz ważniejszy powód?! – odkrzyknął ksiądz Rafał porywczo. – Chcę was wyrwać z tego złego snu, który jest jak śmierć. Wszyscy jesteście martwi! Jesteście latoroślą, którą odcięto od winnego krzewu i która będzie spalona. Nie wiecie o tym, wydaje wam się, że wciąż żyjecie, ale to tylko złudzenie, nic więcej. Jeszcze oddychacie, jeszcze nie ostygła w was krew, ale to nie jest życie, tylko trwanie. Jesteście jak martwe drzewa, które trzymają się korzeniami ziemi i nadal stoją, chociaż już nigdy nie zazielenią się ani nie wydadzą owocu. Będą stały, dopóki nie zrąbią ich drwale albo nie obali Wietrzysko, ale w końcu wszystkie padną.

Ludzie skamienieli w zdumieniu. Nigdy wcześniej nie słyszeli w kościele takich twardych, bezlitosnych słów.

– Czasem zdarza się, że w cieple izby żołądź wypuści młody pęd, ale on też szybko zmarnieje, nigdy nie wyrośnie z niego prawdziwy dąb. Spóźnił się na swój czas. Zakiełkował na próżno, tak jak na próżno rodzą się wasze dzieci.

Cisza nabrzmiała stłumionym, głuchym pomrukiem. Kaznodzieja uniesieniem ręki nakazał spokój, a gdy ludzie nie posłuchali od razu, uderzył pięścią w poręcz.

– Chcieliście kazania? Oto moje kazanie! Jesteście martwi, mówię! Długo szliście przez ciemną dolinę i zła się nie ulękliście, ale dalej już nie dojdziecie. To koniec. Nic was już nie czeka. Lepiej dla was było, gdy ukrywaliście się w Górach, musieliście dzień po dniu patrzeć prosto w ślepia Lucyfera i nie mieliście na swoją obronę nic oprócz wiary. Lepiej, powtarzam! Lepiej mimo strachu przed śmiercią albo opętaniem, mimo głodu, mimo znoju ponad siły. Lepiej, bo wtedy żyliście naprawdę! Było w was męstwo, była nadzieja, była wielkość. A dzisiaj? Spójrzcie na siebie! Nie potrzeba Lucyfera, aby was upodlić. Sami sprowadzacie na siebie zagładę, a on tylko stoi z boku, w cieniu, i się przygląda.

Jakieś dziecko zaczęło płakać. Starzy trącali się łokciami i kręcili głowami, młodzi mruczeli pod nosem albo uśmiechali się kpiąco.

Ksiądz Rafał wychylił się z dzwonnicy.

– Nie jesteście lepsi od waszych psów, one też gryzą się między sobą bez powodu

i podkulają ogony, kiedy potrzeba prawdziwej odwagi!

Ostatnie słowa utonęły w gniewnym harmidrze. Ludzie może mogliby je przełknąć, choć z trudem, gdyby padły z ambony, podczas nabożeństwa, ale teraz, gdy gorzałka i bitka rozgrzały krew, nie usłyszeli w wołaniu kaznodziei gorliwej troski o nich samych, a jedynie obelgę.

– Tak możesz besztać swoich gładkolicych miastowych chłopaczków, ale nie nas!

– Tutaj wszyscy starzy jeszcze pamiętają, jak to stary Józwa wygrzebał cię spod śniegu, zasmarkanego dzieciaka.

– Szanuj leśnych ludzi, bez nas byłbyś nikim! W mieście mało kto już o ciebie dba.

– Nie myśl sobie, że bez ciebie nie zrobimy odpustu. Nawet do nabożeństwa nie jesteś nam potrzebny, bo taki z ciebie ksiądz jak z capiej brody miotła.

Ksiądz Rafał milczał, patrzył tylko z góry, bardzo blady, z pionową bruzdą na czole. Gdyby nakrzyczał na nich teraz, odpowiedzieliby nowymi szyderstwami, gdyby uciekł chyłkiem, rozeszliby się ze śmiechem do chat. Ale ten jego zimny, wzgardliwy spokój rozjuszył ich tylko jeszcze bardziej. Tłum zafalował, uniosły się zaciśnięte pięści.

– Co tu wiele gadać, chłopy! Trzeba strącić tę czarną wronę, niech nie kracze.

Mocno ubita, twarda jak kamień śniegowa kula przeleciała tuż obok głowy księdza i rozbiła się na dzwonie. Następna trafiła go w ramię, kilka innych zabębniło na deskach pomostu. Rafał wciąż jednak stał wyprostowany, nie próbował się uchylić. To tylko wzmogło zawziętość wieśniaków, nawet ślepcy schylali się, żeby nabrać śniegu w garście.

Wtedy nagle ktoś dźwignął jedną z podpór żelaznego trójnogu. Kosz zachybotał się na łańcuchach, sypiąc żarem. Ludzie rozbiegli się na boki, zaraz potem ciężkie palenisko runęło z łomotem, a grzywa ognia rozpłaszczyła się na śniegu i przygasła. Cała górna część dzwonnicy pogrążyła się mroku.

Nikt nie zauważył, jak to się stało. Wołano, żeby schwytać winnego i wytarzać w psim łajnie, lecz wówczas niespodziewanie w sam środek syczących, rozproszonych ogników wskoczył zziajany Maciek.

– Nie musicie mnie szukać, tutaj jestem! – Rozłożył ręce w wyzywającym geście. – Chodźcie po mnie, na pewno nie będę uciekać.

Nikt się nie ruszył. W kupie łatwo daliby mu radę, ale powstrzymało ich zdumienie, że przeszkodził im nie któryś z przyjezdnych, jak sądzili, lecz jeden z nich.

– Co jest, Maciek? – zawołał ktoś bełkotliwie zza pleców innych. – Sam przecież zacząłeś tę zabawę!

– Jak chcesz, my dwaj możemy bawić się dalej – odpalił myśliwy, mrużąc oczy.

Jeden z kopaczy frasobliwie pokiwał głową.

– Młodzi mają słabe głowy do gorzałki, zawsze to mówię. Dzisiaj to już nie te bitki co dawniej.

– Tłuczcie się, kto wam zabrania? Ale księdza zostawcie w spokoju.

– Miałby spokój, gdyby leżał sobie dalej w kościele zamiast urągać nam z dzwonnicy.

– Może i naurągał, ale ksiądz to ksiądz.

– Raczej przebieraniec!

– Innego nie mamy. Jak go przepędzicie, możecie od razu przerobić kościół na oborę.

Ludzie ochłonęli trochę, niektórzy w rozterce czochrali brody, ale ten, który bełkotał, nie ustępował:

– A tyś co nagle taki pobożny jak stara baba? Zapachniało ci kadzidło, chcesz może iść na kościelnego?

Zarechotali zgodnie, już rozluźnieni, czekali na jakąś ciętą odpowiedź, ale myśliwy zwiesił ramiona, jakby znużony, i odburknął niegłośno:

– On jest gościem w domu mojego ojca. Kto chce go ruszyć, niech o tym pamięta.

Dopiero teraz zrozumieli, że zabawa skończyła się naprawdę. Odrzucali śnieżne kule i odchodzili każdy w swoją stronę, nie oglądając się więcej ani na dzwonnicę, ani na samotnego Maćka pośród dogasających ogni.

Kościelny znowu gdzieś się zawieruszył – może wlazł do jakiejś dziury, żeby przeczekać awanturę – więc to Maciek musiał odprowadzić księdza do chaty. Przed furtką czekała na nich Mira, zaniepokojona krzykami na placu, ale o nic nie pytała; gdy gospodarz był w domu, to do niego należało pierwsze słowo. Zaprosiła tylko gościa do izby i zaraz wzięła się do przebierania żołędzi, oddzielając te lepsze, na mąkę i na kiełki, od zepsutych i robaczywych, przeznaczonych na kozią paszę. Maciek poszedł prosto do psiarni.

Kacper z Rafałem nie byli przyjaciółmi. Nie mogliby nimi zostać, nawet gdyby spotykali się częściej niż dwa–trzy razy do roku, ponieważ w życiu żadnego z nich nie starczyło miejsca na przyjaźń. Nie dlatego, że mieli oschłe serca. Po prostu nie chcieli zaciągać zobowiązań, których nie mogliby dopełnić w godzinie próby. A tego, że taka godzina kiedyś nadejdzie, obaj byli pewni, choć nigdy o tym nie rozmawiali. I może właśnie to przeczucie wiązało ich najtrwalej, mocniej nawet niż wspólne wspomnienia.

Przywitali się krótko, zwyczajnie, jakby nic nie zaszło. Usiedli naprzeciw siebie za stołem, przy dzbanie zsiadłego kumysu i podpłomykach. Przeżegnali się i zaczęli jeść w milczeniu, ale cisza ich nie krępowała – przeciwnie: wsłuchując się nawzajem w swoje oddechy, mlaśnięcia, pochrząkiwania i westchnienia, pielęgnowali dawną znajomość. Czasem przez cały czas pobytu księdza we wsi zamieniali ledwie kilka zdań, a i tak rozstawali się zadowoleni ze spotkania.

A jednak Kacper wiedział, że tym razem będzie inaczej. Mira powiedziała mu, że ksiądz przyjechał specjalnie po to, aby się z nim rozmówić, ale i bez tego czuł, że coś ważnego, co nabrzmiewało między nimi od lat, właśnie tej burzliwej nocy dojrzało do rozstrzygnięcia.

Tak czy owak jakoś trzeba było zacząć, więc Kacper siorbnął nieco głośniej kumysu i wyciągnął nogi.

– Co tam właściwie się stało, na placu?

– Nic wielkiego. Ludziom nie spodobało się moje kazanie. Miastowi w takich wypadkach tylko ziewają albo przysypiają, ale już chyba wolę myśliwych. Przynajmniej wiem, że słuchali.

Kopacz uśmiechnął się lekko.

– Wytrzeźwieją, to przeproszą.

– Nie zdążą. Wyjeżdżam o świcie.

– Przecież już grubo po północy. Zaczekaj chociaż dzień albo dwa, aż ustali się pogoda.

– Czekałem już wystarczająco długo. Całe życie. – Przerwał na chwilę i zamyślił się, błądząc bezwiednie palcami po stole i zbierając okruszki. – Nie zapytasz, co u ojca?

– Nigdy nie pytam, ale ty i tak o nim opowiadasz.

– Prawda, prawda… Obaj jesteście tacy sami. Pamiętliwi i uparci.

– Porzucił nas! Wrócił do Miasta, kiedy znudziło mu się biedowanie w Lesie. Tam ma miejsce w Radzie Starszych, może sobie żyć wygodnie.

– Nigdy nie pojawił się w Radzie. W ogóle unika ludzi. Gdybym go czasem nie wspomagał, pewnie umarłby z głodu albo trafił do kanałów.

– Nie wiedziałem… Ale wcale nie czuję się lepiej przez to, że wolał twoją pomoc niż moją. Wszystko jedno! Jeśli tylko o tym chciałeś porozmawiać, to chyba lepiej będzie, jeśli…

Ksiądz przerwał mu niespodziewanie, uderzając dłonią w blat.

– Najpierw posłuchaj, potem zrobisz, co zechcesz. Możesz nawet mnie zelżyć, jak twoi sąsiedzi. – Odetchnął głębiej, powściągając zniecierpliwienie. – To on przysłał mnie do ciebie.

Ustało stukanie żołędzi wrzucanych do koszyka. Kacper powoli odstawił kubek, uniesiony już do ust. Zdawało mu się, że był gotów na wszystko, lecz ta wiadomość zaskoczyła go zupełnie.

– Ojciec nie odezwał się do mnie od lat…

– Ale pytał o ciebie za każdym razem, kiedy wracałem od was do Miasta.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Nigdy nie byłeś ciekaw.

Kacper nieco ochłonął. Pochylił się naprzód, opierając łokcie na kolanach.

– Czego chce? – rzucił szorstko, bardziej szorstko nawet, niż zamierzał.

– Kazał mi zapytać, czy nadal nęci cię szeroki świat, jak wtedy, kiedy byłeś chłopcem i uciekłeś z domu, żeby zostać gońcem.

Gospodarz poczuł natrętne swędzenie w gardle. Odchrząknął kilkakroć, napił się.

– Śmieszne, że to jeszcze pamięta.

– Ty także pamiętasz.

– Taak… Ale teraz jestem ślepym kopaczem i takie pierdoły dawno wywietrzały mi z głowy.

Ksiądz skubnął kawałek placka. Przeżuł dokładnie, z namysłem.

– Jesteś kimś więcej. Nie chodzisz do Lasu tylko po to, żeby grzebać pod lodem.

– I co z tego?

– Nie otępiałeś jeszcze, jak reszta. Nie wystarcza ci to, co jest. Chociaż jesteś ślepy, patrzysz dalej niż inni. W tym także przypominasz ojca. Czy wiesz, że on nigdy nie przestał się uważać za myśliwego?

– To tylko znaczy, że naprawdę ma nie po kolei w głowie. Niczego już nie upoluje, może co najwyżej bić wszy.

– A jednak tej wiosny tylko on jeden czekał nad rzeką na pingwiny, które szły znad Morza do lęgowiska na przełęczy. Złożył im ofiarę, jak dawniej. Nie towarzyszył mu nikt

z młodszych myśliwych.

Kacper raptem się wyprostował. Nie był w stanie dłużej ukrywać zdumienia.

– Naprawdę to zrobił?

– Jak co roku.

– Myślałem, że już nikogo nie obchodzą dawne zwyczaje.

– Prawie nikogo. Ale jego tak.

– Powinieneś wybić mu takie rzeczy z głowy. Biskup zawsze potępiał zabobony.

– Wtedy musiałbym potępić także i ciebie za obcowanie z brudnymi duszami.

– Pomagam im, wskazuję drogę…

– Wiem. Ale zapominasz, że to nie ty jesteś odźwiernym czyśćca.

– Robię to tylko dlatego, że któraś z nich mogłaby należeć do mojej matki…

– Nieprawda. Robisz to, bo nigdy nie pogodziłeś się z tym, że tak ma wyglądać świat po zwycięstwie nad Lucyferem.

Kacper machnął gwałtownie ręką, zrzucając kubek ze stołu.

– Dość tego! Mów, o co ci chodzi, albo daj mi spokój.

Ksiądz obrócił twarz w stronę ciepła bijącego od pieca.

– Miro? – odezwał się ciszej. – Czy mogłabyś poprosić Maćka, żeby poszukał pod dzwonnicą mojego różańca? Chyba zgubiłem go tam w zamieszaniu.

Gospodyni zsypała do kosza garść żołędzi. Nie chciała wychodzić, bała się zostawiać ich samych, ale wiedziała, że musi.

Gdy cicho zamknęły się za nią drzwi, Rafał wstał, sięgnął do obszernej kieszeni habitu i rzucił na stół coś lekkiego.

– Józwa prosił, żebym ci to oddał, bracie.

Zwracał się w ten sposób do Kacpra tylko wówczas, gdy rozmawiali w cztery oczy o sprawach, o których nikt inny nie powinien wiedzieć.

Po chwili wahania kopacz wyciągnął rękę. Dotknął wąskiego, skórzanego paska – był długi na jakieś ćwierć łokcia, źle wyprawiony i podziurkowany gęsto, lecz nierówno, jakby ktoś dźgał szydłem na chybił trafił.

– Co to ma być? – zapytał ostro.

– Ty mi powiedz.

Kacper parsknął ze złością. Chciał już odrzucić cuchnący skrawek, gdy naraz zamarł w bezruchu, wstrzymując oddech. Potem powolutku rozprostował pasek na stole i delikatnie przesunął wzdłuż niego palcami, od lewej do prawej.

– Nie jestem pewien, ale to wygląda jak… – Zwilżył językiem wargi. – Nie, to chyba niemożliwe.

Cofnął dłoń, czekał na wyjaśnienia księdza, ale ponieważ ten milczał, znowu ostrożnie dotknął paska.

– Alfabet sygnalizacyjny – osądził już pewniej. – Ktoś jeszcze go pamięta?

– Dzisiaj już nie uczą go w szkole. Żyje w mieście kilku dawnych sygnalistów, ale tego nie zrobił żaden z nich. Ten pasek znalazł twój ojciec. Był owinięty wokół łapy jednego z pingwinów, które przywędrowały z północy przez Lodowiec.

Kacpra zaczęły szczypać oczy jak od dymu. Otarł je szybko wierzchem dłoni. Choć spodziewał się takiej odpowiedzi, wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że to prawda.

– To jakieś szachrajstwo! Jak stary ślepiec mógłby na to trafić?

– Nie wiem na pewno, ale sądzę, że wiedział, czego szuka. Czekał na to każdej wiosny. To dlatego odszedł do Miasta. Bał się, że na starość zabraknie mu sił, żeby chodzić stąd aż nad rzekę.

– W stadzie musiały być setki pingwinów! Nawet gdyby uganiał się za nimi przez kilka dni, tylko cudem mógłby złapać tego właściwego.

– Nie potrzebował cudu, wystarczył dobrze wyszkolony pies. – Ksiądz pochylił się, położył Kacprowi dłoń na ramieniu. – Nikt nie chce cię oszukać, bracie. Józwa uważa, że ta wiadomość jest przeznaczona dla ciebie, dlatego chciał, żebym ci to oddał.

Kacper splótł drżące dłonie na kolanach. Serce waliło mu głucho.

– Może to przypadek? Pingwin zaplątał się w ten pasek gdzieś po drodze.

– Wolno ci wątpić we wszystko, takie twoje prawo. Ale dopiero po tym, jak to przeczytasz. Inaczej nazwę cię upartym capem.

Gospodarz westchnął przeciągle, kiwając się lekko w przód i w tył.

– Nie wiem, czy jeszcze potrafię… Minęło wiele lat. Lepiej powiedz mi, co tam jest napisane.

– Nie, bracie. Jesteś jak niewierny Tomasz, sam musisz się przekonać.

Kacper zdecydował się nagle. Wytarł spotniałe dłonie w spodnie i przebiegł palcami krótki tekst, odczytując na głos bez zająknięcia:

– Każda rzeka prowadzi do Morza. – Podniósł głowę, dokończył szeptem. – Stach.

Jeszcze raz przesunął pasek między palcami. Starannie zwinął go w ciasny krążek i położył przed sobą na stole. Długo siedział ze zmarszczonym czołem, jakby trudno było mu ogarnąć sens tych paru prostych słów.

– Tyle lat… – odezwał się wreszcie, ukrywając twarz w dłoniach. – Stach odszedł nad Morze tej nocy, kiedy ojciec mnie oślepił. Pogodziłem się już z tym, że nie żyje.

– Nigdy nie chciałeś, żebym wymieniał jego imię w wypominkach na Zaduszki.

– Bałem się, że mogło go spotkać coś gorszego niż śmierć. A o tych, którzy poszli za Lucyferem, nie mówi się w kościele.

– Teraz już wiesz, że twój starszy brat żyje i chce się z tobą spotkać. – Ława zatrzeszczała, gdy ksiądz na powrót usiadł. – Dlaczego więc nie słyszę w twoim głosie radości?

– Nieprawda! Nic nie wiem. Nie rozumiem nawet, co to ma znaczyć. Rzeka jest zamarznięta i donikąd nie prowadzi, ginie pod Lodowcem. Pingwiny trzymają się jej koryta, ale tylko na Podgórzu.

– A jednak wygląda na to, że Stach jakoś dał sobie radę. Czy to cię martwi?

– To wcale nie takie pewne. Ktoś mógł okrutnie zakpić sobie z ojca.

– Też przyszło mi to do głowy.

– Jemu samemu również nie wolno całkowicie zaufać. Znasz go dobrze, wiesz, jak na starość zdziwaczał. Kiedy odchodził do Miasta, tutaj ludzie mówili sobie po cichu, że oszalał.

– Pamiętam.

– A jeśli nawet naprawdę zrobił to Stach, to przecież pingwin mógł chodzić z tym przez długi czas. Może to wiadomość sprzed wielu lat.

– To wszystko możliwie. – Ksiądz zawiesił na chwilę głos. – Ciekawe, co jeszcze wymyślisz, żeby ocalić swój święty spokój?

Kacper zaśmiał się niewesoło.

– Zdaje ci się, że przejrzałeś mnie tak łatwo? Dla ciebie w gruncie rzeczy jestem tylko ciemnym kmiotkiem. Cóż, może i masz rację. Nie jestem taki uczony jak ty. Czego zdążyłem się nauczyć w szkole, dawno już wywietrzało mi z głowy. A jednak jest coś, o czym wiem więcej od ciebie. Ty znasz Lucyfera tylko z książek, a ja spotkałem go twarzą w twarz. Pamiętam, jak łatwo mnie uwiódł. Jak gorliwie pragnąłem wyrzec się dla niego wszystkiego, co święte. On nie został pokonany, jak się wydaje wam w Mieście: usnął tylko i trzeba bardzo uważać, żeby go nie rozbudzić.

– Nie lekceważę go…

– Opowiadasz ludziom z ambony, jaki z niego podstępny kusiciel, ale to tylko słowa. W głębi ducha nie wierzysz, że ty także mógłbyś upaść. Myślisz, że nie dałbyś się przechytrzyć. – Przechylił się nad stołem i ciągnął prawie szeptem. – A co, jeśli czas twojej próby właśnie się rozpoczął? Może ulegasz pokusie, której nawet nie dostrzegasz? Może gdzieś na dnie twojej głębokiej wiary ostała się odrobinka pychy? Jemu to wystarczy, żeby wedrzeć się do twojej duszy. A kiedy już ją będzie miał, poprzez ciebie łatwo posieje zamęt na całym Podgórzu.

Rafał raptem złapał go za nadgarstek i ścisnął bardzo mocno.

– On nie musi się już silić na żadne podstępy przeciwko nam, bracie. Jest cierpliwy i ma czas, może zaczekać. Wie, że sami wpadniemy mu w łapy. Może już wpadliśmy. Ten leśny spokój, który tak sobie cenisz, jest jak pętla kłusownika. Weszliśmy w nią, trzepoczemy się jeszcze niemrawo, ale nie wyrwiemy się o własnych siłach. Musimy na powrót stać się prawdziwym Ludem Bożym. Musimy znów poddać się pewnej ręce Pasterza. Potrzebujemy biskupa! Musimy do niego dotrzeć, gdziekolwiek jest, zanim będzie za późno.

– Skąd masz pewność, że gdzieś jest jeszcze jakiś biskup?

– Bo Pan obiecał, że bramy piekielne nigdy nie przemogą Kościoła.

Kacper wyrwał rękę, lecz wciąż czuł na nadgarstku gorący uścisk.

– Wiem, że pragniesz zostać wyświęcony. Rozumiem to. Ale nie wolno ci narażać nas wszystkich tylko po to, żeby spełnić własne zachcianki!

– Gdybym myślał o sobie, bracie, nie ruszałbym się na krok z dobrze ogrzanej Katedry. Pomyśl, na Boga! Nawet jeśli mało dbasz o Kościół, zastanów się jak rozsądny gospodarz. W Mieście wszystko zmienia się na gorsze. Ludzie nie wierzą już w nic, nie słuchają nikogo, nie boją się niczego. Bogacą się, podnoszą z ruin dom po domu, wykuwają spod lodu coraz to nowe ulice, uruchamiają maszyny, ale to wszystko nie wyrasta na zdrowym korzeniu. Myślą, że zdołają wskrzesić przeszłość, że powrócą czasy sprzed Upadku, ale naprawdę zmierzają donikąd. To się nie może udać. Miasto urosło zbyt wielkie, zbyt szumne, zbyt żarłoczne, żeby utrzymać się pośród śniegów. Żyje z Lasu, a przecież Las niczego nie rodzi, jego bogactwa kiedyś się wyczerpią. Stanie się jałowy jak Lodowiec. Znam w Mieście dzieci, które nigdy nie widziały stojącego drzewa. Znam biedaków, którzy jadają gorzej od twoich kóz.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? Miasto zdechnie i nic na to nie poradzę. Muszę

się troszczyć o swoich.

– Chociaż wyprawiasz się na wykopki coraz dalej, w twojej mące i tak jest coraz mniej żołędzi, a coraz więcej trocin.

– To nic. Kiedy po Lesie przestaną kręcić się kłusownicy, wystarczy zwierzyny dla wszystkich.

– Taki jesteś tego pewien? Dawniej myśliwi polowali na foki, dzisiaj prawie ich już nie ma. Co będzie, gdy zabijecie ostatniego zająca, ostatniego lisa, nawet ostatniego szczura? Kiedy wydrapiecie spod lodu ostatnią garstkę liści? Nie wiem, kiedy nadejdzie ten dzień, ale nadejdzie na pewno. Jeśli nie dla was, to dla waszych dzieci. Nie będzie komu grzebać trupów, wilki rozwłóczą wasze kości po lodzie i zajmą wasze domy.

– W najgorszym razie przeniesiemy się gdzieś indziej.

– Gdzie? W innych częściach Podgórza wcale nie będzie lepiej. Prędzej czy później głód wygna was na Lodowiec. To będzie prawdziwa droga śmierci, o wiele gorsza od wszystkiego, co wydarzyło się podczas ucieczki z Gór. Najpierw wymrą starszy i chorzy, potem kobiety i dzieci. A ci, którzy pozostaną przy życiu, będą zazdrościć umarłym. A wtedy może się zdarzyć, że twój własny syn przeklnie cię za to, że mogłeś do tego nie dopuścić, ale stchórzyłeś.

– Naprawdę sądzisz, że nigdy o tym nie rozmyślałem? Każdego dnia, bracie. I każdej nocy. Dręczą mnie te myśli, zatruwają życie. Chcesz wiedzieć, jak się pocieszam? – Kacper podniósł ze stołu skórzany pasek, jakby z wahaniem, a potem nagle cisnął go w otwarte palenisko. – Mówię sobie, że mnie ludzie przeklną co najwyżej raz, w chwili śmierci. A tego, który rozbudzi Lucyfera, będą przeklinać przez całą wieczność.

Rafał westchnął.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć. Może powinienem od tego zacząć, ale to niełatwe… Twój ojciec poszedł w Góry.

– Niedołężny starzec, w Góry? Zginie tam, trzeba go odszukać!

– Nie, bracie. Wyrządziłbyś mu tym wielką krzywdę. On uznał, że spełnił swój ostatni obowiązek. Teraz chce umrzeć tam, gdzie się urodził, ożenił i gdzie przyszli na świat jego synowie. W domu.

Maciek długo dreptał po opustoszałym placu, przyświecając sobie łuczywem, nim wreszcie znalazł ciężki księżowski różaniec wdeptany w śnieg. Ochłonął już po bitce; teraz myślał tylko o tym, żeby zakopać się w stercie suchych liści na poddaszu spiżarki i zasnąć kamiennym snem.

Gdy wszedł na podwórze, zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w ciemnościach za rogiem chaty, jakby ktoś próbował się przed nim ukryć. Senność pierzchła natychmiast, ale niczego nie dał po sobie poznać. Spokojnie podszedł do drzwi i dopiero tam nagle skręcił, aby w kilku długich susach dopaść węgła.

Kaśka siedziała skulona pod ścianą, pociągając nosem w głębi obszernego kaptura. Falbany kiecki zamarzły, a odświętne buty, powalane popiołem, nie błyszczały już tak pięknie w blasku łuczywa.

– Czemu nie idziesz do izby, głupia? – obsztorcował ją niegłośno.

W odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami.

– Matka już tam pewnie martwi się o ciebie!

– Ojciec z księdzem jeszcze rozmawiają… Nie chciałam przeszkadzać.

W jej głosie nie było złości, tylko jakiś napięty niepokój. Maćkowi zrobiło się jej żal. Przykucnął obok, niezgrabnie otoczył ją ramieniem. Dawno tego nie robił. Uświadomił sobie teraz, że właściwie nie rozmawiali ze sobą od miesięcy – zawsze jakoś brakowało czasu, a pewnie i coraz mniej mieli wspólnych spraw.

– No już, nie bocz się. Musiałem obić tamtego chłystka, nie mogło być inaczej – zamruczał. – Może trochę przesadziłem, lepiej byłoby to załatwić na boku, po cichu, żeby nie robić ci wstydu przed ludźmi, ale gorzałka nie mleko, burzy krew. Trudno, stało się. Za to teraz już będziesz miała spokój, on nie pokaże się więcej w naszych stronach. Znam się na takich cwaniakach.

Uznał jej milczenie za gotowość do zgody, więc zadowolony pokiwał głową.

– Ojciec się wścieknie, jak mu doniosą, z kim tańcowałaś, ale szybko mu przejdzie. On nie umie długo się na ciebie gniewać. Tylko nie łaź już więcej z takimi… wiesz.

Kaśka westchnęła, jakby pogodzona z losem.

– Czemu ojciec jest taki cięty na chłopaków z Miasta?

– Za dużo nieślubnych bachorów biega po wsi. A narzeczony z Lasu nie wyprze się, w razie czego, bo tu wszyscy wszystkich znają.

– Przecież wie, że ja nie jestem taka… Musi mieć jakiś inny powód, ale zawsze, kiedy go o to pytałam, zbywał mnie albo się złościł.

– Ze mną też nigdy o tym nie gadał. Ale pamiętaj, że uczył się trochę w biskupiej szkole, za młodu znał podobno nawet Ciepłownika. Wie o Mieście więcej niż ty i ja.

– Może to prawda, co o nim mówią…

– A co mówią?

– Że za dużo przebywa z brudnymi duszami, a za mało z ludźmi. Czasami wydaje mi się, że on po prostu boi się zwyczajnego życia.

Maciek ziewnął szeroko.

– Daj lepiej temu spokój, siostrzyczko. Chłoptaś zawrócił ci w głowie, bywa. Zapomnisz o nim do następnej zabawy. – Wstał, podał jej rękę. – Idę spać, rano muszę wyszykować zaprzęg dla księdza. Ty też uciekaj do łóżka. Wyśpisz się dobrze, wygrzejesz, i jutro świat wyda ci się ładniejszy.

Przytuliła się do niego mocno, ale zaraz potem go odepchnęła.

– Dobranoc, braciszku. Jeśli potrafisz, nie myśl o mnie źle.

Od wschodu nad Podgórze wsączał się z wolna brzydki, chmurny poranek. Śnieg już nie sypał, w powietrzu wirowały tylko pojedyncze płatki. Po nocnej hulance wieś budziła się opornie, zaledwie kilka kominów dymiło w dziwnie niskie, okopcone na popielato niebo.

Zaprzężone sanie już czekały. Nowy przodownik, warcząc i gryząc, zmuszał inne psy do posłuchu. Maciek nie wtrącał się, pilnował tylko, aby nie splątały się sznury. Wiedział, że

Diablik sobie poradzi, jak zawsze.

Na widok wychodzącego z chaty księdza uderzył kijkiem w natłuszczoną cholewę.

– Wszystko gotowe, psy wypoczęte i nakarmione. Za przodownika ręczę, zaprzęg pójdzie lepiej niż przedtem. Tylko nie wiem, kto będzie powoził.

– Gdzie kościelny?

– Leży pijany w zakrystii, owinął się w obrus z ołtarza. Dobrze, że nasi też odsypiają, bo gdyby go tak znaleźli, powiesiliby go u rzeźnika na haku.

Ksiądz pokiwał smutno głową.

– Może to i lepiej. Za wygodnie mi się żyło. Dalej pójdę pieszo.

Kacper, który stał w otwartych drzwiach chaty, teraz podszedł szybko, dziabiąc śnieg cienką laseczką, której używał w domu i obejściu. W nocy spał źle, ale nie zamierzał okazywać przed księdzem słabości.

– Co znowu za brednie?

– Zaczynasz się przyzwyczajać do pokrzykiwania na mnie.

– Nie masz przewodnika. Nawet gdybym dał ci któregoś z moich, potrzeba czasu, żebyś nauczył się go słuchać, a on ciebie.

– Nie chcę psa. Bóg mnie poprowadzi.

Powiedział to tak spokojnie, bez żadnego wahania, ale i bez zadęcia, że kopacz od razu zrozumiał, jak próżne będą jego sprzeciwy.

Zrozumiał i się przestraszył.

– Nigdy nie przypinałeś nart ani karpli… Nie byłeś sam w Lesie.

– Byłem. Dawno temu, ale byłem. Wtedy też po ludzku wydawało się, że muszę zginąć, a jednak Bóg się mną zaopiekował. Naprowadził na mój ślad Józwę.

Bezradność Kacpra nagle przerodziła się w gniew.

– Chcesz mnie w ten sposób ukarać? Pokazać mi, jakim jestem niedowiarkiem? Chcesz swoją głupią śmiercią zapaskudzić moje sumienie? Jeszcze jedną śmiercią… po ojcowej?

Ksiądz uniósł brwi, zaskoczony wybuchem. Zrobił gest, jakby chciał dotknięciem ułagodzić gospodarza, ale po chwili opuścił rękę.

– Źle mnie osądzasz. Nie mam do ciebie żalu, szanuję twój wybór. Ale i ty pogódź się z moim. Nie mogę dłużej czekać. Nie mam już na co, tutaj nic się nie zmieni. Bóg mnie wezwał, więc muszę iść.

– A jeśli to nie Bóg? Jeśli to podstęp Lucyfera? Przecież parcha przywlekli na Podgórze z Lodowca tacy właśnie szaleńcy, którzy szukali tam przygód.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Dla Maćka w tej dziwnej rozmowie nie wszystko było jasne, ale jedno przynajmniej pojął – że jeśli ksiądz odejdzie pieszo, a któryś z sąsiadów dostrzeże to przypadkiem zza płotu, złym plotkom nie będzie końca. Ludzie chętnie zapomną, że tej nocy ciskali w Rafała śnieżkami, zapamiętają za to, że Kacper wyrzucił o świcie z chaty Bożego sługę, jak jakiegoś parchatego włóczęgę.

– Nie ma co gadać, sam odwiozę księdza do Miasta – mruknął niechętnie.

Rafał podziękował znękanym uśmiechem.

– Szkoda twojego czasu, synu. Ja nie idę do Miasta.

– A dokąd?

– Dalej… O wiele dalej.

Cicho zapiszczały drzwi spiżarki. Z ciemnego wnętrza wyłoniła się Mira, dźwigając na ramieniu pękatą sakwę.

– Księże? – Postąpiła kilka niepewnych kroków.

– Jestem.

Maciek ujął ją pod łokieć i poprowadził do Rafała. W przyćmionym świetle jej szara, obrzękła z niewyspania twarz wyglądała staro.

– Przygotowałam na drogę, co mogłam. – Wsunęła pod chustę potargany kosmyk włosów.

– Bóg ci zapłać. Nigdy nie zawiodłem się na twojej gościnie. Ale tym razem wyjdę od was tak, jak Jezus przykazał Apostołom: bez laski, bez torby podróżnej, bez chleba, bez pieniędzy. Zabiorę tylko to. – Potrząsnął zawieszonym na ramieniu workiem z naczyniami liturgicznymi.

Z dachu sfrunął puchacz i trzepiąc skrzydłami, przysiadł na ramieniu Miry. Nie odgoniła go, wtuliła twarz w jego pierzastą miękkość i niespodziewanie rozszlochała się na głos.

Kacper drgnął, słyszał ją płaczącą w ten sposób ledwie kilka razy w życiu. Może to były spóźnione łzy po Józwie, a może litowała się nad księdzem. Nie wiedział, co robić, jak ją pocieszać. Poczuł nawet odrobinę żalu do niej. Wszystkim byłoby łatwiej, gdyby powstrzymała łzy do czasu, aż zostaną sami.

Z ulgą usłyszał oddalające się, nierówne kroki gościa. Kiedy ucichły, sapnął zniechęcony:

– Nic na to nie poradzisz. On tak wybrał. – To mogło odnosić się zarówno do ojca, jak i do Rafała.

Mira potrząsnęła głową, zdusiła szloch. Jej zaciśnięte wargi przypominały teraz siną bliznę.

– Kaśka nie wróciła na noc.

Zbliżył się do niej raptownie, płosząc ptaka machnięciem dłoni.

– Trzeba popytać ludzi. Może ktoś ją widział?

– Już pytałam… – Łapczywie nabrała powietrza, jak ktoś, kto tonie. – Szczepan roześmiał mi się w twarz. Powiedział, że uciekła z jakimś obcym chłopakiem. Niedługo po awanturze na placu widział ich, jak szli razem w stronę Lasu.

4

Szeroki, miejski trakt pokrył świeży śnieg, gładką biel tylko gdzieniegdzie przecinały zajęcze ślady. Najlepszy z tropicieli Maćka nie podjął śladu Kaśki. Długo brodził w zaspach na skraju wsi, wtykał nos w śnieg, kluczył i nawracał, aż wreszcie przysiadł pod przechylonym słupem kapliczki z wywieszonym jęzorem, tuląc uszy ze skruchą.

– Dalej pewnie poniósł ją na rękach. – Maćkowi z gniewu drgały nozdrza. – Cwany jest.

Oszronione brwi Kacpra zbiegły się pośrodku czoła.

– Spróbują dotrzeć do Miasta. Nie znajdą schronienia w żadnej wiosce na całym Podgórzu, nawet gdyby chłopak dobrze zapłacił. Na trakcie łatwo byśmy ich dogonili, lecz na pewno pójdą bezdrożami, przez Las.

Nie mogło być inaczej. Spraw o uwiedzenie na ogół nie rozstrzygały sądy starszyzny, takie zwady rzadko kończyły się bez rozlewu krwi. Nikt postronny nie chciałby się narażać na gniew krewniaków lekkomyślnej pannicy. W Mieście było inaczej – tam młodzi pozwalali sobie na dużo więcej i mało kto się tym gorszył, a poza tym chłopak mógł znaleźć oparcie w rodzinie i przyjaciołach. Najlepiej byłoby dopaść go gdzieś na drodze i wyrównać rachunki bez świadków. Nie mieliby z tym żadnych kłopotów, gdyby Maciek mógł skrzyknąć do pościgu innych myśliwych. Ruszyliby ławą, przeczesali Las dokoła wsi i przed zmrokiem Kaśka znalazłaby się z powrotem w chacie. Ale nie chciał tego robić, nie po ostatniej nocy, kiedy naraził się im wszystkim, stając w obronie księdza. Musiał poradzić sobie bez nich.

Bez słowa zawrócił wielkimi krokami w stronę podwórza, gdzie czekał gotowy do drogi zaprzęg.

Mira stanęła w progu chaty. Przywołała syna, wyciągnąwszy przed siebie obie ręce, a kiedy się zbliżył, ujęła w dłonie jego kosmate policzki. Nie pytała o nic. Wiedziała, że Kacper nie przyjdzie, aby się pożegnać – nigdy nie umiał dzielić się goryczą, nawet z nią.

– Dbaj o ojca, Maciuś. – Wspięła się na palce, żeby go ucałować. – On się nie przyzna, że potrzebuje pomocy, ale w Mieście nie poradzi sobie bez ciebie.

– Nie martw się – burknął zażenowany. – Za parę dni wszyscy wrócimy do domu.

Skinęła głową. Przytrzymała go w swoich kościstych, spracowanych dłoniach, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu tylko smutno się uśmiechnęła i kciukiem nakreśliła mu krzyżyk na czole.

Niewiele rozmawiali w czasie dwudniowej podróży, przedzielonej źle przespaną nocą w zatłoczonej gospodzie, gdzie mrukliwi wędrowcy w wyliniałych kożuchach grali w kości, popijali kumys albo drzemali rozparci na ławach.

Ponury, zacięty w gniewie Maciek powoził pewną ręką trzaśnięciem bata, ucinając w zarodku wszelkie psie swary. Kacper sunął za saniami na nartach przetartym szlakiem, z głową opuszczoną niżej niż zwykle. Nie zdążył dobrze wypocząć po bezowocnych wykopkach, czuł się rozbity i obolały, lecz mimo to nie usiadł na saniach. Czasem tylko czepiał się ich na śliskich podbiegach, kiedy brakowało mu tchu. Jak większość ślepców nie lubił okazywać słabości przed widzącymi… a zwłaszcza przed synem.

Trakt był szeroki, prosty, dobrze ubity. Przez lata wgryzał się coraz głębiej w lód, z obu stron ciągnęły się wysokie do ramion białe skarpy. Co jakiś czas mijali koślawe myśliwskie przytuliska i okazalsze gospody, przed którymi płozy chrobotały na zmrożonych psich odchodach, a woń pieczonego na ruszcie koźlęcia mieszała się ze smrodem parujących patrochów, wyrzucanych na podwórze z myślą o zaprzęgowcach.

Pierwszego dnia nie spotkali wielu podróżnych. Na poboczu drogi odpoczywała grupka drwali, przycupnąwszy na pniu, który wlekli gdzieś z mozołem. Jakiś ślepy włóczęga w butach powiązanych sznurkiem, z trzęsącym się, wychudzonym przewodnikiem przy nodze, kuśtykał w przeciwną stronę. Powoli minął ich też sznur ciężkich kupieckich sań, które dla obrony przed zbójami trzymały się razem. Ale już nazajutrz, w bliskości Miasta, na szlaku zrobiło się gwarniej – dźwięczały dzwonki, świszczały baty, co rusz odpowiadali na pozdrowienia. Sanie trzęsły się, podskakując w głębokich koleinach. Maciek musiał bardzo uważać na rozbuchane psy, aby nie sczepiły się z którymś z mijanych zaprzęgów. Na węższych, bardziej krętych odcinkach szlaku tworzyły się nawet zatory – wtedy częściej niż „Szczęść Boże” słychać było głośne przekleństwa.

W końcu, jeszcze za dnia, wjechali między pierwsze murowane domy – na ogół niezamieszkane, bez drzwi i szyb w oknach, z zapadniętymi dachami i dziurami w ścianach po wykutym żelastwie. Tylko gdzieniegdzie od traktu odbiegała wydeptana dróżka między zmrożonymi pryzmami śniegu na poboczu, zszarzałymi od miejskich pyłów i oplecionymi sznurami szczurzych tropów. Osmalone kominy i zręby ceglanych murów obsiadły wrony. Całe ich chmary krążyły ponad bezdrzewnymi ulicami, wypatrując padliny, której tutaj nigdy nie brakowało.

Kacper miał w pamięci obraz Miasta sprzed lat, kiedy przywędrował tu ze Stachem jako młody chłopak i szeroko otwierał oczy ze zdumienia. Wówczas były to tylko ruiny, martwe i puste, zbyt wielkie na ludzką miarę, zbyt obce, żeby rozbudzać tęsknotę za bezpowrotnie minioną przeszłością. Ślad tamtego pierwszego, przygnębiającego doznania pozostał w nim na zawsze. Po przenosinach do Lasu nigdy już tutaj nie wrócił, choć nie istniała ku temu żadna rozsądna przyczyna. Wszyscy jego sąsiedzi bywali w Mieście kilka razy do roku – na targu, na nabożeństwie w Katedrze, u krewnych albo po prostu powodowani zwykłą ciekawością – lecz Kacper wszelkie konieczne sprawunki zlecał synowi, nie nęciły go miejskie cuda, o których tyle mu opowiadano. Nie zmienił zdania, nawet mimo przeprowadzki starego Józwy. A może właśnie dlatego?

Dziś młodzieńcze wspomnienia odżyły w nim tylko na krótko, gdy przemierzali rozgrabione, wyludnione przedmieścia. Później, w miarę jak mijali kolejne przecznice, zagłuszył je wzrastający z każdą chwilą uliczny gwar. Głosy ludzi, nawoływania, śmiechy i przekleństwa dobiegały ze wszystkich stron, ujadały psy, meczały żałośnie pędzone do rzeźni kozy. Na rogach ulic płonęły żelazne kosze z węglem, czuł bijące od nich gorąco.

Kacper z trudem przesuwał narty w grząskim, cuchnącym psimi szczynami błocie, które nie twardniało mimo mrozu, nieustannie mielone płozami. Dalej zazgrzytał nagi bruk. Kopacz przypomniał sobie, że pod głównymi ulicami Miasta biegną ogrzane kanały.

Wypiął deski, zarzucił je na ramię i gwizdnięciem przywołał Kudłacza. Nie był już pewien, czy ma przed sobą sanie Maćka, czy może jakieś inne, ale nie chciał wołać, żeby nie zwracać na siebie uwagi przechodniów. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się bezradny w swojej ślepocie. Nie umiałby teraz nawet określić, z której strony zachodzi słońce – przytłaczał go zimny cień wysokich, kilkupiętrowych budynków. Starał się iść prosto, ale i tak co rusz ktoś go potrącał i popychał, czasem obrzucając przy tym wyzwiskami. Kudłacz niewiele mu pomagał – dreptał przy nodze zjeżony, z podkulonym ogonem. Jeszcze nie opuściła go na dobre trwoga tamtej wietrznej nocy, a już musiał zmierzyć się ze zgiełkiem Miasta, nieustannym ruchem, drażniącą mieszaniną nieznanych woni. Kilkakroć chciał pociągnąć swego pana do któregoś z cichszych zaułków, ale Kacper na to nie pozwalał, osadzał go szarpnięciem krótkiej smyczy.

– Spokojnie, piesku – szeptał. – Szukaj Maćka, szukaj…

Drżący Kudłacz mocniej przytulił się do jego kolana. Kacper przeszedł jeszcze kawałek, a potem przystanął bezradnie w głębokiej po kostki brei. Nie potrafił się już połapać w tym chaosie dźwięków i zapachów, które nie układały się w wyobraźni w żaden spójny obraz. W Lesie nie pobłądził nigdy, dorównywał najlepszym myśliwym, a po ciemku radził sobie nawet lepiej od nich – tutaj zaś sterczał żałośnie niczym zagubione dziecko, nieskończenie samotny na wypełnionej ludźmi ulicy.

– Masz jakieś zmartwienie, dziadku? – Usłyszał za plecami młody, dziewczęcy głos. – A może chciałbyś pójść ze mną i rozweselić się trochę?

Odwrócił się ufnie.

– Prowadzisz tu gospodę?

– Można to tak nazwać. – Roześmiała się, a potem spytała już mniej przyjaźnie. – Masz czym zapłacić?

– Nie noszę pieniędzy. W Lesie nie są potrzebne. Przyszedłem tu z synem, on zapłaci.

– Który to?

– Gdzieś mi się zawieruszył. Poczekam u ciebie, przed nocą na pewno mnie znajdzie.

Znów zachichotała, ale kopacz wyczuł, że patrzy już gdzie indziej.

– Chyba dawno nie byłeś w Mieście, co, dziadku?

– Dawno.

– To widać. Uważaj na siebie. Takich jak ty oskubują tutaj w jeden wieczór. Pogonią cię w samych gaciach na mróz. Wrony już mają cię na oku, a one znają się na rzeczy. W największym tłumie potrafią wypatrzyć kogoś, kto wygląda, jakby miał nie dożyć świtu.

Odeszła, zabierając ze sobą woń taniego pachnidła.

– Zaczekaj! – zawołał za nią, nagle przestraszony, że ten jedyny życzliwy głos Miasta lada chwila rozpłynie się bez śladu. – Nie spotkałaś ostatnio młodej dziewczyny, która przyszła ze wsi? Ma na imię Kaśka.

– Całe setki! – odkrzyknęła z daleka. – Ale one nigdy nie mówią, jak naprawdę się nazywają.

Kacper poczłapał z wolna przed siebie, rozchlapując butami zimne błoto. W lesie

wiedziałby, co robić – zakopałby się w śnieżnej jamie, wpuścił Kudłacza pod kożuch i grzejąc się jego ciepłem, bezpiecznie przespał noc. Na wsi, choćby całkiem obcej, zapukałby po prostu do pierwszej z brzegu chaty i poprosił o nocleg. Tutaj jednak wszystko miało swoją cenę – nawet życzliwość młodej dziewczyny, choć darmowa, pozostawiła po sobie posmak nieprzyzwoitości.

Mocno zatęsknił do Miry. O wiele mocniej, niż mu się to kiedykolwiek przydarzyło na wykopkach.

Ponad dachami Miasta rozbrzmiały niespodziewanie czyste, głębokie dźwięki katedralnego dzwonu. Zwyczajem wieśniaków Kacper odwrócił się twarzą w stronę odległej świątyni i przeżegnał, lecz gwar wokół niego nie przycichł ani odrobinę, śpieszne kroki chlupotały nieustannie. Westchnął. Gdyby nawet wcześniej nic o tych ludziach nie wiedział, takie zachowanie powiedziałoby mu o nich wszystko.

Poczuł się tak, jakby nieznany dzwonnik pociągnął za sznur specjalnie po to, aby dodać mu otuchy. Teraz już nie był sam – był jednym z wielu, których dzwon wzywał na wieczorne nabożeństwo. Dom Boży jest otwarty dla wszystkich, nikt nie żąda zapłaty za wejście. Będzie mógł posiedzieć tam do rana, pomodlić się, zastanowić, a pewnie i przedrzemać parę godzin gdzieś w kąciku na ławie.

Śmielej ruszył naprzód. Teraz, gdy miał konkretny cel, na nowo wyostrzyły mu się zmysły. Hałaśliwy tłum przestał go onieśmielać – maszerował wyprostowany, pewnym krokiem, a ludzie ustępowali mu z drogi. Szybko uczył się nieznanej przestrzeni: mijając kolejne przecznice, wyczuwał na skroni leciutki powiew, w ślepych zaułkach popiskiwały szczury, wsłuchując się w krakanie wron na dachach, odgadywał wysokość kamienic. Dzwon zamilkł, ale Kacper nie obawiał się już, że pobłądzi. Potrafił trzymać się raz wytyczonego kierunku, nawet gdy musiał kluczyć wśród gruzów czy szukać kładki przerzuconej nad rowem pełnym odpadków.

Także i Kudłacz poczuł się chyba pewniej. Uważał na dziury otwartych kanałów i w porę odciągał Kacpra na pobocze, gdy zbliżały się rozpędzone sanie bez dzwonków.

Po zmroku uliczny zgiełk przycichał z wolna, przygasały ognie na rogach. Psie ujadanie rozbrzmiewało echem w ciasnych, otoczonych murami podwórzach, chrobotały rygle zamykanych bram. Ciemność i tężejący mróz przeganiały ludzi do domów.

Gdy przed Kacprem rozpostarła się szumiąca pustka katedralnego placu, słyszał już tylko własne kroki.

Z grubsza odśnieżona, udeptana ścieżka doprowadziła go wprost pod szerokie, kamienne schody Katedry. Z bijącym sercem wszedł na górę, przytrzymując się oblodzonej poręczy, i stanął przed masywnymi drewnianymi drzwiami. Pomimo przyczyny, która zmusiła go do pośpiesznego opuszczenia domu, w tej chwili wcale nie żałował, że tu dotarł. Te starożytne grube mury chroniły przecież największy skarb, święte serce plugawego Miasta. Za tą bramą, w półmroku i w ciszy, tliła się nieustannie mała czerwona lampka przed ostatnią w całym Podgórzu monstrancją, w której pozostała Hostia.

Zdjął z prawej dłoni rękawicę, przeżegnał się i nacisnął zimną klamkę.

Drzwi nie ustąpiły.

Jeszcze przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, potem odwrócił się powoli i usiadł na schodach. Poczuł na twarzy ciepły oddech zaniepokojonego Kudłacza, ale nie

odpowiedział żadnym słowem ani gestem, więc pies złożył pysk na jego kolanie, skamląc cicho, niemal bezgłośnie.

Nagle spadło na niego całe zmęczenie ostatnich dni, cała gorycz i strach, gniew i zawód. Trzymał to wszystko na wodzy, kiedy bez pożegnania z żoną opuszczał wioskę, nie pokazał niczego przed Maćkiem, lecz teraz, sam jeden na pustym placu, dłużej już nie potrafił. Pochylał się coraz niżej, aż wreszcie dotknął czołem psiego łba. Kilka ciepłych łez wsiąkło w sierść.

– To nie jest miejsce dla takich jak my, szczeniaku – wyszeptał. – Musimy się stąd zabierać.

A jednak nie wstawał. Był słaby jak starzec, osaczony przez złe przeczucia, zniechęcony do próżnych wysiłków. Nawet głód i mróz nie mogły pobudzić go teraz do działania i coraz głębiej zapadał w beznadziejne, senne otępienie. Obojętnie myślał o wronach, które pewnie przyglądały mu się z gzymsów Katedry.

Naraz Kudłacz warknął z cicha, ostrzegawczo. Człowiek, obcy.

Leśny nawyk okazał się silniejszy niż wszystko inne. Kacper oprzytomniał od razu, ale nie poderwał się, ukradkiem tylko zamknął w rękawicy pysk psa, aby go uspokoić. Usłyszał ostrożne kroki i po chwili ktoś poruszył pozostawione u podnóża schodów narty.

– Nie warto, przyjacielu – odezwał się Kacper, podnosząc głowę. – To się nie przyda na waszym miejskim błocie.

Zaskoczony złodziej zamarł, jednak po chwili wahania odłożył narty i zagadał szybko, niemęskim, zająkliwym głosem:

– Dobrze już, dobrze. Myślałem, że ktoś je tutaj zostawił, nie zauważyłem cię po ciemku.

Kudłacz nie wytrzymał dłużej, szczeknął zaczepnie i szarpnął się, ale Kacper nie wypuścił smyczy z dłoni.

– Spokojnie! – Tamten cofnął się o kilka kroków, szurając butami po zmrożonym śniegu. – Nie szczuj psa. Mam tu kij nabijany gwoździami, w razie czego będziesz musiał wracać do domu bez przewodnika.

Kacper cmoknięciem uspokoił Kudłacza.

– Twój kij może wystarcza na miejskie kundle, ale to jest półkrwi wilk. Przegryzłby ci gardło, zanim zdążyłbyś zesmrodzić się ze strachu.

Złodziej roześmiał się niepewnie i głośno splunął.

– Co tu robisz po zmroku, kmiotku? Zabłądziłeś?

Kacper wzruszył ramionami.

– Dla mnie wszystko jedno, noc czy dzień.

– Posiedź tu jeszcze trochę, a jak ci dupa przymarznie do schodów, sam zauważysz różnicę.

– Nie musisz się o mnie troszczyć.

– Pewnie, że nie muszę. Ale jakoś szkoda mi ciebie. O tej porze kręcą się po Mieście różne męty.

– Gorsze od ciebie?

– Mnie chodziło tylko o narty. Kto inny zastrzeli ci psa, zedrze z grzbietu kubrak i zabierze buty. – Zbliżył się znowu, ostrożnie. Skrzypnęła poręcz, gdy się na niej oparł. – A jak spotkasz strażników, może być jeszcze gorzej. Bardzo są cięci na włóczęgów.

Kacprowi ciążyła głowa. Coraz trudniej było mu mówić, usta drętwiały od mrozu.

– Idź już… – wykrztusił.

– Dobra, nic tu po mnie. Ale ty, jeśli masz choć trochę rozumu, pójdziesz ze mną.

– Dokąd?

– Tam, gdzie jest miejsce dla takich jak my.

Gdy zaszurała po bruku odsunięta pokrywa i Kacper pochylił się nad otworem kanału, spowił go ciepły opar, przesycony smrodem stłoczonych w dole ludzi. Chciał się cofnąć, ale tamten stał tuż za nim, przytupując niecierpliwie w miejscu.

– Kręcisz nosem? Nikt cię nie zmusza, żebyś tam złaził. Możesz zostać sobie na świeżym powietrzu, tylko pamiętaj, drugiego zaproszenia nie dostaniesz. Decyduj się szybko, nie będę tu sterczeć do rana.

Kacper położył dłoń na karku Kudłacza. Pies węszył czujnie, ale nie okazywał strachu.

Odetchnął głębiej, aż mróz sparzył mu płuca, odwrócił się i poszukał czubkiem buta pierwszego szczebla chwiejnej drabiny. Zszedł głębiej, a gdy poziom gruntu miał na wysokości piersi, pochylił głowę i klepnął się w kark – zawsze wykonywał ten gest, gdy opuszczali się razem do głębszych wykopów. Kudłacz bez wahania wskoczył mu na barki, moszcząc chudy zad w futrzanym wnętrzu opuszczonego kaptura i opierając pysk na jego ramieniu.

– Od razu widać, że to leśny pies. – Roześmiał się złodziej. – Tutejsze kundle są ostrożne, nie zbliżają się do kanałów.

– Dlaczego?

– Bo łapiemy je na pętlę i zjadamy.

Kacper zatrzymał się z uniesioną twarzą, cały już niemal pogrążony w rozgrzanej ciemności włazu.

– Myślałem, że tylko parszywcy jedzą psy.

Obcy zachichotał.

– Świat się zmienia, kmiotku. Ale nie martw się, przewodnika nikt nie tknie. Między nami też są ślepcy.

Spodziewał się wilgoci i smrodu miejskich ścieków, lecz powietrze było suche i duszne, przesycone wyziewami tkwiących w ciasnocie ludzi. Złodziejaszek poprowadził go wzdłuż popękanej betonowej ściany. Co rusz potykał się o nogi śpiących, jakieś tłumoki i sakwy, ściągając na siebie przekleństwa i psie powarkiwania. Musiał mocno trzymać Kudłacza za obrożę, aby nie wdał się w niepotrzebną szarpaninę.

– Kładź się tutaj, przy mnie. – Kanalarz butem roztrącił jakieś toboły. – Masz tu pół bochenka chleba i pęto kiełbasy. Jak nie zjesz od razu, dobrze schowaj, bo wyżrą szczury. I pilnuj psa, żeby nie szczał po kątach. Ludzie tego nie lubią, utopią ci go w gnojówce.

Kacper wpełzł między leżących, zzuł buty i wyciągnął się na wznak na gołej posadzce. Kudłacz zwinął się pomiędzy jego stopami. Było bardzo ciepło, gdzieś blisko musiała przebiegać rura grzewcza, po pewnym czasie Kacper ściągnął więc kubrak i wsunął zwinięty pod głowę. Odgryzł kęs kiełbasy, resztę rzucił psu. Chleb położył na piersi

i skubał po trochu. Ogarnęło go wielkie znużenie, nie potrafił skupić na niczym myśli, a jednak sen nie nadchodził.

Złodziej sapał ciężko, miarowo, ale sąsiad z drugiej strony wiercił się niespokojnie, mruczał coś pod nosem, a wreszcie odwrócił się do Kacpra i spytał bełkotliwym szeptem:

– Nie masz trochę gorzałeczki? – Cuchnęło mu z ust.

– Nie – rzucił Kacper oschle, żeby zniechęcić go do rozmowy.

– Masz bukłaczek, masz. Chlupotało, słyszałem.

– Nie piję wódki.

– Daj.

– Przecież mówię ci, że nic nie mam!

– Daj, daj. – Natręt przysunął się tak blisko, że Kacpra przeniknął wstręt. – Dawaj!

Uderzył go mocno łokciem w żołądek, aż tamten przetoczył się na drugi bok. Stękał przez jakiś czas, skulony, a potem niespodziewanie rozpłakał się jak dziecko.

– Nie bij, nie bij… Myślałem, że jesteś dobry, bo pachniesz dymem z ogniska, prawdziwym, leśnym, drzewnym, i jeszcze liśćmi, i jeszcze kozim mlekiem, i jeszcze kobietą, i kuchnią, i wiatrem, i smarowidłem do nart. Ale ty jesteś zły. Bijesz i nie dajesz gorzałeczki.

– A ty jesteś śmierdzącym pijakiem!

– Zostaw go, pochlipie sobie trochę i uśnie – wtrącił się złodziej. – Trzeba było dać mu miedziaka, poszedłby się napić i dałby ci spokój.

– Pieniędzy też nie mam.

– Trudno w to uwierzyć. Za dobre nosisz buty jak na biedaka. Uważaj na nie, bo nie tylko ja słyszałem, jak pięknie stukały, kiedy szedłeś.

– Pierwszy, który wyciągnie po nie łapę, straci palce.

Tamten zasyczał bezdźwięcznym śmiechem.

– Prawda, pies! Ciesz się nim, póki możesz. Takim jak on Miasto nie służy. Zdychają z tęsknoty za Lasem, widziałem to już wiele razy.

Kacper potarł kostką bosej stopy skłębioną, ubłoconą sierść.

– Nie zatrzymamy się tu długo.

– Każdy z was na początku tak mówi, ale potem i tak nie wracacie do siebie na wieś. Ciepło rozleniwia, kmiotku. Posiedzisz tu trochę i też nie będzie ci się chciało biegać całymi dniami na mrozie. Popytaj tych tu złodziei, żebraków i pijaków, kim byli dawniej. Ten koło ciebie, na przykład, musiał być kopaczem, chociaż teraz sam już tego nie pamięta. Ale dużo wie o tym fachu.

– On? Nigdy w to nie uwierzę. Kopacze mają swoje zasady.

Złodziej tylko dźwignął się na łokciu.

– Przyjrzyj mu się.

– Nie jestem ciekaw jego gęby.

– Przyjrzyj mu się, kmiotku! Nawet w kanałach można się nauczyć o życiu czegoś nowego.

Kacper usłuchał, głównie dlatego, że z obu stron rozległy się już niechętne pomruki rozbudzonych kłótnią ludzi.

Pijak leżał teraz na plecach, uspokoił się i chyba zapadł w drzemkę. Kopacz dotknął

jego rozgrzanej twarzy i umknął ręką, ale złodziej naparł na niego z tyłu, sącząc mu w ucho:

– Obejrzyj go sobie dobrze, kmiotku. Zrozumiesz od razu, że wcale nie jesteś aż taki nieszczęśliwy, jak ci się zdaje.

Przemógł się, choć z obrzydzenia na czole skroplił mu się zimny pot.

Dotykał w życiu wielu okaleczonych twarzy – poodmrażanych, pokiereszowanych niedźwiedzimi pazurami – ale takiej jak ta nie potrafiłby nawet sobie wyobrazić.

Pod czołem, zaklęśniętym pośrodku i guzowatym na bokach, rozdziawiał się pustką lewy oczodół, ogromny i nieforemny, jakby wybity pięścią, aż po skroń i kość policzkową. W prawym, mniejszym, wciąż tkwiło ślepe oko, tylko częściowo zakryte opadłą powieką, obrzmiałe i wysadzone na wierzch. Uszy wisiały w strzępach, w nierównych otworach rozdętych nozdrzy rozkrzewiło się splątane, osmarkane włosie. Górna, zrogowaciała warga sterczała jak dziób, dolna, obkurczona licznymi bliznami, odsłaniała aż po dziąsła kilka ostatnich, poutykanych krzywo zębów.

– Nie bój się, nie ma już na nim ani odrobiny parcha. Jest czysty. – Złodziej odsunął się. – Ale na ulicę i tak nie wychodzi za dnia, bo ludzie szczują go psami.

– Nie wiedziałem, że to tak wygląda… Nigdy nie spotkałem ozdrowieńca.

– I twoje szczęście. W Lesie tacy jak on rabują na drogach. Tutaj mogą iść do straży albo do zbierania trupów na Czarnym Szlaku. A ślepi tylko do huty, gdzie wrzucają do pieca to całe ścierwo. To już chyba uczciwiej być śmierdzącym pijakiem, co, kmiotku?

– Na pewno jest jakaś inna droga…

– Nie ma. Odpokutował swoje, wyzdrowiał, ale nikt nie przywróci mu ludzkiego wyglądu. W głowie też coś mu się rozkleiło, jak im wszystkim. Słabo pamięta swoje dawne życie, nie poznaje bliskich, nie wie, gdzie mieszkał ani nawet jak się nazywa.

– To pewnie przez gorzałkę.

– Możliwe. Wszyscy ozdrowieńcy chlają, jakby chcieli zapić się na śmierć.

Nieszczęśnik zajęczał przez sen, poruszył niespokojnie głową, a potem nagle zaczął wyć tak przejmująco, tak rozpaczliwie, że Kudłacz zawtórował mu skomleniem.

Kanalarz trącił Kacpra w ramię.

– To mój bukłaczek przedtem mu zachlupotał. Masz, daj mu pociągnąć, inaczej nie przestanie. Czasem, kiedy zasypia na trzeźwo, śnią mu się jakieś strachy i kwiczy, jakby znowu oblazł go parch.

Kacper wsunął dłoń pod kark ozdrowieńca, uniósł jego głowę i przyłożył szyjkę bukłaka do zniekształconych warg. Ten chciwie pociągnął długi łyk i zakrztusił się, bijąc rękami na boki. Gdy odzyskał zgrzytliwy oddech, westchnął płaczliwie:

– Światło, światło… Gdzie światło?

Obrócił się na bok, podciągnął kolana i usnął znowu, ukrywając potworną twarz w dłoniach.

Od świtu Kacper znów krążył po Mieście, licząc na to, że może Kudłacz natrafi przypadkiem na ślad Kaśki i go do niej doprowadzi. Nie błąkał się już tak bezradnie jak poprzedniego dnia. Przez cały czas orientował się, z której strony jest plac katedralny

i właz do podziemnej kryjówki. Oswoił się nieco z nowymi dźwiękami i zapachami, nie bał się tłumu i nie wyobrażał już sobie, że wszyscy przechodnie przyglądają mu się z politowaniem. Jak inni przystawał na rogach, żeby ogrzać się trochę przy ogniu, słuchał sprośnych piosenek podwórzowych grajków i zwyczajnych rozmów o pogodzie.

Zaszedł nad skutą lodem rzekę, gdzie było trochę spokojniej; krakanie wron rozbrzmiewało donośnie między skarpami nabrzeży. Myślał o ojcu – o tych wszystkich wiosnach, kiedy stary Józwa wyczekiwał tutaj wędrującego w Góry stada pingwinów, aby odszukać pośród nich tego jednego jedynego, który przyniesie mu kilka słów od utraconego na zawsze pierworodnego syna.

Coś zadźwięczało Kacprowi pod okuciem buta, więc się schylił – to był mały pieniążek, tak mocno wytarty, że nie potrafił wyczuć palcem cyferki. Zresztą i tak nie znał się na miejskich cenach. Wrócił na główną, szeroką ulicę i dał się ponieść tłumowi do wielkiej, gwarnej hali targowej, gdzie trudno było się przecisnąć między długimi rzędami straganów. Pomyślał, że w takim miejscu prędzej czy później Kaśka musiała się pojawić, zagadnął nawet paru przekupniów, ale zbyli go niecierpliwie, zajęci własnymi sprawami. Kilka razy zdawało mu się, że słyszy jej głos czy śmiech. Ruszał w tamtą stronę, wlokąc na smyczy ogłupiałego Kudłacza, roztrącając ludzi i wołając ją po imieniu, wpadał na stragany, przewracał jakieś kosze, aż w końcu zdał sobie sprawę, że ściga złudzenie. W tym rozgardiaszu mogliby się minąć choćby o kilka kroków, nie wiedząc o sobie nawzajem.

Ledwie rozbudzona nadzieja znów przygasła. Kacper, strapiony i zbiedzony, położył miedziaka na zatłuszczonych deskach jakiegoś straganu. Dostał za to przypalony placuszek z lichej mąki i kubek kumysu, a dla Kudłacza do ogryzienia ptasie łapki. Zjadł na stojąco, przyparty plecami do zimnego żelaznego filaru, i uciekł stamtąd chyłkiem.

Snuł się bez celu po zatłoczonych ulicach, wrony krakały mu nad głową. Gdy słyszał dźwięczące na bruku podkute buciory strażnika, skręcał w któryś z zaśnieżonych zaułków. Ledwie trzymał się na nogach, przemarznięty i wycieńczony, gdy wreszcie znowu zbłądził na plac przed Katedrą.

Wspiął się na schody. Teraz, w środku dnia, drzwi nie były zamknięte na klucz. Uchylił je nieśmiało. W środku szemrała z cicha różańcowa modlitwa, czuć było parujące futra, naniesione błoto i zawilgocone mury.

– Gdzie się pchasz z tym psem? – zaburczał w przedsionku odźwierny. – Uwiąż go pod schodami.

Kacper przystanął w progu.

– Nie mogę zostawić go samego. Nie zna Miasta, będzie się bał.

– Słyszałem, że tam u was, w Lesie, psy szczają pod ołtarz. Uważaj, kmiotku. Nie lubimy tu dzikusów.

– Pozwól mi chociaż stanąć w przedsionku. Pomodlę się i zaraz sobie pójdę.

Tamten chwycił od wewnątrz za klamkę i wychylił głowę przez szparę.

– Myślisz, że nie wiem, coś ty za jeden? Z daleka śmierdzisz kanałem. Zabieraj się stąd albo zrzucę cię ze schodów.

Drzwi trzasnęły głucho. Szeleszczące pod wysokim sklepieniem pobożne szepty urwały się.

Kacper poczuł nagły przypływ gniewu. Kopnął w rzeźbione drewno bramy, szarpnął za

klamkę, ale nim zdążył zrobić coś gorszego, ktoś objął go mocno z tyłu, przyciskając mu ramiona do boków.

– Spokój, ojciec. – Połaskotał go w ucho zdyszany głos syna. – Na placu stoi strażnik, patrzy na nas.

Maciek zaprowadził go pod wypalony szkielet wieżowca. W takich ogromnych budynkach nikt nie mieszkał z obawy przed Wietrzyskiem, wykorzystywano jednak każdy skrawek ich obszernych podziemi. Myśliwy znał tutaj niewielką gospodę, gdzie zaglądali głównie leśni ludzie, którzy załatwiali w Mieście swoje sprawy. Stał tu długi stół na krzyżakach, zbity z tarcic, i ławy zarzucone wyłysiałymi skórami. Całą resztę betonowej podłogi zajmowały setki, tysiące skrzynek pod uprawę pieczarek, górą przebiegały owinięte brudną otuliną rury ciepłownicze. Jadało się tu po wiejsku, tłusto i prosto, bez żadnej szklarniowej zieleniny, co najwyżej z żołędnymi kiełkami dla smaku. Na szorstkim blacie wciąż pojawiały się kolejne oszronione dzbany kumysu, psy skamlały pod ławami, żebrząc o resztki posiłków, w ceglanej wędzarni wisiały za ogony ogromne szczurze tuczniki. Gdyby nie uliczny gwar, który sączył się poprzez maleńkie okienka pod samym sufitem, można by pomyśleć, że to zwyczajne leśne przytulisko, jakich wiele przy ruchliwszych traktach.

Kacper przeżegnał się szeroko, z kociołka zawiesistej polewki wyłowił kozie kopytko i rzucił Kudłaczowi pod stół; dopiero potem sam siorbnął z chochli, ale bez wielkiej ochoty, choć od rana nic nie jadł. Domyślał się, że długie milczenie siedzącego naprzeciw Maćka nie oznacza niczego dobrego, wolał jednak już wreszcie usłyszeć jakieś pewne wieści, choćby niepomyślne, od tego szukania na oślep.

– Mów. – Odłożył chochlę.

Myśliwy nalał do kubka kumysu, wypił duszkiem.

– Aleś mi się urwał, ojciec. Szukałem cię wszędzie aż do nocy, a dzisiaj od świtu znowu. Na szczęście wpadło mi do głowy, że pewnie zajrzysz do Katedry.

Kacper położył dłonie płasko na stole i pochylił się nieco naprzód.

– To nie mnie miałeś szukać – powiedział spokojnie, choć głęboka bruzda na czole zdradzała tłumiony gniew. – Czegoś się dowiedział o Kaśce?

– Niewiele… właściwie nic. – Napił się znowu. Długo pochrząkiwał i sapał, wreszcie wypalił porywczo: – Musimy o niej zapomnieć, ojciec!

– Co ty gadasz?

– Nie znalazłem jej, ale widziałem na ulicy tego obsrańca, z którym uciekła.

– Trzeba było go zmusić, żeby cię do niej zaprowadził!

– Nie rozmawiałem z nim. Nawet do niego nie podszedłem. Miał na głowie żelazny hełm. – Teraz także i on pochylił się nad stołem. – To technik, rozumiesz? Nic nie możemy mu zrobić.

Kacper przymknął powieki. Długo nie odpowiadał. Zdawało się, że przyjął wieść spokojnie, ale gdy się wreszcie odezwał, głos miał dziwnie zdławiony.

– Jesteś tego pewien?

– Przecież nie gadałbym na próżno! Kaśka jest w Ciepłowni. Nie wyrwiemy jej stamtąd, jeśli sama tego nie zechce. – Przekrzywił głowę, przyglądając się ojcu uważnie. – Czegoś tak zbladł? Mogła trafić dużo gorzej, przecież wiesz. A i dla nas wstyd przed ludźmi mniejszy, że nie uciekła z byle kim. Znajdą się baby we wsi, co nawet będą zazdrościć.

– Nic nie wiesz o Ciepłowni…

– A co ty możesz wiedzieć? Ostatni raz byłeś w Mieście, jeszcze zanim się urodziłem.

– Ksiądz Rafał odprawiał nabożeństwa w kaplicy dla techników. Opowiadał mi, co tam się wyrabia.

– Ludzie mówią, że technicy trzymają się z daleka od wody święconej.

– Ale niektórzy mają pobożne żony. Nasłuchał się od nich na spowiedzi takich rzeczy, że… – Urwał, odetchnął jakoś boleśnie. – Pójdę po nią.

– Nie wpuszczą cię nawet za bramę.

– Wpuszczą. Uczyłem się z Ciepłownikiem w biskupiej szkole na Krzywym Wierchu.

– Na pewno cię już nie pamięta.

– Trzymaliśmy się razem, zanim dziadek postanowił się wynieść z Miasta do Lasu. Dużo rozmawialiśmy o przyszłości. Miał wiele dziwnych pomysłów. Niektóre zachwycały mnie, inne przerażały. Kiedyśmy się rozstawali, dałem mu klucz do Biblioteki na Krzywym Wierchu. Wiedziałem, że jemu przyda się bardziej. Był zdolniejszy ode mnie, no i widział, mógł czytać. Skorzystał z tego. To, czego się nauczył z książek, dało mu wielką przewagę. Szybko z mnicha stał się Ciepłownikiem. – Pokiwał głową do własnych wspomnień. – Dzisiaj żałuję, że tego klucza nie wrzuciłem gdzieś do przerębli. Sama wiedza nie czyni mędrca, potrzeba jeszcze pokory.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś… Ale i bez tego włamałby się jakoś do Biblioteki.

– Tam są kraty w oknach i żelazne drzwi. Potrzebowałby kilku silnych chłopów do pomocy, a w tamtych czasach ludzie martwili się tylko o to, jak przeżyć jeszcze jeden dzień. Nikt nie poszedłby z nim na taką ciężką wyprawę.

– Dobrze. Powiedzmy, że Ciepłownik wie, co to wdzięczność, i pozwoli ci się zobaczyć z Kaśką. I co? Myślisz, że ona wróci, kiedy ją ładnie poprosisz?

– Wróci, kiedy zrozumie.

– Co jej właściwie grozi?

– Nie o wszystkim musisz wiedzieć. To babskie sprawy.

– Jak nie chcesz, to nie mów. – Maciek wzruszył ramionami trochę urażony. – Z Kaśką może sobie poradzisz, ale jest jeszcze technik.

– Wydaje mi się, że już go wcześniej spotkałem, w Lesie, przed odpustem. – Zawahał się, w zamyśleniu zgarnął ze stołu na ziemię jakieś okruszki. – Jeśli nie pomyliłem się co do niego, to nie jest zły chłopak. Porozmawiam z nim. Okaże się, czy naprawdę zależy mu na Kaśce. Może dostać ją uczciwie, jak należy, z błogosławieństwem ojców, byle tylko ją stamtąd zabrał.

– Byłby głupi, gdyby zamienił żelazny hełm na pierwszą lepszą kieckę.

– Twoja siostra nie jest pierwsza lepsza.

– Dobrze, dajmy już temu spokój. Prześpimy się tutaj i rano pójdziemy do Ciepłowni. Zobaczymy, co się da zrobić.

– Sam pójdę. Ty masz gorącą głowę, nie chcę żadnych awantur. Spotkamy się tu jutro

wieczorem. – Dopił kumys i wstał. – Daj mi trochę pieniędzy.

– A ty dokąd?

– Po pociechę.

Słońce już zaszło, gdy Kacper po raz trzeci, opierając łokieć na poręczy, wspiął się na wysokie schody Katedry.

Postanowił sobie, że tym razem nie da się odpędzić. Zamierzał przekupić odźwiernego, a jeśli nie zechce go wpuścić – poszczuć na niego Kudłacza.

Chciał zastukać, ale jedno skrzydło drzwi było otwarte. Zawołał z cicha – nikt do niego nie wyszedł. Zawahał się i lękliwie przestąpił próg, przekonany, że lada chwila ktoś złapie go za kołnierz i wywlecze z powrotem.

Nic takiego się nie stało, ale Kudłacz zaparł się niespodziewanie w przedsionku wszystkimi czterema łapami i nie chciał iść dalej, choć Kacper przynaglał go szeptem, szturchnął nawet butem.

– Co ci się znowu uroiło we łbie? Właź albo ostaniesz tu sam.

Bał się, że odgłosy szarpaniny ściągną w końcu jakiegoś strażnika przechodzącego przez plac, więc wypiął smycz i pozwolił psu wymknąć się na zewnątrz. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, jak Kudłacz mości się w jamie wygrzebanej w zaspie pod schodami, po czym ściągnął czapę i prawą rękawicę i poszukał dłonią obok siebie wody święconej. Rozgarnął pływające w kropielnicy lodowe płytki, zamoczył palce i przeżegnał się szeroko.

Wkroczył w kamienną, przestronną pustkę nawy – chyba nikogo tu nie było, słyszał tylko chrobotanie ptasich pazurów gdzieś na gzymsie wysokiego okna. Starał się iść jak najciszej, ale nabite gwoździami podeszwy stukały przy każdym kroku, gdzieś w bocznych nawach podzwaniało echo. Wnętrze świątyni ostygło już po wieczornym nabożeństwie, od wiekowych murów ciągnął ziąb.

Gdzieś tam dalej, w ciemnościach, trwała milcząca Obecność, przy której tak bardzo pragnął odpocząć, nabrać otuchy, zapomnieć choć na tę jedną noc o swoim osamotnieniu. Chciał uklęknąć na stopniach przed samym ołtarzem, żeby jego twarz odtajała w cieple świec.

Śmielej ruszył do przodu, kładąc dłoń na oparciach kolejnych ławek, gdy raptem w tyle skrzypnęły drzwi i ktoś potknął się niezdarnie na progu. Poczuł się jak złodziejaszek, któremu grozi przyłapanie na gorącym uczynku; szybko, bez szmeru wsunął się do najbliższej ławki. Znów ogarnął go niepokój, jakieś dręczące przekonanie, że coś nie jest w porządku.

Po chwili już wiedział – Kudłacz nie przybiegł, aby ostrzec go, że zbliża się ktoś obcy.

Skupił się na tym nierównym, niepewnym człapaniu. Potrafił wiele dowiedzieć się o człowieku, słuchając jego kroków: czy był ślepy, czy widzący, zdrowy czy chory, trzeźwy czy pijany, młody czy stary. Inaczej chodził mężczyzna, inaczej kobieta, inaczej brzmiały kroki kogoś przyzwyczajonego do miejskich bruków, a inaczej kogoś przywykłego do oblodzonych leśnych ścieżek.

Podniósł głowę, zaskoczony. Ktoś stąpał boso po zimnych, kamiennych płytach pustej Katedry, kulejąc wyraźnie na jedną nogę. Ktoś samotny, znękany, osłabiony i przemarznięty. Z trudem posuwał się naprzód, potykał się często i przystawał. Gdy przechodził tuż obok, Kacper przekonał się, że nie cuchnie jak nędzarz albo włóczęga. Czuł zapach jego odzieży okadzonej nad żywicznym dymem, nasmarowanych tłuszczem włosów dla ochrony przed robactwem i czegoś jeszcze, czego nie potrafił rozpoznać – dopiero po chwili przypomniał sobie, że tak właśnie pachniały dłonie księdza Rafała, kiedy posługiwał konającym. To była woń olejku ostatniego namaszczenia.

Bosonogi człowiek przemierzył całą długość nawy, ale nie uklęknął przed ołtarzem. Posuwisty szmer zdradził, że położył się na podłodze, zapewne twarzą do dołu, jak pokutnik. Kacper słyszał jego rwane, charkotliwe sapanie. To nie był oddech kogoś, kto się modli, ale kto bardzo się boi.

Niedługo potem z zakrystii przydreptał drobnym, starczym krokiem ksiądz, bez dzwonków, bez śpiewu, bez kadzidła. Nie zapalił ani jednej świecy i od razu, jakby w pośpiechu, zaczął odmawiać *Wieczny odpoczynek*.

– Prochem jesteś, w proch się obrócisz – zakończył głośniej. Chlapnął trzykrotnie wodą święconą tak zamaszyście, że kilka kropel padło Kacprowi na twarz, a potem odszedł, postukując laseczką.

Szurając ociężale podeszwami, zjawił się ktoś jeszcze, chyba kościelny.

– Masz tu, parszywcu, czarny płaszcz, koc, dzwonek i buty z kolcami na drogę. – Rzucił na podłogę worek. – Do rana musisz zniknąć z Miasta. Jeśli ktoś zobaczy cię poza Czarnym Szlakiem, zastrzeli jak wściekłego lisa.

Wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi od zakrystii.

Pokutnik oddychał teraz spokojniej, jakby po wszystkim odczuł ulgę.

Tej nocy Kacper pozostał w Katedrze, nawet kiedy nieszczęśnik wstał i ruszył w długą drogę do Kopalni, aby przed świtem być już daleko od Miasta. Nie spał jednak w ogóle – trochę się modlił, trochę rozmyślał o tym, co czeka go następnego dnia, ale wciąż nie mógł się otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia, jakie zrobił na nim ten nielitościwie szybki, jakby pokątny obrzęd – pogrzeb bez dostojeństwa śmierci i bez nadziei na zmartwychwstanie.

Nie dowiedział się, czy parch to kara za grzechy, czy też zwyczajna choroba, która może dotknąć każdego, za to w zaciszu pustej nawy zrozumiał wreszcie, dlaczego ksiądz Rafał wolał szukać Boga na Lodowcu niż tutaj.

Widział komin Ciepłowni tylko raz, w dzieciństwie, i to z oddali. Samotny, smukły, strzelisty, z resztkami białej i czerwonej farby, górował nad zapadniętymi dachami, podobny do gigantycznego, martwego drzewa, ogołoconego przez stulecia wichrów i burz z gałęzi, ale zbyt grubego na to, aby dały mu radę siekiery drwali. Wtedy jeszcze nie dymił czarną smugą – na jego szczycie przysiadały puchacze, aby na ulicach opustoszałego Miasta wypatrywać szczurów. Od tego czasu wiele się zmieniło. Rafał opowiadał mu, że z rozległych placów Ciepłowni uprzątnięto gruzy i otoczono je wysokim ogrodzeniem

z drutu kolczastego. Pobudowano tam domy dla techników i ich rodzin – jedyne nowe budynki pośród byle jak połatanych ruin. Bruzda torowiska przeorała lód, opasując Miasto od północy, i ciągnęła się dalej na zachód. Dwa razy dziennie przetaczał się tędy parowóz, sapiąc i buchając kłębami siwego dymu – wlókł wagon ze sprzątaczami i drugi, otwarty, na trupy parszywców. Nocami, od zmierzchu aż po świt, docierały do Ciepłowni z odległych kopalni długie sznury wypełnionych węglem wózków. Słychać było wtedy tylko postukiwanie żelaznych kółek i dzwonki pokutników oraz ich utrudzone oddechy.

Pozostawił za sobą ostatnie zamieszkane ulice i wkroczył na omszałą ścieżkę, o której tak wiele słyszał. Była miękka, niepokryta lodem ani śniegiem, parowała oszałamiającą wonią życia. Wiedział, że to nie żadne czary – niegłęboko pod ziemią ciągnęły się gorące rury – a jednak dopiero teraz naprawdę zrozumiał, dlaczego tak wielu uważało Ciepłownika za cudotwórcę. Nie tylko wskrzesił Miasto – dokonał też czegoś o wiele ważniejszego: sprawił, że wszędzie tam, skąd widać było komin Ciepłowni, ludzie przestali się bać Lucyfera.

Nie udałoby mu się to – a przynajmniej nie osiągnąłby tak wiele w tak krótkim czasie – gdyby nie przypadek: na krótko przed wielką ucieczką z Gór zachorował ciężko i oślepł. Wydawało się wtedy, że to wielkie nieszczęście, żałowali go wszyscy, bo był zdolnym uczniem biskupiej szkoły i bardzo dobrze się zapowiadał – ale potem, gdy zrozpaczeni ludzie musieli sami okaleczać się rozpalonym nożem, jego oszczędzono. Przez rok żył w mroku, jak wszyscy, jednak później znów zobaczył światło. Wprawdzie odzyskał wzrok tylko w jednym oku, i to częściowo, lecz w społeczności ociemniałych od razu dało mu to wielką przewagę.

Dziś był potężny, miał swoich techników, strażników, poborców podatkowych, choć przecież zaczynał przed laty całkiem sam, jako wychudzony chłopaczek w złachmanionym habicie, zawsze rozczochrany i brudny od smarów i sadzy, która wżarła się w pory twarzy. Nosił wówczas powtykane za pas ciężkie klucze do śrub, wykłócał się ze złomiarzami o jakieś pordzewiałe części, odszukiwał w ruinach zasypane włazy węzłów ciepłowniczych. Nikt mu nie pomagał, gdy wywoził taczkami gruz z kotłowni, skuwał lód z rur, wykopywał spod śniegu pierwszy wagon z węglem. Nikt nie wyruszył z nim na długą, wielotygodniową wyprawę na zachód, skąd wrócił poodmrażany i wygłodzony, ale jeszcze bardziej zawzięty w swoich zamiarach. Niewielu mu sprzyjało, gdy stając przed Radą, rozkładał jakieś nadpalone schematy i plany, których i tak nikt prócz niego nie mógł zobaczyć – aby przekonać tych starców, że koniec dawnego świata może być szansą dla narodzin nowego. A nawet ci nieliczni, którzy się z nim zgadzali, woleli siedzieć cicho, gdy ksiądz potępił go z ambony za samowolne nauczanie grupki chłopców poza dozorem Kościoła.

Jednak dopiął swego, przechytrzył wszystkich. Pewnego dnia ogrzał ogromną, wyziębioną od wieków nawę Katedry, której strzeliste kolumny oplatały lodowe warkocze. Ludzie wiedzieli tylko, że rozpalił ogień w kotłowni, z poczerniałego komina buchnął gęsty dym, a niebawem nową drogę do Ciepłowni wyznaczył wąski pas rozmiękłej, odtajałej ziemi. Opowiadano głośno, że skumał się z Lucyferem, ale ksiądz, widać, sądził inaczej, bo poświęcił na nowo opuszczony od dawna kościół i odprawił tam pierwsze po Upadku nabożeństwo. Niedługo potem, gdy gorąca woda zaczęła docierać także do innych

budynków, przeciwnicy Ciepłownika ucichli na dobre. W krótkim czasie życie w Mieście zrobiło się łatwiejsze, a mróz nie tak straszny, nawet dla biedaków, którzy tylko od święta mogli sobie pozwolić na opalanie drewnem. I to właśnie dzięki nim – tłumom nędzarzy, niemających nic do stracenia – Naczelny Technik wyrósł tak szybko ponad Radę Starszych i księdza. Biedacy byli mu posłuszni i gotowi go bronić, nawet gdyby się okazało, że ich śmierdzące rudery naprawdę ogrzewa żar piekielnego ognia. To oni uczynili go tym, kim się stał po latach.

Omszała ścieżka prowadziła przez otwarte pole, gdzie w ostrych porywach gwizdał lodowaty wiatr. Nie spotkał żadnego przechodnia, zupełnie jakby ta niesamowita droga wiodła donikąd. Kudłacz przystawał często, żeby obwąchać jakąś kępkę mchu, fukał radośnie, uszczęśliwiony odkryciem, że Miasto nie jest pułapką bez wyjścia.

Beztroska prysła, gdy naraz powitało ich z daleka ochrypłe, dzikie ujadanie.

– Spokojnie, piesku. – Kacper skrócił smycz. – On jest za płotem i na łańcuchu, spuszczają go tylko na noc.

O tych wielkich, groźnych psach pilnujących Ciepłowni także słyszał od Rafała. We wsiach takich się nie spotykało – każdy z nich był silny jak młody niedźwiadek, o grubych łapach i mocnych szczękach. Szkolono je przede wszystkim do tropienia zbiegłych pokutników, ale na terenie Ciepłowni dopadały każdego, kto po zachodzie słońca znalazł się po złej stronie płotu.

Strażnik zza bramy musiał obserwować Kacpra od dłuższego czasu, bo zawołał ostro z daleka:

– Zawracaj, stary! Nie masz tu czego szukać.

Kacper nie zwolnił jednak kroku, nie uniósł zwieszonej głowy.

– Głuchy jesteś czy pijany? To Ciepłownia. Znikaj, bo narobisz sobie kłopotów.

Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy usłyszał cichutkie poświstywanie wiatru na drutach. Wyciągnął dłoń i zahaczył palce na grubym, oszronionym pręcie bramy.

– Chcę rozmawiać z Naczelnym Technikiem – odezwał się bezbarwnym, znużonym głosem.

– A pewnie! Ciepłownik nie może się ciebie doczekać. – Strażnik zarechotał, po czym wysmarkał się głośno w rękawicę. – No, już cię tu nie ma. Nie lubię poniewierać starców.

– Idź do niego i powiedz, że przyszedł Kacper, syn Józwy. Będzie mnie pamiętał.

Brama zatrzęsła się od uderzenia pałką. Cofnął rękę, ból obtłuczonych palców promieniował aż do łokcia. Musiał mocno zaprzeć się nogami, żeby utrzymać Kudłacza, który rzucił się naprzód. Pies na łańcuchu ujadał zza płotu, a chwilami charczał tylko, przyduszony.

– Wynoś się stąd, uparty leśny koźle! – Strażnik podniósł głos.

Kacper przyklęknął, objął ramieniem napięty grzbiet Kudłacza, ściągnął zębami rękawicę z obolałej dłoni i wetknął palce w śnieg na skraju ścieżki.

– U nas na wsi, kiedy widzący uderzy ślepca, przestaje być mężczyzną. – Uniósł pobladłą twarz. – Takiemu nikt już nigdy nie poda ręki, nie napije się z nim kumysu ani nie

wpuści za próg chaty. Nawet dziewczyny plują za nim i wołają, że powinien nosić kieckę zamiast spodni.

Szczęknęła zasuwa i skrzydło bramy odskoczyło gwałtownie, chyba otwarte kopniakiem.

– Pora poznać miejskie obyczaje, kmiocie!

Po silnym ciosie pałką w plecy Kacprowi zabrakło powietrza, na wpół zamroczony osunął się na śnieg. Smycz wyślizgnęła mu się z dłoni. Zdołał osłonić głowę ramieniem, ale nie padło kolejne uderzenie. Usłyszał stłumione przekleństwo, krótką szamotaninę, a potem rzężenie.

– Kudłacz! – jęknął. – Zostaw…

Pies na łańcuchu już tylko dyszał chrapliwie, miotając się w bezsilnej furii. Kacper podniósł się na kolana, poszukał w stratowanym śniegu smyczy i przyciągnął przewodnika. Kudłacz nie opierał się, dreptał tylko w kółko, jakby oszołomiony, a w końcu wetknął w gołą dłoń kopacza skrwawiony pysk. Zwykle robił tak, gdy coś przeskrobał i chciał wyrazić szczerą skruchę.

– Coś ty narobił, piesku… – wyszeptał wstrząśnięty Kacper.

Wiedział, że to koniec. Nikt mu nie uwierzy, że w tym, co się stało, nie było jego winy.

Jednak czy aby na pewno nie było? Czego właściwie się spodziewał, przychodząc tutaj? Przecież Maciek go ostrzegał, ale nie chciał słuchać syna. Zawinił głupotą, uporem i pychą. Nie uwierzył, że świat zmienił się nie do poznania od czasów, gdy rozglądał się po nim własnymi oczyma. Ludzie też się zmienili, i to tak bardzo, że nie potrafił ich już zrozumieć. Nadawał się może do rycia w lodzie w poszukiwaniu żołędzi, lecz do niczego więcej. Był odpadkiem dawnych lat, które przeminęły bezpowrotnie, nie pasował już do tych nowych. Może rzeczywiście nie powinien ruszać się z chaty, może tak byłoby najlepiej dla wszystkich…

Lecz gdy tylko pomyślał o Kaśce, opamiętał się. Przecież jeśli złapią go tutaj i dowiedzą się, że przyszedł do niej, także i ona zostanie w to wplątana. Nie! Nie wolno mu do tego dopuścić.

Zerwał się na nogi, gwizdnął na psa i zaczął uciekać. Nie pobiegł z powrotem odtajałą ścieżką, ale rzucił się na przełaj przez śnieg, bez żadnego zamysłu – po prostu wyczuł instynktownie, w którą stronę najbliżej do Lasu. Żałował teraz każdej chwili niepotrzebnej zwłoki. Ujadanie psów na pewno zaalarmowało innych strażników, niedługo znajdą w otwartej bramie trupa z rozszarpanym gardłem. Świeżym śladem ruszy pościg. Kacper wiedział, że na dobrą sprawę nie ma żadnych szans, i z każdym krokiem uświadamiał to sobie wyraźniej. Może gdyby miał narty, mógłby liczyć na cud, ale to beznadziejne człapanie na oślep w śniegu po kolana odwlekało tylko nieuchronną klęskę.

Kudłacz biegł z przodu, wybierając najdogodniejsze przesmyki między zaspami, ale po pewnym czasie zwolnił i zaczął coraz bardziej zostawać w tyle, a wreszcie Kacper przestał w ogóle słyszeć jego sapanie.

Zatrzymał się i odpoczywał przez chwilę pochylony, z dłońmi opartymi na kolanach. Zawołał przez ramię:

– Dalej, pośpiesz się! Zabiłeś człowieka. To nie pora na obwąchiwanie zajęczych bobków, zaraz ruszy obława… – Wyprostował się, gdy w oddali huknął strzał. – Już ruszyła.

Kudłacz nie usłuchał, więc Kacper wrócił kilkadziesiąt kroków po własnych śladach. Łatwo odnalazł przewodnika, który przycupnął w śniegu z żałośnie stulonymi uszami. Szarpnął go gniewnie za obrożę.

– No, co jest z tobą? – Nie pozwolił polizać się po twarzy. – Idzie za nami cała sfora. Jak cię dopadną, tylko kłaki będą fruwały.

Kudłacz zaparł się mocno przednimi łapami i nie dał ruszyć się z miejsca, choć dławiła go obroża, a Kacper kilkakroć smagnął końcem smyczy jego grzbiet.

– Teraz grymasisz, obszczypłocie? Maciek miał rację, nigdy nie będzie z ciebie dobry przewodnik. Umiesz tylko rzucać się do gardła jak wilk, nic więcej.

Pies przyjął połajankę bez warczenia, ale i bez uległości. Kacper kopnął go w końcu w bezsilnym gniewie i sypnął mu w ślepia garścią śniegu.

– A więc zostań tu sobie, nie będę przez ciebie narażać Kaśki!

Znowu wystrzelił samopał, słychać już było gwizdki i nawoływania strażników. Ujadanie przycichło – sfora pochwyciła trop. Przeklinając na głos, Kacper pobiegł w przeciwną stronę, ale już nie tak szybko jak przedtem; mimo chwili wytchnienia nogi zrobiły się jakby cięższe.

Raptem postawił krok w pustkę, zdążył się tylko odruchowo skulić i przycisnąć brodę do piersi, nim stoczył się po lodowej stromiźnie.

Z głuchym stęknięciem upadł na bok i przez jakiś czas leżał bez ruchu, zamroczony, dopóki nie ocucił go świdrujący ból w kolanie. Jęknął, pozbierał się z trudem i usiadł, z plecami opartymi o zimną ścianę. Wiedział, że to koniec ucieczki. Kości chyba miał całe, ale poobijał się mocno, w ustach czuł smak krwi.

Poddał się. Niech będzie, co ma być. Może na koniec poszczęści mu się choć tyle, że rozwścieczone psy wybawią go od hutniczego pieca. Spróbował rozprostować obolałą nogę i wtedy natrafił obcasem na coś twardego.

Olśniło go od razu. Szyna! Czarny Szlak.

Teraz stało się jasne, dlaczego Kudłacz nie chciał iść dalej ani nie potrafił ominąć przeszkody. Psy na ogół głupiały z trwogi, kiedy wyczuwały woń parcha, którą był przesiąknięty każdy podkład, każdy odcisk buta i każda drobina węglowego pyłu. Tylko stary, doświadczony przewodnik, szkolony przez lata, mógł poprowadzić swego pana na drugą stronę ścieżki pokutników po jednej z rzadka rozsianych, chwiejnych kładek.

Kacper zdobył się na zbolały półuśmiech. Przypomniał sobie przysłowie – nawet najwierniejszy pies porzuci parszywego pana.

Wciąż nie wierzył, że wyjdzie z tej awantury cało, ale mógł liczyć chociaż na to, że przeżyje jeszcze przynajmniej najbliższą noc. Odgłosy pogoni niebawem przycichły i zaczęły się oddalać, jakby sfora zataczała szeroki łuk z powrotem w stronę Miasta. Kacper domyślił się, że to Kudłacz pociągnął za sobą psy. Pomyślał o nim cieplej; przyszło mu nawet do głowy nieprawdopodobne przypuszczenie, że przewodnik wcale nie stchórzył, porzucając go, ale po prostu usiłował mu w ten sposób pomóc.

Jakkolwiek było, wiedział, że strażnicy wkrótce się połapią, że sfora zgubiła trop, i łatwo odgadną, gdzie go szukać. Tak czy inaczej – dopadną go, nie dziś, to jutro.

A jednak dźwignął się, poświstując z bólu przez zaciśnięte zęby, i utykając, ruszył Czarnym Szlakiem za zachód. Myśl o Kudłaczu obudziła w nim wieśniaczą zawziętość.

Niech się namęczą, sukinsyny, niech ta obława kosztuje ich sporo zdrowia.

Kuśtykał naprzód, pokasłując. Starał się stąpać po podkładach, aby zostawić jak najmniej śladów. Gdy rozruszał kolano, ból nieco przygasł, mimo to nawet nie próbował się wydostać z zagłębienia torowiska. Zresztą tylko tutaj psy nie mogły go wytropić, a ludzie wypatrzyć z daleka. Było to zbyt mało, żeby śmiało kroczyć przed siebie, lecz wystarczająco dużo, aby nie ustawać.

Szyny w tym miejscu łagodnie zakręcały, zapewne omijając jakieś wzniesienie. Po pewnym czasie Kacper za plecami nie słyszał już nic prócz szelestu śniegu osypującego się ze ścian. Niespodziewanie zdał sobie sprawę, że ta cisza ma barwę zmierzchu; gdzieś podczas tej rwanej ucieczki pogubiły mu się całe godziny. Dopiero teraz zauważył, że przy upadku rozdarł nogawkę na śrubie – na lewej łydce coraz mocniej zaciskała się żelazna obręcz mrozu.

Raptem wpadł na jakąś przeszkodę, zadźwięczało żelazo, wzbity pył zawiercił w nosie. Kopacz szybko się zorientował, że to porzucony na bocznym torze mijanki wózek z węglem. Musiał tu stać już od dłuższego czasu, koła zdążyły przymarznąć do szyn.

Zamierzał obejść wózek bokiem, gdy w oddali rozbrzmiało gwizdnięcie strażnika, który zwoływał psy, a zaraz potem gdzieś z boku, nisko, zaszumiały sowie skrzydła. To mógł być przypadek, ale Kacper wolał się nie łudzić – na całym Podgórzu wiedziano, że strażnicy szkolą sowy, aby wypatrywały z powietrza zbiegłych parszywców. Zapewne już odkryli, że popełnili błąd – ci, którzy pierwsi rzucili się w pogoń, już wracali do Ciepłowni, a ich miejsce zajęli wytrwali narciarze z pochodniami i zapasami żywności. Nie odpuszczą mu, mimo nocy i mrozu. Nie ścigali przecież byle złodziejaszka i awanturnika, lecz mordercę kolegi.

Chociaż nie miało to już żadnego znaczenia, pomyślał o jakiejś kryjówce, gdzie mógłby się schować przed bystrookim ptaszyskiem. Przykucnął, żeby sprawdzić, czy uda mu się wpełznąć pod wózek, ale zamiast to zrobić powoli odwrócił głowę w drugą stronę.

Bił stamtąd mocny smród ludzkiego nieszczęścia, choroby i nędzy. A także parcha.

To była jedna z tych zagnojonych, plugawych nor wykutych w lodzie, gdzie chronili się pokutnicy, którzy nie zdołali na czas dobrnąć do Ciepłowni. Na ogół nie doczekiwali już kolejnej nocy, zdychali jak zwierzęta, cicho i w samotności, a potem sprzątacze wywlekali ich ciała za pomocą żelaznych haków osadzonych na długich żerdziach i rzucali do otwartego wagonu, gdzie piętrzył się już stos zlodowaciałych trupów. Tak musiało być i tym razem – gdyby w środku był żywy parszywiec, powinien zadzwonić, kiedy tylko usłyszał kroki na torowisku.

Kacper nie miał czasu na długie wahania; dobiegały go już nawoływania narciarzy, którzy zbliżali się szybko, sunąc wzdłuż torów. Ciarki przebiegły mu po plecach, gdy opadł na kolana i schyliwszy głowę, na czworakach wślizgnął się do niskiego, wymoszczonego potarganymi szmatami przedsionka. Dotarł do stempla podtrzymującego sklepienie i tam zatrzymał się na dłuższą chwilę, nasłuchując. Mdliło go od cuchnącego zaduchu, po czole spływały chłodne krople potu, niemal stracił przytomność. Bał się, że jeśli pozostanie tu dłużej, już nigdy nie uwolni się od strasznego odoru, który przeniknie przez skórę do krwi, do myśli, do snów.

Coś zaszemrało tuż przed nim. Groza przygniotła go do podłoża, jakby lodowe

sklepienie nagle runęło mu na kark. Nie krzyknął, nie poruszył się, przestał nawet oddychać.

Na zewnątrz po zmrożonym śniegu zaszurały narty. Strażnicy – dwóch albo trzech – dostrzegli wózek i przystanęli na krawędzi zagłębienia. Naradzali się pośpiesznie, żaden nie miał ochoty schodzić na dół i brudzić sobie butów w pyle Czarnego Szlaku. Któryś zaklął wreszcie głośniej, odpiął narty i zeskoczył na tory, żeby wrzucić do kryjówki świecę dymną, jaką kłusownicy zwykle wykurzali lisy z jam.

Kacper powoli oparł czoło na wierzchu dłoni. Postanowił, że cokolwiek zrobią, nie wyjdzie – będą musieli sami wywlec jego trupa, nie oszczędzi im tej roboty.

Raptem w norze rozległ się czysty i głośny dźwięk dzwonka. Strażnik, którego oddech już świszczał w przedsionku, odskoczył gwałtownie, bluzgając przekleństwami. Po chwili słychać było już tylko posuwisty, cichnący szelest nart.

Kacper wiedział, że powinien teraz wycofać się i wykorzystać szansę ucieczki, a jednak tego nie zrobił. Zdawał sobie sprawę, że i tak nie zaszedłby daleko, wyczerpany i obolały… Ale było coś jeszcze. Zawdzięczał pokutnikowi życie i nie potrafił tak po prostu odejść bez słowa.

Parszywiec musiał odwrócić twarz w jego stronę, bo kopacz usłyszał teraz wyraźniej jego płytki oddech, a potem jeszcze kilka jękliwych, bełkotliwych dźwięków. Wyczuł słodkawy, mdły zapach makowej gorzałki, którą pokutnikom rozdawano w Ciepłowni.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że tamten usiłuje mówić.

– Zostań ze mną…

W tym głosie drgało tak wielkie udręczenie, że Kacper struchlał, nie był w stanie odpowiedzieć. Umiał radzić sobie z brudnymi duszami, złaknionymi ludzkich uczuć, koił ich najgłębsze lęki, ale dla tego nieszczęśnika nic nie mógł zrobić. Każde słowo pociechy musiałoby zabrzmieć fałszywie.

Parszywiec poruszył się – cichutko zadźwięczał dzwoneczek – i nagle Kacper poczuł na twarzy dotknięcie gorącej, lepkiej ręki. To była najtrudniejsza chwila; w pierwszym odruchu chciał tłuc pięściami gdzie popadnie, byle obronić się przed tą wstrętną bliskością. Ale zaraz potem dotarł do niego najgłębszy sens tego natarczywego, poszukującego gestu.

Pokutnik nie chciał konać w samotności. Choć już za życia cierpiał jak potępieniec, choć nie wolno mu było oglądać słońca, choć bolało go całe sparszywiałe, gnijące ciało, najbardziej bał się pozostać sam.

Gdy Kacper to zrozumiał, zdjął rękawicę, ujął łagodnie błądzącą dłoń i już nie wypuścił, chociaż drżał od czasu do czasu z mimowolnej odrazy.

Rwany oddech parszywca uspokoił się z wolna. Kacper czekał, gryząc wargę, aż wydało mu się, że tamten usnął. Spróbował uwolnić rękę, lecz wówczas zniekształcone kikuty palców zacisnęły się mocniej. Nie walczył, nie szarpał się. Podsunął pod policzek szorstką rękawicę, podkurczył nogi, aby stopy nie zlodowaciały mu w chłodzie przedsionka, i zapadł w czujną drzemkę.

Poderwał się gwałtownie, uderzając głową w sklepienie, rozbudzony z ciężkiego, kamiennego snu. Półprzytomny jeszcze, odrętwiały od leżenia w niewygodnej pozycji, rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i jak się tu znalazł.

W głuchej ciszy rozbrzmiał dzwoneczek – Kacper zdał sobie sprawę, że ocknął się tak raptownie właśnie na ten dźwięk. Ale dzwonienie dobiegało z zewnątrz, w głębi jamy nic się nie poruszało. Wtedy zrozumiał coś jeszcze – w skostniałej dłoni trzymał zimną rękę trupa. Przerażony, chciał ją strząsnąć, wyrwać się, lecz zesztywniałe palce trzymały mocno; musiał po kolei wyłamywać każdy z nich, przezwyciężając lęk i obrzydzenie.

Gorączkowo zbierał myśli. Dzwonek na Czarnym Szlaku zapowiadał zbliżanie się kolumny pokutników z wózkami – a to oznaczało, że przespał niemal całą noc. Po chwili dosłyszał stukot żelaznych kółek na łączeniach szyn i odgłos nierównych kroków – pokutnicy potykali się na podkładach. Tuż obok wejścia do jamy powoli, w milczeniu, w ciemnościach, przeciągała procesja umarłych, której żywi woleli nie oglądać.

Kacper leżał bez drgnienia, ukrywszy twarz w dłoniach, modlił się, aby żaden z nich właśnie teraz nie opadł z sił i nie zechciał wczołgać się do jamy. Usiłował liczyć kolejne wózki, ale co rusz mylił rachunek, więc przestał. Było ich wielu, bardzo wielu, długi korowód cieni w pielgrzymce po cud oczyszczenia.

Nareszcie umilkł ostatni dzwonek, przetoczył się ostatni wózek i znowu zapadła cisza, ale Kacper wciąż leżał, skupiony na dziwacznej myśli, która jakoś niepostrzeżenie zalęgła mu się w głowie. Chciał ją odrzucić, lecz wracała uparcie, nastręczała się w całej swojej powabnej grozie, szydząc ze zdrowego rozsądku.

Na cóż właściwie był mu jeszcze potrzebny zdrowy rozsądek? Tylko w szaleństwie tkwiła odrobina nadziei. Zresztą jeśli to prawda, że parchem można było zarazić się przez dotyk, przesądził swój los już wcześniej.

Bardzo delikatnie, jak przy przewijaniu niemowlęcia, wyplątał z czarnego płaszcza przeraźliwie wychudzone, ostygłe ciało, wyślizgnął się tyłem z przedsionka, wstał, przytrzymując się wózka, i odetchnąwszy głęboko mroźnym powietrzem, czekał, aż ustaną zawroty głowy. Potem zdjął kubrak, narzucił na grzbiet połatany, śmierdzący łach parszywca, założył rękawice, oskrobał nożem lód z żelaznych kół, wymacał uchwyt i pchnął z całych sił.

Opornie, chrzęszcząc i zgrzytając, a potem coraz gładziej wózek potoczył się po szynach w stronę Miasta.

5

Nic nie wyszło tak, jak sobie wymarzyła. Liczyła na to, że spotka się w Mieście z księdzem Rafałem i przekona go, aby ułagodził jakoś ojca. Chciała mieć ich tutaj wszystkich na weselu – rodziców, Maćka, kilka przyjaciółek – chciała ślubu w jasno oświetlonej Katedrze, z organami, z sypaniem igliwia pod nogi i z pięknym kazaniem. Wierzyła, że to wszystko jest jeszcze możliwe, nie ona pierwsza uciekła przecież do Miasta z rodzicielskiego domu. Nie mogła przekreślić własnego szczęścia tylko z powodu głupiego uporu ojca, jego leśnych przesądów i niechęci do wszystkiego, co nowe. On to zrozumie, musi zrozumieć, nawet jeśli będzie się boczyć tydzień czy dwa.

Niestety – nie zastała księdza Rafała na miejscu, nie wrócił jeszcze z podróży i nikt nie umiał powiedzieć, kiedy można się go spodziewać. Był wprawdzie drugi kapłan, zniedołężniały i chory, który od wielu już lat nie opuszczał Miasta, ale nie miała odwagi rozmawiać z nim o swoich kłopotach. Wątpiła zresztą, czy mógłby jej pomóc. Przesłała matce wiadomość przez jednego z sąsiadów, którego spotkała w Katedrze, żeby w domu się o nią nie martwili, ale odpowiedź nie nadeszła.

Popłakała trochę, powzdychała, a na koniec zacięła się w gniewnym buncie. Skoro tak – dobrze! Niech dalej biedują sobie w Lesie, jeśli tak bardzo doskwiera im powodzenie córki.

Przed ślubem błogosławił ich więc trzęsącymi się rękami zgarbiony, bezzębny staruszek, w półmroku bocznej nawy, przy zakurzonym ołtarzu. Nie było pieśni ani kadzideł. Wesela sama nie chciała, bo nie bardzo miała kogo zaprosić. Żal drapał w gardle i szczypał pod powiekami, lecz mimo to, dopóki nie było po wszystkim, uśmiechała się dzielnie, nawet kiedy obcinano jej panieńskie warkocze.

A wieczorem i tak została sama, bo w Ciepłowni zawyła syrena, coś tam się popsuło i wszyscy technicy zostali wezwani.

Długo siedziała w kuchni, zapatrzona w palenisko pod blachą, rozczochrana, z łzawymi smugami rozmazanego czernidła pod oczami. Popijała sosnową nalewkę, smakując swoją cierpką noc poślubną. Pierwszy raz w życiu się upiła, nie wiedziała nawet kiedy.

Nad ranem Grzegorz zaniósł ją do łóżka, a gdy się obudziła, znowu go nie było.

Życie w cieniu komina Ciepłowni tak bardzo różniło się od wszystkiego, co dotąd znała, że trudno jej było się tutaj zadomowić.

Niby wiedziała, czego się spodziewać – ilekroć wcześniej spotykała się potajemnie z Grzegorzem, kazała mu bez końca opowiadać o tym wyśnionym domku z cegieł, z dużymi oknami, z pobielanymi ścianami, z grzejnikiem w każdym pokoju, z gorącą wodą w kranie,

z wanną zamiast wiejskiej łaźni, z puchowymi pierzynami, z miękkimi dywanami, po których można chodzić boso – a jednak kiedy już zobaczyła to wszystko na własne oczy, popłakała się ze szczęścia. Przez pierwsze dni nie opuszczało jej radosne uniesienie. Na każdym kroku dokonywała nowego, zdumiewającego odkrycia: a to, że nie musiała w ogóle martwić się o węgiel do kuchennego pieca, bo wystarczyło podejść z koszem do wielkiego usypiska na placu za Ciepłownią i brać, ile wola; a to, że nigdzie nie widziała ani jednego szczura, choć tyle tu ogrzanych zakamarków (Grzegorz wytłumaczył jej, że to nie czary Ciepłownika, ale trutka); a to, że nie musiała prać ciuchów ani wystawiać kożuchów na mróz, tylko nosiła wszystko do parowej odwszalni; a to wreszcie, że wychodząc z domu, nigdy nie musiała zakładać na buty kolców, bo kilkudziesięciu ozdrowieńców dniem i nocą zajmowało się odśnieżaniem rozległego, ogrodzonego terenu Ciepłowni. Nie musiała także doglądać kóz, przebierać żołędzi, podlewać kiełków, wytapiać foczego tłuszczu, prząść i zbierać psiego łajna wokół domu. Nie musiała biegać od rana do wieczora z głową zaprzątniętą gospodarskimi troskami.

Nie musiała żyć jak matka.

Co prawda zaobserwowała też kilka rzeczy, które się jej nie spodobały. Przede wszystkim tutaj nigdy nie było cicho, nawet głęboką nocą – zawsze coś dudniło, huczało, łomotało, czasami tak głośno, że nawet w domu trzeba było rozmawiać podniesionym głosem. Przy bezwietrznej pogodzie w powietrzu wisiał dym, który drapał w gardle, a od schroniska pokutników po drugiej stronie Ciepłowni napływał smród. No i jeszcze czarna sadza z hutniczych kominów osiadająca na szybach tłustym nalotem. Domyślała się, skąd to się bierze, ale nie wypytywała Maćka, po prostu codziennie myła okna i starała się na to nie zważać.

Pierwszy raz w życiu miała tak dużo czasu tylko dla siebie – i zupełnie nie wiedziała, co z tym czasem robić.

Kiedy był z nią Grzegorz, nie nudziła się nigdy, lecz niestety szybko przekonała się, że żona technika spędza czas głównie na wyczekiwaniu jego powrotu.

Wychodził z domu jeszcze przed świtem, żeby doglądać przygotowania parowozu do drogi, a kończył robotę późnym wieczorem. Bywało i tak, że zła pogoda zatrzymywała go na Czarnym Szlaku nawet przez kilka dni. Wówczas Kaśka w ogóle nie potrafiła znaleźć sobie miejsca – krążyła po swoich czystych, cieplutkich pokojach, przystawała kolejno przy wszystkich oknach i słuchała wycia wiatru, czasem tak łudząco podobnego do dźwięku parowozowego gwizdka.

A kiedy Grzegorz stawał wreszcie w drzwiach, nieogolony, osmalony, przewiany mrozem, czuła się przy nim nieswojo. Jak każda wiejska mężatka rozsznurowywała mu buty i podawała miskę z ciepłą wodą – zawsze wydawał się trochę zażenowany tą zwyczajną usługą – dopiero gdy zrzucił z siebie robocze, przesiąknięte dymem łachy, wymoczył się w wannie i wyszorował ze smarów, aż na zaróżowionej skórze ramienia odcinała się wyraźnie wypalona litera T, rozpoznawała w nim na nowo tamtego wesołego chłopca, w którym się zakochała, i potrafiła znowu uwierzyć, że wszystko będzie dobrze.

Nie skarżyła mu się na swoje osamotnienie, czuła, że to nie byłoby uczciwe. Zmartwiłby się tylko, a przecież w niczym wobec niej nie zawinił. Sama musiała się z tym uporać.

Na osiedlu na terenie Ciepłowni mieszkało kilkudziesięciu techników z żonami.

Widywała ich codziennie z okna, jak wychodzili do pracy, wszyscy ubrani w takie same obszyte futrem kubraki, w mocnych, podkutych butach i w żelaznych hełmach. Wydawali jej się członkami jakiejś dziwnej sekty, wyznawcami nowej konfesji, którzy celebrowali swoje sekretne obrzędy w huku maszyn i kłębach pary. Dobrze odżywieni, pewni siebie, trzymali się prosto; nie zerkali ciągle w niebo, aby przewidzieć pogodę, jak ludzie Lasu, nie pilnowali, aby zawsze przestępować próg prawą nogą, nigdy nie kłaść butów na stole i nie kroić chleba z obu stron. Biła z nich jakaś moc – nie zwykła męska krzepa, jak u myśliwych, ale coś więcej: coś w spojrzeniu, w tonie głosu, nawet w stukaniu obcasów po gołym bruku; coś, co budziło szacunek, ale i pewne obawy. Przyglądając im się przez szybę, była dumna, że Grzegorz jest jednym z nich, choć w nim samym wolała się nie dopatrywać tych wszystkich niepokojących tajemnic.

Żony techników także ją onieśmielały, choć w inny sposób. Przeważały wśród nich starsze, niewidzące kobiety, które rzadko wychodziły z domu, a jeśli już, to głównie po to, aby odwiedzać się nawzajem. Nigdy nie widywała ich samotnie, zawsze dwie albo trzy naraz. Próbowała nawiązać znajomość z tymi, które mieszkały najbliżej, radziła się ich w różnych drobnych sprawach gospodarskich. Nie odmawiały pomocy, ale też nie robiły nic ponadto – nie wdawały się w dłuższe pogawędki, nie zapraszały do siebie i nie zadawały żadnych pytań, jakby wcale nie były ciekawe nowej sąsiadki.

Przypuszczała, że powodem tej powściągliwości jest różnica wieku, lecz młode dziewczyny wcale nie okazały się bardziej otwarte.

Nawet w powszedni dzień wyglądały tak, jakby wybierały się na tańce: w rozpuszczone włosy wplatały kolorowe tasiemki, różowiły policzki i czerniły rzęsy, nosiły falbaniaste kiecki i natłuszczone buty. Trzymały się razem, a na nią patrzyły koso, albo nawet z jawną niechęcią. Długo się tym trapiła, snuła domysły, czym mogła je do siebie zrazić, aż wreszcie miała już tego dosyć.

Natknęła się na jedną z nich, niosąc do pralni kosz brudnej bielizny. Pozdrowiła ją leśnym: „Szczęść Boże”, ale tamta nie odpowiedziała. Wtedy Kaśka zezłościła się nagle i zastąpiła jej drogę.

– Zrobiłam coś złego, że nie chcesz ze mną rozmawiać?

Dziewczyna spojrzała jej w oczy z chłodną wzgardą.

– A o czym miałabym z tobą rozmawiać? O dojeniu kóz?

Kaśka poczuła, jak policzki oblewa jej fala gorąca. Zawsze miała cięty język, trudno ją było przegadać, ale w tej chwili nie potrafiła wydobyć z siebie choćby słowa.

Dziewczyna dostrzegła jej zmieszanie i lekko się uśmiechnęła.

– Musisz być sprytna, skoro uwiodłaś chłopaka z Miasta, i do tego technika, ale przez to nie stałaś się kimś innym. Nawet jeśli wyczeszesz z włosów gnidy, zaczniesz się częściej myć i spiłujesz połamane paznokcie, do końca życia będziesz tylko głupią wieśniaczką. A kiedy już znudzisz się Grzegorzowi, za rok czy dwa, wrócisz tam, skąd uciekłaś. Albo trafisz do burdelu. – Wyminęła ją, trącając ramieniem.

Kaśka długo jeszcze stała pośrodku placu, rozglądając się, jakby zapomniała drogi do domu.

Dzieci nie widywała. Nigdy, ani jednego. Grzegorz wytłumaczył jej, że mieszkały za drutami, w Mieście, u dziadków albo innych krewnych. W Ciepłowni tylko by

przeszkadzały, a poza tym nie byłyby tutaj szczęśliwe.

Zgodziła się z tym.

Przykra okazała się także wizyta w Lecznicy, gdzie któregoś ranka zaprowadził ją Grzegorz, choć próbowała się sprzeciwiać, bo nie czuła się chora.

– Musisz tam pójść – ukrócił stanowczo jej protesty. – Każdy, kto wprowadza się do Ciepłowni, musi być przebadany, żeby nie zawlec tutaj jakiegoś choróbska. Nie bój się, to nic wielkiego.

– Chodzi o parcha? – zapytała urażona.

– Tak, o to też. Ja chodzę na badania co tydzień, jak każdy technik, który wyjeżdża na Czarny Szlak. Ty pójdziesz raz i potem będziesz miała już spokój.

Nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Dotąd znała tylko wędrownych sprzedawców różnych cudownych maści i naleweczek na wszelkie dolegliwości albo wiejskie szeptuchy, o których mawiano, że za tę samą cenę potrafią tak wyleczyć chorobę, jak i ją sprowadzić.

Lecznica była sporym budynkiem stojącym na uboczu, z dala od hałasu wielkich hal. Jeszcze przed wejściem Kaśka poczuła bardzo mocny, szczurzy zapach, a kiedy Grzegorz uchylił przed nią drzwi, aż cofnęła się od progu ze wstrętem.

– Myślałam, że w Ciepłowni nie ma szczurów!

– Są, całe tysiące. Ale nie bój się, siedzą w klatkach.

– Co za pomysł, żeby trzymać je tam, gdzie leczy się ludzi?

– Tak jest wygodniej. Naczelny Technik wypróbowuje tutaj na nich różne zioła i lekarstwa, zanim będzie mieć pewność, że można podawać je chorym.

Złapała go za rękę, nagle się rumieniąc.

– Czy to on sam będzie mnie badać?

– Aż tak ważna nie jesteś. – Roześmiał się. – Przyjmie cię lekarka. Ale jak będziesz miała szczęście, może go zobaczysz, bywa tu często.

Weszli do krótkiego korytarzyka, zamkniętego na końcu żelazną kratą z kłódką; to stamtąd, z półmroku poprzecinanego padającymi ukośnie z góry smugami dziennego światła, bił smród stłoczonych w klatkach szczurów.

Grzegorz otworzył któreś z bocznych drzwi, białe, z wymalowanym czerwonym krzyżem, i ruchem głowy wskazał Kaśce drogę, uśmiechając się krzepiąco.

– Zaczekam tutaj, to nie powinno długo potrwać.

W niedużym pokoiku mieściła się tylko leżanka i stolik, na ścianach półki z jakimiś przyrządami, buteleczkami i opatrunkami. Od okna odwróciła się młoda kobieta w białym fartuchu, z włosami upiętymi pod chustką. Bez uśmiechu skinęła głową na powitanie.

– Zdejmuj wszystko, co masz pod kiecką, i kładź się.

Gdy wyszła stamtąd w pół godziny później, w oczach miała łzy wstydu i złości. To szorstkie, bolesne, upokarzające badanie okazało się gorsze od wszystkiego, czego mogła się spodziewać.

Grzegorz objął ją czule, przytulił, pocałował w czubek głowy.

– Już po wszystkim, węglareczko. Trzeba było, wszystkie młode mężatki przez to przechodzą.

Na zewnątrz minął ich jakiś staruszek, zmierzający w przeciwną stronę, do Lecznicy. Oślepiona jaskrawą bielą śniegu Kaśka nie przyjrzała mu się dobrze; dostrzegła tylko bardzo długą, siwą brodę, jakiej nie nosił nikt w Ciepłowni, i ciemne oczy za grubymi, zaparowanymi szkłami okularów.

Grzegorz z szacunkiem ustąpił mu z drogi, pociągając za sobą żonę. Kiedy starzec zniknął za drzwiami, szepnął jej nad uchem:

– A jednak warto było, co? To Ciepłownik. Chyba uśmiechnął się do ciebie.

Dawniej, kiedy było jej smutno, szła po prostu przed siebie i tak długo błąkała się pośród zasp, aż wszystkie złe myśli nie wywietrzały jej z głowy. Tutaj nie mogła tego zrobić – gdziekolwiek się nie obróciła, prędzej czy później napotykała druciane płoty, te wyższe, podwójne, okalające całą Ciepłownię, albo te wewnętrzne, które dzieliły ją na mniejsze obszary. Zamkniętych furtek pilnowali strażnicy – sami ozdrowieńcy, wszyscy w czarnych wełnianych kominiarkach. Gdy któregoś dnia zebrała się na odwagę, aby porozmawiać z jednym z nich, z daleka machnął na nią pałką i krzyknął:

– Nie podchodzić!

– Chciałam tylko zapytać, czy…

– Tam jest huta! Nie wolno się nawet gapić!

Zawróciła zawstydzona.

Z początku bywała w kaplicy – małym baraczku z oknami tak czarnymi od sadzy, że prawie nie przepuszczały światła – ale po kilku nabożeństwach dała sobie spokój. Nie widywała tam nigdy techników ani młodych dziewczyn, tylko grupkę zawsze tych samych, ociemniałych żon i wdów. Dojeżdżający na saniach z Katedry staruszek ksiądz mówił tak cicho, że nie rozumiała kazań.

Parę razy wybrała się na przechadzkę wzdłuż ogrodzenia, ale zauważyła, że ludzie oglądają się za nią zdziwieni, jakby robiła coś niestosownego. Poza tym bała się psów, które biegały luzem między jednym a drugim ogrodzeniem, bo warczały na nią jak na obcą, kiedy tylko zbliżyła się zanadto. Któregoś dnia zapuściła się w gmatwaninę wąskich zaułków między składami i warsztatami, pobłądziła i wpadła w popłoch, że nie zdąży wrócić do domu przed wieczorną syreną. Odprowadził ją w końcu pod same drzwi jakiś starszy, małomówny technik, który słuchał jej z zakłopotaniem, kiedy próbowała mu wytłumaczyć, dlaczego właściwie tam się znalazła. Gdy się rozstawali, poradził, żeby nie przechadzała się samotnie, bo tutaj nie ma takiego zwyczaju.

Nie powiedziała o tej przygodzie Grzegorzowi, a jednak czegoś chyba się domyślał, może obiły mu się o uszy jakieś babskie plotki, bo następnego dnia, gdy stała w kuchni przy piecu, podszedł cicho i musnął wargami jej odsłonięty kark pod wieśniaczym czepkiem, który nosiła uparcie – choć teraz już bardziej na przekór tamtym wypindrzonym dziewuchom, niż z upodobania.

– Co z tobą, węglareczko? – zapytał. – Źle ci tu?

Zamieszała drewnianą łychą w garnku z pierogami.

– Teraz dobrze. Ale jutro rano znowu zostanę sama.

– Czas technika jest cenny, wiedziałaś o tym…

– Nie chcę trwonić twojego cennego czasu. – Trochę zbyt mocno ostukała łyżkę na krawędzi garnka. – Żałuję, żeście tu wytruli szczury. Oswoiłabym sobie jednego, tylko po to, żeby do niego mówić.

Bardzo chciała wybrać się do Miasta na tańce. Zawsze o tym marzyła, od dzieciństwa: o dużej, jasno oświetlonej hali, o prawdziwej orkiestrze, o wirowaniu pośród roześmianych tancerzy, w lekkich bucikach, w zwiewnej sukience i z gołą głową, całkiem inaczej, niż to bywało na wiejskich zabawach pod gołym niebem. Grzegorz obiecał jej to dawno temu, jeszcze przed ucieczką, i nie wątpiła, że dotrzyma słowa, ale czas mijał, a ona wciąż tkwiła za drutami bez żadnej odmiany. Nie miała serca się o to upominać, ani kiedy wracał zmordowany z roboty, ani w nieliczne wolne dni, gdy drzemał przy grzejniku. O niczym jednak nie zapomniała – a im bardziej szara wydawała jej się codzienność w Ciepłowni, tym mocniej kusił ją ten niespełniony, kolorowy sen.

W końcu postanowiła sama wybrać się do Miasta, żeby chociaż pospacerować po ulicach, kupić jakieś drobiazgi w halach targowych, może porozmawiać z kimś przypadkowym o błahych sprawach, tak po prostu, jak to zdarza się między przechodniami.

Nie uprzedziła Grzegorza, nie chciała, żeby się martwił, jak poradzi sobie w obcym miejscu. Kiedy o brzasku wychodził z domu, udała, że śpi, a później, gdy usłyszała gwizd odjeżdżającego parowozu, ubrała się szybko i pobiegła w stronę bramy.

Pies zawisł na końcu naprężonego łańcucha z przednimi łapami w powietrzu i przymarzniętą do pyska pianą. Szczekał bez przerwy, dopóki strażnik nie kopnął go w żebra, a i potem wodził za Kaśką złymi, czerwonymi ślepiami.

– On nie lubi babskich kiecek, bo łopoczą na wietrze jak płaszcze parchów – pouczył strażnik, szczerząc kilka ostatnich żółtych zębów, które jeszcze nie wypadły. – Nie lepiej to siedzieć pod pierzyną zamiast tak ganiać o świcie licho wie po co?

Był to niski, otyły, niestary chyba jeszcze mężczyzna. W wycięciach kominiarki widziała tylko jego oczy i usta. Lewy oczodół miał pusty, zasłonięty nieudolnie zaszytą powieką, a wargi zniekształcone, jakby ułożone w szyderczy grymas. Pewnie rozgrzewał się w nocy gorzałką, bo wyraźnie chwiał się na nogach.

– Jestem ze wsi, tam wszyscy wcześnie wstają.

Roześmiał się głośno, opierając na ramieniu okutą pałkę.

– Wiem, słyszałem o tobie. Za potrzebą też po staremu wychodzisz z domu i kucasz gdzieś pod płotem?

Chciała uderzyć go w tę wykrzywioną gębę, ale gdy tylko uniosła rękę, pies znowu rzucił się naprzód i fiknął przez grzbiet, szarpnięty do tyłu łańcuchem.

Opanowała się z trudem; gdyby teraz wywołała zamieszanie, dałaby tylko nowy powód do plotek.

– Ciekawe, co powiesz, jak wrócę tu z mężem – zagroziła.

– Powiem, że powinien cię lepiej pilnować, bo narobisz kłopotów sobie i jemu. A teraz posłuchaj mojej rady i wracaj do domu, dopóki baby nie pobudziły się i nie usiadły w oknach.

– Nie potrzebuję twoich rad. Idę do Miasta.

Otworzył usta szczerze zdumiony.

– Dokąd?

– Słyszałeś. Otwieraj bramę.

– Nie wiesz, że nie wolno ci samej wychodzić za druty?

– Jak to nie wolno?

– Nie wolno i już. Skoro cię nosi, poproś męża, żeby cię tam zabrał. Jak głupi, to się zgodzi.

Wsunął pałkę pod pachę, skrzyżował ramiona i przymrużył jedyne oko.

– A może po prostu przykrzy ci się bez towarzystwa i szukasz wrażeń? Nie ma się czego wstydzić, nie jesteś pierwsza. Ale po to nie musisz biegać do Miasta, aniele. Zaraz skończę służbę i się tobą zajmę. Zobaczysz, nie pożałujesz.

Ściągnął z głowy kominiarkę.

Krzyknęła na widok jego twarzy – wyniszczonej przez parcha, z guzowatym czołem, ze szczątkiem nosa o podłużnych, pokrytych szczeciną otworach i policzkami pełnymi węzłów grubych blizn.

Uciekając, słyszała jego lubieżny rechot.

Tym razem nie przemilczała niczego. Nim Grzegorz zdążył rozsupłać wiązanie kaptura, wykrzyczała mu wszystko z płaczem, wciąż jeszcze roztrzęsiona z oburzenia, choć przecież minął cały dzień.

Wysłuchał jej bez słowa, oparty plecami o drzwi, pocierając palcami brudny policzek. Kiedy skończyła, usiadł ciężko na stołku i nie patrząc na nią, odezwał się z cicha:

– To moja wina. Powinienem cię ostrzec, żebyś nie podchodziła do bramy.

– Nie chcę słuchać tylko o kolejnych zakazach! Chcę wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić.

– Mogę zaskarżyć strażnika przed Radą, ale to nie na wiele się przyda, jeśli nie było świadków. Słowo przeciw słowu. On służy w Ciepłowni od lat, ciebie nikt nie zna.

– I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Znieważył mnie! Maciek obatożyłby go za to jak psa.

– Wiem, poznałem już twojego brata od tej strony. – Uśmiechnął się gorzko. – Jeszcze niedawno bardzo ci się nie podobały te leśne obyczaje, marzyłaś, żeby uciec przed tym do Miasta. Pamiętasz?

– Marzyłam tylko o tym, co usłyszałam od ciebie! Ale ty nie mówiłeś mi wszystkiego. Nie wiedziałam, że będę tu żyła jak w więzieniu. Dłużej już tak nie mogę, rozumiesz?

Podniósł na nią oczy. Spojrzenie miał zmęczone, lecz uważne.

– Żałujesz?

Zawahała się, a potem zamiast odpowiedzieć przyklęknęła przed nim i zaczęła ze złością

szarpać poczerniałe, sztywne sznurowadła. Nie rozwiązała ich, zadzierzgnęła tylko mocniej supeł, złamała paznokieć, a w końcu oparła czoło na kolanie męża i rozpłakała się bezradnie.

– Nie! – wyszlochała. – Niczego nie żałuję, wszystko zniosę, tylko niech ten grubas przy bramie nigdy więcej tak na mnie nie patrzy, bo wydrapię mu drugie oko…

Wykonał ruch, jakby chciał pogłaskać ją po głowie, ale nie śmiał dotknąć brudną ręką jej jasnych, odrastających już włosów.

– Lepiej tego nie rób, węglareczko. Za napaść na strażnika na kilka lat wrzuciliby cię do ciemnicy. Zostaw to mnie.

Wierzchem dłoni otarła wilgoć z policzków i uniosła przestraszoną twarz.

– Tylko nie zrób czegoś głupiego…

– Zrobiłem w życiu tylko jedną głupią rzecz: zakochałem się w tobie. – Przytrzymał ją, kiedy chciała wstać, jednocześnie zagniewana i roztkliwiona. – Ale ja też nie żałuję. Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej o tym, jak ci ciężko. Może znam sposób na twoje smutki.

Spojrzała na niego pytająco, a on się uśmiechnął.

Obudziła się na długo przed świtem i już nie zasnęła, zbyt podniecona tym, co miało się wydarzyć. Obawiała się, że Grzegorz w ostatniej chwili zmieni zdanie, wynajdzie tysiąc rozsądnych powodów, aby zostawić ją w domu. Nasłuchiwała z niepokojem, czy nie zerwie się mocniejszy wiatr zwiastujący zamieć, i modliła się w duchu, aby w Ciepłowni akurat tego ranka nie przydarzyła się żadna większa awaria, która zatrzymałaby wszystkich techników na miejscu.

Samotne wyczekiwanie na brzask tak mocno nadwątliło jej nadzieje, że nie była już nawet pewna, czy mąż naprawdę złożył jej tę szaloną obietnicę, czy tylko sobie z niej zażartował.

Kiedy Grzegorz się obudził – przed wschodem słońca, jak zawsze – już czekały na niego rozmoczone w gorącym mleku suchary, pełna sakwa podróżna i wygrzane onuce. Nie zdziwił się, ziewnął tylko i zjadł śniadanie, więc i ona milczała, lecz serce biło jej mocno, gdy stawiała przed nim wyczyszczone buty.

Zerknął na nią spod oka:

– A ty co? Pojedziesz w koszuli?

Pocałowała go mocno w usta i skoczyła po swój najlepszy kubrak, lecz zawrócił ją ze śmiechem:

– Zostaw to, nie idziemy do kościoła. Wybierz coś z moich starych łachów, upnij włosy pod kapturem i przybrudź trochę policzki popiołem. Masz wyglądać jak pomocnik palacza.

Na zewnątrz było mroźnie, cicho i jeszcze ciemno, niebo na wschodzie ledwie zaczynało blednąć. W nielicznych oknach pełgało światło. Chciała wziąć męża pod rękę, ale odsunął się i szepnął:

– Idź dwa kroki za mną, głowa spuszczona. Nic nie mów, nawet jakby cię o coś pytali. Ja wszystko załatwię.

W gruncie rzeczy dopiero teraz dotarło do niej, że to nie zabawa i że gdyby coś poszło nie tak, Grzegorz straciłby pewnie robotę w Ciepłowni. Gdy zbliżyli się do płotu parowozowni i zobaczyła strażnika przy furtce, grzejącego ręce nad płonącym koszem, pożałowała nawet, że w ogóle zgodziła się na takie wyzywanie losu. Uciekłaby chyba, gdyby stał tam ten sam grubas, który zaczepiał ją wczoraj, ale to na szczęście był jakiś młody, wysoki ozdrowieniec, nie tak bardzo oszpecony jak tamten.

Kiedy Grzegorz powiedział strażnikowi, że ma nowego pomocnika, ten skinął tylko głową, nawet nie spoglądając na Kaśkę. Przeszli oboje bez żadnych kłopotów.

Jak tylko znaleźli się poza czerwonawym kręgiem ognia, Grzegorz pociągnął ją za rękę w bok od odśnieżonej drogi, w przerwę między zwałami brudnych, zmrożonych grud. Niewiele widziała, zbyt duży kaptur opadał jej na twarz. Przebrnęła płat głębokiego śniegu i potknęła się na torach.

– Zaczekaj tu. – Grzegorz uchylił przed nią drzwi jakiejś drewnianej szopy. Zniknął, nim zdążyła o cokolwiek spytać.

W mroku narobiła hałasu, potrącając stos łopat w kącie. Zamarła w bezruchu na dłuższy czas, nim ośmieliła się podejść ostrożnie do ściany i wyjrzeć na zewnątrz przez szparę między deskami. Mogła dostrzec stąd wielkie, lśniące w świetle licznych ogni koło obrotnicy i przylegający do niej półkolisty budynek parowozowni z kilkoma żelaznymi bramami. Pośród plątaniny szyn sterczały zakrzywione ramiona żurawi wodnych, między którymi snuły się leniwie wstęgi oparu. Na ceglanych murach przesuwały się cienie ludzi, słyszała jakieś syki i chroboty, od czasu do czasu metaliczne stukanie.

Obrotnica zmieniła położenie, zgrzytając przeraźliwie. Zaraz potem otworzyły się na oścież środkowe wrota, sople u dachu roziskrzyły się odbitym światłem. Powolutku, sapiąc i fukając, wytoczył się z ukrycia wielki parowóz z pługiem oraz czerwoną latarnią na przedzie, buchając pianą z potężnych tłoków. Zatrzymał się pod jednym z żurawi, opalanych piecem węglowym, aby woda nie zamarzała, napełnił tender i ciężko ruszył dalej po obsypanych piaskiem szynach.

Wybiegła z szopy, gdy parowóz był już tak blisko, że pod stopami drżały deski. Wysoko ponad jej głową błysnęła latarnia, w kłębach oparu poruszały się długie wiązary. Dostrzegła drabinkę, bez wahania złapała ją oburącz i postawiła stopę na pierwszym szczeblu. Zabrakło jej sił, aby wspiąć się wyżej, zimny podmuch odebrał jej dech; na szczęście ktoś wychylił się z otwartych drzwi budki, ujął ją mocno pod ramiona i wciągnął do środka.

Zobaczyła tuż przed sobą ciemną, prawie czarną twarz, w której jaśniały tylko zezujące z lekka oczy. Krzyknęła ze strachu, chciała skakać z powrotem, gdy usłyszała śmiech Grzegorza.

– Nie bój się, węglareczko, to nie diabeł, tylko Marcel, palacz. Nie jest może bardzo bystry, śpi w parowozowni, je z psami i rzadko się myje, ale ufam mu jak nikomu innemu. Niejeden raz wyciągał mnie na Czarnym Szlaku z kłopotów. Usiądź sobie na razie tutaj – wskazał jej małe siedzisko w kącie przy drzwiach – i nie wyglądaj przez okno, dopóki nie będziemy za bramą.

Parowóz przetoczył się nieśpiesznie wzdłuż szeregu latarni, osadzonych na wysokich słupach, kołysząc się lekko na zwrotnicach. Co parę chwil w blaszanej budce na krótko

robiło się całkiem jasno i wtedy Kaśka mogła zobaczyć plątaninę rur i przewodów, liczne pokrętła, dźwignie, wskaźniki. Wszystko to było niezrozumiałe i trochę straszne, jak cała tajemnicza sztuka techników. Na nowo rozkwitła w niej duma z męża, przytłumiona ostatnio trochę beznadziejnym kapaniem szarych, podobnych jeden do drugiego dni. Przyglądała się z radością, jak swobodnie Grzegorz radził sobie z tą potworną maszyną, jak panował nad mocą drzemiącą w rozgrzanych trzewiach, pogwizdując beztrosko i błyskając do niej przez ramię zębami.

Parowóz znowu przystanął z głębokim westchnieniem. Ktoś przebiegł wzdłuż toru tam i z powrotem, gdzieś z tyłu załomotało żelastwo.

– Przyprzęgają wagony – wyjaśnił Grzegorz.

Niebawem zaskrzypiały zawiasy bramy wjazdowej.

– Odjazd! – ktoś krzyknął na zewnątrz.

Technik odpowiedział gwizdkiem, uchylił lekko przepustnicę i parowóz ruszył naprzód, szarpiąc dodatkowy ciężar.

Kaśka przetarła rękawicą zaparowaną szybę i ostrożnie zerknęła przez okno. Kolczasty płot, pies na łańcuchu i gruby strażnik z zabandażowaną głową przesunęły się w tył.

– Dostał po łbie, kiedy po ciemku wracał pijany z Miasta. – Grzegorz mrugnął do niej okiem. – Nawet nie wie od kogo.

Znów mignęły druty i wreszcie w pierwszych promieniach słońca zarumieniły się nieśmiało grzbiety zasp.

Gdy palacz otworzył drzwiczki huczącego paleniska i rzucił na ruszt kilka łopat węgla, wcisnęła się głębiej w swój kącik. Jako dziecko widziała kiedyś parowóz rozerwany wybuchem kotła; kawałki żelastwa leżały w śniegu nawet dwieście kroków od torów. Ufała Grzegorzowi, że potrafi okiełznać tę potworną siłę, lecz mimo to z początku niepokoił ją każdy głośniejszy stukot maszyny.

Potem, gdy parowóz rozpędził się na długim, prostym odcinku, całkowicie owładnęła nią radość szybkiej jazdy. Za oknem widziała falującą krawędź rowu, czasem mignęła jakaś szczerba czy wyrwa. Miejscami na torze zalegał świeży śnieg, pług przebijał zaspy, wzniecając białą kurzawę. Z tyłu, pod błękitniejącym już niebem, rozsnuwał się siwoczarny, kosmaty warkocz dymu zmieszanego z parą.

Jednak taka upajająca, gładka jazda nie trwała długo. Zazgrzytały hamulce, parowóz zwolnił na łuku i niebawem się zatrzymał.

– Co się stało? – spytała zawiedziona.

– Robota. – Grzegorz wzruszył ramionami. Tym razem nie odwrócił się do niej z uśmiechem.

Za oknem przeszedł chwiejnie wzdłuż toru ku przodowi parowozu rozchełstany, podpity sprzątacz, za nim drugi w przekrzywionej futrzanej czapie, z opartą na ramieniu długą żerdzią, zakończoną żelaznym hakiem. Tylko na chwilę straciła ich z oczu, zaraz podreptali w przeciwną stronę, wlokąc za sobą po śniegu splątany zwój czarnych szmat. Przyglądała się temu obojętnie, aż nagle dostrzegła siną bosą stopę wystającą spod wystrzępionego łacha.

Zacisnęła powieki, przylgnęła czołem do chłodnego szkła.

– To wstrętne! Nie wolno tak obchodzić się ze zmarłymi, nie pozwól im…

– Robią tylko to, co trzeba. Oczyszczają Szlak.

W ciszy wyraźnie rozległ się łomot ciała wrzuconego do ostatniego wagonu.

Grzegorz położył dłoń na korbie. Zanim ruszył, dodał jeszcze trochę łagodniej:

– Możesz na to nie patrzeć. Możesz nie widzieć wszystkich innych brudów, których wszędzie pełno. Ale wtedy musisz żyć tak jak tamte baby z Ciepłowni. Musisz odgrodzić się od świata drutami.

Parowóz sapnął i szarpnął wagony. Kiedy Kaśka otworzyła oczy, za oknem znowu rozpościerała się tylko czysta biel.

Tak to się toczyło przez większą część dnia – trochę jazdy, rzadko już tak prędkiej jak na początku, hamowanie i znowu postój, krótszy lub dłuższy, zależnie od tego, ile ciał należało zebrać i czy trzeba było wywlekać je hakami z lodowych jam.

Kaśka nie potrafiła jakoś oswoić się z tym rwanym, męczącym rytmem podróży. Było jej duszno w ciasnej budce, otwierane raz po raz palenisko buchało gorącem. Palacz potrącał ją nieustannie i deptał po stopach. Grzegorz prawie się do niej nie odzywał, skupiony na tym, aby nie przeoczyć żadnej czarnej skazy na jasnych poboczach torowiska. Czasem podnosił do oczu lornetkę i wypatrywał czegoś w rozsłonecznionej dali. Zwalniał na zakrętach, uruchamiał piasecznicę, gdy koła się ślizgały, spoglądał na wskaźniki i rzucał palaczowi krótkie polecenia.

Na którymś z postojów Kaśka zebrała się na odwagę i otworzyła drzwi po stronie przeciwnej niż ta, gdzie kręcili się sprzątacze. W tym miejscu rów był wąski, przeskoczyła więc lekko z drabinki na lodową krawędź i przebiegła kilka kroków, rozpościerając ramiona, by złapać równowagę.

Dostrzegła kątem oka, że dalej, między zaspami, przywarował jakiś cień. Pomyślała, że to zając. Chciała wypłoszyć go dla zabawy, ubiła więc szybko w dłoniach śnieżną kulę i rzuciła.

Garstka dziewczyn rzuciła się do ucieczki, zadzierając kiecki do kolan; w koszach grzechotały węglowe okruchy. Zaskoczona Kaśka patrzyła za nimi przez chwilę bez słowa, lecz gdy rozpoznała kwiatowy deseń na jednej z chust, zawołała radośnie:

– Hanka!

Węglarka przystanęła i obejrzała się, dymiąc zziajanym oddechem. Pozostałe nawet nie zwolniły, rozpierzchły się na wszystkie strony.

Kaśka nie miała karpli, grzęzła w śniegu po uda i upadła kilka razy, nim przedarła się do przyjaciółki. Tamta nie zrobiła ani korku w jej stronę – stała odwrócona bokiem, wciąż przytrzymując uniesioną kieckę, w każdej chwili gotowa do biegu.

– Hanka, to przecież ja, nie poznajesz?

Dziewczyna nieufnie zmarszczyła brwi.

– Może ty, a może i nie ty. Wyglądasz jak kocmołuch.

– To tylko taka zabawa! – Ze wzruszenia trzęsły się jej ręce, gdy usiłowała w pośpiechu zetrzeć sadzę z policzków. – Jakie to szczęście, żeśmy się spotkały! Nie wiedziałam, że jestem tak blisko domu, z parowozu wszystko wygląda jakoś inaczej… – Naraz

uświadomiła sobie, że Hanka nawet się do niej nie uśmiechnęła. – Gniewasz się, że was wystraszyłam? Nie miałam pojęcia, że to wy!

Wśród niewidocznych zza pociągu sprzątaczy posypały się głośniejsze przekleństwa – któryś z martwych parchów utkwił w ciasnej rozpadlinie.

Hanka nie ujęła wyciągniętych na powitanie rąk. Zaciskała dłonie na paskach kosza.

– Czemu się z nimi zadajesz?

– Ze sprzątaczami? Co ty wygadujesz! Jadę w parowozie, z mężem. Znasz go, był u nas we wsi na tańcach.

Hanka patrzyła na nią jakoś dziwnie, jakby nie prosto w oczy.

– A gdyby tak tamci złapali którąś z naszych albo mnie i zaciągnęli do wagonu, co być zrobiła? – Nagle jej prawie dziecięce rysy się wyostrzyły. – Udawałabyś, że niczego nie widzisz, jak twój technik?

– On nie jest taki!

– Niby czemu? Bo zabrał cię na przejażdżkę?

– Jak możesz tak mówić, Hanka!

– Mogę. Pięć dni temu porwali moją młodszą siostrę. Pierwszy raz poszła na Czarny Szlak. – W oczach zalśniły jej łzy, ale wyzywająco uniosła podbródek. – Masz odwagę zapytać swojego męża, gdzie wtedy był?

Chciała odejść, ale Kaśka chwyciła ją za rękaw.

– Zaczekaj, nie możemy się tak rozstawać… Tak bardzo mi przykro, nie wiedziałam…

– Teraz już wiesz. – Węglarka wyrwała rękę. – Miłej wycieczki.

– Hanka, błagam! Chciałam cię jeszcze prosić, żebyś pozdrowiła moją matkę. Żebyś powiedziała jej… Sama już nie wiem. Powiedz, co zechcesz.

Hanka po dłuższej chwili milczenia lekko skinęła głową.

– Pozdrowię ją. Tylko nie wiem, czy będzie teraz chciała o tobie słuchać. Straciła męża.

Kaśka pobladła tak gwałtownie, że na jej twarzy wyraźniej wystąpiły ślady popielatych smug.

– Chryste! Ale jak?… Kiedy?

– Poszedł za tobą do Miasta. Ktoś przyniósł wieść, że zabili go strażnicy. Więcej nic nie wiem.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem w stronę pozostałych dziewczyn, które przestraszone czekały w oddali.

Kaśka nie dosłyszała kroków Grzegorza, który stanął teraz obok, objąwszy ją ramieniem. Lepiej od niej rozpoznał okolicę, gdzie zakiełkowała i rozkwitła tak niespodziewanie ta ich niedorzeczna miłość.

– Złe wieści z domu?

Zesztywniała pod jego dotknięciem, nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Siłą obrócił ją ku sobie.

– Powiedz mi wszystko, będzie ci lżej.

Patrzyła na niego nieprzytomnie szeroko otwartymi, suchymi oczami.

– Ojciec… ojciec…

Nie była w stanie powtórzyć mu całej rozmowy z Hanką, ale technik domyślił się prawdy i dopytał tylko cierpliwie o szczegóły, a ona odpowiadała skinieniem albo

potrząśnięciem głową.

Palacz gwizdkiem dał znać, że pora ruszać. Kaśka wzdrygnęła się na ten dźwięk, z niespodziewaną siłą szarpnęła się w ramionach męża.

– Puść mnie! Muszę iść do matki.

– Nie dotrzesz tam sama, nie w tym stanie. A ja nie mogę pójść z tobą, nie wolno mi się oddalać od parowozu.

– Puszczaj! Ona mnie potrzebuje!

– Jesteś za lekko ubrana, nie masz nawet karpli. Noc złapie cię w drodze, zamarzniesz.

– Nie możesz mnie zatrzymywać! Nic nie rozumiesz, nigdy nie miałeś matki!

– A jeżeli matka nie zechce cię przyjąć? Jeśli obwini cię za to, co się stało? Sama wiesz, jak to u was jest. Nikt nie wpuści cię wtedy za próg. Gdzie się podziejesz, pomyślałaś o tym?

Walczyła z nim teraz naprawdę, biła pięściami i próbowała gryźć, aż upadli oboje. Grzegorz wdusił ją w śnieg ciężarem swego ciała. Wierzgała jeszcze przez jakiś czas, młóciła bezradnie ramionami, aż wreszcie zabrakło jej sił. Zwiotczała, głowa zapadła się w głąb obszernego kaptura.

Wtedy zaczął szeptać pośpiesznie, jakby chciał zdążyć przed kolejnym gwizdkiem.

– Zaufaj mi, węglareczko! Za chwilę wstanę, puszczę cię i zrobisz, co zechcesz. Ale najpierw wysłuchaj mnie do końca, postaraj się zrozumieć. Nie wiem, jak cię pocieszyć. Nigdy nikogo nie straciłem, bo nigdy nikogo nie miałem… aż do teraz. Ale jedno wiem na pewno: na żałobę jest czas dopiero po pogrzebie.

Kaśka oddychała szybko, jej rozogniona twarz parowała.

– O czym ty mówisz, na Boga?

– Spróbuj się uspokoić. Na razie nikt nie wie na pewno, co stało się z twoim ojcem.

– Słyszałeś, zabili go…

– Czy ktoś przywiózł jego ciało do domu? Wieśniacy przecież nigdy nie chowają swoich w Mieście.

– Może strażnicy nie pozwolili.

– A może w ogóle nikt tego ciała nie widział?

Znękana Kaśka zaszlochała, jakby dopiero ten cień nadziei sprawił jej prawdziwy ból.

– Myślisz, że… że…?

– Nic nie myślę, do niczego nie chcę cię przekonywać. Ale nie znasz Miasta tak dobrze jak ja. Każdego roku setki ludzi znikają tam bez wieści. Większość z nich to żer dla dzikich psów i wron, ale niektórzy odnajdują się potem w kanałach, innych wypuszczają po latach z ciemnicy pod Ciepłownią. Różnie bywa.

Podniósł się, pomógł jej wstać. Kaśka zachwiała się, roztrzęsiona, targana sprzecznymi uczuciami.

– Co teraz będzie, Grześ? Co ja mam robić?

– Jeśli naprawdę chcesz pomóc matce, powinnaś dowiedzieć się czegoś pewnego o ojcu. Prawda przyniesie jej ulgę, jakakolwiek by nie była.

Palacz zagwizdał przeciągle. Gdzieś po drugiej stronie torów przemknął nisko na łapach spłoszony lis.

Nie zapamiętała wiele z reszty podróży. Nie schodziła już z parowozu, tkwiła w swoim kąciku odrętwiała, patrząc w ogień paleniska, i myślała o twardym, obcym spojrzeniu Hanki. Nie chciała jeść, choć Grzegorz podsuwał jej troskliwie różne kąski, zagadywał o tym i owym, pokazywał przez okno jakieś wiadukty i tunele, a także sterczące spod śniegu ułomki murów zapomnianych miasteczek bez nazwy, skąd złomiarze już wieki temu powyszarpywali wszystko, co cenne. Milczała. Na postojach liczyła bezwiednie odgłosy wrzucanych do wagonu trupów.

Nie spostrzegła, kiedy zaspy zszarzały, cienie rozmyły się, a wiatr zaczął porywać kłęby dymu. Na niebie poprzez chmury prześwitywał tylko wyblakły krążek słońca, ale i on przepadł niebawem w gęstej zadymce.

Pociąg sunął jeszcze przez jakiś czas po niewidocznych szynach, spocony palacz uwijał się z łopatą, ale zamieć wciąż przybierała na sile, bębniła po blachach odłamkami lodu i zalepiała okna śniegiem.

Parowóz toczył się coraz wolniej, dysząc ciężko ognistymi płucami, aż wreszcie, gdy spiętrzone pługiem białe zwały sięgnęły niemal komina, stęknął po raz ostatni i utknął.

Grzegorz dał gwizdkiem długi sygnał, wywołując wszystkich sprzątaczy z wagonu. Wysypali się z obu stron, zgięci pod wiatrem, obwiązując pośpiesznie twarze szalami po same oczy. Pracowali zawzięcie, łopaty podzwaniały na kołach i wiązarach, lecz śniegu wciąż przybywało.

– Tak to jest, węglareczko, w tym fachu. – Technik przykucnął obok żony. – Tej nocy nie będziesz spała we własnym łóżku. Dobrze, jeżeli w ogóle uda nam się dojechać przed zmierzchem do Kopalni.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, podobnie jak nie ucieszyła się, gdy nareszcie śnieżyca zelżała i powolutku ruszyli naprzód.

Było jeszcze wiele postojów, sprzątacze wracali do wagonu tylko po to, żeby ogrzać się trochę i łyknąć gorzałki; nikt nie myślał już nawet o zbieraniu trupów. Tam, gdzie Czarny Szlak prowadził między niewysokimi wzgórzami, było trochę łatwiej, na odsłoniętych odcinkach parowóz rzęził jak ranne zwierzę. Grzegorz przecierał szybki wskaźników i z niepokojem kręcił głową.

Ściemniło się już niemal zupełnie, pociąg tłukł się pośród na wpół zawalonych gmaszysk o ślepych oknach – nigdzie nie zatlił się choćby słaby płomyk łojowej lampki – gdy niespodziewanie w prześwicie między ruinami Kaśka dostrzegła coś, co pomogło jej choć na chwilę zapomnieć o zgryzocie.

W oddali, na tle mroczniejącego nieba, wisiał pionowo ponad ziemią podwójny ognisty pierścień, który obracał się z wolna wokół własnej osi, pozostając wciąż w tym samym miejscu.

– Jakie to piękne… – wyszeptała, zbliżając twarz do okna.

– Ładnie wygląda tylko w nocy, i to z daleka. – Grzegorz niedbale rzucił okiem w tamtą stronę. – To kierat wyciągu nad szybem Kopalni. Wydaje się, że płonie, bo kieratnicy pozatykali dookoła łuczywa, żeby im było trochę cieplej.

– To też parszywcy?

– Nie, muszą przecież pracować także za dnia. To przestępcy skazani przez Radę Starszych.

Koła parowozu stukały teraz nieśpiesznie po odśnieżonych szynach, kierat pojawiał się i znikał za kolejnymi usypiskami gruzów. W miarę jak zbliżali się do celu, Kaśka widziała więcej szczegółów – ażurową, zwężającą się ku górze konstrukcję wieży, na której wisiała machina wyciągu, nawijającą się na gruby wał linę, szczeble pomiędzy obiema obręczami, wreszcie poruszające się mozolnie wewnątrz cienie ludzi.

Do samej Kopalni jednak nie wjechali. Przenocowali w małej parowozowni, gdzie było ciepło, ale brudno, a już przed świtem ruszyli w drogę powrotną, która rozwlekła się na całe dwa dni. Kolejną noc spędzili w parowozie, unieruchomionym na mijance przez gwałtowną zamieć – pod jej uderzeniami budka trzeszczała, jakby w każdej chwili miała się rozpaść. Palacz dorzucał tylko po trochu węgla, aby nie wygasła cienka warstwa żaru. Kaśka próbowała drzemać, otulona kocami, ale jakoś nie mogła zasnąć, choć Grzegorz zakazał pijanym sprzątaczom głośnego śpiewania. Nie zdołała poukładać sobie w głowie tak wielu nowych wrażeń, wpasować w ten dziwny świat samej siebie i całego przyszłego życia z mężem, a z czasem pewnie i z dziećmi.

Za dnia, kiedy parowóz znów brnął powolutku naprzód, nie próbowała już dostrzec w kurzawie za oknem znajomych widoków, nie zamierzała prosić męża o postój. Nie chciała dotykać rozjątrzonych jak zaniedbana rana wspomnień.

Pod wieczór się rozpogodziło. Gdy w oddali zamajaczył wreszcie w czerwieniach zachodu komin Ciepłowni, wcale nie miała uczucia, że wraca do domu. Pragnęła tylko odpocząć od tych wszystkich zbyt ciężkich, zbyt zawiłych myśli.

Niebawem przez zmrożone szyby przesączyły się światła bramy wjazdowej, pod kołami zadudniły zwrotnice. Znowu musiała wyskakiwać ukradkiem z budki parowozu, schować się w szopie i czekać, aż Grzegorz zda maszynę kolejnemu technikowi. Przykucnęła w ciemnościach, senna i odrętwiała od długiego bezruchu. Słuchała niemrawych przekleństw sprzątaczy, którzy rozchodzili się do swoich kwater, i jękliwego zgrzytania obrotnicy. Potem na dłuższy czas wszystko ucichło.

Chciała przez szparę w ścianie spojrzeć na parowozownię, gdy nagle drzwi szopy otworzyły się z trzaskiem.

– Tak mi się właśnie zdawało, że to ciebie widziałem przy parowozie. – Gruby strażnik zrobił krok naprzód, w świetle kołyszącej się w jego ręku latarni po ścianach przemknęły cienie. – Ale tutaj bym cię nie znalazł, przyprowadził mnie piesek.

Przytroczony do pasa na smyczy łańcuchowej brytan dyszał radośnie z wywieszonym językiem.

Cofała się przerażona, aż dotknęła plecami ściany. Od razu zauważyła, że ozdrowieniec jest mocno pijany – chwiał się na nogach, czkał głośno, jedyne oko błyszczało w otworze kominiarki.

– Zostaw mnie! Zaraz tu będzie mój mąż.

– Nie tak zaraz. Zamarzły im klapy popielnika czy coś. Mamy trochę czasu tylko dla siebie. – Piętą zamknął za sobą drzwi.

– Będę wrzeszczeć!

– Nikt cię tu nie usłyszy, chyba sprzątacze, ale oni nie będą nam przeszkadzać.

– Grzeeeś! – zawołała rozpaczliwie.

Podrażniony pies skoczył w jej stronę; strażnik musiał szerzej rozstawić nogi, żeby nie przewróciło go szarpnięcie.

Roześmiał się, powiesił latarnię na gwoździu w ścianie i zsunął z głowy kominiarkę.

Na widok jego twarzy głos uwiązł jej w gardle, ale jednocześnie spięła się cała do walki. Poczuła się tak, jakby nie miała już do czynienia z człowiekiem – a nad strachem przed dzikim zwierzęciem potrafiła od dziecka zapanować.

Zrobił jeszcze dwa kroki, rozkładając ręce i rechocąc lubieżnie. Nie czekała – chwyciła czekan do rozbijania lodu, który stał w kącie szopy, i pierwszym zamachem trafiła ozdrowieńca w skroń.

Zwalił się bez jęku. Przeskoczyła nad nim, nie czując nawet, że pies rozszarpał jej nogawkę. Obejrzała się dopiero za drzwiami – brytan miotał się wściekle na naprężonym łańcuchu, po trochu przesuwając bezwładne ciało. Gdy zrozumiał, że w ten sposób jej nie dopadnie, zawrócił nagle i ze stłumionym warkotem zaczął gryźć naćwiekowany pas.

Pobiegła w stronę jedynej otwartej bramy parowozowni. Z jasno oświetlonego, parującego wnętrza padały na śnieg ruchome cienie ludzi. Znów chciała krzyczeć i znów nie mogła, zaskrzeczała tylko ptasio, wstrząsana łkaniem. Ktoś stanął w progu; na świetlistym tle widziała jedynie rozmyty we łzach czarny zarys postaci, lecz wydawało jej się, że rozpoznaje sylwetkę Grzegorza. Tamten nie mógł jej widzieć w ciemnościach, ale chyba usłyszał kroki i patrzył wyczekująco w jej stronę.

Zatrzymała się nagle, ryjąc kolanami śnieg. Człowiek w bramie parowozowni miał zasłoniętą twarz. Obok niego pojawił się drugi, z latarnią. Obaj ruszyli wolno przed siebie.

Poderwała się jeszcze raz, uciekła w gęsty mrok łukiem odśnieżonych torów. Ktoś za nią wołał, ale nie po imieniu, więc to nie mógł być mąż, słyszała ujadanie, wszystkie syreny zaniosły się przeraźliwym wyciem. Nie wiedziała, dokąd biegnie, z obu stron szyn piętrzyły się wysokie zaspy. Mogła tylko mieć nadzieję, że trafi na jakąś furtkę, zanim pies zerwie się z uwięzi, i że zdąży odnaleźć któregoś z techników, nim ozdrowieńcy skrzykną się, dopadną ją i zawloką w jakiś ustronny zakamarek Ciepłowni.

W ciemnościach zamigotał pręcik słabego światła. Zdała sobie sprawę, że tory prowadzą do uchylonego skrzydła żelaznych wrót któregoś z budynków, gdzie nigdy wcześniej nie była. Zwolniła, rozglądając się zdezorientowana, ale nie wypatrzyła żadnej przerwy w śnieżnych wałach.

Z tyłu zabrzęczał wleczony po podkładach łańcuch. Nie miała wyboru – dopadła wrót, wślizgnęła się do środka i zamknęła zasuwę.

Z początku niewiele widziała, zamroczona po biegu. Przytłoczył ją ogłuszający hałas, wszystko wokół dudniło i huczało. Było tak gorąco, że z trudem łapała oddech, przyciskając plecy do blachy szorstkiej od rdzy. Pomyślała, że pośrodku ogromnej hali wybuchł pożar – wielkie, oślepiająco jasne płomienie buchały z piekielnej jamy, snopy iskier strzelały aż po żelazne belki wysokiego stropu. Po chwili dostrzegła też ludzi kręcących się wokół ognia. Zachowywali się spokojnie, jakby nie działo się nic niezwykłego. Byli dziwacznie ubrani, w jakieś długie fartuchy z grubej skóry, szerokie kapelusze, rękawice po łokcie, twarze ukrywali za osłonami z gęstej drucianej siatki. Rozpoznała też stojący na uboczu wagon, ten sam, do którego sprzątacze wrzucali zebrane

na Czarnym Szlaku trupy. Teraz stał pusty, widziała jego wnętrze poprzez uniesione boczne klapy. W kałużach roztopionego śniegu leżały tylko mokre łachy.

Ogarnięta złym przeczuciem sięgnęła do zasuwy.

W tej samej chwili brama zatrzęsła się od uderzenia z zewnątrz. Kaśka przyłożyła oko do szpary pomiędzy skrzydłami. Pies drapał pazurami żelazo, grzechocząc łańcuchem, węszył między podkładami, obwarkiwał świeży trop, a w końcu przywarował na torach, jakby wiedział, że prędzej czy później wrota muszą się znowu otworzyć.

Tędy nie mogła się wymknąć, a gdyby próbowała szukać innego wyjścia z tej strasznej hali, ściągnęłaby pewnie na siebie uwagę ludzi w maskach, którzy teraz z zadartymi głowami patrzyli gdzieś w górę.

Za ich przykładem podniosła wzrok. Zakryła usta dłonią, aby nie krzyknąć, i osunęła się plecami po blasze.

Pod stropem na potężnym haku wisiał wielki kosz zespawany z kratownic, który sunął powoli wzdłuż prowadnicy w stronę ognia. Był wypełniony po brzegi, gdzieniegdzie poprzez kraty wystawała chuda ręka czy noga. Pośród płochliwych cieni wydawało się, że powykręcane przez parcha kończyny jeszcze się poruszają. Gdy kosz znalazł się wprost nad rozprażoną jamą, czarne płaszcze i włosy zaczęły się tlić, zaraz potem kratownice u spodu opadły i rozmiękłe od gorąca trupy sypnęły się w gorącą czeluść, w rozwianych połach i kapturach podobne do wron o przetrąconych skrzydłach.

Ktoś bardzo mocno uścisnął jej ramię. Pochyliła się nad nią postać bez twarzy.

– Wstawaj, prędko! – Grzegorz uniósł osłonę z siatki. Spływające krople potu pokryły jego osmalone czoło i policzki jasnymi smużkami. – Jest alarm, zaraz tu będą strażnicy.

Nie spała przez całą noc, ale bała się zapalić światło, nie podchodziła nawet do okien. Przesiedziała cały ten czas przy stole, wciąż jeszcze w tych samych śmierdzących łachach palacza.

Grzegorz wrócił do domu dopiero nad ranem, gdy po brukach przestały łomotać podkute buty strażników i uspokoiły się psy. Kiedy wszedł cicho i postawił na stole latarnię, Kaśka nie podniosła nawet głowy. Usiadł naprzeciw i długo tarł dłońmi nieogoloną od paru dni twarz.

– Już w porządku – odezwał się wreszcie z cicha. – Podejrzewali, że ktoś obcy wdarł się za druty, przeszukiwali całą Ciepłownię. Hutnicy widzieli cię przy piecu, ale ich przekupiłem, nie wygadają się. Pomogli mi pozbyć się strażnika… tego z szopy. Będzie wyglądało, że zdezerterował, to się czasem zdarza.

Kaśka położyła na blacie obie ręce, brudne, poobijane, z kostkami odartymi do krwi, i przyjrzała im się w skupieniu, po raz pierwszy tej nocy.

– Nic nie jest w porządku. – Podniosła na męża oczy bez wyrazu. – Zabiłam człowieka.

– Broniłaś się.

– Mogłam chwycić łopatę zamiast czekana. Mogłam uderzyć go w kolano, nie w głowę.

– Przestań się obwiniać. Ktoś już dawno powinien utłuc tego szczura. Wstyd mi, że sam tego nie zrobiłem. Naraził się tutaj wszystkim, także innym ozdrowieńcom. Skrzywdził

wiele dziewczyn, nawet dzieci z Miasta. Kiedy hutnicy wrzucali go do pieca, pili twoje zdrowie, a oni sami mają przecież mocno zapaskudzone sumienia.

– Ksiądz zawsze mówił, że skoro jest nas tak mało, każde ludzkie życie trzeba szanować jak skarb. Zabójca pomaga Lucyferowi wygubić to, co stworzył Bóg.

– Akurat w księgach parafialnych rachunek się zgadza, bo to właśnie ksiądz parę lat wcześniej wyprawił temu draniowi pogrzeb.

Kaśka odchyliła się na oparcie krzesła. Dopiero teraz, pod koniec tej strasznej nocy, zebrało jej się na płacz.

– Od dawna wiedziałam, że Maciek strzela do nieczystych pod Lodowcem, chociaż w domu się o tym nie mówiło. Właśnie dlatego tak bardzo cię pokochałam: bo byłeś inny… Nie nosiłeś żadnej broni. Na wsi nie ma takich chłopaków. A teraz… teraz ja sama…

Grzegorz już był przy niej, przytulił ją mocno, przycisnął policzek do jej przyprószonych sadzą włosów.

– Cicho, cicho… Nic się nie zmieniło. Ty się nie zmieniłaś. Zapomnij o wszystkim.

– Nie mogę, Grześ. Ani o strażniku, ani o tym, co widziałam w hucie. Dlaczego nie pochowaliście tych biedaków? Czemu pozbyliście się ich jak padliny?

– Z parchem trzeba uważać.

– Każdy wie, że parch żyje tylko tak długo jak człowiek, który go nosi.

– Ludzie nie zgodziliby się, żeby grzebać pokutników na cmentarzu, tak samo tutaj, jak i u was na wsi.

Wzdrygnęła się w jego ramionach.

– Tyle się namarzyłam o tej Ciepłowni, Grześ, a teraz boję się wyjść z domu. To chyba najstraszniejsze miejsce na świecie.

Ujął ją pod brodę i pocałował drżące, słone wargi. Jego zmęczona twarz pojaśniała w uśmiechu.

– Nigdy nie przestawaj we mnie wierzyć, węglareczko. Wykąpiesz się teraz i wyśpisz, a kiedy odpoczniesz, pokażę ci taką Ciepłownię, o jakiej nawet nie marzyłaś.

Wątpiła, czy po tych wszystkich okropieństwach uda się jej zasnąć, a jednak dwie ostatnie nieprzespane noce zrobiły swoje. Ledwie przymknęła oczy, zapadła w kamienny sen, z którego nie mogły jej wyrwać zwyczajne hałasy, popołudniowa burza ani nawet syreny o zmierzchu. Obudziła się dopiero w środku nocy, spocona z trwogi i udręczona jakimś koszmarem – musiała uciekać po torach przed iskrzącym parowozem, który prowadziła Hanka w czarnej kominiarce, a spod zasp na poboczach wyciągały się ku niej pożądliwie pozbawione palców ręce parszywców.

Opamiętała się trochę, gdy poczuła na szyi łechtliwe, senne sapanie Grzegorza. Potem czekała już tylko na świt, bez żadnej wiary, że nowy dzień mógłby przynieść jej coś dobrego.

Wczesnym rankiem, ledwie za oknem przebrzmiały kroki śpieszących do roboty sąsiadów, mąż poprowadził ją przez opustoszałą uliczkę, gdzie tylko paru ozdrowieńców

odgarniało szuflami świeżo spadły śnieg. Nie zwrócił na nich żadnej uwagi, ale Kaśka uczepiła się mocniej jego ramienia, kiedy pochwyciła błysk kaprawych oczu w otworach kominiarek.

Bez przeszkód minęli kilka strzeżonych furtek, do których wcześniej nie śmiała się nawet zbliżyć. Na widok żelaznego hełmu strażnicy posłusznie odstępowali na bok; nie pytali o Kaśkę, choć czuła na sobie ich niechętne spojrzenia.

– Sama widzisz, Ciepłownia to nie więzienie – szepnął jej mąż nad uchem. – Możesz chodzić, gdzie zechcesz.

– Mogę chodzić, gdzie ty mnie zaprowadzisz, a to nie to samo. – Wzruszyła ramionami.

Nie miała wcale ochoty na tę przechadzkę, wolałaby zostać w domu, choćby musiała przez cały dzień gapić się w ścianę. Poszła tylko dlatego, że zabrakło jej energii nawet na sprzeciw.

Rozglądała się obojętnie: wszędzie te same zasieki, ściany z poczerniałych cegieł, rdzewiejące żelastwo, sterty brudnego śniegu. Grzegorz pokazywał, gdzie jest walcownia, gdzie tkalnia i warsztaty naprawcze, ale mało ją to wszystko obchodziło. Wystarczyła jej ta odrobina prawdy o Ciepłowni, jaką odkryła przypadkiem w hucie, aby zwątpić całkowicie we wszelkie inne cuda ludzkiej mądrości. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem poczuła się dziewczyną z Martwego Lasu, córką swego ojca, który nigdy nie chciał odwiedzić Miasta.

Doszli aż do zamkniętej bramy w wysokim murze, najeżonym z góry kolczastym drutem.

– Tam dalej wpuszczają już tylko najbardziej zaufanych, nie wystarczy hełm – wyjaśnił Grzegorz.

– No i dobrze, wracajmy.

– Nie tak prędko, węglareczko. – Wyciągnął z kieszeni mały bukłak. – Na szczęście mam tu coś, czym najłatwiej kupić sobie zaufanie.

– Strażnik przepuści nas za gorzałkę?

– W Ciepłowni gorzałka jest tańsza niż kozie mleko. Ale za ten bukłaczek każdy ozdrowieniec zaprzeda się nawet Lucyferowi.

Załomotał pięścią w upstrzone łatami starej farby wrota. Po chwili otworzyła się ze skrzypnięciem podłużna klapka na wysokości twarzy, odsłaniając pocętkowane krwawo oko strażnika.

– Czego tam?

Grzegorz bez słowa uniósł bukłaczek, potrząsnął z chlupotem.

Oko zniknęło, z otworu wysunęła się powykrzywiana, szponiasta dłoń, ale technik odstąpił o pół kroku.

– Najpierw otwórz bramę, piękny kawalerze.

Tamten zacharczał zduszonym przekleństwem, ręka cofnęła się, znów wychynęło oko.

– Tylko ty, dziewucha zostaje.

– Dobra, wrócę tu na innej zmianie.

Zanim Grzegorz zdążył się odwrócić, klapka zamknęła się z trzaskiem, zgrzytnęła zasuwa i ciężkie skrzydło bramy uchyliło się, odgarniając zwał śniegu.

– Godzina – warknął strażnik. – I pilnuj dziewuchy, żeby się tam gdzieś nie zawieruszyła.

– Dwie. A jak jeszcze raz nazwiesz moją żonę dziewuchą, załatwię ci robotę przy

opróżnianiu szamba.

Choć Kaśka nie oczekiwała wiele, mimo woli poczuła rozczarowanie, gdy wsunąwszy się za bramę, ujrzała jeszcze jedną brzydką halę, z wielkimi od ziemi po dach oknami poskładanymi z mniejszych kwadratów zaparowanego od wewnątrz szkła. Szeroki na kilkadziesiąt kroków pas terenu między murem a halą pokrywał śnieg, od bramy wiodła tylko wąska ścieżka, posypana, jak na wsi, popiołem. Oprócz strażnika, który zadarłszy kominiarkę na czoło, obwąchiwał odetkaną szyjkę bukłaczka, w zasięgu wzroku nie było nikogo.

– Znowu maszyny, Grześ? Wiem, jakie to dla ciebie ważne, ale ja bym wolała…

– Nic nie wiesz. – Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. – Ty jesteś dla mnie ważna. Albo zaczniesz się znowu uśmiechać, jak dawniej, albo jeszcze dzisiaj wyniesiemy się stąd i zamieszkamy w kolibie, gdzieś na końcu świata, gdzie nikt nas nie znajdzie.

Ścieżka doprowadziła ich do odrapanych drzwi, zaskakująco małych. Kaśkę zdziwiła cisza; przywykła już, że w takich miejscach ziemia zwykle drżała od ciężkiego dudnienia.

– Nie wygląda to wszystko ciekawie, co? – Grzegorz omiótł gestem całą okolicę. – A jednak, gdyby nagle zabrakło węgla, Ciepłownik prędzej odciąłby ogrzewanie w Katedrze, a nawet w całym Mieście, niż tutaj. Ale ludzie nic o tym nie wiedzą. A niechby i trafił tu ktoś zza drutów: i tak nie umiałby opowiedzieć o tym, co widział.

– Uważasz, że wszyscy poza technikami to głupcy? – zaperzyła się.

– Skądże! Po prostu nie ma na to odpowiednich słów. Kiedyś istniały, dawno temu, przed Upadkiem, ale przez lata ludzie je pogubili, pozapominali. – Pchnął drzwi i przygarnął ją ramieniem. – Zaraz się przekonamy, co ty sama będziesz miała do powiedzenia.

Ogarnęło ją ciepło – ale to nie był zatęchły, przesycony wonią smarów żar, jaki znała z innych hal, ani też zaduch wiejskiej chaty ogrzewanej piecem węglowym; miała wrażenie, że owiało ją żywe, wilgotne tchnienie. Zobaczyła padające z góry ukośne smugi słonecznego światła, które przenikały w zielonkawe półcienie. Oszołomiła ją słodko-cierpka mieszanina zapachów, bardzo mocnych, nieznanych, ale zarazem w jakiś sposób swojskich, które rozbudzały najgłębiej uśpione tęsknoty.

Grzegorz pchnął ją lekko do środka, zamknął drzwi i ściągnął z niej kubrak.

– Oddychaj pełną piersią, węglareczko. To najlepsze lekarstwo na troski, pochodzi od samego Boga.

Długo tak stała w milczeniu, zasłuchana w cichy szmer wody, która sączyła się gdzieś w zielonej gęstwinie. Patrzyła na błyszczące w słońcu kropelki na liściach drzew, na kosmatą mierzwę trawy poprzetykaną wielobarwnymi kępkami kwiatów, na spękaną korę żywych pni, pokrytą gdzieniegdzie nalotem mchu, na wysokie czuby paproci i kuleczki jagód na niskich krzaczkach.

Potem uśmiechnęła się bardzo łagodnie.

– Masz rację, Grześ. Nie umiałabym o tym opowiedzieć.

Ruszyła krętą, kamienistą dróżką, która wiła się pośród gęstych zarośli, skręcała niespodziewanie, kluczyła i zawracała, stwarzając złudzenie, że biegnie przez prawdziwy las, którego nie ograniczają cztery ściany hali. Kaśka niestrudzenie dreptała przed siebie, zatrzymywała się tylko po to, aby przykucnąć nad jakimś kwiatkiem czy grzybkiem, dotknąć

drzewa – rozpoznała buk, dąb, sosnę i brzozę, choć znała je przedtem tylko jako wypalone od środka pniaki – albo zanurzyć palce w zimnej wodzie strumyka. Zdawało jej się, że spaceruje po rajskim ogrodzie, tym samym, o którym słyszała w kościele. Grzegorz przez cały czas opowiadał jej z zapałem o dwuspadowym szklanym dachu, zaprojektowanym w ten sposób, aby nie zalegał na nim śnieg i aby wytrzymał każdą burzę, nawet Wietrzysko, o wymyślnym ogrzewaniu, o sztucznych deszczach, o szczepieniu drzew, ale Kaśka tylko kiwała w roztargnieniu głową. Napatrzyła się już w Mieście i w Ciepłowni na tyle niezwykłości, że trudno było ją zadziwić.

Ale – las? Pachnący, żywy las? Zawsze wyobrażała sobie, że moc wskrzeszania z martwych należy tylko do Stwórcy.

– Myślisz pewnie, że to jakieś czary? – Śmiał się Grzegorz. – A przecież twoja matka robi to samo, kiedy sadzi żołędzie w skrzynce i na nie chucha, aż puszczą kiełki. Tylko że w chacie, pod oknem, nigdy nie wyrośnie drzewo. Do tego właśnie była potrzebna Ciepłownia, a nie po to, żeby księdzu na ambonie nie zmarzły nogi. Budujemy następną halę, pod sad, już wzeszły sadzonki drzew owocowych.

– Dlaczego trzymacie to w tajemnicy, Grześ? Tu jest tak pięknie! Każdy powinien to zobaczyć, poczuć…

– Gdyby wszyscy chcieli tu przyjść, wdeptaliby ten kawałek zieleni w ziemię.

– To tylko wymówka! Nie trzeba przecież wpuszczać wszystkich naraz.

– Pamiętaj, że nie brakuje takich, dla których Naczelny Technik to sługa Lucyfera. Marzą o tym, żeby zniszczyć jego dzieło. A las pali się łatwo.

– Więc po co to wszystko? Dla kogo?

– Teraz tylko dla ciebie. – Mrugnął okiem. – A w przyszłości? To zależy tylko od tego, w co się wierzy.

– A ty w co wierzysz?

– W rozum, węglareczko. Wierzę, że kiedyś Martwy Las zazieleni się na nowo, ruszą rzeki. Tutaj zrobiliśmy tylko początek.

– Jak? Przecież nie zbudujecie szklanego dachu nad całym Podgórzem!

– Nie mam pojęcia. Ale to jedno wiem: że takiego cudu nie wymodli się w kościele. Tu trzeba ciężkiej pracy, uporu i geniuszu Ciepłownika. Tylko on może tego dokonać, choćby wbrew wszystkim. A kiedy już to się stanie, tylko ci nieliczni, którzy pomagają mu teraz, w najtrudniejszych latach, będą mieli czyste sumienie.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób…

– Więc pomyśl teraz. Gdyby nie on, na pewno nie osiągnęlibyśmy tak wiele w zaledwie dwadzieścia pięć lat. Do dzisiaj żylibyśmy jak dzikusy, w śniegowych kolibach. To on stworzył Miasto!

– Ojciec często mawia, że Miasto już tu stało, kiedy ludzie zeszli z Gór. Trzeba było tylko połatać gdzieniegdzie dachy i oszklić okna.

– Ma rację.

– Wszystkie maszyny i piece Ciepłowni były gotowe do użycia, wystarczyło je uruchomić.

– To też prawda. Ale ktoś musiał wiedzieć, jak to zrobić. Na początku przecież nikt nie wierzył, że to w ogóle jest możliwe.

– Jak przekonał do tego ludzi?

– On ich nie przekonał, on ich zmusił. – Maciek podniósł zaciśniętą pięść. – To właśnie jest tajemnica cudu, który się tutaj dokonał. Kopalnia jest ważna, i Czarny Szlak, i ciepłe rury, ale najważniejsze jest co innego.

– Co takiego?

– Straż! Gdyby Ciepłownik nie mógł się oprzeć na ozdrowieńcach, nie utrzymałby w ryzach tłumu głodnych ślepców. Musiał narzucić im siłą nowy porządek, usunąć na bok biskupa i Radę Starszych. Wiem, że nie wszystko tutaj ci się podoba, ale tak już musi być. To dzięki władzy Ciepłownika zazieleniły się te drzewa, a trwa ona tylko dzięki pałkom strażników. Bez tego nawet za sto lat nie mielibyśmy tego, co mamy. – Westchnął, przygarnął ją czule. – Ufam Ciepłownikowi, węglareczko. Dlatego jutro znowu wyjadę na Czarny Szlak i odstawię do huty wagon z trupami.

6

Ksiądz Rafał nie miał do nikogo żalu. Mógł się sprzeczać z Kacprem, mógł krzyczeć w natchnionym uniesieniu z dzwonnicy na pijany tłum, mógł potępiać bezbożność Miasta, ale w głębi serca zawsze uznawał, że przyczyny każdego zła najpierw należy poszukać w sobie samym. Widocznie nie zasłużył ani na święcenia kapłańskie, ani na szacunek. Pracował ciężko, ponad siły, pościł, modlił się gorąco, a przecież sam wiedział najlepiej, że nie stał się takim pasterzem, jakiego potrzebował ten krnąbrny, na wpół pogański lud.

Czego mu zabrakło? Może przez ostatnie ćwierć wieku nie potrafił właściwie odczytywać Bożych znaków? Może bardziej niż wytrwałości potrzebował tego świętego szaleństwa, które pozwoliło mu poczuć się jak płatek śniegu na wietrze. Przestał się wreszcie troszczyć o te wszystkie małe, dokuczliwie sprawy – że kościelny znów się upił, że pies okulał, że w wiejskim kościółku trzeba naprawić dach. Mógł zająć się tym, co naprawdę ważne. Po wielu latach odzyskał pewność swego powołania.

Pierwszą noc spędził w obozowisku drwali; zjadł z nimi tłustą wieczerzę, pił kumys zmieszany z krwią i spał w ciasnym namiocie, cuchnącym źle wyprawionymi foczymi skórami. Odmówił, gdy rankiem chcieli odprowadzić go do najbliższej wioski. Pobłogosławił ich na odchodnym, a oni milczeli, zgorszeni jego lekkomyślnością.

Pogoda mu sprzyjała – pokonał szmat drogi, trzymając się śladów myśliwskich sań. Nie czuł się w odludnej okolicy tak swobodnie jak ślepi kopacze, nie miał przewodnika ani nart, jednak dzięki temu, że nie zasiedział się przez lata w Mieście, podróżując stale po całym Podgórzu, nie obawiał się teraz, iż zbłądzi. Bez trudu potrafił określić, gdzie jest północ – zeskrobywał z pni po ściętych drzewach lód i sprawdzał końcami palców, z której strony odstępy między słojami są mniejsze. To wystarczało, nie potrzebował żadnych innych wskazówek.

Tego dnia nie spotkał nikogo, nie wyczuł choćby z daleka zapachu dymu. Zgłodniał i przez to dotkliwiej odczuwał mróz. Stare, rozczłapane buty otarły mu pięty do krwi. Powoli przesuwał w dłoni duże paciorki różańca. Kilka razy usłyszał wycie wilków, lecz ani na chwilę nie uniósł głowy i nie przestał poruszać spękanymi wargami.

Rozjeżdżony szlak coraz wyraźniej odchylał się na wschód, więc porzucił go w końcu, zbaczając na bezdroże. Twardy, zmrożony śnieg nie utrudniał marszu, czasem tylko Rafał potykał się na zwęglonych pniakach albo noga zapadała mu się w jamę świeżego wykopu.

Wieczorem trafił przypadkiem na opuszczoną gawrę, pełną jeszcze niedźwiedzich kłaków. Skulił się tam na dnie, drżąc z zimna. Bardziej niż głód dręczyło go teraz pragnienie. Wiedział, że jeśli zacznie jeść śnieg, raz-dwa wychłodzi się na śmierć.

Napsuł sporo zapałek, zanim udało mu się sztywnymi palcami przenieść mały ogienek na knot ogarka świeczki i roztopić w kielichu mszalnym kilka kawałków lodu. Nie przemknęło

mu nawet przez głowę, że to mogłaby być profanacja; zanim się napił, wzniósł pozłacane naczynie jak przy ofiarowaniu.

Spał niespokojnie, budził się z zimna, męczyły go skurcze pustego żołądka i mdłości. Jakieś duże zwierzę węszyło przy gawrze, ale odeszło. Wilcze wycie dobiegało chwilami z kilku stron naraz.

O świcie znów wypił parę łyków ciepłej wody, wypełznął z kryjówki i stanął na trzęsących się nogach. Zakręciło mu się w głowie, obtańcowywały go cztery strony świata; długo trwało, nim zdołał ustawić się prawym policzkiem do wschodzącego słońca. Po kilku pierwszych krokach upadł na kolana. Poranione stopy sprawiały taki ból, że gotów był zrzucić buty i iść dalej w samych onucach, ale wątpił, czy uda mu się rozsupłać obrośnięte lodem sznurowadła.

Dźwignął się znowu, poprawił różaniec na szyi i zataczając się, ruszył dalej.

Mimo słabości nie tracił ducha. Rozpoczął tę pielgrzymkę donikąd z mocną wiarą, że gdzieś po drodze odkryje jej cel i sens. Zaczynał rozumieć, że być może wcale nie będzie musiał szukać daleko. Może od tego, za czym tak długo tęsknił, dzieliło go już niewiele bolesnych kroków, kilka potknięć i ostatni upadek.

Nie upadał jednak, wciąż jeszcze trzymał się na nogach. Nawet ból jakby z czasem zelżał – a może po prostu zanikało mu czucie w stopach? Głód także przygasł, pozostało po nim wrażenie lekkości i dziwne wyostrzenie zmysłów. Wokół było bardzo cicho, tylko szreń skrzypiała pod butami i grzechotał różaniec, gdy kolejnymi dziesiątkami odmierzał nieśpiesznie upływający dzień. Pulsowały odmrożone końcówki palców, promienie słońca łaskotliwie dotykały powiek. Ani razu nie pozwolił sobie na odpoczynek – przeczuwał, że gdyby zatrzymał się choć na chwilę, natychmiast dopadłoby go śmiertelne wyczerpanie, z którego nie potrafiłby się już podźwignąć.

Nagle przez mroźną ciszę przewiercił się krótki świst, mocne szarpnięcie zdarło mu kaptur z głowy. Przystanął, z wysiłkiem prostując odrętwiały kark.

– Koniec drogi, parszywcu!

Stłumiony odległością krzyk brzęczał gdzieś daleko z przodu. Rafał rozumiał słowa, ale nie umiał odnieść ich w żaden sposób do siebie. Postawił jeszcze kilka rozchybotanych kroków – druga strzała zafurkotała piórami tuż nad jego odsłoniętym uchem.

– Leziesz prosto na mnie, parszywcu! Czemu nie uciekasz? Ruszaj się, psujesz całą zabawę!

Zaczerpnął powietrza, aby odpowiedzieć, lecz zachrypiał tylko suchym kaszlem, który niemal rozrywał mu pierś. Nie spróbował ponownie, otarł rękawicą plwocinę z poprzetykanej lodowymi igiełkami brody.

Niespodziewanie rozjaśnił się jakoś wewnętrznie, rozgrzał go radosny dreszcz. Pojął w jednej chwili, bez żadnych wątpliwości, że tak właśnie powinna zakończyć się ta wędrówka – w całkowitym osamotnieniu, w ostatecznym upokorzeniu, w zupełnym wyrzeczeniu się samego siebie. Musiał sparszywieć w oczach ludzi, aby oczyścić się dla Boga.

– Co jest z tobą, śmierdzielu? Nie chcesz biegać? Trudno. Za karę nie zabiję cię czysto, dostaniesz w brzuch. Będzie bolało, długo i mocno, zanim zdechniesz.

Śmiało prostując plecy, Rafał ruszył po swoją nagrodę, wyczekując ufnie świstu strzały.

Nie skończyło się na paru krokach – szedł i szedł, aż pokrwawione stopy znów stanęły w ogniu, a popuchnięte kolana zaczęły miękнąć. Poślizgnął się i prawie upadł. Gdy odzyskał równowagę, usłyszał z bliska ten sam głos, teraz zająkliwy ze zgrozy:

– Jezus Maria, dlaczegoś nic nie mówił? Z daleka wziąłem czarny habit za płaszcz parcha. Miałem już strzałę na cięciwie, na szczęście w ostatniej chwili błysnął krzyżyk różańca. Mało brakowało, naprawdę mało…

Myśliwy starał się, jak mógł, aby wynagrodzić mu swoją wstydliwą omyłkę. Poprowadził go, słaniającego się, do swojej śnieżnej koliby, otulił w ciepłe koce, nakarmił i napoił. Rafał poddał się biernie tej troskliwości, oszołomiony nieoczekiwanym wybawieniem, które smakowało cierpko, jak odtrącona ofiara.

– Gdzie kościelny? Pewnie porzucił cię w drodze, łajdak? – gderał myśliwy, rozdmuchując ogień w składanym trójnogu. – Trzeba go będzie powiesić na psich kiszkach.

– Wyruszyłem sam.

– Sam? Nic dziwnego, żeś pobłądził.

– Nie pobłądziłem. Idę na północ.

– Dalej nic już nie ma!

– Jest Lodowiec.

Nieznajomy milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy znowu się odezwał, jego głos nie brzmiał już tak życzliwie.

– To szaleństwo – osądził krótko. – Stamtąd nikt jeszcze nie wrócił.

– I ja pewnie nie wrócę.

– Więc po co się tam pchać? Chcesz nawracać demony?

Rafał z trudem szukał w sobie odpowiedzi, która jeszcze niedawno wydawała mu się oczywista.

– Może na początek trzeba nawrócić samego siebie.

– Ech, za mądre dla mnie takie gadanie! Wiem tylko jedno: że na Lodowcu nie znajdziesz Pana Boga, bo tam rządzi Lucyfer.

Raptem chwycił księdza za brodę, zadarł ku górze jego twarz i kciukiem wywinął kolejno obie powieki, zaglądając z bliska w ślepe oczy. Potem puścił go i się odsunął, pochrząkując w gniewnym zakłopotaniu.

– Nie miej o to żalu, musiałem się upewnić, czy masz czyste oczy. Czasem parszywcy, kiedy nic jeszcze po nich nie widać, uciekają bez dzwonka i czarnego płaszcza.

Rafał poprawił różaniec. Przez dłuższy czas bez słowa wodził po twarzy poczerniałymi opuszkami palców, jakby próbował rozpoznać się na nowo.

– A gdyby tak było, zabiłbyś mnie? – zapytał cicho. – Nawet teraz, kiedy jestem twoim gościem?

– Znam swój obowiązek. Poderżnąłbym ci gardło, chociaż szkoda byłoby zapaskudzić nową kolibę.

– I mógłbyś potem spać spokojnie?

– Jak niemowlę przy cycku. – Raptem zmienił ton, jakby księdzu, który zadaje tak dziwne

pytania, nie należał się już nawet pozór szacunku. – A ty co, masz się za kogoś lepszego? Ilu parszywcom wyprawiłeś pogrzeb za życia? Ilu przez ciebie zdechło w Kopalni albo na Czarnym Szlaku? Dla ciebie wystarczy, że nie musisz ich oglądać, nic więcej cię nie obchodzi. Kropisz Lucyfera wodą święconą, a brudną robotę zostawiasz takim jak ja.

Rafał powoli skinął głową.

– Tak, mówisz prawdę. Moja wina jest większa niż czyjakolwiek. Za późno zrozumiałem, że Lucyfera trzeba najpierw pokonać we własnym sumieniu.

– Wy tam w Mieście gówno wiecie o Lucyferze! Siedzicie w swoich ciepłych domach, smrodzicie sobie po trochu, nażarci, i we łbach wam się przewraca. Zawróć, księżulku, dopóki jeszcze możesz, albo pożałuję, że nie trafiłem cię pierwszą strzałą. Może tak byłoby dla ciebie lepiej.

– Może… Ale widocznie Bóg nie po to postawił cię na mojej drodze, abyś mnie zabił.

– To jeszcze nie znaczy, że muszę słuchać twoich bredni. Zostawiam cię tutaj, wolę na noc zakopać się gdzieś w śniegu z psami. Nawet jeśli jesteś czysty na ciele, masz parszywe myśli.

Całą noc przesiedział bezsennie, ogrzewając dłonie nad płomykiem ostatniego ogarka. Nie myślał o tym, co czeka go nazajutrz; dużo się modlił, trochę wspominał. Mocniej niż kiedykolwiek wcześniej odczuwał słuszność swego wyboru – chyba po raz pierwszy w życiu był w całkowitej zgodzie z własnym sumieniem.

Kiedy ogarek się dopalił, musiała wystarczyć mu ta odrobina ciepła, jaką zachował w sobie. Dzikie zwierzęta nie podchodziły do koliby, odstraszone świeżą wonią psów. W nocnej ciszy donośnie rozbrzmiewały suche trzaski nieodległego Lodowca.

Poprzez grube ściany nie mógł zobaczyć wschodu słońca, dlatego wyszedł jeszcze przed świtem, prosto w zapierający dech w piersi mróz, aby nie tracić z dnia ani chwili.

Odzyskał nieco sił, ale nie maszerował już tak lekko jak wcześniej. Z trudem powłóczył obolałymi nogami w lodowym rumoszu, potykał się często i padał na kolana. W ustach miał sucho, w głowie szumiało jednostajnie, twarz na przemian płonęła gorączką i drętwiała z zimna. Wyczuwał przed sobą potężne czoło Lodowca, który rzucał daleki cień, i wsłuchiwał się w jego skrzypiący, trzeszczący bezruch. Czasem, gdy obrywał się większy kawał urwiska i roztrzaskiwał z hukiem, pod stopami drżało podłoże. W powietrzu unosił się drobniutki lodowy pył, przy każdym wdechu drapiący w opuchniętym gardle. Niekiedy habit zaczepiał o wystające ponad śnieg krzywe końcówki betonowych słupów z resztkami poucinanych kabli.

Rafał musiał pokonać jeszcze wysoki zwał pokruszonych odłamków, które raz po raz obsuwały się spod butów. Wdrapywał się na czworakach, a niekiedy czołgał, świszcząc boleśnie, nim w końcu dotknął nierównej, popękanej ściany Lodowca. Wstał, wspiął się na palce i sięgnął dłonią tak wysoko, jak zdołał, ale nie znalazł żadnego zaczepienia. Ruszył ostrożnie wzdłuż urwiska, sunąc rękawicą po lodzie; zewnętrzna stopa wciąż odjeżdżała mu na luźnym osypisku. Zdawał sobie sprawę, że teraz, widoczny z daleka, stanowił łatwy cel dla wprawnego strzelca, i mimo woli zaczął się śpieszyć. Ciężko byłoby mu umierać

właśnie teraz, po tylu trudach, kiedy tak niewiele dzieliło go od przekroczenia granicy tego, co znane.

Szczęśliwie szybko trafił na rozpadlinę w urwisku, do której mógł wsunąć się bokiem. Przecisnął się dalej, szurając plecami po lodzie, aż do miejsca, gdzie zrobiło się trochę przestronniej, a dno szczeliny zaczęło się podnosić. Gdy potrącił butem porzucony dzwonek, wiedział już, że jest na dobrej drodze.

Przez resztę dnia wspinał się wytrwale pomiędzy zimnymi ścianami; ześlizgiwał się często, obtłukując kolana i łokcie. Nie wiedział, gdzie jest słońce, stracił poczucie czasu. Wierzył, że gdzieś tam wysoko w górze błękitnieje pasmo czystego nieba i że wystarczy tam dotrzeć, aby świeży podmuch wywiał z duszy resztki miejskich trosk.

Im dalej zapuszczał się w głąb rozpadliny, tym podejście robiło się bardziej strome. Musiał wyszukiwać czubkami butów szczelin i pęknięć, wczepiać palce w nierówności, rozpierać się łokciami w ciasnych przewężeniach. Walczył ze zmęczeniem – każde poruszenie stawów sprawiało mu ból, jakby dostał się do nich piasek, serce łomotało, ostre drobinki lodu kaleczyły wargi i język. Coraz częściej wątpił, czy ta karkołomna ścieżka naprawdę wyprowadzi go na powierzchnię Lodowca, lecz za późno już było na odwrót – nie miałby odwagi rozpoczynać podobnej mordęgi od nowa.

Kiedy wreszcie wyrosła przed nim niemal pionowa stromizna, w sercu pełgała mu już tylko resztka otuchy. Uklęknął na garbatym progu i zaczął się modlić bez słów, bez myśli nawet, samym tylko strachem i rozgoryczeniem. W bezwiednym geście rozpaczliwego błagania uniósł ramiona i wtedy zaczepił rękawicą o grubą, żelazną śrubę, wkręconą powyżej w lód.

Zawstydził się jak dziecko swego niedowiarstwa. Trochę wyżej namacał drugą śrubę, i jeszcze jedną – ten szlak musiał przecierać ktoś, komu nieobce były górskie wędrówki.

Z początku, uskrzydlony ufnością, wspinał się szybko i łatwo; znajdował śrubę po śrubie dokładnie tam, gdzie się ich spodziewał. Jednak po pewnym czasie, gdy któraś obluzowała się niespodziewanie pod naciskiem buta akurat w chwili, gdy drugą stopą dopiero szukał oparcia, i na kilka sekund zawisł na samych rękach, z sercem w gardle, usmarkany z wysiłku – dotarło do niego, że teraz każdy błędny ruch oznaczać będzie śmierć. Wyraźnie poczuł głębię zimnej przepaści. Mięśnie sztywniały z przerażenia, rękawice ślizgały się na spotniałych nagle dłoniach.

Opanował się jakoś, wbił czubek buta w wyrwę po śrubie i podciągnął się wyżej.

Wspinał się teraz mozolnie, powoli, stękając głucho i drżącym szeptem wzywając opieki archanioła Rafała. Kolana miękły, oblodzone śruby wymykały się słabnącym palcom. Coraz częściej w rozpadlinie huczał mroźny przeciąg – przylegał wtedy do lodu twarzą, brzuchem, całym sobą, a po plecach siekły go niesione podmuchem okruchy.

Zabrakło mu sił nawet na radość, kiedy nareszcie jego wyciągnięta dłoń zagłębiła się w miękkim śniegu. Rozłożył łokcie ponad wyszczerbionymi brzegami szczeliny i odpoczywał w tej pozycji przez jakiś czas, rozkraczony pomiędzy ścianami nad przepaścią. Głowa kiwała mu się na boki, ze śmiertelnego znużenia tracił świadomość, i byłby spadł, gdyby nie nagły poryw wiatru, który liznął go po twarzy szorstką kurzawą. Zdobył się na jeszcze jeden wysiłek. Skrobiąc krawędziami butów po lodzie, wypełzł ze szczeliny, obrócił się na plecy i usnął od razu, zanim nawet zdążył pomyśleć, że z tego snu

już pewnie się nie obudzi.

Jeszcze raz ocalił go wiatr, otulając grubą warstwą śniegu i chroniąc w ten sposób przed wychłodzeniem.

Kiedy wykopał się z zaspy, półprzytomny jeszcze, odrętwiały i bardzo słaby, natychmiast osaczył go potężny mróz. Była noc, nad Lodowcem ciążył zimny mrok wygasłego nieba. Zamieć ustała, w ciszy rozlegały się tylko jakieś podskórne szmery i chroboty.

Wytrząsnął śnieg spod habitu i w miarę możliwości pozaciągał wszystkie zesztywniałe rzemienie butów. Choć próbował przytupywać dla rozgrzewki, od kolan w dół nie miał czucia, nogi były niczym drewniane kloce. Wąs szybko obrósł mu soplami, broda kłuła jak druciana szczotka.

Nie miał pojęcia, ile czasu pozostało do świtu, lecz wolał od razu wyruszyć w drogę, póki jeszcze nie przemarzł do cna. Brodząc na kolanach w śniegu, odnalazł skraj rozpadliny i pochylił się nad nią, jakby chciał po raz ostatni odetchnąć powietrzem Podgórza. Potem podniósł się i schowawszy dłonie w rękawach, poszedł w przeciwną stronę.

Wyobraził sobie, że Bóg widzi go z wysoka jako maleńką drobinkę kurzu na skraju nieprzebytej, wysrebrzonej księżycowym blaskiem lodowej pustyni i że tylko to opatrznościowe spojrzenie utrzymuje go przy życiu i prowadzi ku utajonemu przeznaczeniu. Do niego samego należało tylko przebierać wytrwale nogami w sypkim śniegu, ssać oszronione kłaki futrzanego kołnierza, aby oszukać pragnienie, i mruczeć kolejne dziesiątki różańca. Nadwerężone przy wspinaczce ramiona nękały ostre skurcze, mróz ściskał mu skronie i przewiercał ostrym bólem każdy z popsutych zębów – lecz wciąż szedł, krok po kroku wyorywał na powierzchni Lodowca białą bruzdę.

Raptem lód się zapadł i prawa noga aż po pachwinę uwięzła Rafałowi w wąskiej szczelinie.

Świątobliwe rojenia rozpierzchły się spłoszone, znów zewsząd osaczyła go groza głuchej nocy. Choć tak długo wędrował sam, dopiero teraz poczuł się naprawdę samotny. I nie tylko to – powolutku zaczęła dojrzewać w nim świadomość, że w tej strasznej, zlodowaciałej pustce kryje się coś więcej. To było oblicze świata skażonego Upadkiem. Półleżąc w śniegu, zrozumiał, że w tej przygnębiającej martwocie manifestuje się prawdziwa, złowroga, rzeczywista obecność Lucyfera, któremu tak nieopatrznie rzucił wyzwanie.

Zatęsknił do jakiegokolwiek objawu życia – choćby do wycia wilków.

Wydobył nogę ze szczeliny i wsparty na łokciu odczołgał się na bok. Coś kłuło go pod żebrami, łykał krew z nadgryzionego języka, ale chyba nic poważniejszego mu się nie stało.

Posuwał się teraz naprzód rozważniej, sprawdzając podłoże stopą, nim przeniósł na nią ciężar ciała. Wielekroć drogę przecinały szczeliny, na ogół dość wąskie, które dało się łatwo przekroczyć. Jeśli klęknąwszy, nie mógł dosięgnąć ręką drugiego krańca, tak długo wędrował wzdłuż pęknięcia, aż odnajdywał możliwe do pokonania zwężenie. Raz tylko, skruszywszy czubkiem buta cienką skorupkę, odsłonił szeroką przepaść, której krawędzie nie zbliżały się do siebie w żadnym miejscu na odległość wyciągniętego ramienia, choć stracił wiele sił i czasu na bezowocnym dreptaniu tam i z powrotem, z coraz większym

trudem podnosząc oblepione śniegiem buty.

W końcu zrozumiał, że to kolejna próba wiary – każda chwila zwłoki mogła jedynie tę próbę utrudnić. Był tylko jeden sposób, aby się przekonać, jak daleko jest drugi brzeg szczeliny – i czy w ogóle istnieje.

Udeptał sobie ścieżkę rozbiegu, odmierzył odległość krokami, przeżegnał się i od razu, nie pozwalając sobie na zawahanie, potruchtał koślawo, odbił się blisko krawędzi i skoczył.

Podczas tego krótkiego lotu wyrwało mu się gdzieś z trzewi namiętne, pierwotne pragnienie życia, które przerodziło się w nagłą trwogę, gdy przestał się wznosić i zaczął opadać.

Gruchnął kolanami o lód po drugiej stronie i długo nie mógł wstać, osłabły z wysiłku i wielkiej ulgi. W końcu uniesienie opadło, pozostawiając gorzki osad zawstydzenia. Skąd taka nieokiełznana radość z ocalenia? Marzył przecież o tym, aby uświęcić to swoje przedwcześnie przywiędłe życie i jeśli trzeba, złożyć siebie samego w ofierze – a tymczasem powszedni strach przed śmiercią przy pierwszej okazji odarł go z tych pobożnych złudzeń. Chciał szafować sobą hojnie, a zamiast tego ciułał skrzętnie, jak skąpiec, dzień do dnia.

Podniósł się, gniewnym parsknięciem dodając sobie ducha. Musiał iść dalej, musiał się nauczyć skakać w nieznane nawet bez tego okrucha bezpieczeństwa, jaki przynosi nadzieja.

Głód ćwierkał głośno w pustym brzuchu. Rafał zataczał się, tracił poczucie kierunku, grzązł w zaspach, wracał po własnych śladach i próbował przedzierać się w innym miejscu. Szczeliny nie robiły już na nim żadnego wrażenia, obojętnie słuchał cichnącego gdzieś w głębi grzechotu spadających odłamków.

Niedługo potem, niespodziewany jak cud, objawił się świt.

Na Lodowcu wschód słońca smakował wspanialej niż tam, w dole. Prześwietlone powietrze, jeszcze bardzo mroźne, zdawało się drżeć leciutko, zmienił się zapach śniegu, wokół zrobiło się jakoś przestronniej, swobodniej, jakby przestały zewsząd napierać nocne cienie. Słońce nadało pozór życia tej martwej krainie i na nowo rozbudziło marzenie, że jeszcze wszystko jest możliwie.

Mocą tego marzenia przebył jeszcze spory kawałek drogi, nim zdał sobie sprawę, że stąpa po ścieżce przetartej już wcześniej przez kogoś innego.

Nie dowierzał jeszcze, długo badał gołymi dłońmi ślady – płytkie, owalne, z wyraźnym odciskiem plecionki karpli. Były świeże, ktoś musiał przechodzić tędy po nocnej zamieci.

Rafał poderwał się i ruszył za tropem, ale niebawem znowu przystanął, zaniepokojony. Czy to możliwie, by któryś z myśliwych zapędził się aż tutaj w pogoni za parszywcem? Nie – oni wszyscy wierzyli przecież, że Lodowiec to przeklęte królestwo Lucyfera. Prędzej uciekinier z Kopalni, głodny i przemarznięty, jak on sam. A skoro tak, nie powinien się niczego obawiać – każdy, kto błąkał się po tych Bożych dróżkach, był jego bratem.

Niewielką miał nadzieję, że go dogoni, a jednak ledwie o pół strzału z łuku zaczepił butem o pasek porzuconej w śniegu sakwy, a kawałek dalej stuknął kolanem w okryte futrem plecy.

Siedzący człowiek nie poruszył się ani nie odezwał. Rafał łudził się jeszcze, że może zasnął, lecz gdy obszedł go ostrożnie i przykucnąwszy tuż przed nim, nie wyczuł ciepła

oddechu, musiał pogodzić się z tym, że nadal pozostanie samotny.

Mimo wszystko chciał dowiedzieć się o nim czegoś więcej – nie z pustej ciekawości, lecz po to, aby okazać szacunek tej cichej śmierci na uboczu świata.

Zdjął zaskorupiałą rękawicę i zaczął nieśpiesznie dotykać nieznajomego. Przekonał się, że to rzeczywiście zbieg w pokutnym płaszczu. Nie udało mu się dociec, dlaczego umarł, choć musiał być znacznie młodszy, silniejszy i lepiej przygotowany do takiej wyprawy – na jego skrzyżowanych kolanach leżał czekan. Mężczyzna chyba nie był ranny, bo siedział wyprostowany, jakby zapatrzony gdzieś daleko nie przeczuwał żadnego niebezpieczeństwa.

Rafał zawahał się, musnąwszy palcami zajęczą skórkę obszywki kaptura. Gorąco pragnął odtworzyć sobie w wyobraźni tę twarz, zapamiętać każdy jej rys, odczytać z nich tajemnicę ostatnich myśli, lecz powstrzymywała go jakaś niejasna, na wpół zabobonna obawa.

Przemógł się i powoli wsunął dłoń pod kaptur.

Wyczuł szorstki łuk brwi, nasadę nosa, zarys oczodołu, lecz gdy poruszył palcami, wszystko to rozsypało się niespodziewanie w proch, który opadł z cichym, śnieżnym szelestem.

Cofnął dłoń jak oparzony. W nagłym rozbłysku powróciły straszne obrazki z dawnych czasów, kiedy piekielny blask Świetlików rozlał się na cały świat, ludzie płonęli setkami, tysiącami, jak cmentarne znicze na Wszystkich Świętych, a śnieg, jak okiem sięgnąć, pokryły czarne cętki tłustej sadzy. Aż dotychczas mocno wierzył, że tamta groza minęła bezpowrotnie, że złe światło nie wedrze się już nigdy w mroki ślepoty, a z czasem nawet wspomnienia przygasną.

A teraz znów miał przed sobą lucyferiańskie pogorzelisko, nie wątpił w to ani przez chwilę. Nocny mróz sprawił, że skórzana odzież zachowała kształt ciała, które pod dotknięciem zmieniło się w popiół. Zamarznięty kaptur był już tylko chłodną wnęką bez twarzy, z pustych rękawów kubraka na stwardniałe spodnie prószył drobny pył.

Rafał uciekł stamtąd, przerażony ciężarem swojej winy.

Oczywiście od dawna wiedział, że rozrośnięty parch pod wpływem słońca doprowadza do samozapłonu, ale jak inni wierzył, że każdy parszywiec może tego uniknąć, a pokuta na Czarnym Szlaku przynosi oczyszczenie.

Dopiero tutaj, pod tym pustym kapturem, wyczuł przyczajony, złośliwy uśmiech złego ducha.

A więc przez dwadzieścia pięć lat żył w grzesznym błędzie, lekceważąc przesądne lęki prostaczków. Uwierzył łatwo – za łatwo! – że wystarczy nie zauważać upadłego anioła, udawać, że go nie ma, a wówczas on rzeczywiście zniknie. Po zejściu z Gór mężnie złożył ofiarę ślepoty i namówił do tego wielu innych – „Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je!”, tak wołał – a potem przez lata wyklinał z ambony niedowiarków, którzy wątpili, czy Lucyfer naprawdę z podkulonym ogonem uciekł do piekła.

Dzisiaj ze skruchą przyznawał, że to oni mieli słuszność. Mylił się Ciepłownik, mimo całej swojej uczoności, mylił się biskup – racja była po stronie upartych ludzi Lasu. Lucyfer nie odpuścił, przyczaił się tylko na Lodowcu, czekając cierpliwie, aż dorośnie nowe pokolenie widzących, żeby jak dawniej błysnąć im w oczy blaskiem nieodpartej pokusy.

Potknął się, upadł i już nie wstał. W tym krótkim porywie wypaliła się resztka jego sił.

Coś uwierało go pod bokiem. Przekonał się, że to sakwa, którą podniósł przedtem ze śniegu i wciąż jeszcze miał na ramieniu. W środku znalazł trochę połamanych sucharów i pękaty bukłaczek zamarzniętego kumysu, a w bocznej kieszeni jeszcze łojową lampkę i zapałki.

Długo rozgrzewał bukłak, pochylony nisko nad płomyczkiem, aby jednocześnie wytopić lód z wąsów i brody. Potem wypił kumys, sycąc się ożywczym ciepłem, i zjadł kilka twardych okruchów suchara.

Nagle gdzieś z góry dobiegł go głęboki szum, jakby wiatru, choć żaden podmuch nie wzniecił śnieżnej kurzawy.

Skulił się na śniegu niczym szczur zaskoczony na otwartym polu przez puchacza. Wiedział, że to demon, nie miał żadnych wątpliwości. Zdawało mu się teraz nawet, że w głębi ducha zawsze wierzył we wszystkie lucyferiańskie zabobony; wierzył, choć w kazaniach zawsze je potępiał i nazywał grzechem. Być może to właśnie ta wiara, ukrywana skrzętnie przez całe lata nawet przed samym sobą, pchnęła go do tej szalonej pielgrzymki: być może nie potrafił już dłużej żyć z takim cierniem w sumieniu. Musiał albo raz na zawsze rozwiać diaboliczne zwidy, albo przyjąć je jako prawdę.

Tak czy inaczej, w tej chwili odczuwał tylko przerażenie. Struchlały nasłuchiwał, czy demon nie powróci. Jednak nie – chyba odleciał na północ, obojętny na dogorywającego samotnie na lodowej pustyni wędrowca.

Mimo całej grozy, która wciąż jeszcze trzymała go w swoich lodowatych szponach, Rafał doznał uczucia podobnego do zawodu. Przez lata swego mozolnego duszpasterzowania przywykł do milczenia Boga, choć każdego dnia modlił się gorąco o jakiś Jego znak, który umocniłby go w tym niespełnionym powołaniu. Jednak milczenie Lucyfera głęboko go upokarzało, nie zamierzał go znosić. Dotarł przecież aż tutaj, aby rzucić wyzwanie złemu duchowi, oprzeć się jego pokusom, ujarzmić go żarliwą pobożnością – a demon nawet go nie zauważył.

Gniew rozgrzał go lepiej niż słońce i pokrzepił bardziej niż skąpy posiłek. Wstał – tym razem nie w świętym zapale, lecz z zaciśniętymi pięściami i zawziętością w sercu. Skierował się prosto na północ.

Jasno zdawał sobie sprawę, że to już ostatni zryw, ale mimo to nie starał się oszczędzać sił, podbiegał nawet po kilka kroków, gonił wytrwale za czymś, czego nie mógł złapać – szumem na niebie, cieniem na śniegu. Nie miał pojęcia, gdzie i jak skończy się ten pościg, lecz jedno wiedział na pewno: po raz drugi nie pozwoli Lucyferowi się zlekceważyć.

Święte oburzenie niosło go przez jakiś czas, ale im bardziej zniżało się słońce, tym trudniej było mu zmusić do wysiłku słabnące ciało. Potykał się, zataczał, grzązł po pachwiny w zaspach, to jedną, to drugą nogą wpadał w zdradliwe szczeliny. Na długo przed zmierzchem zaczęła psuć się pogoda, zmienny wiatr coraz gwałtowniej zacinał grudkami lodu. Rafał przemarzł bardzo szybko, płuca rozdymały mu się boleśnie przy każdym parzącym oddechu, palce u stóp rwały, jakby ktoś ściskał je w imadle. Zgubił gdzieś rękawice – po ostatnim posiłku chyba zapomniał ich włożyć. Nie potrafił poprawić zziębniętymi dłońmi rozchełstanego szala ani wygrzebać śniegu, który powłaził za cholewy butów i stwardniał na kamień.

Po zachodzie słońca wiatr ucichł, lecz mróz spotężniał. Rafał padł na kolana i nie dźwignął się już więcej – nie miał sił choćby na jeden krok. Wiedział, że nie przetrwa tej nocy, był już na pół martwy. Do przodu pchał go jedynie upór.

Postanowił, że pozostanie tak, na klęczkach, do samego końca – i później także. Jeśli ktoś kiedyś natknie się na jego zamarzniętego trupa, będzie wiedział, że się nie poddał. Złożył dłonie do modlitwy, splatając oporne palce. Spróbował odśpiewać litanię do archanioła Rafała, ale z krtani wydobywały mu się tylko jakieś poświsty, zaczął więc odmawiać ją w duszy. Modlitwa snuła się rozwlekle, z długimi przerwami, kiedy tracił wątek i musiał potem zaczynać od początku. Mimo to nie ustępował – pragnął ją ukończyć, zanim mróz zwarzy go niczym dębowy kiełek pozostawiony przez nieuważną gospodynię w otwartym oknie.

Raptem znów zaszumiał demon. Tym razem nie odleciał, lecz zawrócił szerokim łukiem i przeszybował tak nisko ponad głową księdza, że podmuch targnął kapturem. Zatoczył jeszcze jedno koło, a potem z łopotem skrzydeł osiadł miękko na lodzie, o parę kroków dalej.

Rafał pomylił słowa litanii, zakołysał się na zdrętwiałych kolanach. A więc jednak nie umrze bez próby wiary. Dowie się wreszcie, czy jego powołanie było prawdziwe, czy też przez całe życie nosił habit jak przebranie.

– Nie oddam ci duszy… – wyrzęził. Zabrzmiało to żałośnie słabo jak żebracze mamlanie dziada.

Wyszarpnął spod kubraka różaniec, ale nie potrafił sobie przypomnieć pierwszych słów egzorcyzmu, choć przecież tyle razy wypowiadał je nad pokutnikami w Katedrze.

Teraz wreszcie zrozumiał, że wpadł w zastawione sidła – uległ przewrotnej pokusie, która uwiodła go nie poprzez grzech, ale najszczerszą pobożność. Nie spostrzegł w porę, że opętała go święta pycha. Chciał w pojedynkę rozprawić się z Lucyferem, lekkomyślnie zaryzykował zbawienie własnej duszy. Nie mógł już wykpić się wyuczoną formułką jak jakimś znachorskim zaklęciem. W tej walce dusza musiała pozostać całkiem naga, bez żadnych protez czy masek.

Demon się zbliżył i Rafał usłyszał jego równy, głęboki, lekko poświstujący oddech. Z cichym szelestem rozpostarły się nad nim skrzydła i zaraz opadły, zagarniając go i więżąc z rękami przyciśniętymi do boków. Niemrawo spróbował się wyzwolić, lecz demon nie puścił.

– Możesz mnie zadusić, i tak nie oddam ci duszy… – jęknął płaczliwie.

Ciepła ciasnota tętniła głuchym biciem serca, które słyszał wyraźniej niż swoje własne. Niespodziewanie, na przekór wszystkiemu, spłynęło na niego uspokojenie. Nocny mróz, samotność i trwoga pozostały na zewnątrz. Poczuł się bezpieczny, jak dziecko w łonie matki. Demon nie próbował go zmusić, aby wyrzekł się duszy, ale tulił go do siebie, rozgrzewał, przywracał do życia. Rafał zwiotczał w tych troskliwych objęciach, nie szarpał się już i nie opierał, a wówczas zelżał i uścisk skrzydeł. Duchownemu było dobrze jak chyba jeszcze nigdy. Uspokoiły się rozwichrzone emocje, odczuwał teraz tylko bezmierną ulgę, że to nareszcie koniec długiej, ciernistej drogi, ostateczny kres zażartej walki, jaką prowadził przez całe życie. Zaznał głębokiego ukojenia, w którym traciły znaczenie wszystkie jego dawne zawikłane sądy o tym, co słuszne, a co haniebne.

Usnął, ukołysany falującym szumem oddechu demona. Ostatnim przebłyskiem świadomości była nadzieja, że nie przebudzi się już nigdy więcej.

Coś się stało, coś niedobrego. Jakiś wstrząs wypchnął go z przytulnego zacisza. Leżał skulony, pod policzkiem czuł zimną chropowatość zmrożonego śniegu. Zgrzany, spocony, stygł szybko w podmuchach lodowatego wiatru. Zdał sobie sprawę, że natrętny terkot, który przeszkadzał mu zebrać myśli, to szczękanie jego własnych zębów. Poruszył się niezdarnie, zbyt słaby nawet na to, aby unieść głowę. Drżał coraz gwałtowniej, dławił się oddechem, zastałe mięśnie i stawy rwał ból.

Roztrzęsioną dłonią natrafił przypadkiem na lepki od szronu krzyżyk różańca – i wtedy przypomniał sobie wszystko.

A więc tak wygląda upadek, przed którym przestrzegał wiernych ze wszystkich ambon. Z gorzkim zdumieniem uzmysłowił sobie, jak niewiele trzeba, żeby stać się zaprzańcem. Oddał się w opiekę demona – nawet jeśli nie czynem ani słowem, to zrobił to naprawdę, w głębi serca, sam wiedział o tym najlepiej. Przez wiele lat znosił mróz na bezdrożach całego Podgórza, pościł surowo, każdy ból przyjmował jak łaskę, a tymczasem Lucyfer złamał go w kilka chwil, uśmierzając jego cierpienia. Tą jedną, błogą nocą zaprzepaścił wszystko. Teraz, kiedy demon go porzucił, wypuścił ze zdradliwego uścisku, był całkiem bezbronny – nie mógłby już wzniecić w sobie dawnej ufności w Opatrzność, każde słowo modlitwy paliłoby mu wargi jak rozżarzony węgielek.

Zakwilił niczym dziecko, upokorzony, złamany, wyzuty z wszelkiej nadziei. Nie zaskoczył go trzepot wielu skrzydeł, ze wszystkich stron naraz. Demony nadlatywały całą gromadą, jeden po drugim osiadały wokół niego na śniegu podobnie do wron, które ściągają na żer. Właściwie już się nie bał – po prostu zmartwiał wewnętrznie.

Niespodziewanie pośród lodowcowej ciszy rozbrzmiał wielogłosowy śpiew.

W pierwszej chwili Rafał poczuł tylko ucisk w uszach, kłujący ból, a potem nagle, jakby coś tam się odetkało, usłyszał pieśń, która od razu rozświetliła jego duszę. Nie tylko usłyszał – wyczuł ją w delikatnym drżeniu lodu, w westchnieniach wiatru, w pulsowaniu krwi. Chłonął zachwycający śpiew bez słów, a jednak pełen treści; nie zdołałby powtórzyć tej melodii, a przecież rozpoznawał każdy dźwięk i ton. To była pieśń nad pieśniami, która wyzwala i zbawia, hymn uwielbienia, hosanna na wysokości.

Zapomniał się w ekstatycznym szczęściu, wszelkie inne sprawy przestały mieć znaczenie. Pieśń poruszała jakąś ukrytą cząstkę jego duszy, rozniecała przedziwną tęsknotę, której nie rozumiał, ale która przecież zawsze wydawała mu się najgłębiej własna. Gorąco zapragnął przyłączyć się do tego anielskiego chóru, zatracić się w niebiańskiej harmonii, lecz nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Krtań go paliła, na skroniach nabrzmiewały żyły. Czuł, że powinien śpiewać prosto z duszy, ale nie wiedział, jak to zrobić. Cudowna muzyka wzbierała w nim, przepełniała go, a jednak nie potrafił jej uwolnić.

Pieśń spotężniała jeszcze, odbiła się echem od sklepienia nieba. Lodowy widnokrąg rozżarzył się czerwienią.

Pomimo ćwierćwiekowej ślepoty Rafał zobaczył wschód słońca. Nie dostrzegał nic innego – łańcuchów zasp, blednącej czaszy nieba, skrzydlatych cieni na śniegu – tylko ten skrawek płonącej tarczy, jakby to była jutrzenka czwartego dnia stworzenia.

W zachwycie ani na chwilę nie odwrócił wzroku, choć oczy zaszły mu łzami, a na

rzęsach zbierały się płatki śniegu. Słońce dźwigało się powoli, kąpiąc lodowiec w czerwonym blasku. Kiedy wyłoniło się w całości, Rafałem wstrząsnęło nagłe odkrycie, że patrzy na skrwawioną Hostię wzniesioną ponad białym obrusem ołtarza; spowijał ją opar niczym kadzidlany dym. Uwierzył, że największe z marzeń spełnia się właśnie przed jego okaleczonymi oczami, że dokonuje się odwieczne Misterium, którego jedynym kapłanem był sam Stwórca.

Gwałtowna potrzeba wyśpiewania nadmiaru szczęścia rozsadzała mu płuca, lecz nie znalazła ujścia. Poczuł ciepło, gdzieś wewnątrz, w trzewiach, które zaraz zaczęło promieniować na całe ciało. Po kilku chwilach palił go już od środka żar, w żyłach zakipiał ukrop. Żałował teraz, że nie jest parszywcem – owa niezaspokojona tęsknota mogłaby buchnąć żywym płomieniem, jęzory niebieskiego ognia wystrzeliłyby z oczu, z nozdrzy, z ust i strawiły umęczone ciało. Potem wiatr rozdmuchałby popioły, a smolisty dym uniósłby się do nieba jak ostatnia modlitwa.

Docierały do niego jakieś strzępy dźwięków, przedzielone długimi okresami szumiącej w uszach ciszy. Wydawało mu się, że rozpoznaje zgrzytanie płóz na lodzie, czyjeś kroki, szmer szeptliwych rozmów. Nie mógł się poruszyć, prawie nic nie czuł, lecz niewiele go to obeszło. Z duszą wciąż jeszcze rozdygotaną od cudownych olśnień, które rozwiały się tak nagle, troszczył się tylko o to, aby nie uronić niczego z tych wspomnień.

Jednak ci, którzy mruczeli nad nim w ciemnościach, nie chcieli dać mu spokoju. Ściągnęli mu buty z obrzękłych stóp, zwlekli brudne łachy. Długo rozcierali jego ręce i nogi, aż znowu zaczęła krążyć krew, wlewali mu po trochu do gardła jakąś mocną ziołową nalewkę, chociaż krztusił się przy tym i parskał. Słoneczny sen blaknął z wolna, a w końcu zgasł, gdy Rafała do reszty ocucił piekący ból w głębi oczodołów.

Jęknął, nakrył twarz dłońmi.

– Zostaw, to niedługo minie. – Usłyszał bardzo słaby, roztrzęsiony starczo głos.

Ktoś pochylił się nad nim i położył mu na powiekach wilgotny okład. Rafał zesztywniał, gdy poczuł silną woń parcha.

– Nie bój się, nie zarazisz się. Dotykałem cię tylko w rękawicach, inni także. Miałeś wiele szczęścia, bracie. Wybrali cię słoneczni pieśniarze. To znaczy, że twoja wiara jest bardzo mocna.

Poruszył głową. Ból prześwidrował czaszkę od skroni do skroni.

– Chcę tam wrócić… – wystękał. – Pomóż mi.

– Nie możesz. Drugiego dnia na Lodowcu na pewno nie przetrzymasz.

– Wszystko mi jedno!

– Ale nam nie. Jesteśmy mnichami, ślubowaliśmy pomagać wszystkim, którzy szukają Światła. – Starzec ściągnął mu z szyi różaniec. – Wezmę go, przechowam. Czekają cię trudne chwile, mógłbyś się przypadkiem udusić. Odbierzesz go, kiedy już wydobrzejesz. Znajdziesz mnie w kaplicy po każdym nabożeństwie. A teraz, bracie, zaciśnij na tym zęby. – Podsunął mu pod nos gruby, skórzany pas. – Nie wszystkie palce uda się uratować.

Przez jakiś czas był zbyt słaby, żeby się podnieść z twardego, mniszego posłania. Gorączkował, cierpiał z powodu odmrożeń. Kilka razy wrócił straszny ból, jakby w głąb jego oczodołów ściekały krople roztopionego ołowiu, lecz o wiele trudniej znosił przytłaczającą tęsknotę za pieśnią, od której, jak mu się zdawało, więdła w nim dusza. Z początku łudził się, że gdy o świcie poczuje na twarzy ciepłe dotknięcie słońca, znów przebiegnie go dreszcz tamtego uniesienia, ale niebawem odkrył, iż leży w głuchej ciemnicy, bez choćby jednego małego okienka. Z zewnątrz nie docierały żadne dźwięki, nawet wycie wiatru. Został pogrzebany żywcem, skazany na torturę ciszy, strącony z nieba w otchłań.

Starzec nie pojawił się więcej. Zachodził do niego jakiś inny zakonnik, który nigdy nie odezwał się ani słowem. Stawiał na stole skwierczącą lampkę, zakładał miękkie pięciopalczaste rękawice i pielęgnował go sumiennie: mył, wynosił nieczystości, opatrywał stopę z uciętymi dwoma palcami, ubierał w prosty habit przepasany węzłastym sznurem, karmił, a później znikał. Za każdym razem Rafał słyszał odgłos zamykanej zasuwy na drzwiach.

Nie miał pojęcia, jak wiele minęło czasu – tutaj, w celi, czas odmierzały jedynie ciche kroki mnicha – lecz w końcu okrzepł na tyle, że mógł usiąść na posłaniu, utrzymać w dłoni łyżkę, a potem nawet przejść się parę kroków z kąta w kąt, wspierając się na lasce, którą znalazł u wezgłowia. Przekonał się, że oprócz pryczy jest tu tylko stół i klęcznik przed drewnianym krucyfiksem, ale ściany, choć odrapane, zdradzały solidną robotę murarską z czasów sprzed Upadku. Klasztor na pewno nie był lichą, skleconą z gruzów przeróbką, jakie przepełniały Podgórze.

Myśli Rafała wciąż krążyły głównie wokół tamtej mistycznej jutrzni w śniegach, jednak w końcu zaczął się zastanawiać także nad innymi sprawami. A im częściej to robił, tym większe ogarniało go zdumienie.

Jak to możliwe, że on – ksiądz! – nigdy nie słyszał o tych samozwańczych zakonnikach? Skąd się tu wzięli, jakim cudem udało im się przetrwać pośrodku Lodowca? Czym ogrzewali klasztor, skąd zdobywali żywność?

Jego milczący opiekun nie odpowiedział na żadne z tych pytań. Robił swoje, zawsze łagodny i opanowany, cierpliwie znosił wszystkie nagabywania Rafała, a nawet wybuchy złości, jakby miał do czynienia z kimś niespełna rozumu, kogo nie wolno winić za słowa i czyny.

Wreszcie któregoś dnia – a może nocy? – doprowadzony do ostateczności Rafał odepchnął go od siebie i cisnął w ścianę miską gorącej polewki.

– Nic nie zjem ani nie pozwolę się dotknąć, dopóki mnie stąd nie wypuścicie!

Mnich wyszedł cicho, jak zawsze, ale tym razem nie zamknął za sobą drzwi. Zaskoczony ksiądz zwlekał jeszcze przez parę chwil, nim podążył w ślad za nim.

W korytarzu chyba nie było nikogo. Utykając, ruszył wzdłuż ściany. Natknął się na futrynę bez drzwi, a dalej namacał laską kilka prowadzących w górę wyślizganych stopni. Wychylił się ostrożnie poprzez chwiejną poręcz. Niewiele poniżej musiały być piwnice,

czuł wyraźnie woń zawilgłych cegieł i szlamu, lecz ponad nim szumiała pustka klatki schodowej, która wznosiła się chyba na kilkanaście pięter, jak w niezamieszkałych miejskich wieżach. Gdzieś tam wysoko nieoczekiwanie zaszczekał pies, zawtórowały mu inne, niczym wiejskie kundle, które wyczuły obcego.

Cofnął się do korytarza i powędrował dalej. Co kilka kroków natrafiał dłonią na wnękę okna, ale wszystkie były zaślepione arkuszem grubej blachy, przyśrubowanej na stałe. Pomiędzy nimi wisiały na ścianach karple, narty, skórzane uprzęże, sanki – wszelaki sprzęt myśliwski oprócz broni. Poprzez uchylone drzwi wsunął głowę do kilku cel. Były puste – nikt nie odpowiedział na jego ciche „Szczęść Boże” – ale ogrzane, suche, pachnące woskiem świec.

Zamierzał wymknąć się chyłkiem, aby uniknąć niepotrzebnej gadaniny. Nie miał im nic do powiedzenia i nie był ciekaw ich zdania o nim. To jedno wiedział na pewno: że tamten uwodzicielski czar pieśni, który wciąż jeszcze grał mu w duszy, na zawsze poróżnił go ze światem. Teraz marzył już tylko o tym, aby co rychlej znów znaleźć się pod otwartym niebem, w pełnym słońcu.

Niespodziewanie w ciszy zamruczał przytłumiony pogłos gromadnej modlitwy. Rafał nie rozróżniał słów, ale rozpoznał znajomy rytm różańca.

Przeszedł jeszcze kawałek, aż dotarł do jakiegoś większego przedsionka, skąd już wyraźnie słyszał wątły głos prowadzącego i męskie, chóralne odpowiedzi: chropawe, nierówne, rozwichrzone, ale mocne i pewne. W Katedrze ani w żadnym z wiejskich kościółków nigdy nie usłyszał czegoś podobnego, przywykł raczej do smętnego, zająkliwego odklepywania zdrowasiek przez zziębnięte kobieciny.

Niebawem modlitwa dobiegła końca. Gdzieś dalej skrzypnęły drzwi, w korytarzu zaszurały kroki kilkunastu ludzi. W milczeniu szykowali się do drogi: zdejmowali z haków sanie i sprzęt, dociągali rzemienie, smarowali tłuszczem twarze oraz włosy. Mijali go bez słowa, pokasłując tylko i pociągając nosami. Na klatce schodowej poniósł się echem tupot wielu par butów. Wspinali się piętro po piętrze, coraz ciszej podzwaniały kolce, które zarzucili na ramiona.

Potrzebował dłuższej chwili, aby ochłonąć ze zdumienia i uświadomić sobie to, co od samego początku powinno być dla niego jasne: wokół tego ogromnego budynku przez wieki narósł masyw Lodowca, jedyne wyjście musiało się teraz znajdować gdzieś wysoko, może pod samym dachem. To dlatego w pustelni było tak zacisznie i nigdy nie docierało tam światło dnia.

Zawrócił, żeby pokuśtykać za nimi, lecz po paru krokach znowu przystanął. Bezwiednie położył dłoń na piersi w miejscu, gdzie powinien wisieć krzyżyk. Zawstydził się, że przypomniał sobie o nim dopiero teraz.

Mijali go kolejni mnisi, jak poznał po ich krokach – starzy, niedołężni i ociemniali. Przepuścił ich, a potem ruszył w przeciwną stronę. Łatwo trafił do dwuskrzydłowych drewnianych drzwi kaplicy, podążając za lekkim zapachem kadzidła, który mieszał się w korytarzu razem ze smrodem parcha. Nim wszedł, przez dłuższą chwilę wodził palcami po rzeźbionych zdobieniach. Rozpoznał wizerunek świętego Bernarda z psem i długą tyczką do wyszukiwania pod głębokim śniegiem zasypanych wędrowców.

W przestronnym, cichym już wnętrzu rozbrzmiał echem stukot jego laski. Rafał

przystanął zaraz za progiem, nagle onieśmielony, niczym zabłąkany w Mieście przybysz z kresów Podgórza.

– Szczęść Boże, bracie – powitał go gdzieś od strony ołtarza znajomy głos starego mnicha. – Bardzo się cieszę, że już jesteś na nogach. Co dzień modliliśmy się tutaj za ciebie.

Rafał przeszedł powoli kilkanaście kroków. Położył dłoń na oparciu jednej z ławek, wyczuwszy oddech starca, ale nie usiadł przy nim.

– Niepotrzebnie zadaliście sobie tyle trudu – odezwał się sucho.

– To nasze powołanie. Młodsi bracia każdego dnia wyruszają na Lodowiec, żeby szukać pielgrzymów, których wybrali pieśniarze. Mamy tu dobre, szkolone psy.

– Nie prosiłem o to!

– Nie mogłeś, bo nie byłeś sobą. Oczarował cię ich śpiew. Trzeba czasu, żeby otrzeźwieć po czymś takim.

– A więc otrzeźwiałem i nadal chcę odejść. Będę tak długo szedł, aż znowu ich spotkam. Tym razem mi nie przeszkodzicie.

– Nie jesteśmy twoimi nieprzyjaciółmi. Zrobisz, jak zechcesz. Ale najpierw wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

– Strata czasu, twojego i mojego. Nie przekonasz mnie.

– A jednak sam do mnie przyszedłeś.

– Masz mój różaniec. Chcę dostać go z powrotem.

– To dobry znak. Kilka dni temu nawet nie przyszłoby ci to do głowy, od razu pobiegłbyś schodami w górę.

– Dosyć tego! – Rafał do reszty stracił cierpliwość. – Wiem, co chcesz mi powiedzieć. Przez całe życie mówiłem w kazaniach to samo, ale teraz rozumiem, że nieustannie błądziłem. Myślisz sobie pewnie, że nie zasługuję na to, żeby zawiesić na szyi różaniec? Że jestem zaprzańcem, który wyrzekł się wiary?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– To, co przeżyłem tam, na górze, nie tylko nie przekreśla całego mojego życia, ale je dopełnia!

– Zależy, w jaki sposób to wykorzystasz.

– Nie wiem, kim oni są, ale to na pewno dzieci Boże, nie demony. Ich modlitwa otwiera niebo.

– To prawda, modlą się gorąco, ale dla ciebie na to jeszcze za wcześnie. Teraz taka modlitwa zgubiłaby cię zamiast uświęcić.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – uniósł się Rafał. – Siedzisz pod lodem, w ciemnościach, i pewnie zapomniałeś już nawet, czym jest prawdziwe życie!

– Surowo mnie sądzisz. A przecież ja też kiedyś przeszedłem tę samą ciemną dolinę zwątpienia, bracie. Tak jak ty myślałem, że nie mam już po co żyć. A potem spotkałem pieśniarzy i porwała mnie ich modlitwa. Inni bracia także tego doświadczyli.

– Gdyby to była prawda, nie chowalibyście się teraz przed słońcem. Pragnęlibyście oglądać Bożą chwałę, tak jak ja ją oglądałem!

– Wszyscy tego pragniemy. I wierzymy, że każdego z nas przepełni Światłość. Ale żeby to się stało, nie wystarczy się w nią wpatrywać: trzeba także chwalić ją razem

z pieśniarzami. Trzeba śpiewać. Inaczej oczy naszej duszy oślepną od niebiańskiego ognia, spłoniemy w nim i już do końca świata będziemy się tylko błąkać w ciemnościach

– Kim ty naprawdę jesteś? Skąd się tu wziąłeś?

– Szukam Boga, jak ty. Zawędrowałem niegdyś na Lodowiec, spotkałem pieśniarzy. Potem, w nocy, przyszła burza, musiałem znaleźć schronienie, przypadkowo trafiłem tutaj. Długo leżałem bez sił. – Westchnął. – Zawsze mocno wierzyłem, że miłość Boża zbawia, nie potępia. Jeśli człowiek spala się w niej, to tylko z powodu swoich grzechów. Chyba właśnie ta wiara sprawiła, że kiedy znowu usłyszałem śpiew, umiałem się do niego przyłączyć.

– Ja także w to wierzę! Więc dlaczego nie potrafię tak śpiewać jak oni?

– Bo nie jesteś jeszcze gotów. Skoro wybrali cię pieśniarze, ty także będziesz mógł śpiewać, jeśli tylko naprawdę tego zechcesz. Pomożemy ci, po to tu jesteśmy. Ale to jeszcze nie uspokoi twojej tęsknoty. Żeby rzeczywiście żyć samym tylko tchnieniem Boga, potrzeba całkowitego Przeobrażenia. Musisz na nowo stać się taki, jakimi byli pierwsi ludzie w Raju, zanim utracili niewinność. A do tego nie wystarczy już sama wiara, nawet najsilniejsza. Trzeba jeszcze odwagi.

– Nie rozumiem, to takie dziwne…

– Uklęknij, bracie, a może przypomnisz sobie, po co tak naprawdę wyruszyłeś w tę podróż. – Starzec pociągnął go za rękaw.

W jego szemrzącym głosie było tyle mocy, że Rafał posłusznie padł na kolana. Potrząsnął głową, jakby usiłował się przebudzić.

– Szukałem Boga.

– Ci, którzy wytrwale szukają, zawsze Go znajdują.

– Ja też tak myślałem, tego mnie nauczono. Ale z czasem zrozumiałem, że On nas opuścił. Odwrócił się od nas, przestał się nami opiekować, bośmy go sami odrzucili. Nie zagląda już do naszych kościołów.

– A jednak usłyszałeś w duszy Jego głos. Każdy krok na tej trudnej drodze oczyszczał cię, każdy zawód umacniał twoją wiarę.

Wstrząśnięty Rafał zacisnął palce na klęczniku.

– Moja dusza jest brudna… Bardziej brudna niż te, które błąkają się w ciemnościach.

Mnich zawiesił mu różaniec na szyi.

– Właśnie teraz, kiedy wydaje ci się, że upadłeś najniżej, stoisz prawie u celu. On odarł cię ze złudzeń, z twoich własnych wyobrażeń o Nim, które przeszkadzały ci widzieć Go takim, jakim chce ci się ukazać. Teraz wystarczy już tylko, abyś otworzył oczy i na Niego spojrzał.

Rafał oparł czoło na splecionych dłoniach. Odczuwał spokój – nie było to kojące wyciszenie zbyt gwałtownych wzruszeń, lecz bezwład śmiertelnej pustki.

– Jestem ślepcem. Niemożliwe, żebym coś jeszcze zobaczył. Niemożliwe, żebym odzyskał niewinność.

– Dla Niego nie ma rzeczy niemożliwych.

– A jeśli to Lucyfer skusił mnie do tego, żebym porzucił obowiązki na Podgórzu i uciekł jak tchórz? Jeśli pokonałem tę długą drogę tylko po to, żeby się przekonać, że zmarnowałem życie?

– Rozpacz jest grzechem, bracie. Nie zważaj na to, coś tutaj zastał. Pomyśl o tym, co tu przynosisz. Może tak właśnie miało być? Może Bóg przyprowadził cię do nas, bo jesteś Jego odpowiedzią na nasze modlitwy?

– Nie kpij, starcze. Po tym, co mnie spotkało na Lodowcu, nawet nie wiem, czy jeszcze wierzę w Boga.

– On wierzy w ciebie, to wystarczy.

– Czego właściwie ode mnie chcesz? – zapytał znużonym głosem.

– Ja już przeżyłem swoje lata, chcę odpocząć, a zgromadzenie potrzebuje księdza. Bez tego nie przetrwa.

– Nie jestem prawdziwym księdzem.

– Jesteś, skoro odpowiedziałeś na Jego wezwanie.

– Nie mam święceń. Pora skończyć z udawaniem.

– Nie masz, bo ci ich nie udzieliłem, zanim się rozstaliśmy. Byłeś wtedy na to za młody.

Rafał zerwał się, przewracając klęcznik.

– O czym ty mówisz, na Boga?

– Tak jak powiedziałeś, bracie, pora skończyć z udawaniem. To najlepsza chwila, abyś zdecydował, czy naprawdę chcesz odpowiedzieć na swoje powołanie.

– Nie wierzę… – szepnął. – Jeśli jesteś biskupem, musisz mieć pierścień!

Starzec także wstał, zaszurały buty.

– Nie mam już palców u prawej ręki, więc noszę go na szyi. Na pewno go rozpoznasz, jako chłopak całowałeś go co dzień.

Rafał na chwilę zamknął w dłoni ciężki, chłodny złoty krążek z dużym kamieniem.

– Jezus Maria! – Załkał. – A więc to prawda… Znalazłem cię, jednak cię znalazłem!

– Znalazłeś. A teraz musisz mi powiedzieć, jasno i wyraźnie, że nadal chcesz, abym nałożył na ciebie swoje cuchnące, pokrzywione, sparszywiałe dłonie. I że jesteś gotów przyjąć wszystko, co się z tym wiąże.

7

Pchanie po szynach wypełnionego węglem wózka okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. Napierał całym ciałem, pochylony głęboko, z głową zwieszoną między ramionami. Zaciśnięte na uchwytach dłonie lodowaciały mimo rękawic. Starał się trafiać czubkami butów w zagłębienia wyżłobione krokami poprzedników, ale czasem noga ześlizgiwała się, a wtedy boleśnie przydzwaniał goleniami o podkłady. Przy każdym oddechu świszczała mu krtań i płonęły płuca. Najgorsze było ostatnie wzniesienie przed Miastem. Wpychał wagonik pod górę barkiem, głową, nawet grzbietem, zapierając się piętami. Koła zgrzytały, uchwyty wymykały się z rękawic, oczy zaprószył węglowy pył.

Na wypłaszczeniu, gdy poczuł wreszcie swąd miejskich dymów, usłyszał bicie katedralnego dzwonu na jutrznię. Wiedział, że po wschodzie słońca nie wpuszczą go do Ciepłowni – na pewno nie przez bramę dla parszywców.

Rozpędził wózek na pochyłości, ryzykując, że koła wypadną z szyn, a kiedy nie mógł już za nim nadążyć, wskoczył obiema nogami na sprzęg, kurczowo uczepiony uchwytów. Miał szczęście, że tor był uprzątnięty; niebawem koła zadudniły na zwrotnicach, wagonik zatrząsł się i zwolnił. Wtedy Kacper zeskoczył na ziemię i przebiegł jeszcze kawałek, wyhamowując z trudem.

Przywitało go ujadanie, zgrzyt zasuwy przy bramie i gburowaty głos strażnika:

– W samą porę, smrodzie, już dnieje. Jesteś ostatni, reszta przyjedzie pociągiem. – Smarknął i kopniakiem zmusił Kacpra do pośpiechu. – No co jest? Mam dalej pchać to gówno za ciebie?

Znów musiał biec. Po obu stronach toru stali strażnicy z psami, poganiali go wrzaskiem, szczuciem i razami batów. Kiedy popuszczali smyczy, kły kłapały tuż przy jego łydkach. Koła załomotały głośniej – wózek wtoczył się pod dach, brama za nim się zatrzasnęła. Po chwili przednie zderzaki odbiły się od kozła oporowego, uchwyty wyskoczyły mu z rąk.

– Ostrożnie, bo połamiesz żebra. – Wreszcie usłyszał zwyczajny ludzki głos, w którym nie było wrogości. – Pierwszy raz na Szlaku?

– Pierwszy.

– To widać, za dobrze wyglądasz. Dużo węgla wysypałeś po drodze, ale na początek zaliczę ci pełny urobek. Następnym razem uważaj, inny technik nie musi być taki łaskawy. Przy prawej ręce masz poręcz, doprowadzi cię do schroniska, tam odpoczniesz. Czekaj jeszcze! Otwórz sakwę. Tu masz żarcie. A tu, w bukłaczku, makownicę. Trzymaj to przy sobie, pilnuj dobrze.

Powlókł się dalej, wsparty na drewnianej poręczy, wypolerowanej na gładko tysiącem dłoni. Było ciepło i cicho, pod butami chrupały węglowe grudki. Wkrótce dosłyszał jednostajne szemranie wielu szeptliwych rozmów, rozgrzane powietrze zgęstniało od smrodu. Zawahał się, lecz wiedział, że nie ma już odwrotu.

Poręcz raptem się urwała, gwar nabrał głębi; z różnych stron brzęczały cicho trącane przypadkowo dzwonki. Kacper odgadł, że znalazł się u wejścia do dużej hali. Rozkładając ręce na boki, odnalazł wąskie przejście między pryczami, które miały pewnie trzy, może nawet cztery poziomy, bo pokasływania i głośne chrapanie rozlegały się także wysoko ponad jego głową. Nie trafił na wolne miejsce, musiał iść dalej. Wokół ludzie spali, jedli, nacierali maścią odmrożenia. Przeżarte parchem rany cuchnęły tak nieznośnie, że w końcu ugięły się pod nim nogi. Objął żelazny filar i boleśnie zwymiotował żółcią.

Kiedy chciał znowu ruszyć, poczuł, że ktoś grzebie mu w sakwie. Wyszarpnął ją – była teraz o wiele lżejsza. Usłyszał oddalające się pośpiesznie kroki.

Nie próbował ścigać złodzieja, nie wzywał pomocy. Bliski omdlenia zatoczył się na pryczę. Ktoś go odepchnął, ktoś inny sklął. Byłby upadł, gdyby czyjaś ręka nie złapała go krzepko od góry za kaptur.

– Właź tu do mnie.

Odszukał dłońmi szczeble drabinki, lecz nie dał już rady wspiąć się o własnych siłach na górną pryczę. Niespodziewany wybawca wtaszczył go tam niczym worek żołędzi.

– Tylko mi wyrka nie zarzygaj, bo pożałuję, że mam takie dobre serce. Ściągaj buty, powieś tutaj, na gwoździu. Coś ty za jeden? Z Miasta, z Lasu?

– Z Lasu.

– Tak myślałem. Tutaj nikt nie szanuje ślepców, jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, musisz się do tego przyzwyczaić. Oskubią cię ze wszystkiego, a jak narobisz wrzasku, jeszcze dadzą po łbie. Makową gorzałkę też ci zabrali? Nie? To jeszcze nie ma nieszczęścia. Coś do jedzenia zawsze się znajdzie.

Kacper z trudem rozsupływał splątane sznurowadła. Szepty szumiały teraz poniżej, pomieszane ze skrzypieniem prycz i chrzęstem rozgryzanych sucharów.

– I tak nie mógłbym tutaj nic zjeść – mruknął.

– Tak wybrzydzasz? Za parę tygodni sam będziesz śmierdział jak szczurze ścierwo za piecem. A jeść musisz, bo wieczorem nie zleziesz nawet po drabinie, zlecisz na pysk. Masz jeszcze zęby? To dobrze, bo został mi tylko kozi ser, twardy jak kamień. Bierz.

Kacper zzuł buty, podciągnął nogi na pryczę i dopiero po chwili spytał:

– Czemu to robisz?

– My, ludzie Lasu, powinniśmy się wspierać.

– Ty nie jesteś z Lasu.

– Nawet mnie nie znasz!

– Nie masz brody. Poczułem, kiedy mnie wciągałeś.

– Twoja też wylezie, jak już sparszywieje ci gęba.

– Kiedy spotykają się leśni ludzie, młodszy zawsze pozdrawia starszego: „Szczęść Boże”.

– Ach, więc o to chodzi. W porządku, spryciarzu, wychowałem się w Mieście. Ale znam Las nie gorzej od ciebie.

Kacper skinął głową i odłożył ser na krawędź pryczy.

– Kłusownik.

– I co z tego? Nieważne, co kto robił dawniej. Parch zrównuje ludzi, sam się o tym przekonasz.

Kacper skubał w zamyśleniu brodę i słuchał cichnącego szmeru hali.

– Nadal nie wiem, czemu mi pomagasz.

– Bo mi się to opłaci, a ja dbam tylko o siebie. Cierpliwości, powoli wprowadzisz się w te sprawy. Na początku każdy jest przestraszony.

– Ze mną możesz mówić otwarcie.

– Jak wolisz. Najpierw coś, co powinno cię najbardziej zaciekawić. Tylko jeden na pięciu ślepców przeżywa pierwszy miesiąc pokuty.

– To więcej, niż się spodziewałem.

– Jeden na dwudziestu wytrzymuje rok. Oczyszczenia doczeka najwyżej jeden na stu. – Zawiesił głos; nie dopatrzył się na twarzy Kacpra choćby mimowolnego grymasu trwogi. – Ale nawet taki szczęściarz nie miałby żadnych szans bez pomocy kogoś widzącego. Ktoś musi bronić go przed złodziejami, wywalczyć najwyższą pryczę, gdzie nie trzeba się przynajmniej zastanawiać, czym jest to, co kapie z góry, i zaprowadzić do sracza.

– Nie musisz mi tłumaczyć, jak wygląda los ślepca bez psa. Powiedz lepiej od razu, jakich spodziewasz się w związku z tym korzyści.

Parszywiec roześmiał się i znowu położył mu na kolanie kawałek sera.

– Żadnej, jeśli nie dotrzesz żywy do Kopalni. Dopiero tam, na dole, możesz mi się przydać. Wy, ślepcy z Lasu, potraficie przeczuwać nieszczęście.

– To tylko przesąd.

– Nazywaj to, jak chcesz, ale ja dosyć napatrzyłem się na takie rzeczy. Ślepy zawsze wie pierwszy, kiedy ma zerwać się Wietrzysko albo załamać lód na jeziorze. Czuje to przez skórę, szóstym zmysłem, czy licho wie jak. Znasz to, prawda? Znasz na pewno.

– Znam. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Przed Wietrzyskiem zawsze boli mnie głowa, a lód skrzypi inaczej, kiedy słabnie.

– Wszystko jedno, jak to robisz. Ważne, że działa. W Kopalni dobrze wiedzieć, w który chodnik można wejść, a z którego uciekać.

– Skoro to takie proste, czemu nie postarałeś się wcześniej o swojego ślepca?

– Ostatniej nocy na Szlaku straciłem czwartego z kolei.

– To znaczy, że twoja opieka wiele im nie pomogła.

– Nie jestem cudotwórcą. Pamiętasz, co powiedziałem na początku? Przeżywa jeden na stu. To słaba nadzieja, przyznaję. Ale, jak by nie było, nadzieja. – Zniecierpliwił się nagle. – Słuchaj, nie będę cię do niczego namawiać. Wolałbym, żebyś się zgodził, bo jesteś bystry i jeszcze niestary jak na ślepca, ale łatwo znajdę kogoś innego. Więc jak? Zaufasz kłusownikowi czy poszukasz szczęścia gdzie indziej? Nie musisz odpowiadać od razu. Prześpij się z tym. Dzisiaj jesteś moim gościem. Tak każe leśny obyczaj, prawda?

Prycza była twarda, goła, zbita z nieheblowanych desek, ale wystarczająco szeroka, aby pomieścili się na niej obaj. Nie rozmawiali już więcej. Parszywiec odwrócił się plecami i zasnął szybko, pochrapując rozwlekle. Kacper nie spał. Odłupywał paznokciem wiórki sera, trzymał przez jakiś czas pod policzkiem, aby zmiękły choć trochę, a potem przeżuwał powoli. Czekał spokojnie na właściwą chwilę, nasłuchując przytłumionych odgłosów Ciepłowni: gwizdał parowóz, warczały jakieś maszyny, trzaskały bramy. Późnym rankiem, kiedy w hali umilkły ostatnie rozmowy i ucichły dzwonki, podniósł się, zawiesił na szyi związane razem buty i cicho zszedł po drabinie, starając się nie potrącić nikogo ze

śpiących.

Łatwo odnalazł drogę do wyjścia. Miał nadzieję, że o tej porze nie będzie tutaj żądnych techników ani ozdrowieńców. Brama nie była zamknięta od zewnątrz, uchylił ją ostrożnie, pokonując opór nawianego śniegu. Lodowaty przeciąg zatrzepotał płaszczem, mroźny powiew liznął bose stopy. Kacper krztusił się świeżym powietrzem, siadając na progu, aby owinąć nogi onucami. Śpieszył się teraz, tętniło w nim podniecenie – wierzył, że wreszcie jest bliski celu.

Nagle poczuł bardzo dotkliwy, piekący ból w obu oczach, jakby ktoś zalał je wrzątkiem. Stracił dech, upadł na wznak; wijąc się, całymi garściami nabierał śniegu i wcierał go w powieki, ale nie przynosiło to ulgi. Przeciwnie, ból rozsadzał oczodoły i promieniował aż do potylicy. Kopacz wierzgał, tarzał się, bił głową w próg. W końcu zaczerpnął oddechu do rozpaczliwego krzyku.

W tej samej chwili ktoś przycisnął mu usta dłonią. Walczył, bił na oślep pięściami, ale tamten był silniejszy. Zawlókł go przez próg z powrotem pod dach, rzucił na ziemię i zatrzasnął bramę.

– Skołowaciałeś do reszty, czy jak? – Rozpoznał zadyszany głos sąsiada z pryczy. – Są prostsze sposoby, żeby się zabić. Wybrałeś najpaskudniejszy.

Ból ustąpił tak nagle, że Kacper jeszcze przez dłuższy czas leżał skulony na brudnej podłodze, bojąc się ruszyć głową.

– Coś mi się stało… – szepnął. – Coś złego.

– Po coś pchał się na słońce, i to w samo południe?

– Nie wiedziałem, że to już… że tak szybko…

– Miałem cię za rozsądnego kmiotka, ale chyba bardzo się pomyliłem.

Kacper nie wykrztusił już ani słowa, oddychał tylko ciężko, spocony i roztrzęsiony. Nie opierał się, kiedy parszywiec poprowadził go z powrotem i pomógł wdrapać się na pryczę, nie położył się jednak: usiadł ze skrzyżowanymi nogami i długo nad czymś rozmyślał, kiwając się miarowo w przód i w tył.

Potem sięgnął po dzwonek i potrząsnął nim tak niespodziewanie, że kłusownik, który już drzemał, poderwał się i syknął na niego wściekle:

– Odłóż to, głupi capie! Pobudzisz ludzi. Dla nich każda chwila snu jest cenna.

– Chciałem się tylko przekonać, jak to jest, kiedy to nie na mnie dzwonią, ale ja sam…

– Co z tobą? Dopiero teraz cię ruszyło? Miałeś czas, żeby się przyzwyczaić. Skoro przyszedłeś tu z urobkiem, od twojego pogrzebu musiał minąć co najmniej tydzień. Chyba że… – przysunął się bliżej, całkiem już przytomny – chyba że nie mówisz mi wszystkiego.

– To prawda, nie mówię. Ale nie miej mi tego za złe. Tak będzie lepiej, dla mnie i dla ciebie. Po zachodzie słońca odejdę, więcej się nie spotkamy.

Tamten roześmiał się gorzko.

– Tobie chyba ciągle jeszcze się zdaje, że możesz robić, co ci się podoba. Jesteś parszywcem! Nikogo nie obchodzi, o czym tam sobie myślisz. Nawet Bóg nie słucha twoich modlitw.

Kacper milczał. Nieczysty sapnął gniewnie:

– Chcesz się stąd urwać? I po co? Nawet jeśli nie dopadną cię psy albo nie zatłuką pałkami strażnicy, to w Lesie ustrzelą myśliwi. A jeżeli jakimś cudem się uchowasz, za

kilka dni sam tu wrócisz, żeby skomleć o makownicę. Na całym Podgórzu jej nie dostaniesz, tylko Ciepłownik uprawia mak i wie, jak przerabiać biały sok i mieszać ze spirytusem. Ale bez urobku nie dadzą ci ani kropli. Wtedy dopiero zrozumiesz, że naprawdę jesteś w piekle.

Kacper sięgnął do zanadrza po bukłaczek, zważył z namysłem w dłoni i położył na pryczy.

– Zostawiam ci to.

– Oddajesz makową gorzałkę?

– Tobie bardziej się przyda.

– Nie wiesz, co robisz. Teraz to twój jedyny majątek. Za kilka łyków możesz dostać wszystko: żarcie, dobre buty, kobietę.

– Nic mi nie trzeba.

– Jeszcze nie wiesz, jak się od parcha cierpi! Niektórzy znoszą to lepiej, inni gorzej, ale każdy ma swoją granicę, poza którą przestaje być sobą. Tylko makownica łagodzi ten ból.

– Wytrzymam.

– Przy bramie, kiedy wyszedłeś na słońce, nie byłeś taki hardy. A to tylko pieszczota w porównaniu z tym, co cię czeka. Bez makownicy nie będziesz mógł kopać węgla, pchać wózka, jeść ani spać. Ten bukłaczek to twój ostatni pocieszyciel.

– A ja myślę, że to smycz, na której trzyma was wszystkich Ciepłownik.

– Zastanów się, człowieku! Z parcha nie uleczy cię żadna wsiowa znachorka. Musisz albo odprawić do końca pokutę, albo zdechnąć.

– Mam tu tylko jedną rzecz do zrobienia… Co będzie potem, wszystko mi jedno.

– Chcesz wyjść po zmroku? Nie radzę. Na noc strażnicy spuszczają psy. Dopadną cię, zanim zrobisz trzy kroki za bramą.

– Mimo to spróbuję.

Teraz to kłusownik zamilkł na dłużej. W końcu uderzył pięścią w kolano, jakby powziął jakieś ważne postanowienie.

– Ludzie są różni, każdy na swój sposób radzi sobie z nieszczęściem. Jedni rozpaczają, drudzy pomstują, jeszcze inni udają, że nic się nie stało. Ale w tobie jest coś, czego nie rozumiem. Zaciekawiasz mnie. – Teraz Kacper usłyszał jego szept tuż przy uchu, poczuł z bliska trupią woń zmieszaną ze słodkawym zapachem makowej gorzałki. – Mogę ci pomóc, ale musimy być wobec siebie całkiem szczerzy. Ja zacznę. – Uścisnął dłoń Kacpra. Miał przykurczone, poobwijane gałgankami palce. – Nazywam się Lech.

Kopacz wahał się tylko przez chwilę.

– Mam tu córkę.

– W schronisku?

– Nie! Uciekła z domu z technikiem. Muszę ją stąd wyciągnąć.

– Uu, przyjacielu… Ciężka sprawa.

– Gdyby była lekka, nie przyszedłbym tu w czarnym płaszczu.

– Chcesz powiedzieć, że specjalnie po to zapaskudziłeś się parchem, żeby wejść za druty? – Pokutnik zaklął z cicha. – Wiem już, przyjacielu, co z tobą nie tak. Jesteś zwyczajnie pomylony.

Na krótko przed zachodem słońca w schronisku zawyła syrena. Wszystkie prycze naraz zaczęły trzeszczeć i skrzypieć. Kacper także się poderwał – niedługo przedtem wreszcie zmorzył go sen – i półprzytomny szukał sakwy i butów. Wszędzie wokół pokutnicy pośpiesznie zeskakiwali z górnych pięter i przepychali się w wąskich przejściach.

– Lechu! – zawołał cicho. – Obudź się!

Wyciągnął rękę – miejsce obok było puste. Zniknął także bukłaczek.

Nie potrafił oprzeć się gorzkiemu podejrzeniu, że kłusownik przemyślał sobie wszystko i zostawił go jednak własnemu losowi, ale nie miał czasu na rozpamiętywanie zawodu. Udzielił mu się powszechny niepokój, chciał jak najszybciej razem z innymi wydostać się z hali. Był w połowie wysokości drabinki, gdy ktoś podkutym obcasem przygwoździł mu dłoń zaciśniętą na szczeblu. Spadł z łomotem, kogoś przewrócił, ludzie deptali po nim, prąc ku wyjściu. Podźwignął się z trudem, wsparty o filar, i dał się ponieść fali. Dalej ścisk był tak wielki, że dusił się mimo rzeźwych podmuchów od otwartej bramy. Wreszcie syrena ucichła, teraz słychać było tylko szczękanie wózków i odległe bicie dzwonu.

Nagle ciżba skłębiła się w ciasnocie, ustępując przed ciosami pałką i przekleństwami. Przyparty do poręczy Kacper nie miał dokąd uciec; krzyki zbliżyły się, ktoś mocnym szarpnięciem za ramię wyrwał go z tłumu.

– Idziesz ze mną, śmierdzielu. – Strażnik pociągnął go za sobą, torując drogę kopniakami.

Pomyślał, że odkryto podstęp, dzięki któremu dostał się do Ciepłowni. Kara dla pokutnika, który przywłaszczył sobie cudzy urobek, mogła być tylko jedna – piec. Spodziewał się bicia i wyzwisk, ale ozdrowieniec wywlókł go spomiędzy pryczy, poprowadził bez słowa wąskim korytarzem, chyba do bocznego wyjścia, wypchnął na mróz i zatrzasnął za nim drzwi.

Wszystko stało się tak szybko i nieoczekiwanie, że Kacper stał osłupiały, w rozchełstanym płaszczu, z gołą głową.

Drgnął, gdy ktoś zachichotał tuż obok.

– Nie bój się, pieski jeszcze nie biegają. – Lech klepnął go w plecy. – Ogarnij się i ruszamy.

– Myślałem, że… już się nie spotkamy.

– Tym razem zawiodło cię przeczucie. Nie urwałem się ani nie sprzedałem cię strażnikom.

– Gdzie byłeś?

– Załatwiałem twoje sprawy. Nie zdążyłem uwinąć się przed pobudką, więc posłałem tamtego tępego pałkarza, żeby cię wyprowadził. Wieczorem wszyscy pchają się do wyjścia, mogliby zatratować cię na śmierć. Poza tym dla ostatnich często brakuje żarcia. O to też zadbałem. – Powiesił Kacprowi na ramieniu ciężką sakwę. – Na bocznicy czekają nasze wózki, chodźmy.

Kopacz naciągnął kaptur i wyjął zza pasa rękawice.

– Nie wiedziałem, że jesteś w takich dobrych stosunkach ze strażnikami – mruknął niechętnie.

– Znowu to samo! Co trzeba zrobić, żeby zasłużyć na twoje zaufanie? – Lech westchnął z urazą. – Tu, w Ciepłowni, makownica otwiera wiele drzwi. Wybacz, że nie zapytałem cię o zdanie, ale przecież sam podarowałeś mi swój bukłak.

– Niepotrzebnie się o mnie troszczysz. Poradziłbym sobie.

– Myślałem, że chciałbyś wiedzieć, gdzie mieszka młody technik z żoną, którą niedawno przyprowadził sobie z Lasu.

Kacper zwrócił się do niego gwałtownie.

– Pytałeś o to strażnika?

– Aha.

– Powiedział?

– Za makową gorzałkę dowiedziałby się nawet, co dziś było u nich na obiad.

– Chryste! Zaprowadź mnie tam, szybko!

– Spokojnie, przyjacielu, co nagle, to po diable. Parszywcom nie wolno tak po prostu łazić sobie po Ciepłowni. Trzeba by chyba całej beczki, żeby przekupić wszystkich strażników przy furtkach. No i są psy.

– Po co mi wiedzieć, gdzie mieszka moja córka, skoro nie mogę do niej pójść?

– Ale możesz ją zawiadomić, że tu jesteś, a wtedy ona przyjdzie do ciebie. Dla niej to też nie będzie łatwe, ale zrobi to, jeśli naprawdę zechce. Tylko się nie gorączkuj, bo wszystko zepsujesz. To musi potrwać, a ty nie możesz tutaj siedzieć i czekać. Tak czy siak, jedyna droga do niej prowadzi przez Kopalnię. Ty pomożesz mnie, a ja tobie.

Kacper ze złością trzepnął rękawicami w udo, lecz szybko się opanował. Sprawdził butem, jak wiele śniegu napadało w ciągu dnia, przesunął sakwę na plecy, aby nie przeszkadzała w marszu, i skinął głową.

– Chodźmy.

Przez pierwsze godziny cała długa, czarna kolumna sunęła naprzód po oczyszczonym w ciągu dnia torze ze stukotem kół i niemilknącym dzwonieniem. Z czasem pochód zaczął się rwać – słabsi przepuszczali na mijankach tych, którzy mogli maszerować szybciej. Ludzie łączyli się w mniejsze grupy, a niektórzy, otumanieni makownicą, wlekli się samotnie, zbyt wyczerpani, nawet by podnieść głowę i rozprostować obolałe ramiona.

Lech szedł z przodu, oglądając się od czasu do czasu na Kacpra i pokrzykując dla zachęty. Było bezwietrznie i bardzo zimno – rękawice przymarzały do uchwytów wagonika, sztywniały mięśnie, łzawiły oczy – a jednak Kacper lepiej znosił mróz niż wówczas, gdy za dnia włóczył się po ulicach Miasta. Wiedział, że to parch rozgrzewa w nim krew, lecz starał się o tym nie myśleć. Najważniejsze, że wreszcie dowiedział się czegoś pewnego o Kaśce. Miał nadzieję, że szybko się spotkają.

Przez całą noc nie zatrzymywali się na dłużej; jedli na stojąco, pili wodę podgrzaną nad łojówkami. Od północy coraz więcej wózków pozostawało w tyle, jeden musieli nawet zepchnąć na pobocze, ściągnąwszy z torów nieczystego, który, choć martwy, bez oddechu, wciąż jeszcze nie tracił ciepła. Parch wywoływał silne, krótkie skurcze mięśni; całe ciało pokutnika podrygiwało, twarz wykrzywiała mu się w dziwaczne grymasy.

Kacper nie odczuwał zmęczenia – zdawało mu się, że mógłby tak iść i iść bez ustanku, aż skończy się tor. Przeszkadzał mu tylko zawiązany na twarzy, zesztywniały od wilgoci szal, który utrudniał oddychanie. Zdarł go w końcu, zniecierpliwiony, gdy nie udało mu się rozluźnić zadzierzgniętego na karku supła.

Na wąsy i brodę bluznęła mu z nosa zakrzepła krew. Zatrzymał się, odrzuciwszy głowę do tyłu, i usiłował zatamować krwotok oszronioną rękawicą, ale po chwili zaczął się dławić gęstą, lepką, cuchnącą cieczą, która spłynęła do gardła.

W tyłek szturchnął go kolejny wózek.

– Na bok, zatrzymujesz wszystkich! – zawołał ktoś gniewnie.

Upadł na łokcie i na kolana, krztusząc się i kaszląc jak pies, któremu kość utkwiła w przełyku. Ktoś go odepchnął, tak że poleciał w zaspę, załomotał przewrócony wózek. Wykaszlał wreszcie krwawą plwocinę, pełną ropnych grud, oparł czoło na pięści i oddychał łapczywie: piersią, brzuchem, ramionami, całym sobą.

Poczuł ucisk u nasady nosa, który szybko przerodził się w tępy ból. Miał wrażenie, że napęczniały w ciasnocie czaszki mózg szuka ujścia i jeśli go zaraz nie znajdzie, rozsadzi skronie. Nie mógł nic zrobić, każdy ruch tylko potęgował cierpienie do tego stopnia, że Kacper rozpaczliwie zapragnął stracić przytomność.

– Obudził się skurwiel, co? – Lech szarpnięciem odwrócił go na wznak, otarł mu twarz śniegiem, a potem, unosząc kciukiem kolejno obie powieki, zajrzał mu w oczy. – Tak to bywa ze świeżym parchem. Zaczyna dokazywać, ledwie niebo poszarzeje na wschodzie. Cóż, przyjacielu, czas przeprosić się z makownicą. – Cmoknęła zatyczka bukłaczka. – Na Czarnym Szlaku czasem ktoś podzieli się z tobą kromką chleba, ale tym nigdy. Doceń to.

Kilka piekących kropel spłynęło mu po spękanych wargach. Gardło miał tak obolałe, że nie potrafił ich przełknąć, dotknął tylko językiem podniebienia, a wtedy wilgoć rozpuściła się i zniknęła, pozostawiając leciutki, słodki posmak.

Bardzo szybko poczuł ulgę, choć ból nie ustąpił całkowicie – wciąż ćmił uparcie w głowie, powodując męczące brzęczenie w uszach i kłucie gdzieś na dnie oczodołów. Spróbował wstać, ale był słaby i drżał niczym zgrzybiały starzec.

Dzwonki nieczystych cichły już w oddali. Zostali sami.

Lech, stękając i klnąc pod nosem, ustawił wózek z powrotem na szynach. Potem wrócił, dźwignął Kacpra i zarzucił go sobie na kark jak ubitą fokę.

– Musimy się pośpieszyć, przyjacielu, niedługo wzejdzie słońce. – Zwalił go do wózka i przykrył kocem. – Popcham oba, a ty leż spokojnie, nie wychylaj się spod kaptura. No, jazda!

Resztę drogi do schroniska przy Szlaku Kacper przeleżał skulony jak płód na zimnym żelaznym dnie. Odrobina lekarstwa oszołomiła go, lecz ani na chwilę nie przestał być świadom, że na wschodniej stronie nieba bladły gwiazdy, a oblodzone szczyty gór zaczęły lśnić w blasku jutrzenki. Wiedział, że kiedy ponad widnokręgiem zapłonie skrawek słońca, parch znowu da o sobie znać, i że tym razem nic nie przytłumi bólu.

Na szczęście do schroniska nie było już daleko. Niebawem koła zaturkotały na bocznicy, załomotały zderzaki. Lech przechylił skrzynię wagonika i jedną ręką wygarnął Kacpra na twardy, udeptany śnieg.

– Wstawaj, przyjacielu. Nie myślisz chyba, że wszędzie będę cię nosić.

Podźwignął go na nogi i słaniającego się asekurował, gdy po drewnianej pochylni schodzili pod ziemię do długiego, wąskiego bunkra z rzędami piętrowych pryczy po obu stronach i biegnącym pośrodku kanałem grzewczym przykrytym gorącą blachą. Kacper domyślił się, że gdzieś tam na końcu musi stać piec z wyprowadzonym na powierzchnię kominem.

Ciepły zaduch przypomniał mu noc spędzoną w miejskich podziemiach. Aż westchnął z ulgi, gdy kilka metrów lodu i zmrożonego gruntu osłoniło go przed wschodzącym słońcem. Poczuł się lepiej; sam, bez pomocy, wdrapał się na górną pryczę. Zjadł podpłomyk z lichej mąki, bardziej z rozsądku niż z głodu, popił tłustą polewką, którą przyniósł skądś Lech w blaszanej misce, i zaraz potem zasnął na siedząco, nie ściągnąwszy nawet butów.

Budził się w ciągu dnia kilka razy, dręczony pragnieniem, zgrzany, mokry od potu. Rozebrał się do naga, ale to niewiele pomogło – swędziało go całe ciało, ciążyła nabrzmiała głowa, naciągało go na wymioty. Pomyślał, że łyk makowej gorzałki mógłby mu pomóc. Nie chciał przeszkadzać Lechowi w odpoczynku – odszukał jego sakwę, ale w chwili, gdy sięgnął ręką do środka, kłusownik złapał go za rękaw.

– Nie, przyjacielu – odezwał się cicho. – Nie pozwolę ci na taką łatwiznę.

Krew uderzyła Kacprowi do twarzy.

– Myślałem, że mi wolno…

– Niczego ci nie żałuję. Póki jesteśmy wspólnikami, co moje, to i twoje. Ale z makownicą musisz uważać, jeśli nie chcesz skończyć jak tylu innych. Im więcej pijesz, tym bardziej jej potrzebujesz, a w końcu pragniesz jej już nie po to, żeby poczuć się lepiej, ale dla niej samej.

– Jak to?

– Harujesz w Kopalni i na Czarnym Szlaku, by dostać jeszcze jeden bukłaczek. Makowa gorzałka to trucizna dla duszy. Gotów jesteś dla niej ukraść, zdradzić, zabić. Nie martwisz się już nawet tym, że zżera cię parch, straciłeś rodzinę i niedługo zdechniesz gdzieś na torach albo pod ziemią. Nie obchodzi cię nic prócz makownicy.

– Rankiem sam mi ją dałeś.

– Wtedy byś się bez niej nie pozbierał. Teraz nic ci nie grozi, jesteś dobrze ukryty przed słońcem. Czujesz się podle, wiem, ale to da się wytrzymać. Kiedy ruszymy, będzie trochę lepiej.

– W porządku, rozumiem. – Cofnął się zagniewany. – Trzeba było od razu powiedzieć, że jeden bukłaczek nie wystarczy na dwóch.

– Gówno rozumiesz, przyjacielu. Czy kiedykolwiek zalatywało ode mnie gorzałką?

– Nie wiem… – Kopacz potarł czoło. – Może i nie.

– No właśnie. To powinno dać ci do myślenia.

– To znaczy, że w ogóle tego nie pijesz?

– Piję, ale tylko wtedy, kiedy jest już bardzo źle. A to wcale nie zdarza się tak często. Zwyczajny, codzienny ból po prostu znoszę. Chcę być silny i trzeźwy.

– Masz nadzieję, że wytrzymasz całą pokutę i doczekasz oczyszczenia?

– Nigdy nie wierz w to, co obiecuje Ciepłownik.

– Przecież jest wielu ozdrowieńców! Strażnicy, sprzątacze…

– Pewnie. Niedawno nawet spotkałem jednego, z którym wcześniej chodziłem po Szlaku, tak jak teraz z tobą. Dał mi w pysk, chociaż w Kopalni wyciągnąłem go z zawału.

– Dlaczego?

– Nie pamiętał mnie.

– Tak, słyszałem, że tak to z nimi jest… Ale co z tego? Żyją. I wiedzą przynajmniej, że już nigdy nie złapią parcha.

– W dupie mam takie życie. Pomyśl tylko! Gdybyś kiedyś zapomniał o swojej wiosce, o domu, o matce… To przecież już nie byłbyś ty! Po co komu takie oczyszczenie? Już lepiej dożyć z podniesioną głową tyle, ile się uda, nie poić się tym świństwem i nie wierzyć w żadne sztuczki Ciepłownika. – Lech powiedział chyba więcej, niż zamierzał, bo splunął i dorzucił ze złością: – Rób sobie zresztą, jak chcesz. Drugi raz nie chwycę cię za rękę.

Tego dnia Kacper nie usnął, nawet o zmierzchu, gdy ból zelżał. Lech nie powiedział mu w gruncie rzeczy nic, czego nie wiedział już wcześniej albo przynajmniej czego się nie domyślał, a przecież miał wrażenie, że odkrył jakąś nową prawdę o sobie samym.

Aż do tej pory bronił się przed wspominaniem domu. Nie chciał się nad sobą użalać. Obawiał się, że takie myśli mogłyby osłabić w nim ducha, posiać zwątpienie w sens tego, na co się porwał. Ale tego bezsennego wieczoru tęsknota za Mirą dopadła go z całą siłą. Zdawało mu się chwilami, że żona stoi przy nim, gładzi go po rozpalonym czole i szepcze do ucha pieszczotliwie słowa. Odczuwał ulgę, a zaraz potem znowu ogarniał go lęk, że mogłaby się zarazić od niego parchem.

– Odejdź, jeszcze za wcześnie, jeszcze nie czas… – szeptał półprzytomnie. – Wybacz mi. Musiałem to zrobić. Rozumiesz, prawda? Musiałem. Jak nie ja, to kto? Ty wiesz, ty zawsze wiedziałaś… Ty jedna.

Wyszli z bunkra prosto w szalejącą zamieć. Niewielu pokutników odważyło się wyruszyć w taką pogodę, większość pozostała w zajezdni, siedząc w kucki przy wagonikach i słuchając wycia wichru – ale Lech nie chciał czekać.

– Nie lubię tracić czasu, przyjacielu. Kto wie, ile mi go jeszcze pozostało.

– Tak ci pilno do Kopalni?

– Makownicę dają tylko za węgiel, nie za piękne oczy.

– Przecież mówiłeś, że…

– Wiem, co mówiłem – uciął kłusownik z nagłym zniecierpliwieniem. – Nie zapominaj, że bez niej nigdy nie znalazłbyś córki. Ja też mam do załatwienia jeszcze parę spraw.

– Jakich spraw? Co ty właściwie zamierzasz?

– To się dopiero okaże. Jedno tylko wiem na pewno: umrę jak człowiek, a mojego trupa nikt nie wrzuci do pieca.

Wysokie lodowe skarpy chroniły przed wiatrem, ale śniegu wciąż przybywało, niebawem sięgał już powyżej osi wózków. Lech brał na siebie cały trud przecierania toru, więc Kacprowi, który zmierzał za nim, szło się łatwiej, chociaż zdawało mu się, że wagonik waży teraz więcej, niż kiedy był pełny. Posuwali się bardzo powoli, przez całą noc nie spotkali na Szlaku nikogo z wyjątkiem jakiegoś na wpół obłąkanego pokutnika,

który porzucił gdzieś w zamieci swój wózek i próbował wyżebrać od nich łyk makowej gorzałki. Wlókł się za nimi przez jakiś czas, błagając i przeklinając na przemian, choć Lech rzucał w niego kawałkami lodu. Potem poślizgnął się, upadł i już nie wstał więcej.

Kacpra długo jeszcze dręczyły jego jęki, aż w końcu zdał sobie sprawę, że to tylko zawodzenie wiatru.

Nie dobrnęli przed świtem do schroniska, musieli spędzić dzień w ciasnej lodowej dziupli, z której otworu trzeba było odgarnąć śnieg. Kacper z początku się ucieszył – wolał to niż przegniłe od moczu, lepkie deski pryczy – lecz zaraz po wschodzie słońca zrozumiał swoją pomyłkę.

Pokryte śniegiem lodowe sklepienie nie przepuszczało wprawdzie światła, a jednak parch się ożywił, choć nie tak gwałtownie jak pod gołym niebem. Kacper podrzemywał na siedząco, skulony pod kocem, kwiląc czasem przez sen niczym dziecko. Około południa, gdy chmury porozrywały się i słońce zajaśniało pełnym blaskiem, ból stał się tak przenikliwy, że kopacz zaczął uderzać tyłem głowy w lód, obryzgując z krwawiącego nosa całą dziuplę. Wtedy Lech dał mu pociągnąć z bukłaczka, tylko jeden łyk, który spłynął ognistą strugą do żołądka. Kacper rozluźnił się zaraz, zwiesił brodę na pierś i zapadł w głęboki, barwny, kojący sen.

Wieczorem, aby ruszyć, musieli sikać na przymarznięte do szyn koła wózków.

– Tylko zrób to szybko, bo odmrozisz kutasa – przestrzegł kłusownik. – Prędzej czy później i tak sam odpadnie, ale to lepsze niż nóż.

Przez dwie kolejne noce zmagali się z powracającymi śnieżycami – mróz bywał tak srogi, że zamarzały oczy – ale trzeciej wreszcie przestało sypać. Za dnia parowóz oczyścił Szlak i o zmierzchu mogli wyruszyć w drogę większą grupą, próbując nadgonić stracony czas, tym gorliwiej, że sakwy mieli już prawie puste.

Kacper ani razu nie wyszedł poza rów torowiska, mimo to wiedział, że okolica się zmienia. Na poboczach zalegało coraz więcej gruzu, w pustych oknach ruin wiatr poświstywał inaczej niż na otwartej przestrzeni, a schroniska urządzone były w starych betonowych piwnicach z naciekami lodu na ścianach. Tak daleko na zachód rzadko się dawniej zapuszczał – pod lodem łatwiej tu było znaleźć połać spękanego asfaltu niż leśną ściółkę.

Wreszcie poczuł snujący się w powietrzu węglowy dym.

– To palą w schronisku? – Pociągnął nosem.

– Dziś zapomnij o pryczach. Jesteśmy prawie na miejscu. Tutaj każdy urządza się, jak może. Nowi przychodzą na gotowe, miejsca zwalniają się po każdej szychcie, po każdej wywózce.

Pozostawili wózki w wielkiej zajezdni, na skraju przykopalnianej osady.

Chociaż zagnieździła się pośród rozległych ruin, w niczym nie przypominała Miasta – nie było tu ogrzewanych kanałów, bezśnieżnych ulic, ogni na skrzyżowaniach, nie było gospód, targowisk, rzeźni, nie było nawet psów ani wron. Nie śmierdziały kozie obórki i garbarnie. Wąskich ścieżek nikt nie posypywał popiołem. Ciszy nie zakłócał dźwięk dzwonu, czasem tylko rozbrzmiewał w mroźniej nocy odległy turkot wózków.

– Czemu tu tak pusto? – zapytał Kacper. – Nie słychać żadnych kroków…

– Tutaj chodzi się pod ziemią, piwnicami, kanałami, przekopami. Nie tylko w dzień, ale

i w nocy.

Skręcili ze ścieżki, przebrnęli przez pas głębokiego śniegu i zeszli po oblodzonych schodkach poniżej poziomu ulicy.

– Poczekaj chwilę, kłódka zamarzła. – Trzasnęła zapałka. Lech nabiedził się trochę, nim otworzył drzwi. – Nie trzymam tu nic cennego, ale zamykam, żeby nie szczali mi po kątach. Chociaż jak ktoś się uprze, wyważy drzwi. Ostatnio jakiś sukinsyn wyniósł żelazny piecyk, teraz mam tylko palenisko z cegieł.

– Czym palisz?

– Strażnicy pilnują węgla na składzie, ale miału każdy może sobie nabrać, ile chce. Siadaj tutaj, przy stole, zjemy coś ciepłego.

Zakrzątnął się przy ogniu, pobrzękując kociołkiem.

Kacper położył sakwę na ławie, ale nie usiadł.

– Którędy do łaźni?

Lech parsknął śmiechem.

– Musisz polubić brud, przyjacielu. Im jest grubszy, tym lepiej chroni przed słońcem. Tutaj nikt się nie myje.

Przez całą drogę Kacper liczył na to, że u celu będzie mógł wreszcie porządnie się wypocić i wysmagać rózgami aż do krwi. Tęsknił do tego, aby zeskrobać z siebie całą tę cuchnącą skorupę i wyczochrać ze skudlonych włosów i brody lepkie paprochy pozbierane na pryczach schronisk. Chciał po prostu znowu poczuć się jak człowiek – może już po raz ostatni.

Ciężko opadł na ławę.

Niespodziewanie na schodach zachrobotały kroki, przez uchylone drzwi wdarło się mroźne powietrze.

– Czekam na ciebie od dwóch dni – obcy głos zawarczał zrzędliwie, bez powitania. – Już myślałem, że wreszcie diabli cię wzięli.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Lech podniósł się znad paleniska.

– Kto jest z tobą? Nowy ślepiec?

– Nie twoja sprawa. Masz to?

Przybysz rzucił na stół jakieś żelastwo.

– Nie było łatwo, musiałem ukraść we wsi. Dawaj bukłak.

– Po kolei. Najpierw obejrzę sobie te kolce. – To rzekłszy, Lech mruczał coś do siebie pod nosem. – Komu to zabrałeś, jakiejś starej babie? Są zardzewiałe i pokrzywione. W czymś takim nie doszedłbym po lodzie nawet do sracza.

Kacper usłyszał świst pałki. Stół zadrżał od uderzenia.

– Dawaj bukłak!

– Uważaj, uważaj… Sam wiesz, że łatwo znajdę innego strażnika. Ale mam do ciebie słabość, bo jesteś brzydszy ode mnie, a to duża sztuka. Trzymaj!

Ozdrowieniec złapał bukłaczek w locie, potrząsnął przy uchu i zaklął.

– Nie jest pełny!

– Nie jest – przyznał Lech spokojnie. – Jak ci się nie podoba, zabieraj się stąd razem z tym złomem.

– Zatłukę cię!

– Uważaj, mówię. Poznajesz ten nóż? Sam mi go sprzedałeś. Umiem go używać, jak każdy kłusownik. – Postąpił krok naprzód. – A teraz znikaj stąd, psie łańcuchowy, bo następnym razem pozwolę ci co najwyżej powąchać zatyczkę.

Kacper ukradkiem ustawił stopy bliżej siebie, aby poderwać się i skoczyć ozdrowieńcowi na plecy, gdyby nadarzyła się okazja, lecz po dłuższej chwili milczenia tamten zawrócił bez słowa. Drzwi trzasnęły z taką siłą, że z góry posypały się płatki starej, złuszczonej farby.

– Lubię z nim handlować. – Roześmiał się z cicha pokutnik. – Jest taki łasy na makownicę, że za kilka łyków sprzedałby nawet ostatnie gacie, gdyby tylko ktoś chciał je kupić.

– Czułem jego wściekłość. Naprawdę mógł się na ciebie rzucić.

– A ja naprawdę mogłem go zatłuc.

– Myślałem, że nieczystym nie wolno nosić żadnej broni.

– To prawda. – Lech znów pochylił się nad paleniskiem, gdzie zaczynała już bulgotać woda w kociołku. – Tak jak nie wolno spotykać się z bliskimi.

– Chciałbym po prostu cię zrozumieć. Masz prawo do obrony, w porządku. Ale po co kolce? Na Czarnym Szlaku ani pod ziemią ci się nie przydadzą.

Kłusownik wrzucił coś do wrzątku, zamieszał i głośno oblizał łyżkę.

– Polewka na szczurzych ogonach. – Mlasnął zachęcająco. – Wolisz zabielaną czy nie?

Przespali cały dzień i większość nocy, wstając tylko po to, aby łyknąć kumysu, siorbnąć polewki i zamienić parę mrukliwych słów.

Kiedy wygasł już żar w palenisku, Kacpra zbudził jakiś głuchy pomruk; zatrzęsła się pod nim ława, zagrzechotały miski i kubki na stole. Usiadł przestraszony. Z jego piersi dobyło się mimowolne przeciągłe ziewnięcie.

– Tąpnęło na dole, to się zdarza. Ale i tak trzeba się zbierać, czas na nas. Zakładaj buty, zostaw dzwonek. Tam, dokąd idziemy, nie będzie ci potrzebny.

Wspięli się ostrożnie po zaśnieżonych schodkach, a po drugiej stronie ulicy zeszli do krytego przekopu. Kłusownik poprowadził przez piwnicę do jakiegoś budynku, gdzie musieli razem z innymi pokutnikami rozebrać się do naga w dużym, zimnym pomieszczeniu. Łachy wrzucili do wielkiego kosza, który ktoś zaraz odciągnął dalej.

– Jak znajdę potem swój płaszcz? – zaniepokoił się Kacper.

– Nie znajdziesz, weźmiesz pierwszy, jaki się trafi. Nie martw się, nie złapiesz żadnego robactwa. Od pokutników uciekają nawet pluskwy i wszy. To jedyna dobra strona parcha.

Kacper podniósł głowę na odgłos drobnych kroków.

– Czy to kobieta? – spytał cicho.

– Praczka. Co, wstydzisz się? Niepotrzebnie. Jest tu od lat, napatrzyła się na gorsze rzeczy niż twoja chuda dupa.

– Nieczysta?

– Prawda, zapomniałem, że u was na wsi baby rzadko łapią parcha, bo siedzą w domu i trzymają się z daleka od obcych. Chyba że mąż coś przywlecze z burdelu w Mieście, he,

he! Jest ich tu sporo. Nie pracują na dole i nie chodzą na Szlak, nie dałyby rady.

– Więc co robią?

– Piorą, odśnieżają, czyszczą narzędzia, łatają płaszcze, naprawiają buty. Dostają o połowę mniej makownicy niż my. – Pociągnął Kacpra za łokieć. – Chodź dalej.

Jakaś inna pokutnica położyła przed nim na długiej ławie szerokie spodnie z grubymi łatami na kolanach, wełnianą bluzę, kaptur z kusą pelerynką, skórzany fartuch i rękawice – wszystko mocno znoszone, ale czyste.

Ubierając się, Kacper odkrył na czole, tuż ponad lewą skronią, jakieś zgrubienie, jakby kosmatego strupa. Spróbował zdrapać to paznokciem, ale Lech zbeształ go ostro:

– Zostaw! Takich rzeczy się nie rusza. Zadraśniesz i do jutra zrobi się z tego ropiejący wrzód, a po tygodniu będziesz miał dziurę w głowie.

W narzędziowni dostał jeszcze kosz na plecy z podnoszonym wiekiem, kilof i łopatę. Potem Lech znów wyprowadził go na mróz.

Obracające się z wolna koło kieratu trzeszczało gdzieś wysoko, skrzypiały naprężone liny. Nikt się nie odzywał, ludzie czekali na swoją kolej w ponurym milczeniu, pokasływali tylko, szurali butami, czasem brzęknął kilof czy łopata. W ciągu ostatnich nocy Kacper tak przywykł do nieustannego podzwaniania, że ta cisza wydawała mu się niesamowita. Gdyby nawet nie wiedział nic o Kopalni, gdyby nie nasłuchał się na jarmarkach i wiejskich zabawach tylu strasznych opowieści – to milczące wyczekiwanie tłumu musiałoby wzbudzić w nim niepokój.

– Wszystko z nimi w porządku? – zapytał szeptem.

– Przed szychtą każdy się boi.

– Ty także?

– Ja przede wszystkim, przyjacielu. Mam do stracenia więcej niż oni.

– Życie to życie. Twoje jest warte tyle samo co każde inne.

– Gówno prawda. Ważne, po co się żyje. Jeśli ktoś morduje się tutaj tylko po to, żeby dostać w Ciepłowni jeszcze jeden bukłaczek, to szkoda zachodu. Lepiej od razu rzucić się pod parowóz.

Kolejka posuwała się bez przestojów, ale tak powoli, że Kacper zaczął się niepokoić, czy świt nie zaskoczy ich znowu pod otwartym niebem. Przytupywał niecierpliwie, dawnym nawykiem skubał brodę, dopóki nie zorientował się, że w palcach pozostają mu kosmyki włosów z krwawymi strzępkami skóry. W odruchu wstydu głębiej ukrył twarz pod kapturem, choć wiedział przecież, że tutaj jego wygląd nikogo nie przestraszy.

Otwór szybu, obmurowany i otoczony poręczą, osłonięty z góry daszkiem na słupkach, tchnął zwiewnym oparem. Gdy Kacper wreszcie się nad nim pochylił, usłyszał spotęgowany echem łomot wielu ciężkich butów na deskach rusztowania.

– Naprzód, przyjacielu – ponaglił Lech. – Tym za nami słoneczko też nie posłuży.

Zwykła, drewniana drabina schodziła ukośnie w głąb szybu. Pierwsze szczeble były mocno oszronione i bardzo śliskie, ale niżej zrobiło się cieplej. Dolny koniec drabiny wspierał się na wąskim podeście, skąd opadała w dół następna, pochylona w przeciwną

stronę. Głębiej ustawiono kolejne. Kacper liczył je tylko z początku, potem przestał, skupiony na tym, żeby nie kopnąć w głowę pokutnika schodzącego przed nim. Zgrzał się, kosz zawadzał w ciasnych nawrotach, nieregularny tupot chwilami go ogłuszał. Im dłużej trwało to zstępowanie w otchłań, tym bardziej Kacper czuł się zagubiony, niemal tak samo jak przed laty, w pierwszych tygodniach po utracie wzroku. Kręciło mu się w głowie, zawodziły wyostrzone zmysły; zupełnie stracił orientację. Dostał duszności, drżały mu kolana, pociły się dłonie. Chwilami ogarniała go trwoga, że rusztowanie zawali się pod ciężarem tylu ludzi. Chwytał się wtedy kurczowo drabiny, ale zaraz Lech deptał mu po palcach, więc zsuwał się na pomost i dreptał dalej, poszturchiwany i popychany.

Kiedy w końcu poczuł pod stopami twardy, wilgotny grunt podszybia, nieco oprzytomniał. Kroki pokutników rozchodziły się teraz we wszystkich kierunkach, wsiąkając w gardziele chodników, szemrały przyciszone rozmowy, gdzieś miarowo kapała woda.

– Przywykniesz, przyjacielu. – Nawet głos Lecha zabrzmiał pod ziemią inaczej, głucho. – Na początku każdy głupieje.

Kacper odetchnął głębiej, poprawił kosz na plecach.

– Słuch zwodzi mnie tutaj zamiast pomagać. Nie umiem wyobrazić sobie tego miejsca. Chyba nie na wiele ci się przydam.

– Poczekaj, odsapnij. Jak zostaniemy sami, będzie ci łatwiej.

Kopacz przysiadł na zabłoconych deskach pomostu, napił się kumysu, rozprostował obolałe nogi. Zapadająca z wolna cisza sprawiła mu ulgę. Ustąpiło nieznośne uczucie uwięzienia w ciasnocie, stopniowo odzyskiwał wrażliwość na to wszystko, czym pobudzał zmysły mrok. Przestrzeń – przedtem zawężona, zamknięta jak grób – teraz jakby się rozprężyła, nabrała głębi, wymiarów i kształtów. W górze otwór szybu szumiał odległym wiatrem, szmer spływającej wody wytyczał przebieg chodników, pozwalał się nawet domyślać, jak stromy jest ich spadek. Gdzieś bardzo daleko uderzał kilof; nie było go słychać, lecz Kacper potrafił wyczuć leciutkie drżenie skały.

Naraz rozbrzmiał jakiś głośny dźwięk gongu. Powtórzył się pięć razy.

– Wydzwaniają godziny, żeby każdy wiedział, czy na górze jest dzień, czy noc. – Lech się podniósł. – Chodźmy.

Poprowadził go jednym z szerokich, opadających z lekka chodników. Pod butami mlaskała im mokra węglowa maź. Kacper dotykał starych przerdzewiałych łuków obudowy, pourywanych kabli, które zwisały ze ścian, jakichś zepchniętych na bok maszyn pokrytych grubą warstwą pyłu. Środkiem korytarza biegły na wpół zagrzebane w błocie szyny.

– Dlaczego nie wywożą węgla wózkami?

– Zaraz sam się przekonasz.

Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że coś działo się za jego plecami, coś szemrało, tak cicho, że nie usłyszał tego właściwie, raczej wyczuł leśnym instynktem. Przystanął, odwrócił się. Wówczas ulotne wrażenie zniknęło.

– Co tam? – spytał kłusownik.

– Chyba nic… Zdawało mi się, że ktoś za nami idzie.

– Nie zdziwiłbym się. – Lech rzucił w tamtą stronę kamieniem, lecz wzdłuż chodnika

odezwało się echo.

Naraz rozdętymi nozdrzami Kacper pochwycił słabiutką, dobrze znaną woń, której się tutaj nie spodziewał.

– Szczury? – zapytał z wahaniem.

– A tak, przyjacielu. Żyją w Kopalni i mają się dobrze.

– Czym się żywią?

– Ten tam pewnie chce ukraść twoją sakwę. One z daleka rozpoznają ślepców.

– Mnie nie okradnie, nie jestem jakimś dziadem z Miasta. U nas na wsi ze szczurami wojują gospodynie.

– To nie zwyczajne leśne złodziejaszki ani leniwie tuczniki z Miasta. Niektóre z nich są wielkie jak psy.

– Na czym się tak spasły? Chyba nie na tych zapleśniałych sucharach… – Zrozumiał nagle, wzdrygnął się. – Na Czarnym Szlaku zwierzęta nie tykają przecież parchatych trupów!

– Tu jest inaczej. Pomyśl, co masz pod nogami.

Już wcześniej kopacz potykał się od czasu do czasu o coś, co wziął za porozrzucane kawałki drewna. Dopiero teraz dotarło do niego, że depcze po ludzkich kościach.

– Dlaczego nikt tego nie pozbiera? – wykrztusił ze zgrozą.

– Po co? Cała Kopalnia to jeden wielki cmentarz. Trupów nikt nie wywozi na górę, szkoda na to marnować siły kieratników, węgiel jest najważniejszy. Twoje gnaty też pewnie kiedyś rozwłóczą szczury, a potem ktoś wdepcze je w błoto. – Zaszurał butami. – Czeka cię tu jeszcze parę innych niespodzianek, przyjacielu.

Im dalej od szybu, tym trudniej było się posuwać naprzód. Szyny wybrzuszały się na nierównym podłożu, a potem zniknęły, pozostały po nich tylko przegniłe podkłady. Łuki obudowy powyginały się pod ciężarem stropu, coraz częściej drogę tarasowały wielkie skalne bryły, a w końcu korytarz zwęził się w niski, wydrążony poprzez zawalisko przesmyk. Gdy przecisnęli się na drugą stronę, zgięci wpół, wlokąc za sobą kosze, podziemiami wstrząsnął nagły huk. Ze stropu posypały się kawałki rdzy z obudowy, powietrze zgęstniało od pyłu.

Przestraszony Kacper chciał się cofnąć do przesmyku, lecz kłusownik go powstrzymał.

– Spokojnie, to tylko strzelają na przodku. Rozsadzają skałę.

– Tam właśnie idziemy?

– Nie, przyjacielu. Proch kosztuje, a my nie mamy już makownicy. Zresztą nie zmarnowałbym na to ani kropli, mam ważniejsze sprawy. – Zarzucił kosz z powrotem na plecy. – Ty także, prawda?

Powiódł Kacpra do wylotu jednego z mniejszych, bocznych chodników, który zamiast stalowej obudowy chroniły przed zawaleniem jedynie zwykłe drewniane stemple. Woda kapała ze stropu i ciekła po spękanych ścianach, we wrąbach podłoża tworzyły się głębokie kałuże. Zalegało tu więcej skalnego rumoszu, lecz mniej kości, zbutwiałych szmat i porzuconych narzędzi.

– Nie zagląda tu chyba wielu pokutników – odezwał się Kacper po długim marszu, który upłynął im w całkowitym milczeniu.

– Tam, gdzie pchają się wszyscy, złoże już prawie się wyczerpało. Dźwigają na plecach

kosze ciężkie od kamieni. Tutaj trzeba trochę odwagi, ale to się opłaca. Znalazłem zakątek, którego nikt nie zna. Sam węgiel, błyszczący, czarniutki, lekutki. Kruszy się pod kilofem aż miło.

Zewsząd dobiegały jakieś trzaski, skrzypienia, chroboty, stukoty. Czasem rozlegał się przytłumiony łomot, jakby coś obrywało się w głębi skał.

– Jesteś pewien, że to wszystko nie zawali nam się na głowy? – zapytał szeptem Kacper.

– Tutaj niczego nie można być pewnym – odparł Lech. – Dlatego właśnie jesteś mi potrzebny. Co ci podpowiada przeczucie?

– Żeby wracać natychmiast.

– Nie, przyjacielu. Po prostu się boisz, a to co innego. Będziesz wiedział, kiedy naprawdę zacznie być źle.

Kacper starał się zapamiętać drogę, jednak rychło zwątpił, czy zdołałby w razie potrzeby wrócić samodzielnie pod szyb. Minęli wiele rozwidleń i skrzyżowań, zsuwali się po stromych pochylniach, podłożywszy pod tyłek skórzany fartuch, taplali się w zalanych powyżej kolan chodnikach, pokonywali biegnące w górę lub w dół krótkie, ciasne szybiki, gdzie zamiast drabiny była tylko lina z węzłami, prostowali plecy w obszernych komorach i znów padali na kolana w grząski muł, aby przeczołgać się pod skalnym nawisem.

Wreszcie dotarli do końca którejś ze ślepych odnóg korytarza. Lech zrzucił kosz z pleców i stuknął w ziemię trzonkiem kilofa.

– No, jesteśmy. – Odetchnął. – Tamci na przodku pewnie jeszcze czekają, aż opadnie pył po strzelaniu. Jak się dobrze uwiniemy, będziemy pierwsi pod wyciągiem.

Kacper przesunął końcami palców po chropawej, suchej ścianie poznaczonej głębokimi zaciosami.

– Piękny węgiel… we wsi rzadko taki miewaliśmy.

– Tylko mi się nie roztkliwiaj! Co było, to było, teraz jesteś parchaty i tylko to się liczy. Dalej, zakładaj rękawice! Ja rąbię, ty ładujesz.

Robota szła sprawniej, niż Kacper przypuszczał. Rozkruszał kilofem wielkie bryły, które kłusownik odłupywał od ściany, zgarniał urobek łopatą i wrzucał do koszy. Niebawem oba były pełne po brzegi.

Chciał spłukać kumysem podrażnione pyłem gardło, ale nie zdążył jeszcze odetkać bukłaka, gdy Lech już poganiał:

– Nie tutaj. Zabierajmy się stąd.

– Czemu?

– Taką mam zasadę, nie kuszę losu. Nigdy nie siedzę pod ziemią ani chwili dłużej niż trzeba.

Powrót z ciężarem na plecach, w śliskich od błota butach, gdy w zębach zgrzytał pył, a pod bluzą ciało swędziało od spływającego potu, zabrał im o wiele więcej czasu. Kacper musiał teraz nieustannie opędzać się przed szczurami, które tym śmielej podszczypywały mu sakwę, im bardziej powłóczył nogami. Najbardziej namordował się przy wspinaczce na którąś z pochylni – mimo kilku prób zdołał dobrnąć na czworakach najwyżej do połowy, a potem zjeżdżał na brzuchu, zgrzany z wysiłku i ze złości. Wreszcie upadł tak nieszczęśliwie, że pękły rzemienie wieka i połowa węgla wysypała się z kosza. Musiał pozbierać wszystko, aż ręce zgrabiały mu w przemoczonych rękawicach.

Lech czekał na górze, chichocząc z cicha.

– Mówiłeś, zdaje się, że to niepotrzebne żelastwo? – Rzucił mu kolce. – Zakładaj i zbieraj się. Musimy zdążyć na górę przed świtem.

Kiedy dotarli do obszernej komory pod wyciągiem, było tu jeszcze niewielu pokutników. W szybie grzechotał łańcuch, który gdzieś tam wysoko nawijał się na bęben kieratu. Nie musieli czekać długo na swoją kolej. Dozorujący pracę wyciągu ozdrowieniec zajrzał do kosza Kacpra, wybrał na próbę kilka bryłek węgla, a potem kazał zsypać wszystko do wielkiej, okutej skrzyni. Wcisnął mu w dłoń jakiś medalik z dziurką na grubym rzemieniu i odepchnął na bok.

– Po co ta blaszka? – zapytał Kacper Lecha, kiedy i on zdał swój urobek.

– Pilnuj tego lepiej niż cnoty córki, przyjacielu. Jeśli jakiś skurwysyn ci to ukradnie, cała szychta przepadnie.

– Nie rozumiem…

– Jedna blaszka za jeden kosz. Pięć koszy to pełny wózek. Musisz zebrać wszystkie blaszki, bez tego nie wypuszczą cię na Szlak.

Kacper wodził palcem po okrągłym medaliku, starając się rozpoznać, co przedstawia grawerunek, ale jakoś nie mógł. Zmarszczył brwi, podmuchał lekko opuszkę i spróbował jeszcze raz.

– Czy to ptak, jak na monetach? – Zachrypł z przejęcia.

– Nie, młot skrzyżowany z kilofem. Co za różnica?

– Chyba tracę czucie w palcach.

– Normalna sprawa. Niedługo zaczną ci odłazić paznokcie. Czegoś się tak przejął? To nie jest najgorsze, co może cię spotkać.

– Dla mnie dotyk jest jak oczy. Dopiero teraz ślepnę naprawdę.

– Mała strata. Tu nie ma nic ładnego do oglądania – odparował Lech szorstko.

Przysiedli jeszcze na podszybiu przed długą wspinaczką po drabinach. Dopiero tutaj Kacper odkrył, że po sakwie pozostał mu tylko przegryziony skórzany pasek.

– Jak to mówiłeś o dziadach z Miasta, przyjacielu? – Zaśmiał się Lech. Opłukał palce w kałuży i podzielił sumiennie ostatnią piętkę chleba. – No, głowa do góry. Jak na początek i tak nieźle sobie poradziłeś.

Markotny Kacper wzruszył ramionami. Trzymał się jakoś przez całą szychtę, ale teraz, gdy najtrudniejsze miał już za sobą, ogarnęło go zniechęcenie. Starał się nie myśleć o tym, że następnej nocy znów czeka go taka sama mordęga.

– Nie wiem, jak można tak żyć całymi latami. Bez słońca, bez łaźni, bez kościoła. Po takiej pokucie wszyscy parszywcy powinni iść prosto do nieba, bez względu na to, ile w życiu nagrzeszyli.

– Mają to gdzieś. Chcą tylko się napić.

– A ty?

– O mnie się nie martw. Sam trafię do swojego nieba.

– Prędzej do piekła. Jestem ślepy, ale nie głupi. Łatwo zgadnąć, że chcesz uciec na Lodowiec.

– Brawo! Ciepłownik byłby z ciebie zadowolony, wykryłeś zdrajcę. Co teraz zrobisz? Pobiegniesz do strażnika?

– A jednak mało wiesz o wieśniakach, kłusowniku, skoro myślisz, że mógłbym to zrobić. Ale dziwię ci się. Niby tak twardo stąpasz po ziemi, a wierzysz w głupie opowieści, że Lucyfer oczyszcza tych, którzy mu się oddadzą dobrowolnie.

– Łatwiej ci uwierzyć, że oczyści cię pokuta? Przecież każdy wie, że to jakieś szachrajstwo. Żal za grzechy w niczym ci nie pomoże. Prędzej ostatnia menda doczeka się ozdrowienia niż uczciwy człowiek.

– Nie liczę na to. A ty powinieneś wiedzieć, że łatwo stąd uciec, ale trudniej dojść do Lodowca.

– Ja dojdę. Dobrze się przygotowałem. Zdobyłem już prawie wszystko, co potrzebne: karple, kolce, nóż, dobre buty. Brakuje mi jeszcze tylko samopału.

– Zwariowałeś!

– To kosztowne, muszę uzbierać dziesięć bukłaków makownicy, ale dam radę. Gorzej z prochem. Bardzo tego tu pilnują, przy prochowni cały czas stoi kilku strażników, nie przekupię wszystkich. No, coś wymyślę.

– Na co ci samopał?

– Znam Las, przyjacielu. Wiem dobrze, że po drodze będą do mnie strzelać jak do zająca. Ale tym razem się natną. Zając pokaże kły.

Kacper wypluł nieprzeżuty kęs.

– Nie przyłożę do tego ręki. Mój syn jest myśliwym. Mogłoby się zdarzyć, że byś go… że…

– Mogłoby się zdarzyć i na odwrót. – Lech nie pozwolił mu dokończyć. – Czy wtedy wszystko byłoby dla ciebie w porządku?

Kacper nic nie odpowiedział, ale wzburzenie cichło w nim z wolna. Poczuł się bardzo zmęczony, zrobiło mu się jakoś chłodno w środku. Zdawało mu się, że mrok ciąży mu na barkach jak skała.

Lech podniósł się.

– Zrobisz, jak zechcesz. Ja i tak zdobędę ten samopał, z tobą czy bez ciebie. Może naprawdę lepiej ci będzie z innym opiekunem. Takim, co to po szychcie leży w swojej ciemnej norze, opity makownicą, i na nic już w życiu nie czeka. Albo zgłoś się do odśnieżania torów. Dają mniej makownicy, ale robota lżejsza i pożyjesz trochę dłużej.

Ruszył w górę po drabinie.

Kacper dźwignął się dużo, dużo później, gdy cały szyb dudnił już od kroków powracających na powierzchnię pokutników.

Drugiej nocy na dole prawie ze sobą nie rozmawiali, kolejnej także. Lech odzywał się tylko tyle, ile było konieczne ze względu na robotę, a Kacper odpowiadał skinieniem głowy albo pomrukiem. Obaj czuli, że powiedzieli sobie zbyt wiele, a może przeciwnie – za mało – aby udawać, że nic się między nimi nie zmieniło, choć właściwie jeden do drugiego nie chował urazy. Mieli do przejścia kawałek wspólnej drogi i mogli sobie nawzajem pomóc, więc współpracowali, ale wiedzieli, że niebawem droga się rozwidli i będą musieli się rozstać – w zgodzie czy nie.

Kacper przywykał powoli do brudu i znoju, do wędrówek z ciężkim koszem na plecach, do wsłuchiwania się w trzeszczącą ciemność. Szybko obrósł skorupą węglowego brudu. Pod ziemią czuł się lepiej niż na powierzchni, gdzie nawet w mroku piwnicy dręczył go słoneczny niepokój. Bał się, że światło przeniknie przez jakąś szparę, wślizgnie się pod krzywo przybitą na oknie deską i osaczy go jak szczura w norze. Odpluwał krew, prawie nie jadł, czasem tylko uszczknął trochę chleba gorzkiego od węglowego nalotu. Parch zalegał mu we wnętrznościach ołowianym ciężarem, wypełzał parzącymi liszajami na twarz. Kopacz tracił włosy całymi garściami, zęby chwiały się w rozmiękłych dziąsłach. Prawy kącik ust opadał bezwładnie, wciąż wisiała tam niteczka śluzowatej śliny; w końcu przestał ją nawet ocierać. Dużo spał. Nie słyszał odgłosów Kopalni, łomotu wózków, wrzasków strażników – czasem za to budziła go całkowita cisza, gdy Lech zostawiał go samego, znikając w labiryncie piwnic pod ruinami.

Milczenie wyszło im na dobre w czasie trzeciej wspólnej szychty, gdy zostawiwszy za sobą główny chodnik, zagłębili się w gmatwaninę krętych korytarzy. Kacper oswoił się już na tyle z uciążliwą drogą, że radził sobie bez pomocy Lecha nawet na trudnych odcinkach, tym razem jednak zaczął zostawać w tyle. Stopniowo zwalniał kroku, wreszcie przystanął. Minęło sporo czasu, nim kłusownik się zorientował, że został sam, i zawrócił, zły, że musiał niepotrzebnie przeciskać się przez wąską gardziel.

– Co tam znowu? – warknął. – Trzeba się było odlać wcześniej, na dole to przynosi pecha.

Kacper zsunął kaptur i położył palec na wargach.

– Ciii… Słuchaj.

Lech sapał przez jakiś czas bez słowa, potem splunął i podszedł bliżej.

– Nic nie słyszę.

– Właśnie. Jest całkiem cicho.

– Tu zawsze jest cicho.

– Nie tak. Przedtem ciągle coś chrzęściło, trzeszczało, chrupało… Teraz już nie. Tylko woda kapie.

Kacper poczuł swąd latarni, kiedy Lech z bliska oświetlił mu twarz.

– Jesteś pewien?

Położył dłoń na mokrej ścianie, ale cofnął ją zaraz.

– Chyba dzieje się coś złego…

– Spokojnie, spokojnie. – Lech mówił teraz szeptem. – Jeśli masz rację, to znaczy, że skała nie pracuje. Może tąpnąć. – Ujął Kacpra pod ramię. – Wracamy. Tylko ostrożnie, nie dotykaj stempli.

Z początku cofali się powoli, krok za krokiem, wstrzymując oddechy za każdym razem, gdy któryś potrącił stopą kamień albo zawadził koszem o niski strop. Zdrętwieli, kiedy gdzieś w głębi korytarza trzasnął głośno pękający stempel, i zaraz potem dwa następne, z przodu, którędy prowadziła jedyna droga do szybu.

Jeszcze chwila – i nagle tuż za nimi z ogłuszającym grzmotem zawaliło się sklepienie.

Pognali przed siebie, nie zważając już na nic, ścigani narastającym łoskotem. Pod nogami drżała ziemia, błoto pryskało na twarze, spadające odłamki obtłukiwały barki i plecy, ostre kikuty połamanych stempli rozdzierały nogawki i kaleczyły do krwi. Dusznym

powietrzem, pełnym wznieconego pyłu, raz po raz targały potężne wstrząsy.

Kiedy wydawało się, że to już koniec, raptem wszystko ucichło.

Minęło jeszcze trochę czasu, nim Kacper rozprostował kark i zapytał drżącym głosem:

– Nic ci nie jest?

Lech zakaszlał ochryple, zrzucił kosz z pleców i odsapnął.

– Nic. Poza tym, że się zesrałem. A co z tobą?

– Mam rozbity łeb, ale kość chyba cała… Myślisz, że to może się powtórzyć?

– Pewnie, w każdej chwili.

– Chodźmy już stąd!

Kosz zaskrzypiał, gdy Lech na nim usiadł.

– Śmiało, przyjacielu. Nie zatrzymuję cię.

Kacper przeszedł jeszcze tylko kilka kroków – dalej, u podnóża pochylni, drogę zatarasowały spiętrzone głazy. Z trudem wdrapał się na rumowisko, luźne kamienie osypywały się spod nóg. Uderzył głową w strop, jęknął z bólu – i naraz pojął, że górą nie uda się prześlizgnąć: korytarz był całkowicie zasypany.

Odwalił kilka skalnych brył, zdzierając przy tym z palców odstające paznokcie, ale inne były zbyt ciężkie, nie potrafił ich nawet poruszyć.

– Pomóż mi!

– Daj spokój, to na nic. Nikt jeszcze nie wygrzebał się z zawału gołymi rękami.

– Więc poczekamy, aż przyjdą ludzie z kilofami i przekopią się do nas z tamtej strony. Mamy jedzenie i kumys, jest woda, możemy tu siedzieć choćby i dwa tygodnie.

Kłusownik parsknął, ni to śmiechem, ni złością.

– A czymże ty jesteś, żeby komuś chciało się dla ciebie tak trudzić? Bądź rozsądny, przyjacielu. Jedna szansa na sto, mówiłem ci przecież. Przegraliśmy. Teraz od nas zależy tylko to, czy czekamy na śmierć, czy załatwimy to sami.

Kacper nie odpowiedział. Długo szarpał się z wielką skałą, wciskając śliskie od krwi palce w każdą szczelinę, aż w końcu padł wyczerpany na rumowisko.

– Trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić – zganił go Lech. – O co ci chodzi? Tak ci zależy na tym śmierdzącym życiu?

– Ja nie mogę umrzeć! Jeszcze nie…

– Więc módl się o cud, bo nic innego nie możesz zrobić. Wybacz, że się nie przyłączę. Beze mnie może lepiej ci pójdzie. Pan Bóg nie słucha moich modlitw, sprawdzałem kilka razy.

Kacper nie zwracał już uwagi na tę gadaninę. Uniósł głowę, poczuł słabą woń szczurzego moczu. Zsunął się niżej i odgarnął trochę drobnych odłamków, odsłaniając wąską szparę pod wielkim blokiem skalnym. Ostry zapach uderzył go prosto w nozdrza. Wsunął tam ramię aż po pachę. Wyczuł dłonią leciutki, wilgotny powiew.

– Tędy uciekły…

– Co tam mamroczesz?

– To szczurza droga.

Lech w kilku skokach znalazł się przy nim. Obmacał szybko krawędzie otworu i przysiadł na piętach.

– Dla szczura może to i wystarczy, jeśli nie za bardzo spasiony.

Kacper zrzucił fartuch i bluzę. Zdołał wsunąć do szczeliny obróconą na bok głowę, a potem, po kilku próbach, także drugą rękę.

– Nie właź! – Kłusownik złapał go za pas. – Tam dalej wszystko się rusza, zgniecie cię jak w żarnach.

Kacper wkręcił się w kamienną ciasnotę po pas.

– Utkniesz i nie będziesz mógł wrócić. Zdechniesz właśnie jak szczur w potrzasku.

Kopnął Lecha w brzuch i szybko wpełzał dalej, odpychając się nogami. Wciągnął do szczeliny kolana i stopy, czepiając się palcami każdej nierówności i szorując policzkiem po ostrych odłamkach. Potem było jeszcze trudniej, jeszcze ciaśniej; ledwie mógł poruszać barkami i biodrami, posuwał się naprzód kawałek po kawałku. Oddychał z wysiłkiem, serce mu waliło, drżał na całym ciele. Rozpychał łokciami nieustępliwą skałę, bódł posiniaczonym czołem, wił się rozpaczliwie, zdzierając z pleców i z piersi całe płaty skóry, ale w końcu nie mógł już przepchnąć się ani odrobinę. Zakleszczony w pułapce miał wrażenie, że zgniata go powoli ogromny ciężar. Przestał się miotać. Zdawało mu się teraz, że przekleństwa Lecha dobiegają z oddali, może już z innego świata.

Poddał się, rozluźnił mięśnie – i wtedy właśnie dosięgnął końcami palców do krawędzi otworu po drugiej stronie zawaliska.

Wydobył się na świat, umazany krwią, słaby jak noworodek, i tak samo jak on się rozpłakał, gdy tylko zaczerpnął pierwszego pełnego oddechu.

Lechowi było łatwiej – natłuścił się cały foczym sadłem, które miał w sakwie, a z ostatniego przewężenia Kacper wywlókł go siłą, ciągnąc za ręce.

Usiedli potem pod rumowiskiem, ramię przy ramieniu. W korytarzu pohukiwały zniekształcone echem nawoływania pokutników.

– Trudno cię polubić, przyjacielu, ale nie żałuję, że to właśnie ciebie wybrałem – wysapał kłusownik. Po krótkiej chwili wahania dodał: – W gruncie rzeczy, gdybyś tylko chciał, mógłbym zabrać cię ze sobą. Znaczy, jak już rozmówisz się z córką.

– Dokąd?

– Na Lodowiec.

Kacper wzruszył ramionami.

– Nie będę na starość całować w zad czarnego kozła.

– To takie gadanie wiejskich bab. Naprawdę trzeba tylko oddać się w opiekę pieśniarzy.

– Czyli demonów?

– Nazywaj ich sobie, jak ci się podoba.

– Syn mi opowiadał, że kiedy demony śpiewają, parszywcy głupieją i wyłażą na słońce.

– Niektórzy tak. Może nawet większość. Na pewno wszyscy, którzy przedtem chlali bez umiaru makownicę, bo to zabija w człowieku wolę życia. Cała sztuka w tym, żeby wytrzymać, iść tylko nocą i dojść jak najdalej.

– Czyli gdzie?

– Nie wiem, nie było mnie tam jeszcze. – W głosie Lecha zadrgało zniecierpliwienie. – Dobra, koniec o tym, bo nas jeszcze ktoś podsłucha. Wolisz tu gnić, twoja rzecz.

Nie miał pojęcia, ile nocy trwał powrót Czarnym Szlakiem do Ciepłowni – wszystkie one zlały się w jedno pasmo bólu, zimna i strachu przed słońcem. Nie pamiętał, gdzie przesypiał dnie, co jadał, jak udawało mu się wieczorami odnajdywać swój wózek na bocznicy. Pomagał mu Lech, to jedno wiedział na pewno, inaczej zostałby gdzieś na poboczu, ale i jego nie potrafił sobie przypomnieć – żadnych słów, może tylko parę kopniaków, które miały go zmusić do dalszego marszu.

Ożywił go dopiero duży łyk makowej gorzałki, który rozlał się błogością po całym ciele i rozjaśnił myśli.

Leżał na wznak, dokoła szumiały szepty, w nosie wiercił nagrzany smród schroniska przy Ciepłowni. Poruszył się, zaskrzypiały deski pryczy.

– Dobrze ci, przyjacielu? – Usłyszał cichy głos Lecha. – Nie przyzwyczajaj się, niedługo zaczną cię boleć wszystkie gnaty, po Czarnym Szlaku tak to już jest. Nie dam ci więcej makownicy, choćbyś miał mnie pokąsać z wściekłości.

Kacper usiadł, dotknął swoich bosych stóp. Były posiniaczone i spuchnięte, między palcami zakrzepła krew.

– Czego się wiercisz? – sarknął kłusownik.

– Daj mi buty.

– Suszą się. Wybierasz się gdzieś?

– Poczekam na dole na strażnika, który miał mnie zaprowadzić do córki.

– Chryste, ale z ciebie narwaniec! Nie bój się, wszystko załatwione. Spotkasz się z nią, ale dopiero wieczorem. Teraz leż, odpoczywaj.

– Gdzie to będzie?

– W ustronnym miejscu, gdzie nikt wam nie przeszkodzi. Chyba że… – Odsunął się, dokończył oschle. – Chyba że posłuchasz mojej rady i dasz sobie spokój. Z tego i tak nic nie będzie.

– O czym ty mówisz? Strażnik może oszukać?

– Orżnąłby cię na pewno, ale to ja z nim gadałem, a ze mną musi się liczyć, bo inaczej wyschnie cudowne źródełko makownicy. Chodzi o coś innego. Takie spotkania nigdy nie kończą się dobrze.

– To moja córka!

– Kiedyś nią była, zanim umarłeś. Parch wszystko zmienia, rozumiesz? Wszystko. Przestajesz być ojcem własnych dzieci, mężem swojej żony, przestajesz być Kacprem, porządnym kopaczem z Martwego Lasu. Przestajesz nawet być dzieckiem Bożym.

– Milcz! To Lucyfer chce, żebyś tak myślał.

– Możliwe, przyjacielu. Ale Kościół naucza tak samo. Gdyby Lucyfer stanął na ambonie w Katedrze i wygłosił kazanie o pokutnikach, nikt nie zauważyłby różnicy.

– Nie bluźnij! Co ty możesz o tym wiedzieć? Przecież dbasz tylko o siebie, chełpisz się tym. Pewnie nigdy nie miałeś rodziny. Nie rozumiesz nawet, czym jest miłość.

Kacper wyczuł w milczeniu Lecha głuchy gniew. Przez chwilę myślał nawet, że tamten go uderzy, ale zamiast tego zatrzęsła się prycza i klasnęły bose stopy na betonowej posadzce, kiedy kłusownik zeskoczył z drabiny.

– Na dziś poszukam sobie innego wyrka, mam cię dosyć – zawołał jeszcze z dołu. – O zachodzie słońca bądź koło sraczy, ona tam przyjdzie. W takim miejscu trudno

o czułości, za to łatwo traci się złudzenia.

Ten dzień dłużył mu się bardziej niż najcięższa szychta, bardziej nawet niż Czarny Szlak. Bał się spać, żeby nie przegapić tego krótkiego czasu, gdy słońce schowa się już za wzgórzami, lecz niebo żarzy się jeszcze czerwienią.

Przedtem sądził, że kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będzie wiedział, jak rozmawiać z Kaśką, jakich użyć słów, aby od razu zrozumiała to, co już dawno powinien był jej wytłumaczyć i z czym zwlekał przez te wszystkie lata – ale teraz, leżąc samotnie na pryczy, w głowie miał pustkę. Przedtem martwił się tylko o to, jak odnaleźć córkę, jak do niej dotrzeć pomimo drutów, strażników i psów. Dopiero dziś uświadomił sobie, że to zaledwie pierwsza przeszkoda, i to być może wcale nie najtrudniejsza.

Po pewnym czasie zaczął słabnąć wpływ makowej gorzałki i do dręczącej rozterki dołączyły cierpienia cielesne. Płacił teraz dotkliwie za każdą noc katorżniczego marszu, za każdy dzień, który przetrwał w półsennym odrętwieniu, za każdy upadek na torze, za mrozy i zamiecie. Co gorsza, znowu męczył go parch – odczuwał nieznośny świąd na całym ciele, raz po raz gorzał w nim żar, a jednocześnie stopy lodowaciały z zimna. Nie odważył się jeść, a gdy przełknął trochę kumysu, żołądek skurczył się kilkakroć boleśnie. Długo jeszcze odbijało mu się pleśnią, a obrzydliwy smak w ustach wywoływał nowe fale mdłości. W prawym, mocno napuchniętym uchu świdrował ostry ból, a wreszcie coś pękło w środku i wyciekła strużka ropy pomieszanej z krwią. Czasami jęczał tak głośno, że pokutnicy z sąsiednich pryczy klęli na niego, ktoś nawet rzucił starą podeszwą.

Doprowadzony do rozpaczy przetrząsnął sakwę, ale nie znalazł w niej bukłaczka – pewnie zabrał go Lech. Skulił się w przyklęku, dotykając czołem desek, i tak już pozostał na resztę dnia, podczas gdy słońce przetaczało się cicho ponad jego wychudłym grzbietem, ponad dachem i ponad chmurami.

O zmierzchu katusze parcha złagodniały. Kolejne zadał sobie sam, wciągając drżącymi rękami buty na pokaleczone stopy. Niezdarnie zszedł po drabinie i zataczając się, ruszył wąskim przejściem między pryczami w stronę tylnego wyjścia. Z obu stron szumiał już przedwieczorny gwar, pokutnicy szykowali się do drogi, lecz po hali kręciło się ich jeszcze niewielu. Znalazł drzwi, wyszedł na ubity śnieg.

Zachodnia łuna sparzyła go jak żywy ogień. Zachwiał się, zasłonił twarz przedramieniem, ale nie uciekł. Krok za krokiem, szorując barkiem po murze, zbliżył się do drewnianych latryn stojących rzędem wzdłuż drutów. Poprzednio był tu z Lechem, dobrze zapamiętał to miejsce, zresztą pokutnicy co dzień wydeptywali tu ścieżkę. Także teraz mijali go ludzie, potrącając w pośpiechu, zgarbieni pod dogasającym blaskiem wieczoru; raz po raz piszczały zawiasy i trzaskały drzwi. Dotknął oblodzonego narożnika pierwszej z brzegu latryny, zboczył ze ścieżki i poprzez głęboki śnieg zaszedł między deski i płot.

Kaśka chyba jeszcze nie przyszła. Dawniej łatwo rozpoznawał jej zapach – woń domowego paleniska, koziego mleka i wywaru z kasztanów, w którym myła włosy – ale przecież tutaj, w Ciepłowni, mogła pachnieć całkiem inaczej, a poza tym wszystko przytłaczał kloaczny smród.

– Czy to ty chcesz ze mną rozmawiać?

Zrobiło mu się gorąco, gdy usłyszał jej głos. A jednak była tu, czekała, choć zatrzymała się w odległości kilku kroków – domyślił się, że nie mogła podejść bliżej z powodu podwójnego płotu okalającego tę część Ciepłowni, do której wstęp mieli nieczyści.

Zmusił się do zachowania spokoju.

– Posłuchaj mnie uważnie, mamy mało czasu…

– Kim jesteś?

Na to nie był przygotowany. Przez kilka cennych chwil nie potrafił wykrztusić choćby słowa.

Kaśka podniosła głos:

– Mów albo zacznę krzyczeć i zbiegną się ludzie.

– To ja. Ojciec.

– Tak właśnie powiedział tamten pijany strażnik, który mnie tu przyprowadził. Nie uwierzyłam mu, ale przyszłam, bo chcę wiedzieć, dlaczego podszywasz się pod mojego ojca. Wymyśliliście to podłe oszustwo, żeby ze mnie zakpić? A może chcesz coś ode mnie wyłudzić?

– Na Boga, Kaśka, to naprawdę ja!

– Nie kłam. Nie widzę twojej twarzy, jest za ciemno, ale masz całkiem inny głos. Rzęzisz i seplenisz jak jakiś stary dziadyga.

Zacisnął palce na drucie, nie zważając na kolce.

– Przyprowadził cię do Ciepłowni Grzegorz, technik.

Zaszurała w miejscu, jakby chciała odejść, ale po chwili odezwała się mniej pewnie:

– Tego mogłeś się dowiedzieć od ozdrowieńców.

– Masz brata Maćka, twoja matka nazywa się Mira. Twoja najlepsza przyjaciółka to Hanka. Lubisz tańczyć. Nie zakładasz kolców na buty, bo krzywią nogi. Kiedy miałaś pięć lat, spadłaś z dachu spiżarki i rozbiłaś głowę. Masz po tym bliznę nad lewą skronią.

Przez jakiś czas słyszał tylko jej przyśpieszony oddech, ale zagłuszyło go wycie syreny, które rozległo się ponad dachami Ciepłowni.

– To niemożliwe… – zawołała dziewczyna. – Skąd to wszystko wiesz?

– Bo jestem twoim ojcem.

Nie zdołała już nic powiedzieć, łkała tylko niepowstrzymanie. Kacprowi żal ściskał serce, ale nie mógł pozwolić jej wypłakać się do końca. Czas naglił.

– Uspokój się, Kaśka. Muszę cię o coś zapytać, to bardzo ważne. Czy jesteś w ciąży?

Zdusiła szloch. Nie odezwała się ani słowem, ale jej milczenie wystarczyło Kacprowi za całą odpowiedź.

– Wiem, że nie spodoba ci się to, co teraz powiem. Trudno będzie ci się z tym pogodzić. Ale musisz mi zaufać. Słyszysz, Kaśka? Musisz uciekać z Ciepłowni, i to zaraz, natychmiast. Tu grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

Nie odpowiadała.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? Uciekaj! Musisz poradzić sobie sama, ja nie mogę ci pomóc. Nie wracaj do wsi, tam cię znajdą. Postaraj się odnaleźć Maćka, on ukryje cię gdzieś w Lesie, w kolibie.

Wieczorny sygnał syreny urwał się tak samo raptownie, jak przedtem rozbrzmiał;

w nagłej ciszy wyraźnie słychać było nieśpieszne kroki, które zbliżały się dróżką pośród drutów.

Kaśka nie uciekła, wciąż tam stała, przykuta do miejsca, więc i Kacper pozostał, nie szukał kryjówki.

– Jeszcze tu jesteście? – Strażnik zatrzymał się między nimi. – Starczy tej schadzki.

– Wziąłeś bukłak, zostaw nas w spokoju! – sarknął Kacper.

– Mieliście czas do syreny.

– To za krótko!

Strażnik niespodziewanie dźgnął go pałką w żebra, aż kopacz stęknął z bólu.

– Nie rozumiesz? Won mi stąd. Zaraz będzie obchód, nie chcę mieć przez ciebie kłopotów.

Po drugiej stronie Kaśka szarpnęła za druty, aż sypnęły się lodowe igiełki.

– Nikt nie nauczył cię szacunku dla ociemniałych? – krzyknęła oburzona.

Strażnik zakwiczał drwiąco.

– Ciebie nie wyganiam, suko. Chyba nie powiedziałaś mężowi, gdzie włóczysz się po nocy? To dobrze, nie będzie nam przeszkadzać.

Kacper usiłował schwycić go poprzez druty za gardło, ale strażnik był szybszy i silniejszy. Wykręcił mu rękę, zmusił do przyklęknięcia; sterczące druty kłuły go po twarzy.

– A ty, ślepy przybłędo, czemu ukrywasz przed córką twarz? Pokaż jej, jak teraz wyglądasz. Ściągaj kaptur.

Kopacz poczuł dym płonącego łuczywa. Szarpnął się bezsilnie.

– Puść mnie, pójdę już.

– Co, wstydzisz się? – Znowu zarechotał, podniecony okrutną zabawą.

– Nie rób tego… Proszę.

– Przekonamy się zaraz, czy naprawdę tak bardzo cię kocha, jak ci się wydaje.

Zdarł mu kaptur z głowy i zbliżył płomień łuczywa do twarzy.

Kaśka gwałtownie zaczerpnęła oddechu, jak ktoś tonący, i osunęła się miękko na śnieg.

Ozdrowieniec puścił Kacpra, odepchnął go nogą od drutów.

– Czy to naprawdę było warte bukłaka, śmierdzielu? Dziewucha powinna wspominać cię czule, a teraz twoja gęba będzie straszyć ją po nocach.

Charknął i odwrócił się.

Kacper wyczuł pod rękawicą kanciasty kształt przysypanej śniegiem cegły. Podniósł ją i przytrzymał się drugą ręką betonowego słupka płotu, żeby wstać, lecz niespodziewanie ktoś pchnął go tak mocno, że upadł na wznak w zaspę.

– Nie, przyjacielu. – Lech nadepnął mu ciężkim butem na pierś. – Tej głupoty nie pozwolę ci zrobić. To jakbyś się wpraszał do pieca.

Podpity strażnik już się oddalił. Albo nie usłyszał zamieszania za sobą, albo nic go nie obeszła szarpanina wśród parszywców. Kacper słuchał w napięciu cichnących kroków i dopiero gdy się upewnił, że ozdrowieniec nie zawróci, wypuścił cegłówkę z dłoni.

– Kaśka! – zawołał cicho. – Kaśka!

– Zostaw, nic jej nie będzie. Nie wróciła przed syreną do domu, już jej szukają. Widziałem techników z latarniami. Trafią za nią po śladach. Wstawaj, nie powinni nas

tutaj widzieć.

Kacper nie opierał się, gdy kłusownik wyprowadzał go zza latryn, ale przed wejściem do hali schroniska przystanął.

– Zabrałeś mój bukłaczek – odezwał się przygaszonym głosem.

– Ktoś mógł ci go ukraść, kiedy zostałeś sam na pryczy. Mam go tutaj, w sakwie.

– Dawaj.

– U mnie będzie bezpieczny.

– Daj!

Lech wręczył mu bez słowa pękaty skórzany worek. Kacper schwycił nagimi dziąsłami zatyczkę, wyrwał, wypluł i pociągnął bardzo długi łyk.

Kłusownik nie próbował mu przeszkodzić, mruknął tylko:

– Uważaj, przyjacielu. To nie kozie mleko.

Kacper napił się znowu, zachłannie, przełykając głośno. Odsapnął, usiadł w kucki, oparty plecami o ścianę.

– Zostaw mnie. Chcę teraz być sam.

– I co zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Na początek spróbuję się upić.

Lech przysiadł obok. Dopaliły się już wieczorne zorze, z każdą chwilą tężał mróz.

– Powiem ci, jak to będzie. Na dwa–trzy dni otworzą się przed tobą bramy raju, znikną wszystkie troski i cierpienia.

– To nie brzmi jak przestroga – zamruczał Kacper, podpierając opadające czoło pięścią.

– Zapomnisz, kim jesteś i co się z tobą stało.

– Niczego innego nie pragnę.

– Szybko zabraknie ci makownicy, obudzisz się na zafajdanej pryczy, a wtedy twoje własne życie przerazi cię tak bardzo jak jeszcze nic do tej pory. Będziesz musiał znowu się napić, inaczej oszalejesz, ale nowy bukłak dadzą ci tylko za wózek węgla, a tobie nie wystarczy już sił na Czarny Szlak. To samo z żarciem. Może uda ci się wyżebrać suchara, może ukradniesz go innemu ślepcowi, ale długo tak nie pociągniesz. Zdechniesz samotny. Przez kilka dni nikt tego nawet nie zauważy, dopóki nie zaczniesz cuchnąć gorzej niż teraz. Wtedy ozdrowieńcy sprzątną cię jak psie gówno, a pryczę po tobie spłuczą wiadrem wrzątku. I tyle. Nikt nie pomodli się nawet za twoją duszę.

Wydawało się, że Kacper już go nie słyszy – głowa chwiała mu się na boki, wyciągnął przed siebie rękę, jakby rzeczywiście gdzieś tam w wieczystych ciemnościach uchyliła się furtka niebios, której usiłował dosięgnąć – lecz nieoczekiwanie odpowiedział całkiem trzeźwo:

– Mnie to nie grozi.

– Niby czemu? Jesteś ulepiony z lepszej gliny niż wszyscy inni?

– Nie. Za to mam bardzo upartego anioła stróża. – Nim napił się znowu, trącił Lecha bukłakiem w ramię. – Ciebie.

Szybował w słońcu. Unosił się swobodnie w jasnym, przejrzystym błękicie, nieważki,

beztroski, radosny. Wypełniało go poczucie bezkresnej wolności i ulgi, jakby zerwał wreszcie więzy, które tak długo nie pozwalały mu rozpostrzeć skrzydeł. Odrzucił sparszywiałe ciało, zdjąwszy je z siebie jak brudny łach, i wzbił się nagą duszą w olśniewające niebiosa. Uciekł od udręki zmysłów, które nie oszczędziły mu żadnej postaci ludzkiego cierpienia, wyzwolił się od zwierzęcej niewoli głodu, od strachu przed śmiercią. Nie wlókł za sobą cienia, słońce przeświecało go na wskroś, grzejąc, sycąc i pieszcząc łagodnie. Nie miał już żadnych niezaspokojonych potrzeb, żadnych marzeń ani tęsknot. Każde pragnienie natychmiast spełniało się w słońcu.

Raptem coś zakłóciło ten wieczny odpoczynek, światło wiekuiste przygasło. To było jak fałsz w niebiańskiej muzyce, jak zgrzyt, po którym nie powróciła już poprzednia harmonia. Zaczął opadać, z początku powoli, potem coraz gwałtowniej, w czeluść zimnego mroku. Nic nie mógł na to poradzić – obezwładniła go rozpacz i groza. Próbował jeszcze zwrócić się ku słońcu, ale wyblakłe światło nie docierało już do wnętrza jego stygnącej duszy.

– Teraz mi tu nie wierzgaj. Masz, co chciałeś.

Słowa przedarły się do niego poprzez mgłę otępienia. Rozpoznał głos i to odkrycie pomogło mu na powrót odnaleźć się we własnym ciele.

– Jęcz sobie, mnie to nie wzruszy. Nie rozwiążę cię, dopóki całkiem nie wytrzeźwiejesz.

Szarpnął nim ból, który nie miał żadnego określonego źródła, lecz przepajał całe ciało jak krew, jak zasada życia. Ciemność, choć wciąż nieprzenikniona, nie była już otchłanną pustką – nabrała wymiarów, dźwięków i zapachów. Nie mógł się poruszyć. Leżał na plecach, z rękami przyciśniętymi do ciała, owinięty mocno w gruby kożuch, spięty chyba pasami. Słyszał kroki i dobrze znany odgłos płóz, pod którymi chrupały grudy lodu. Wyczuwał ruch – jechał na sankach, a każdy wstrząs, nawet drobny, potęgował ból. Na rozpalonej twarzy osiadały łaskotliwie płatki śniegu; próbował je zlizywać, aby choć trochę oszukać palące pragnienie.

– Suszy, co? – zawołał Lech, zasapany z wysiłku. – Dam ci wody, ale dopiero na postoju. Straciłem już przez ciebie za dużo czasu.

Wiele razy jeszcze tracił i odzyskiwał przytomność; czasami myślał, że umiera, i potem żałował, że to się jednak nie stało. W czasie nocnych przemarszów śnieg zbierał się w zapadniętych oczodołach, dolną połowę twarzy skuwał lód. Za dnia tajał przy ogniu, wstrząsany drgawkami, wdychając chciwie opary makowej gorzałki, którymi przesycona była duchota schronisk. Nic nie jadł, ssał tylko namoczony w kumysie gałganek, który Lech wtykał mu do ust. Niekiedy dostawał napadów szału, prężył się w więzach, wbijał głowę w głąb zmiętoszonego kaptura, krzyczał aż do zachrypnięcia, a potem zasypiał, wyczerpany.

Wreszcie któregoś dnia obudził się nie na sankach, lecz na wyrku w piwnicy Lecha, którą rozpoznał po woni zagrzybionych murów. Nie słyszał oddechu kłusownika, był sam. Długo zbierał siły, aby obrócić się na bok, a gdy tego dokonał, znów zemdlał na jakiś czas.

Ocucił go mroźny powiew i trzaśnięcie drzwi.

Lech przeklinał z cicha, kręcił się po piwnicy w poszukiwaniu zapałek, mocno utykając i trącając sprzęty; w końcu zakopciła smrodliwie lampka tłuszczowa. Opadł ciężko na ławę i szurając butami, wyciągnął przed siebie nogi.

– Słyszę, że jeszcze zipiesz – zaburczał. – Miałem nadzieję, że zdechniesz gdzieś po drodze, tak dla przyzwoitości, ale ty trzymasz się życia jak wesz kudłów. Musiałem cię wlec za sobą przez cały Szlak.

– Jesteś na mnie zły? – spytał Kacper słabym głosem.

– Gdzieżby tam. Przepadło mi przez ciebie kilkanaście szycht, wczoraj oberżnąłem nożem odmrożony paluch, a dzisiaj dowiedziałem się, że strażnik sprzedał samopał komu innemu, bo nie dostał ode mnie na czas bukłaka. A przecież nie wychlałem swojej makownicy, musiałem kupić w Ciepłowni sanki dla ciebie. – Roześmiał się ponuro. – Czy o takie drobnostki można się gniewać?

– Spróbuj zrozumieć… Musiałem to zrobić. Ten jeden jedyny raz.

– Nie wysilaj się, znam takie gadanie na pamięć. Popłyniesz znowu, kiedy tylko dostaniesz w łapy pełny bukłak. Ale na mnie już nie licz. Wyciągnąłeś mnie z zawału, teraz wyrównałem dług. To koniec.

– Wyganiasz mnie?

– A więc to ja mam być tym złym? Niech będzie. Teraz prześpię się trochę, niedługo wychodzę na szychtę. Ty zostaniesz, nie dźwigniesz nawet pustego kosza. – Wyciągnął się na ławie. – Nie będę zawiedziony, jeśli znikniesz bez pożegnania.

Niebawem zachrapał ciężko.

Kacper jeszcze przez dłuższy czas leżał nieruchomo, próbując wczuć się na nowo we własne, wycieńczone ciało. Pomagał w tym ból, który lepiej niż cokolwiek innego określał teraz tę jego kruchą cielesność. Z wolna kopacz zaczął zginać i rozprostowywać palce – stawy poruszały się opornie, jak zardzewiałe zawiasy – potem dotknął ręką twarzy i cofnął ją zaraz, przestraszony: zamiast zarostu poczuł wilgotny, lepki meszek parcha. Przemógł się, zrobił to znowu. Wodził palcami po zaklęsłych policzkach, po strupach warg, po szczątku nosa, z którego pozostała tylko twarda chrząstka, po wyłysiałej czaszce, gdzie złuszczyła się skóra, odsłaniając gołą kość.

Zrzucił z siebie ciężki od pyłu koc. Był bardzo wychudzony; żebra sterczały, kolana napuchły, we wzdętym brzuchu z twardym węzełkiem wywalonego na wierzch pępka coś bulgotało nieustannie, przelewało się, rozpychało trzewia.

Usiadł, opuszczając bose stopy na zimną podłogę. Zakręciło mu się w głowie, bliski był kolejnego zasłabnięcia. Szybko wyciągnął rękę w stronę lampki na stole, zniżył otwartą dłoń tuż nad skwierczący knot. Z początku nie czuł zupełnie nic, jakby chroniła ją gruba, myśliwska rękawica, dopiero nieco później, gdy po piwnicy rozszedł się swąd przypalonej skóry, zapiekło go oparzenie.

– Dobrze… – wyszeptał. – To cię rozrusza, parchu.

Ręka zaczęła drżeć, z wierzchu nabrzmiały żyły, ale nie uniósł jej choćby odrobinę wyżej. Przygryzł skrwawionymi dziąsłami róg koca, żeby krzykiem nie obudzić Lecha, podkurczył palce stóp i czekał. Ból stał się tak dotkliwy, że musiał drugą dłonią chwycić nadgarstek, aby ręka wbrew woli nie uciekła w bok.

Zwątpił już, czy się to uda, gdy naraz targnął nim tak gwałtowny skurcz trzewi, że zgiął się wpół, przewracając lampkę. Miał wrażenie, że tam, w środku, wszystko porozrywało mu się na strzępy, cały zwilgotniał od zimnego potu, lecz po pewnym czasie cierpienie zelżało.

Wyprostował się ostrożnie, odetchnął, a potem wstał. Czuł, że teraz już nie zemdleje, że parch mu na to nie pozwoli. Wciąż był bardzo słaby, kolana pod nim drżały, lecz w głowie miał jasno, serce pracowało równo, a w żołądku po raz pierwszy od dawna ssał zwyczajny głód.

Pamiętał, że w kącie, przy palenisku, stało wiadro z wodą. Z ulgą zanurzył w nim oparzoną dłoń, ale nie pomyślał nawet o opatrunku – jedna więcej rana na gnijącym ciele nie miała znaczenia.

Do dna blaszanego garnka, który znalazł na stole, przywarło trochę gęstej, zamarzniętej brei. Gdy rozdmuchiwał żar w palenisku, znów ogarnęła do fala mdłości, lecz zdołał przełknąć parę łyków ciepłej polewki.

Kiedy zawyła syrena, siedział już na stołku przy drzwiach, obuty, ubrany, gotów do szychty. Słyszał, jak kłusownik wierci się i ziewa; potem domyślił się jego długiego, uważnego spojrzenia.

Wyszli razem, bez słowa.

W podszybiu było gwarno, jak zawsze przed szychtą. Pokutnicy krzepili się kumysem, poprawiali kosze na plecach i gromadami znikali w wylotach chodników. Kacper cofnął się pod rusztowanie, aby poczekać, aż ciżba się przerzedzi i szurgot setek kroków rozpłynie się w rozgałęzionych korytarzach. Potrzebował spokoju, żeby wybrać bezpieczną drogę pośród trzaskających skał, skrzypiących żelaznych podpór i drewnianych stempli – ale jeszcze bardziej potrzebował odpoczynku. Sztuczka z podrażnieniem parcha ogniem postawiła go na nogi, lecz nie mogła przywrócić mu na dłużej nadwątlonych sił.

Im ciszej robiło się dokoła, tym bardziej rósł jego niepokój. Ciemność przemawiała do niego wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, rozumiał wszystkie jej szepty i westchnienia, a jednak nie czuł się pewnie. Pomyślał, że to może z powodu makowej gorzałki, która jeszcze nie do końca wyparowała mu z głowy. Postanowił na to nie zważać, ale kiedy już chciał wskazać Lechowi jeden z mniej uczęszczanych korytarzy, uświadomił sobie nagle, co takiego zmieniło się pod ziemią.

– Szczury – sapnął, zdziwiony swoim odkryciem. – Zniknęły.

Kłusownik mocno chwycił go za ramię; w jego głosie zaświszczał strach.

– Skąd wiesz?

– Nie słyszę ich. Nie czuję.

– Może pochowały się przed ludźmi?

– One przecież nie boją się ludzi. Po prostu wyniosły się gdzieś, wszystkie naraz.

Lech niespodziewanie pchnął go w stronę drabiny.

– Wracaj na górę.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Szczury nigdy się nie mylą. Skoro uciekły, to znaczy, że i dla nas nie jest tu dziś zdrowo. Pośpiesz się.

– A ty?

– Idę bić na alarm, trzeba ostrzec ludzi. – Popchnął Kacpra znowu. – No, spieprzaj!

Zaraz tu będzie piekło.

Kacper zdążył wspiąć się na pierwszy pomost, gdy w podszybiu zabrzmiał donośnie gong – tym razem nie rozległo się miarowe wydzwanianie godzin, ale gwałtowny łomot, który urwał się raptem. W chodnikach zamilkły echa, na chwilę zapadła zupełna cisza, jakby w całej kopalni nie było nikogo – a potem wezbrał z głębin ziemi gwar setek podnieconych głosów i donośny tupot. Niebawem całe rusztowanie zatrzęsło się pod naporem tłumu.

Kacper zdołał jeszcze wspiąć się na kolejną drabinę, lecz zaledwie znalazł się na wyższym pomoście, ktoś dogonił go i odtrącił na bok. Zaraz potem, dudniąc butami po deskach, przebiegło kilku innych pokutników. Musiał walczyć łokciami, żeby dopchać się do drabiny, uginającej się pod zbyt wielkim ciężarem, zdobywał szczebel po szczeblu, wyrywając się dłoniom, które usiłowały ściągnąć go na dół. Niżej wzmagał się zamęt – parszywcy kotłowali się pod rusztowaniem, krzyczeli i złorzeczyli.

Wszystko to na krótko zamarło, gdy podziemiami wstrząsnął potężny wybuch, ale nim jeszcze przebrzmiał grzmiący pogłos, już przebiło się przezeń rozpaczliwie wycie tych, którzy nie zdążyli uciec na czas z zagrożonego chodnika. Nadciągnął szum, jakby przepastne czeluści zionęły gorącym wichrem, i nagle całe podszybie stanęło w ogniu.

Żar zmiótł wszystkich na dole, przy życiu pozostali jedynie ci, którzy zdołali wspiąć się wyżej, ale i tutaj, w kłębach dymu i pyłu, coraz trudniej było oddychać. Pokutnicy krztusili się, charczeli, niektórzy w pośpiechu przewiązywali twarze szmatami. Ku górze dął rozgrzany cug, jak w kominie, deski rusztowania zaczynały się tlić. Kto tylko stał jeszcze na nogach, rzucił się do rozpaczliwej wspinaczki, w ścisku, w zakopconych ciemnościach. Przerażeni ludzie tracili głowy, spychali się nawzajem z drabin i z pomostów, przyciskali słabszych do ścian szybu, aż pękały żebra, tratowali leżących.

Kacper pchał się do góry razem z innymi. Parch wyzwolił w nim wszystkie zaoszczędzone jeszcze siły, a jednocześnie stępił wrażliwość na cudze cierpienia. Deptał po rękach i głowach, rozdawał na oślep ciosy, walczył zaciekle o każdy krok i każdy oddech. W zamęcie stracił kaptur i fartuch, bluza wisiała na nim w strzępach, na twarzy osiadały wirujące w szybie iskry. Ścigały go przeraźliwe krzyki płonących żywcem ludzi; czasem, aby utorować sobie drogę, musiał zepchnąć z drabiny kogoś, kto zawisł nieprzytomny z ramionami wplątanymi między szczeble.

Całkiem zatracił się w tym wyścigu po życie, nie czuł bólu ani zmęczenia. Dopiero gdy wydostał się wreszcie z rozpalonego szybu prosto w mroźną noc, padł jak ścięty, twarzą na zdeptany śnieg. Nie miał siły, aby odczołgać się dalej albo chociaż odwrócić głowę dla swobodniejszego oddechu. Leżał tak, półnagi, z policzkiem rozoranym przez jakiś sterczący gwóźdź, dopóki ktoś nie odciągnął go dalej, do szopy na narzędzia pełnej już ocalałych pokutników.

Wciąż przybywali następni – nieliczni trzymali się na nogach, innych wlekli strażnicy, wyczerpanych do ostatka, zaczadzonych i coraz straszliwiej poparzonych – lecz nie trwało to już długo. Niebawem jęki bólu i rzężenie konających zagłuszył łomot walącego się rusztowania, który zdawał się dobiegać wprost spod ziemi.

Potem do szopy nie przyniesiono już nikogo.

Kacper skulił się na podłodze śliskiej od wszelkich ludzkich wydzielin. Teraz, gdy

ustępowało oszołomienie, także i on zaczął cierpieć od ran i oparzeń. Wiedział, że będzie tylko gorzej. Postanowił odpocząć jeszcze trochę, a później spróbować wyczołgać się z szopy na śnieg, aby mróz złagodził mękę. Bez ciepłego ubrania na zewnątrz szybko zapadłby w swój ostatni sen, ale dla kopacza taka śmierć była swojska, nie bał się jej wcale. Co innego leżeć tak bezradnie, wyć z bólu i potnieć z trwogi, że w końcu strażnicy wrzucą go półżywego do wózka i zawiozą do huty.

Blisko niego leżał pokutnik, który długo wiercił się i stękał boleśnie, nim wreszcie westchnął, jakby z ulgą, i ucichł. Kacper poczuł woń makowej gorzałki i odruchowo wyciągnął rękę. Dotknął twarzy tamtego; przekonał się, że już nie oddycha, lecz nawet gdyby było inaczej, chyba nie oparłby się pokusie. Wyrwał z jego zaciśniętych dłoni odetkany bukłak. Był pusty, Kacprowi udało się wysączyć z niego ledwie kilka kropli, jednak to wystarczyło, żeby uśmierzyć ból i powściągnąć rozbuchane strachy.

Dopiero teraz pomyślał o Lechu. Zrozumiał natychmiast, że nie mógł wydostać się na powierzchnię razem z tymi, którzy ocaleli. Pierwszym uderzeniem w gong kłusownik wydał na siebie wyrok – od szybu oddzielił go zbity tłum przerażonych ludzi. Uratowałby się pewnie, gdyby uciekł po cichu, zanim wybuchł pożar, a przecież tego nie zrobił. Pchnął Kacpra na drabinę, a sam został na dole – i to właśnie on, który twierdził, że dba tylko o siebie.

Kacper odrzucił bukłak. Teraz zyskał już pewność, że chce przeżyć i dokończyć, co zaczął. Nie mógł się poddać – musiał dociągnąć do kresu ten swój parszywy los, także z powodu Lecha.

Na czworakach podpełzł wzdłuż ściany do półotwartych drzwi i z trudem pokonał wysoki próg. Pożar wciąż huczał w szybie; płomienie zapewne sięgały wysoko, bo mimo mrozu i odległości poczuł ich żar. Z nieba zamiast śniegu sypały się płatki sadzy. Dokoła trwało jeszcze gorączkowe zamieszanie, lamentowały nieczyste kobiety, które zbiegły się ze wszystkich stron Kopalni. Ozdrowieńcy pod kierunkiem nielicznych techników usiłowali nie dopuścić, aby ogień przeniósł się na pobliskie zabudowania.

Kacper doznał dziwnego wrażenia, które dawniej ogarniało go czasem w Lesie tuż przed uderzeniem Wietrzyska, kiedy było jeszcze cicho, choć niebo już pociemniało. Uniósł twarz – i wtedy pojął, że to nie chmury przyćmiły gwiazdy ani dym czy pył. To brudne dusze, które zlatywały się zewsząd całymi setkami, tysiącami, zasnuwając nieboskłon nieprzebranym rojem cieni. Zwabił je podziemny pożar – dla ludzi niewidoczny poza ognistym czubem ponad szybem – a przede wszystkim siła emocji ginących w płomieniach ludzi. Pojawiło się ich tak wiele, że nie tylko Kacper mógł je wyczuć, choć nikt poza nim nie zdawał sobie sprawy z tego, co naprawdę się dzieje. Łuna biła wysoko, nie sposób było dostrzec gęstniejącego mroku, a jednak gwar nieco przycichł, ludzie rozglądali się z niejasną obawą. Dopiero gdy większa chmara brudnych dusz wpadła do szybu, gdy ogień zatańczył bez wiatru i zabłysnął odcieniem błękitu, gdy ciężkie, tłuste dymy rozsnuły się nisko nad ziemią, a ohydny odór zaczął przyprawiać o mdłości – zrozumieli, z czym mają do czynienia. Nie mogli ugasić pożogi, więc po prostu rozpierzchli się w ciemnościach, pochowali w szopach i halach przed lucyferiańską grozą. Ci, którzy nie mogli tego zrobić, zbyt słabi albo ranni, krzyczeli ze strachu i wstrętu, modlili się i złorzeczyli na przemian, odwracając twarze od ognia.

Kacper nie uciekł. Przytłoczył go ten ślepy pęd dusz ku oczyszczeniu, którego nie mogły znaleźć tam, gdzie szukały. Skwierczały w ogniu, tłukły się po wypalonych korytarzach, kopciły smrodem, ale żarzyły się tylko z wierzchu, nie potrafiły rozgrzać się od wewnątrz. Przybywało ich coraz więcej i więcej, wypełniały podziemia żałosnym brzęczeniem i tracąc nadzieję, zalegały nieprzeniknionym cieniem gdzieś w zatopionych głębiach Kopalni, aby przeczekać tam nadchodzący dzień.

Chciał im pomóc – jak robił to zawsze, ilekroć do jego ogniska w Lesie zabłąkała się jakaś dusza. Sądził, że potrafi wyprowadzić je wszystkie z ciemności do światła, przełamać ich wstyd, strach, nieufność. Spróbował dostroić się wewnętrznie do tętniących wokół emocji i natychmiast przeniknął go ziąb rozpaczy, obezwładniła udręka niespełnionego pragnienia, aby zapłonąć w słońcu, której towarzyszył równie mocny lęk przed ukazaniem swojej brzydoty w pełnym świetle dnia. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że blady ognik ciepłych uczuć, które zdołał z siebie wykrzesać, nic nie znaczył wobec tej mrocznej nawałnicy. Nie był w stanie dźwignąć z upadku takiego mrowia zbrukanych dusz. Na to trzeba czegoś więcej, prawdziwej duchowej pożogi, odrzucenia ludzkich ograniczeń i zaparcia się samego siebie.

Co gorsza, także jego własna dusza struchlała ze zgrozy, wyziębła, otępiała. Podmywał ją wzbierający nieustannie, ciemny, lucyferiański przypływ, kipiący czarną pianą strachu, który w każdej chwili mógł ją porwać i rzucić pomiędzy tamte, krążące nad Kopalnią niczym stado spłoszonych wron.

– Gdybyś nie był ślepy, przyjacielu, pomyślałbym, że wypatrujesz czegoś na niebie.

Kacper drgnął; rozwiał się zły urok tej strasznej nocy.

– Myślałem, że ty już… – Z trudem klecił słowa, krtań zaciskały mu mróz i wzruszenie. – Jak się uratowałeś?

Lech narzucił mu na ramiona koc.

– Szybem węglowym. Wiedziałem, że na drabinach będzie za ciasno. I za ciepło. Dobra, chodźmy stąd, ten dym cuchnie piekłem.

Kacper odtrącił jego rękę.

Czuł się jak po przebudzeniu ze złego snu, po którym nie pozostały żadne wspomnienia, tylko wrażenie grozy, lecz myśli miał jasne – nareszcie dostrzegł przed sobą prostą drogę.

– Czy wszyscy strażnicy są tutaj?

– Czort jeden wie. Chyba tak, zbiegli się na alarm.

– To znaczy, że nikt teraz nie pilnuje prochowni?

– Otóż to, przyjacielu! – Ożywił się Lech. – Może uda się zdobyć beczułkę.

– Damy radę wynieść więcej? Dużo więcej.

– Mam zamiar strzelać z samopału, nie z armaty.

– Zapomnij o tym. Mam lepszy pomysł.

– Lepszy dla kogo?

– Dla wszystkich.

– Nie, przyjacielu! – Roześmiał się. – Mnie nie obchodzą wszyscy.

– Nie wierzę już w takie gadanie. Nie po tym, co zrobiłeś tam, na dole.

– Takiś cwany? Dobrze, powiem ci. Przeżyłem już kiedyś wybuch pyłu węglowego. Wiem, jak wygląda pożar w Kopalni. Ogień rozprzestrzenia się bardzo szybko. Może

udałoby mi się uciec po drabinie, ale mógłbym też usmażyć się w połowie drogi. A skrzynia wyciągu szybko idzie w górę, zwłaszcza jeśli siedzi w niej tylko jeden chudy parszywiec. Pewnie byłoby więcej chętnych, dlatego musiałem ich odciągnąć. Kiedy uderzyłem w gong, wszyscy pobiegli do drabin.

– A strażnik?

– Nie pytałem go o zgodę. Dostał łopatą w łeb. Znam sygnał alarmowy dla kieratników, uwinęli się żwawo. Na górze już zaczął się ten cały burdel, więc łatwo się wymknąłem.

Kacper zachwiał się lekko. Ból wracał, musiał się śpieszyć.

– W porządku, wygrałeś. Przyznaję, jesteś skurwysynem bez sumienia. Ale ty też masz słabą stronę. Nienawidzisz Ciepłownika.

– I co z tego? Tu wszyscy go nienawidzą.

– Tylko ty będziesz miał okazję się na nim zemścić.

Ktoś przebiegł obok nich. Kłusownik zaczekał, aż kroki się oddalą, i zamruczał:

– Coś ci się uroiło, przyjacielu. – Pociągnął nosem. – No tak, makownica, mogłem się domyślić. Ostrzegałem, żebyś był z tym ostrożny, zwłaszcza w taką noc.

Kacpra zamroczyło cierpienie, niewiele brakowało, żeby upadł. Tylko gniew pomógł mu jeszcze raz wziąć się w garść.

– Chyba cię przeceniłem, kłusowniku. Nie przyznałeś się, że parch wytrawił ci jaja.

8

Była wściekła, że powiedziała o wszystkim Grzegorzowi, choć przecież obiecała mu wcześniej, że będzie ostrożna. Wybrała się na tamtą niedorzeczną schadzkę w tajemnicy przed nim, złamała surowy zakaz zbliżania się do schroniska, lecz zakpiono z niej tak okrutnie, że gotowa była przyznać się do wszystkiego, byle strażnikowi nie uszło to bezkarnie.

Mąż wysłuchał jej w milczeniu, zasępiony, przyglądając się swoim połamanym paznokciom. Kiedy skończyła, nie spojrzał na nią, tylko lekko uniósł brwi, jakby zdziwiony, że to już koniec.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał sucho.

Nie tego się spodziewała. Doznała takiego zawodu, że przez dłuższą chwilę nie potrafiła nawet zebrać myśli.

– Mówisz tak, jakby cię to wcale nie obeszło… – wyjąkała, onieśmielona twardym, nieprzystępnym wyrazem jego twarzy.

– Obeszło mnie, i to bardziej, niż sądzisz. Myślałem, że mi ufasz.

– Bo tak jest! Mam tylko ciebie.

– Więc dlaczego nie spytałaś mnie o zdanie, kiedy pierwszy lepszy ozdrowieniec naopowiadał ci bzdur?

– Powiedział, że ojciec chce ze mną rozmawiać! Ale tam czekał tylko jakiś stary pokutnik, nawet do niego nie podobny. I mówił takie okropne rzeczy…

– Jakie rzeczy?

– Że mam od ciebie odejść, bo tu mi coś grozi. Chciał mnie chyba przestraszyć.

– A gdyby tak naprawdę było?

– Co takiego?

– Gdyby ten pokutnik był twoim ojcem? – Nachylił się, żeby z bliska zajrzeć jej w oczy. – Uciekłabyś z nim?

– Jak możesz tak myśleć! – obruszyła się. – Porządni ludzie nie parszywieją.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Zbladła nieco, ale wytrzymała jego wzrok.

– Teraz ja mogłabym zarzucić ci brak zaufania. Nie zapominaj, że z nas dwojga to ja zostawiłam wszystko, żebyśmy mogli być razem.

Grzegorz zmarszczył brwi, ale zaraz potem przygarnął ją mocno i pogłaskał szorstką dłonią po włosach.

– Masz rację, przepraszam. Ja też czasem tracę głowę. Zdaje mi się, że nie zasłużyłem na tyle szczęścia i że któregoś dnia będę musiał za to zapłacić.

– Nie gadaj głupot!

– Może to i głupoty. Niczego już nie jestem tak pewien jak dawniej. Boję się, że coś

gubimy po trochu, coś ważnego, nie wiadomo jak i kiedy. Wiesz co? – Ożywił się nagle. – Właśnie przypomniałem sobie, że aż do dziś nie spełniłem obietnicy, którą ci dałem jeszcze w Lesie, kiedy się poznaliśmy. Pamiętasz?

– Której obietnicy? – Uśmiechnęła się przekornie. – Złożyłeś ich tak wiele…

– W niedzielę zabiorę cię do Miasta na tańce.

Zeszło z niej całe napięcie. Znów było jej dobrze w jego ramionach, jak wtedy, gdy wymykała się do Lasu na potajemne schadzki.

– Spóźniłeś się, mężu. Nie będę tańczyć ani w tę niedzielę, ani w następną.

– Dlaczego? Myślałem, że tego chcesz.

– Przez jakiś czas będę musiała na siebie uważać. – Uniosła twarz, pocałowała go miękko i czule.

Zlekceważyła pierwsze objawy. Myślała, że zatruła się czymś albo zaszkodziły jej dymy Ciepłowni. Źle się czuła, często wymiotowała, kilka razy zasłabła. Grzegorza przy tym nie było, a ona nie przyznała się, żeby go nie martwić. Z czasem nabrała podejrzeń, że to coś więcej, ale w gruncie rzeczy bardzo niewiele wiedziała o tych sprawach – tyle co szeptały między sobą wiejskie dziewuchy, rumieniąc się i chichocząc.

Dopiero w tych dniach przekonała się naprawdę, jak bardzo brakuje jej matki. Nie chodziło już tylko o tęsknotę, o samotne wieczory, o radości i troski, którymi chciałaby się z nią podzielić. Rozdzierająco potrzebowała jej wsparcia. Tutaj nie poznała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać otwarcie o swoim strapieniu; do żadnej z miejscowych kobiet nie miała zaufania, a Grzegorz powinien dowiedzieć się o wszystkim dopiero wtedy, gdy ona sama będzie już miała pewność.

W końcu jednak, po długiej rozterce, kiedy czuła się już tak źle, że coraz trudniej było jej to ukrywać, przełamała wstyd i któregoś ranka wybrała się do Lecznicy.

Tym razem nie musiała się rozbierać ani kłaść na leżance – lekarka zadała tylko kilka kłopotliwych pytań. Słysząc je, Kaśka się zarumieniła, ale odpowiedziała szczerze. Potem kazano jej czekać. Została w pokoju sama.

Przestraszyła się, gdy niebawem usłyszała za drzwiami jakieś inne, powolne kroki.

Powłócząc nogami wszedł Ciepłownik – stareńki, zgarbiony – i niespodziewanie powitał ją swojskim: „Szczęść Boże”.

– Poznaję cię. – Uśmiechnął się do niej życzliwie, gdy odpowiedziała nieśmiało. – Ostatnim razem, kiedy tu byłaś, pachniałaś jeszcze Lasem. Czy coś ci dolega?

– Nie wiem, ojcze. – Bezwiednie zwróciła się do niego tak, jakby był zwyczajnym wiejskim staruszkiem. – Nie mam doświadczenia w… takich sprawach.

Zrozumiał od razu. Podsunął sobie stołek i usiadł, w skupieniu przetarłszy okulary rękawem. Nie zbadał jej, przez dłuższy czas tylko kiwał głową w milczeniu, aż Kaśka zaczęła się martwić, że coś jest z nią nie w porządku. W końcu znów się rozpogodził, wyciągnął pokrytą brązowymi plamkami dłoń i pogładził ją po policzku.

– Dobrze, żeś do mnie przyszła. Czas byłby na to, sam już miałem po ciebie posyłać. Gdzie dwoje młodych się kocha, tam muszą być i dzieci.

Poczuła tak gorącą wdzięczność na te proste, przyjazne słowa, że w oczach zakręciły jej się łzy. Nie wiedziała, co powiedzieć, ucałowała tylko jego rękę jak księdzu.

Żachnął się, ale pozostał dobrotliwie uśmiechnięty.

– Teraz będziemy widywać się częściej. Odwiedzę was od czasu do czasu. Tymczasem masz tu ziółka: zaparz wieczorem, będziesz po tym lepiej spać.

Grzegorz całkiem zgłupiał ze szczęścia. Najpierw patrzył na nią długo, z otwartymi ustami, tak szczerze zdumiony, że Kaśka w końcu poczuła się nieswojo i parsknęła trochę wymuszonym śmiechem.

– A ty co myślałeś? Że dzieci znajduje się w drewutni?

Opamiętał się nieco, potarł ogolony policzek.

– Jesteś pewna?

– Tego o drewutni?

– Nie żartuj sobie! – Zapalczywie chwycił ją za ramię, aż zabolało. – Nie mylisz się? Może tylko tak ci się wydaje?

– Byłam w Lecznicy. Sądziłam, że się ucieszysz. Au, puść, wywichniesz mi rękę!

– Cieszę się! – zawołał. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę!

Porwał ją w objęcia i zaraz wypuścił, przestraszony, że zrobił to zbyt gwałtownie. Broda mu drżała jak u małego chłopca, który nie chce zdradzić, że zbiera mu się na płacz.

– Wszystko będzie dobrze… Zobaczysz, wszystko będzie dobrze…

– Ze mną pewnie tak, ale o ciebie to się boję. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć. Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie mój czas, będziesz akurat na Szlaku i wrócisz już po wszystkim.

– Co ty wygadujesz? Nie zostawię cię teraz samej.

Na rękach zaniósł ją do łóżka, potem rozsznurował jej buty i okrył troskliwie kocem.

– Nic mi nie jest – sprzeciwiła się, choć bez wielkiego przekonania; przyjemnie jej było, gdy obchodził się z nią tak delikatnie.

– Powinnaś leżeć.

– A kto tu posprząta? Kto ugotuje?

– Myślisz, że mam dwie lewe ręce? – Nasrożył się. – Jesteś moją żoną i się tobą zaopiekuję.

Siwobrody staruszek zachodził do nich prawie co dzień. Kaśka przywykła do tych częstych odwiedzin, a z czasem zaczęła się nawet niepokoić, kiedy zbliżała się pora wieczornej syreny, a on nie pukał jeszcze do drzwi. Przekonała się zresztą niebawem, że dla niego nawet noc nie stanowiła przeszkody – chodził o każdej porze po całej Ciepłowni, strażnicy nie zatrzymywali go nigdy.

Dumna była z takiego gościa – wyobrażała sobie zazdrosne spojrzenia sąsiadek, kiedy przechodził pod ich oknami – a jednak w jego obecności nie odczuwała onieśmielenia. On sam zresztą zachowywał się całkiem zwyczajnie, po prostu jak dobry człowiek, który chce i potrafi pomagać innym. Lubiła o nim myśleć jak o swoim dziadku Józwie, którego ledwie pamiętała – choć wstydziła się przyznać do tego nawet przed Grzegorzem.

Inna sprawa, że mimo troski męża, mimo ziółek nie czuła się wcale lepiej. Przestała już nawet spierać się z Grzegorzem o to, że nie pozwalał jej brać się do żadnej roboty; czasem była zbyt słaba, by choćby pootwierać okiennice po nocy. Wciąż doskwierał jej głód, ale nigdy nie mogła się najeść – nie przestawały dręczyć ją mdłości.

Mimo wszystko któregoś przedpołudnia, kiedy została sama, spróbowała wyszorować zabłoconą podłogę. Popracowała trochę, gdy naraz przeszył ją ostry ból w dole brzucha. Spódnica szybko przesiąkła krwią, oblepiając uda. Przeraziła się, była pewna, że to poronienie. Popłakując doprowadziła się jakoś do porządku, padła na łóżko, a potem chyba zemdlała. Gdy się ocknęła, zobaczyła nad sobą bladą twarz Grzegorza, który próbował się do niej uśmiechnąć.

– Już dobrze, już dobrze… – Pogładził ją po głowie jakoś tak nieporadnie. – Jest tu Ciepłownik.

Staruszek przysiadł na brzegu łóżka i przetarł jej czoło wilgotną szmatką.

– Nie bój się, moje dziecko. – Spokój w jego powiększonych przez szkła oczach dodał jej otuchy. – Nic złego się nie stało, ale musisz o siebie dbać. Nie wychodź z domu, odpoczywaj. Dam Grzegorzowi zwolnienie z wyjazdów na Szlak, żeby miał na ciebie oko.

Uwierzyła mu od razu, z ulgą zapadła głębiej w poduszkę. Skoro on się nie martwił, to i ona nie powinna.

– Wstyd mi, że tyle ze mną kłopotu… W Lesie kobiety nie odchodzą od roboty aż do samego rozwiązania.

– Nie martw się, ty nie jesteś gorsza. Za jakiś czas będziesz mogła robić, co zechcesz, choćby hulać z mężem przez całą noc na tańcach, ale na początku ciąży musisz uważać, bo płód się jeszcze dobrze nie przyjął.

– Nie przyjął się? Nie rozumiem…

– Z czasem zrozumiesz. Jesteś w stanie błogosławionym, nigdy o tym nie zapominaj. Tutaj, w Ciepłowni, to znaczy o wiele więcej niż gdzie indziej. Jeszcze się o tym przekonasz.

Nad ranem obudziła ją syrena alarmu. Grzegorz pocałował ją w czoło, wysunął się spod koca, ubrał się cicho i wyszedł. Nie przejęła się tym – przywykła już do tego, że w Ciepłowni wszystkie sprawy domowe musiały zaczekać na swoją kolej, jeśli gdzieś wydarzyła się awaria czy pożar. Zwykle zresztą nie czekała na niego długo, ponieważ wracał tak szybko, jak mógł, zarumieniony od mrozu i zasapany, znów cały tylko dla niej.

Zanurzyła się na powrót w pogodnej, ciepłej drzemce, zadomowiona wreszcie na dobre pośród tych bielonych ścian, przyjemnie ociężała i bezpieczna.

Dobiegło ją ciche skrzypnięcie drzwi, w przedsionku rozległy się kroki. To nie mógł być Grzegorz, on nie umiał stąpać tak lekko, ani Naczelny Technik, który zawsze powłóczył nogami i opukiwał laską deski podłogi. Pomyślała o zabitym strażniku – i nagle cała przytulna swojskość się rozwiała, a w ciemnych kątach pokoju przyczaił się strach.

– Kto tam? – zawołała słabo, siadając na łóżku.

Ktoś stanął w progu; nie widziała dobrze, przez szpary w okiennicach przenikała ledwie

odrobina porannego słońca.

Na parapecie, w zasięgu ręki, leżało wielkie dłuto, pozostawione tam przez Grzegorza, który wieczorem dłubał coś jeszcze przy kołysce. Kaśka zacisnęła dłoń na kościanej rękojeści.

– Odejdź! – Podniosła się na kolana. – Jestem ze wsi, potrafię się obronić!

Prążki światła na podłodze gasły kolejno, gdy ciemna postać przesunęła się cicho koło okna i zatrzymała przy stole.

– Nie chciałam cię przestraszyć. Przyszłam tylko zapytać, czy ci czegoś nie trzeba.

Kaśka rozpoznała głos jednej z sąsiadek – tej młodej, która niegdyś tak boleśnie ją wyszydziła.

– Czego chcesz?

– Często zachodzi tu Ciepłownik. Pomyślałam, że jesteś chora.

Zaskoczona Kaśka nie wiedziała co odpowiedzieć. Ukradkiem schowała dłuto pod poduszkę.

– Na stole jest lampka i zapałki. Zaświeć ją, proszę. Grzegorz wybiegł na alarm, nie zdążył otworzyć okiennic.

– Mój też poszedł. Wiadomo, technicy. Służba zawsze na pierwszym miejscu. – Zachrobotała zapałka i po chwili w mroku ukazała się wyostrzona światłocieniem twarz dziewczyny. – Więc jesteś sama?

Kaśka skinęła głową, wskazała jej krzesło. Szybko topniała w niej niechęć. Łatwo uwierzyła, że teraz, kiedy wszystko zaczęło układać się tak dobrze, uda się załagodzić i tę zadrę.

– Dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Właściwie nic mi nie jest, wstydzę się tego wylegiwania całymi dniami. To w trosce o dziecko.

Młoda żona technika nie usiadła. Oparła na krawędzi stołu kostki zaciśniętych pięści.

– Tak podejrzewałam. Stary nie biegałby tak do ciebie, gdyby to była zwykła franca. – Słowo po słowie jej głos chłodniał. – Nie myśl sobie, że zawsze tak będzie.

Kaśka potrząsnęła głową jak ogłuszona.

– Zostaw mnie w spokoju… – wyszeptała.

– Na razie każe ci tylko pić ziółka, ale niedługo zacznie cię obmacywać, a w końcu wbije ci w brzuch grubą igłę. To bardzo zaboli, ciebie i bachora.

– Odejdź!

Tamta pochyliła się głębiej nad stołem. Na jej twarzy, oświetlonej z dołu migotliwym blaskiem, drżał grymas wściekłości.

– Spokój miałaś w Lesie, trzeba było tam zostać. Myślałaś, że wystarczy rozłożyć nogi przed technikiem, żeby żyło się lepiej, bez koziego gnoju na butach, bez dźwigania węgla, bez psich kłaków w wyrku? Wszystkie dziewuchy ze wsi o tym marzą. A teraz, kiedy leżysz sobie wygodnie, bździsz pod kocem i tłuściejesz, musi ci się wydawać, że trafiłaś do nieba. – Zaśmiała się sykliwie. – Jesteś za głupia, żeby zrozumieć, że stary uwięził się tutaj, a z Grzegorza zrobił twojego dozorcę. Traktuje cię tak samo jak swoje szczury. Siedzą w klatkach i niczego im nie brakuje, tak długo, dopóki są mu potrzebne. Wiesz, jak skończy się ten twój piękny sen? Pokażę ci. – Wyprostowała się, szybko rozpięła kilka dolnych guzików kubraka i zadarła koszulę, odsłaniając goły brzuch. – Patrz!

Białe łono przecinała ukośnie gruba, sina blizna.

Przerażona Kaśka zamknęła oczy. Usłyszała trzykrotny sygnał syreny na odwołanie alarmu, kilka pośpiesznych kroków i trzaśnięcie drzwi.

Wybiegła z domu bez butów, w samych grubych, wełnianych skarpetach, narzuciwszy koc na koszulę nocną. Po drodze do Lecznicy nikogo nie spotkała, w którymś z okien za siną od mrozu szybą mignęła tylko kobieca twarz.

W korytarzu przy kracie lekarka próbowała ją zatrzymać, lecz nie ośmieliła się wezwać strażników – wiedziała, jak bardzo troszczył się o nią Ciepłownik. Szamotały się przez chwilę; Kaśka była dużo słabsza, ale tak zaciekle walczyła, kopiąc i gryząc, że tamta musiała ustąpić.

Dziewczyna wtargnęła do długiego, wąskiego pomieszczenia, z regałami pełnymi klatek wzdłuż obu ścian. Półmrok, przesiąknięty ostrą szczurzą wonią, rozpraszały tylko ukośne smugi światła przenikającego przez małe brudne okienka pod samym stropem.

Na końcu ciasnego przejścia dostrzegła staruszka. Stał oparty o ceglaną ścianę, kruszył w palcach suchara i karmił szczura, który przycupnął na jego ramieniu, wysuwając wąsaty pyszczek.

– Czy to prawda? – zawołała z daleka. – Czy zabiłeś dziecko mojej sąsiadki?

Na chwilę ucichły chroboty i szelesty w klatkach. Ciepłownik powoli zwrócił ku niej twarz, pstryknął palcami – lekarka za plecami Kaśki wycofała się natychmiast, zamykając za sobą drzwi.

– Prawda – odpowiedział.

Rozwścieczona ruszyła znowu naprzód; nie zauważyła nawet, że koc zsunął się jej z ramion.

– Przyznajesz się? Ciekawe, czy powtórzysz to przed sądem Rady!

– Moim najsurowszym sędzią jest sumienie, a ono niczego mi nie wyrzuca.

– Czemu to zrobiłeś?

– Żeby uratować jej życie.

Zwolniła kroku. Gniew topniał po trochu wobec niewzruszonego spokoju staruszka.

– Żadna matka nie zgodziłaby się na coś takiego…

– Dlatego zdecydowałem za nią. Była wtedy już nieprzytomna, bliska śmierci. Tak to jest, kiedy nosi się pod sercem parchaty płód.

Kaśka przystanęła. Oddychała szybko i płytko, czoło zwilgotniało od potu. Spojrzała przez ramię na drzwi, które wydawały jej się teraz bardzo odległe.

– Czy to znaczy, że… cudzołożyła z pokutnikiem? To ohydne! Jak mogła? Kiedy spotkam ją znowu, napluję jej w twarz!

Ciepłownik ułamał kawałeczek suchara i podsunął szczurowi pod pyszczek.

– Bardzo pochopnie oceniasz ludzi. Przedtem mnie, a teraz ją.

– Czegoś takiego nie można usprawiedliwić!

– A nie pomyślałaś, że ktoś mógł ją skrzywdzić?

– Takie rzeczy zdarzają się na Szlaku albo gdzieś na odludziu, ale przecież nie

w Ciepłowni!

– A może właśnie tutaj o to najłatwiej? Każdego dnia do schroniska przychodzą setki pokutników.

– Są za drutami, pod strażą.

– Od razu widać, że trzymasz się z dala od miejscowych kobiet. Nie wiesz, o czym szepczą. Boją się podstępów Lucyfera. Wierzą, że on zawsze znajdzie sposób, żeby zwabić nieostrożną dziewczynę. Jest ojcem kłamstwa, zna się na wszystkich ludzkich pokusach. Właśnie dlatego żony techników nigdy nie wychodzą same z domu.

Cała krew odpłynęła Kaśce z twarzy, stopy zlodowaciały, jakby stała w przeciągu.

– A ty? – zapytała prawie bez tchu. – Także w to wierzysz?

Nie odpowiedział od razu. Podsunął szczurowi dłoń, wpuścił go do klatki i zamknął drzwiczki.

– Jestem technikiem, ale i lekarzem. Zajmuję się ciałem, nie duszą. – Pionowa bruzda na jego czole pogłębiła się. – Jednak staram się rozumieć ludzi. Tamta kobieta, z którą rozmawiałaś, obwinia mnie o to, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Wmówiła sobie, że gdyby poszła spędzić płód do wiejskiej znachorki, wszystko byłoby dobrze.

– Przecież to nieprawda! W Lesie spaliliby ją razem z dzieckiem.

– Wiem o tym, ale ona nie chce tego zrozumieć.

– A czemu mnie tak nienawidzi?

– Bo jesteś młoda, szczęśliwa i wszystko jeszcze przed tobą.

Zawstydzona Kaśka spuściła wzrok.

– Obraziłam cię, ojcze. Wybacz mi. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Coraz trudniej mi nad sobą zapanować. Wściekam się o byle co, a zaraz płaczę jak głupia.

– To normalne w twoim stanie. Zmartwiłbym się, gdyby było inaczej.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi. Podzwaniając pasem z narzędziami, wpadł Grzegorz, prosto od roboty.

– Co się stało? – W biegu ściągał brudne rękawice. – Baby widziały cię, jak biegłaś do Lecznicy…

– Nic, nic… – Przylgnęła do niego, wtulając twarz w futrzany kołnierz. – Po prostu nie chciałam być sama.

– Wystraszyłaś mnie! Następnym razem, kiedy będę musiał wyjść, poproszę którąś z sąsiadek, żeby przy tobie posiedziała.

– Nie! – Zesztywniała w jego ramionach. – Nie chcę, Grześ. Wystarczy, jeśli zamkniesz drzwi na klucz.

Poprzez szparę między okiennicami wpadała do pokoju wąska smuga słonecznego światła. Kaśka poczuła ją na zamkniętych powiekach, jeszcze zanim się na dobre obudziła. To było przyjemne doznanie, prawie jak pieszczota, jak pocałunek. Przywoływało wspomnienia z dzieciństwa – roziskrzone, czyste śniegi Lasu, rozświecone witraże wiejskiego kościółka, błyszczące sople na dzwonnicy – jednak potem niepostrzeżenie zaczęło kiełkować w rozespanych myślach ziarenko zdumienia. Okno sypialni wychodziło przecież na zachód,

słońce nigdy nie zaglądało tu o świcie.

Spojrzała przez rzęsy. Prążek światła rozżarzał się ogniście i gasł w jakimś nierównym, pośpiesznym rytmie, który przykuwał uwagę. Migotał natrętnie. Nie wzniecał już marzeń, tylko niepokój.

Wstrzymała oddech, zaskoczona nagłym odkryciem.

Dawno temu, kiedy była małą dziewczynką, ojciec nauczył ją kodu sygnalistów. Zrobił to w tajemnicy przed wszystkimi, bo matka wolała odciąć się od przeszłości, a Maciek uważał, że takie rzeczy są wyłącznie dla mężczyzn. Ona sama traktowała to jak zabawę i nigdy później do tego nie wracała. Nie podejrzewała nawet, że wciąż jeszcze pamięta znaczenie sygnałów.

Aż do dziś, kiedy raptem światło zza okna wymrugało jej imię.

Podniosła się cicho. Grzegorz spał obok, odwrócony twarzą do ściany. Uchyliła okno, odsunęła rygiel i pchnęła skrzydło okiennicy.

Przymknęła oczy przed blaskiem, który pulsował gdzieś na wysokim dachu huty. W krótkich przerwach między sygnałami dostrzegała czarny zarys postaci z uniesioną prawą ręką. Domyśliła się, że ktoś puszcza lusterkiem słoneczne zajączki, nieporadnie celując w okno jej sypialni. Ktoś, kto ją zna. Kto wie, że ona potrafi zrozumieć przekaz.

Jeszcze raz poskładała litery, niemo poruszając wargami.

Dopadła drzwi, szarpnęła kilka razy za klamkę.

– Zamknąłem na klucz. – Grzegorz patrzył na nią, wsparty na łokciu, mrużąc podpuchnięte od snu oczy. – Sama mnie o to prosiłaś.

– Otwieraj, Grześ, szybko! To ojciec!

Usiadł na brzegu łóżka, opuszczając bose stopy na podłogę.

– Uspokój się.

– Nie słyszysz, co mówię? Ojciec mnie wzywa! Daj mi klucz.

Technik podszedł do okna, odemknął drugą okiennicę. Na szybie zadrżała plamka migotliwego światła.

– To pokutnik.

– Jest za daleko, żebyś mógł to zobaczyć!

– Ma czarny płaszcz. A poza tym z zewnątrz do huty mógł się przedostać tylko w jeden sposób. W wagonie z trupami. – Potrząsnął głową. – Nie, węglareczko. Sprzątacze zbierają czasem na Szlaku parszywców, w których kołacze się jeszcze życie, ale nie wzięliby zdrowego kopacza. Za coś takiego sami trafiliby do pieca.

Kaśka znów przyskoczyła do okna, trzęsącymi się dłońmi rozgarnęła opadające na twarz włosy.

– To niemożliwe… Niemożliwe! Nikt inny nie mrugałby do mnie, tylko ojciec!

– Już raz prawie dałaś się oszukać. Zapomniałaś, co Ciepłownik mówił o Lucyferze i jego sztuczkach?

– Przecież ty nawet nie wierzysz w Lucyfera! – W gniewie zacisnęła pięści. – Otwórz drzwi albo wyskoczę oknem!

Grzegorz zmarszczył czoło i uważniej się przyjrzał.

– To naprawdę kod sygnalistów, jeszcze z Gór? Dzisiaj już tego nie uczą, nawet techników. Nie wiedziałem, że się na tym znasz.

– Nikt nie wiedział, oprócz niego!

– Jeśli tak, to rzeczywiście dziwne. Sam pójdę sprawdzić, co tam się dzieje. – Sięgnął do kieszeni po klucz, ale nagle jego słowa zagłuszyła syrena alarmowa; musiał podnieść głos. – Już go zauważyli. Teraz lepiej nie wychodzić. Zresztą zaraz się dowiemy, jaka jest prawda.

W oddali rozległo się szczekanie psów i tupot pośpiesznych kroków na bruku.

Maleńki odprysk słońca przestał rozbłyskiwać ponad ośnieżonymi dachami Ciepłowni.

– Złapią go! – krzyknęła Kaśka.

– Na pewno się tego spodziewał, kimkolwiek jest. Wiedział, że tak czy siak nie spotka się z tobą, bo… – urwał, wychylił się z okna. – Co on wyprawia, na Boga?

Człowiek z lusterkiem cofnął się od krawędzi dachu. Rozpościerając ramiona, by złapać równowagę, ruszył w tę stronę, gdzie budynek niemal przylegał do podstawy wielkiego komina Ciepłowni.

– Dobrze sobie radzi, jak na ślepca – sapnął technik. – Ktoś musiał mu dokładnie opisać rozkład budynków. Ale i tak pcha się w pułapkę…

Uciekinier dotarł do komina i namacał żelazne szczeble, które pięły się aż na sam szczyt zwężającego się ku górze ceglanego kolosa. Natychmiast dźwignął się wyżej, nie zważając na rosnącą wrzawę na dole.

Huknął wystrzał z samopału, zaraz potem kolejny. Kaśka ze zgrozą zakryła twarz dłońmi.

– To nic, walą na postrach. – Grzegorz objął ją ramieniem. – Wiedzą, że już im się nie wymknie. Chyba że… – zamilkł, gdy poczuł, że dziewczyna drży.

Patrzyła zmartwiała, szlochając bez głosu, jak osaczony człowiek drapie się w górę, strząsając śnieg ze szczebli. Był już w połowie wysokości komina, gdy na drabince pod nim ukazał się strażnik. Wspinał się ociężale, z zadartą głową, wysapując kłęby pary.

Niewidoczne z okna słońce wzeszło już chyba całą tarczą, śnieg na dachach rozżarzył się bielą. Ścigany zaczynał słabnąć, poruszał się coraz wolniej, niepewnie macał dłonią za każdym kolejnym szczeblem. Obślizgnęła mu się stopa i niewiele brakowało, a runąłby w przepaść, jednak utrzymał się z trudem, odszukał nogą oparcie i podjął żmudną wspinaczkę. Ozdrowieniec niebezpiecznie się zbliżył, próbował nawet schwycić go za łydkę, ale tamten kopnął go obcasem w czoło i ostatnim wysiłkiem podciągnął się na szczyt komina.

Na chwilę zaniknął zupełnie w czarnym dymie. Pod Kaśką ugięły się nogi – zdawało jej się, że zasłabł i wpadł do środka. To samo chyba pomyślał strażnik, bo zawahał się i zastygł z zadartą brodą. W dole ucichły okrzyki, tylko rozjuszone psy wciąż ujadały.

Ale nie – gdy powiał silniejszy wiatr, który rozwłóczył po niebie smugę dymu, znów zobaczyli śmiałka. Stał okrakiem na krawędziach komina, zwrócony na wschód, wymachując rękami, jakby usiłował wzbić się do lotu. Strażnik sięgnął po pałkę i przytrzymując się jedną ręką, wziął zamach, aby uderzyć go w goleń, lecz nim zdołał zadać cios, tamten odrzucił kaptur na plecy, rozkrzyżował ramiona i wystawił twarz ku słońcu.

Kaśkę oślepił potężny, jaskrawy rozbłysk.

Natychmiast ogarnął ją spokój, pierzchnął strach. Nic nie widziała, nie słyszała zgiełku pod kominem, przestała drżeć z zimna – ale to nie było omdlenie, zachowała jasną i czystą

świadomość samej siebie. Miała zupełną pewność, że wszystko będzie dobrze, o nic już nie musiała się troszczyć. Jakimś nowym, wewnętrznym zmysłem doznała czystej, niezmąconej błogości; miała wrażenie, że przepływa przez nią strumień innego, lepszego życia.

I pojawiło się jeszcze coś, co dopełniało radość: wyczuła bliską obecność ojca, tak wyraźnie, jakby ją mocno przytulił, jakby zajrzał jej w oczy i połaskotał po twarzy zmierzwioną brodą. Był tu, był na pewno – pokonał wszelkie przeszkody i do niej przyszedł. Dotarł aż tutaj, żeby wyzwolić ją od strachu.

A potem czas, który stanął w miejscu, nagle znowu zaczął wartko płynąć. Świat na powrót stał się zimny, hałaśliwy i groźny. Kaśka zdała sobie sprawę, że głębokie ukojenie trwało w rzeczywistości ledwie mgnienie oka. Było przelotne jak słoneczny rozbłysk.

Zobaczyła niebieskie płomienie wśród dymu nad kominem. Czarny płaszcz, niczym ustrzelone z łuku wielkie ptaszysko, leciał w dół. Uczepiony oburącz drabiny strażnik rozpaczliwie wymachiwał nogami.

– A jednak to był parszywiec. – Grzegorz zamknął okno. – Pokutnicy czasem zachowują się jak szaleńcy, kiedy parch zaczyna trawić mózg. Ten tutaj wlazł na dach i bawił się lusterkiem, ale nie dawał żadnych sygnałów. Nie mógł dawać.

– On mrugał, przecież widziałam!

– Widziałaś, co chciałaś widzieć. Zresztą nie powinnaś była patrzeć na to straszne widowisko. Musisz myśleć o dziecku.

Przez kilka dni zachowywała się przykładnie – nie narzekała na nic, nie sprzeczała się z mężem, cierpliwie stosowała się do wszelkich zaleceń Ciepłownika. Bywała zamyślona, może nawet smutna, ale nie popłakiwała już bez powodu, jak przedtem, a kiedy zatroskany Grzegorz pytał, czy nie przykrzy jej się w domu, zdobywała się na niemrawy uśmiech i potrząsała głową.

Skorzystała z pierwszej okazji, gdy zwiedziony jej spokojem technik na krótki czas zostawił ją samą, nie zamknąwszy za sobą drzwi. Ubrała się w jego stare robocze ciuchy – spodnie dawniej byłyby zbyt obszerne, ale teraz leżały na biodrach w sam raz, musiała tylko podwinąć nogawki – wciągnęła wykoślawione buty i wymknęła się z domu. Poszła prosto do najbliższej sąsiadki, starszej, drobnej, ociemniałej wdowy, która na ogół przesiadywała w oknie, nasłuchując kroków każdego przechodnia. Kaśka ledwie dwa czy trzy razy spotkała ją wcześniej na ulicy.

Weszła bez pukania, spodziewając się, że gospodyni będzie sama. Kobiecina siedziała przy parapecie, zdobiąc barwnym ściegiem białą chustę. Podniosła głowę zdumiona, lecz nie odezwała się ani słowem.

– Gdzie twoje dzieci? – zapytała od progu Kaśka.

Tamta odłożyła chustę na kolana i mocno zacisnęła wargi. Milczała.

– Grzegorz mówił mi, że masz trójkę, ale wychowują się w Mieście. Czy to prawda?

Kobieta zmarszczyła brwi, jakby nie zrozumiała pytania. Ktoś przeszedł za oknem,

słychać było męskie głosy, ale ona nawet nie drgnęła.

Kaśka zbliżyła się o parę kroków.

– Nie chcesz ze mną gadać? Niech będzie. – Dyszała ciężko, wzburzona. – Pokaż brzuch.

Gospodyni tylko zmięła chustę kościstymi palcami.

– Nie słyszałaś? Chcę zobaczyć twój brzuch, ślepa jędzo! Zadzieraj łachy albo sama to zrobię.

Podniosła się wreszcie. Mimo obraźliwych słów Kaśki jej twarz niespodziewanie złagodniała.

– Wiele razy przechodziłaś pod moim oknem, znam twoje kroki. Chodzisz jak ktoś, kto nie wie, dokąd zmierza.

Pod wpływem tego cichego, poskrzypującego z lekka głosu Kaśka nieco ochłonęła. Zawstydziła się swojego wybuchu. Ta samotna wdowa mogła być w wieku jej matki, nawet podobnie upinała siwiejące włosy.

– A gdzie tu można chodzić? – Wzruszyła ramionami. – Włóczyłam się bez celu.

– Nie musisz szukać celu, przecież nosisz go w sobie. Jesteś przy nadziei. I to nie jest tylko twoja nadzieja: każda kobieta w Ciepłowni ma do niej prawo, bo wszystkie za nią cierpiały. Ja także.

– A więc to prawda! Lekarz zrobił ci to samo co tamtej młodej! Zrobił to wam wszystkim! Pozabijał wasze dzieci, zanim jeszcze się urodziły!

– Nic nie rozumiesz. On próbował je ratować.

– Przed czym?

– Przed nędznym, krótkim, bolesnym życiem.

– O czym ty mówisz? To przecież jakaś bzdura!

– Przecież my wszyscy giniemy. Nie widzisz tego? Wszyscy, z Lasu i z Miasta, ślepi i widzący. Jesteśmy dziećmi dawnych czasów, starego świata sprzed Upadku. W tym nowym, który dopiero się tworzy, nie ma dla nas miejsca. Wyrządzamy krzywdę każdemu niemowlęciu, któremu pozwalamy się urodzić. Bierzemy na sumienie wszystkie jego przyszłe cierpienia.

– To potworne! – Kaśka zawróciła do drzwi. – Nie chcę tego słuchać.

– Zaczekaj! – Wątły głos gospodyni nagle nabrał takiej stanowczości, że dziewczyna się zatrzymała. – Łatwiej by ci było, gdybyś o tym nie wiedziała. Mąż chciał uchronić cię przed prawdą, Ciepłownik także. Ale skoroś tu przyszła, wysłuchasz mnie do końca. Musisz zrozumieć, jak wiele od ciebie zależy, a wtedy wyjdziesz stąd silniejsza.

Podeszła szybko, uniosła ręce i końcami palców dotknęła twarzy Kaśki.

– Tyle w tobie gniewu, żalu i strachu – szepnęła – a przecież powinnaś być najszczęśliwszą z kobiet. Wydasz na świat nowego Adama, który odnowi rodzaj ludzki. Mnie się to nie udało, innym także, ale mam przeczucie, że to będziesz właśnie ty. O żadną z nas Ciepłownik tak się nie troszczył.

Kaśka odepchnęła ją ze wstrętem, jakby w obawie, że ten szept mógłby ją zwieść, a dotyk zarazić szaleństwem.

– Nie pozwolę wbić sobie igły w brzuch, słyszysz? Nie chcę żadnego nowego Adama, urodzę zwyczajne dziecko.

Gdy stamtąd wybiegła, nie spojrzała nawet na swój dom, którego drzwi pozostawiła

otwarte na oścież.

Pierwszej furtki pilnował wątły chłopaczek, młodszy chyba nawet od niej. Kiedy podchodziła, rozglądał się w popłochu, ale nigdzie nie było widać strażnika z psem na obchodzie; wreszcie utkwił w niej zakłopotane spojrzenie.

– Przepuść mnie! – Natarła na niego.

Zasłonił się pałką jak do obrony, nie na postrach.

– Tam nie wolno…

– Mnie wolno. Wiesz, kim jestem?

Pokiwał głową, ale się nie odsunął.

– Mamy rozkaz, żeby na ciebie uważać.

– Posłuchaj, gnojku! Idę do parowozowni, do męża. Wścieknie się, kiedy mu powiem, że kazałeś mi tu stać na mrozie.

– Byle technik nic mi nie zrobi – parsknął śmielej spod kominiarki.

– Byle technik może i nie. Ale jest ojcem mojego dziecka. Pomyśl, kim będzie, kiedy urodzę.

Ozdrowieniec rozejrzał się jeszcze raz, uchylił furtkę, odstąpił na bok i głową wskazał jej przejście.

Następny strażnik – podpity, barczysty mruk – wyszarpnął pałkę zza pasa, gdy tylko rozpoznał Kaśkę. Nie dał się przegadać, nie wysłuchał jej nawet do końca.

– Gówno mnie to wszystko obchodzi. I tak nie urodzisz, jak one wszystkie. Ciepłownik wypruje ci z brzucha jakąś lucyferiańską pokrakę i utopi w wiadrze.

Podniosła zaciśnięte pięści, ale cios pałką w twarz odrzucił ją do tyłu.

– Ja nie żartuję, leśna suko. – Ozdrowieniec stał w rozkroku, podparty pod boki.

Kaśka otarła śniegiem krew z warg.

– Ja też nie. Widzisz tamten stos cegieł? Wejdę tam i skoczę na wyprostowane nogi. Na wsi dziewczyny robią tak, kiedy chcą poronić. A Ciepłownikowi powiem, że to przez ciebie, boś mnie pobił. Jak ci się zdaje, komu uwierzy, mnie czy tobie?

Zachrypiał krótkim śmiechem.

– Dobra, przekonałaś mnie. Pomogę ci nawet przejść na drugą stronę.

Uderzył ją znowu, tak mocno, że upadła, a potem chwycił za kołnierz, powlókł po śniegu za kolczaste druty i zatrzasnął furtkę.

– A teraz uciekaj, bo strasznie swędzi mnie na ciebie ręka, chytra dziwko. – Splunął za nią.

Z ostatnim ozdrowieńcem poszło jej najłatwiej. To był ten sam, który niedawno poprowadził ją pod płot schroniska parszywców. Poznał ją od razu, oczy rozbłysły mu w otworach kominiarki.

– Kto cię tak popieścił, moja śliczna?

– Sam się domyśl.

– Taak… – Mlasnął głośno. – My dwoje na pewno się nie posprzeczamy, jeśli masz dla mnie bukłaczek.

– Dostaniesz makownicy, kiedy będę tędy wracać – skłamała bez namysłu.

Ochłódł wyraźnie, założył ręce z tyłu.

– Dawaj teraz albo nic z tego.

– Nie będę się z tobą targować. Nie podoba ci się, przejdę inną furtką.

Wahał się jeszcze naburmuszony, ale gdy udała, że chce odejść, ustąpił od razu.

Przeskoczyła nad pryzmą brudnego śniegu, która ciągnęła się wzdłuż torów, i niezauważona przemknęła do otwartych wrót parowozowni. Tylko jedna maszyna stała pod parą; w pobliżu nie było żadnego technika, w głębi hali paru brudnych palaczy grało przy świeczce w kości. Zzuła buty, żeby nie narobić hałasu, przekradła się do parowozu i po drabince wspięła do budki.

Zrobiła wszystko tak, jak to podpatrzyła u Grzegorza: przesunęła stawidło do przodu, ostrożnie otworzyła przepustnicę. Przez chwilę koła ślizgały się tylko po szynach, potem ciężka lokomotywa drgnęła i potoczyła się z wolna naprzód. Kaśka dosłyszała jeszcze przekleństwa palaczy, ich cienie zatańczyły na ścianach, lecz już na nich nie zważała. Wyjechała z parowozowni. Przez okienko zobaczyła zamkniętą bramę wyjazdową, a przed nią, pośrodku torów, rozkraczonego strażnika, który skamieniał na widok rozpędzającej się lokomotywy. Zagwizdała, ale nie uskoczył od razu, krzyknął coś, wymachując nad głową rękami, wreszcie chwycił samopał i wystrzelił z biodra bez celowania.

Szyba się rozprysła, kula świsnęła Kaśce nad uchem. Dziewczyna nawet się nie uchyliła – zamknęła oczy w oczekiwaniu na wstrząs.

Parowóz staranował żelazną bramę z ogłuszającym łoskotem, wzbijając białą kurzawę; budkę oplotły zwoje zerwanego drutu. Kaśka uderzyła czołem w blachę, ale utrzymała się na nogach. Przez rozbite okienko wdarł się lodowaty podmuch. Nie obejrzała się, żeby sprawdzić, czy strażnik zdążył uciec. Otworzyła drzwiczki paleniska i chwyciła łopatę.

9

Pił wściekle, bez umiaru, gdzie bądź i z kim popadło. Kiedy skończyły mu się pieniądze, pił na krechę – znali go w miejskich gospodach jako dobrego myśliwego, który zawsze mógł spłacić dług skórkami. Szybko roztrwonił jednak to zaufanie – coraz częściej wywoływał bijatyki, poszczuł nawet psami jakiegoś technika i strażnicy stłukli go pałkami do nieprzytomności. Wtedy zaczął wyprzedawać się po trochu z myśliwskiego sprzętu, aż wreszcie puścił za pół ceny cały zaprzęg, także dlatego, że nie miał już za co żywić psów. Pił dalej w coraz bardziej śmierdzących, zaszczurzonych knajpach, a bywało, że i z kanalarzami gdzieś pod gorącą rurą.

Rozpaczliwie próbował zapić swój wstyd. Ojciec oszalał, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, ale przecież przyrzekł matce, że go upilnuje – i zawiódł.

Tamtego dnia długo czekał na niego w gospodzie, potem próbował dowiedzieć się czegoś przy bramie Ciepłowni, ale strażnik tylko go sklął. Gdy usłyszał odgłosy pościgu z psami, tknęło go złe przeczucie, ale jeszcze nie tracił nadziei. Nazajutrz poszedł go szukać, posuwając się wzdłuż Czarnego Szlaku po wyżłobionych nartami koleinach. Szybko natknął się na porzucony przy torach kubrak ojca, rozpoznał ślady jego butów biegnące do bramy schroniska parszywców. Wtedy zrozumiał wszystko.

Nie miał już w Mieście nic do roboty, wiedział o tym dobrze, lecz brakowało mu odwagi, żeby wrócić do domu i powiedzieć, co się stało. Skoczyłby do gardła każdemu, kto nazwałby go głupim kmiotkiem, jednak w głębi duszy wiedział, że taka właśnie jest prawda. Tutaj, na bruku odśnieżonych ulic, całe jego łowieckie doświadczenie było nic niewarte. Przechodnie szydzili z niego, kiedy klnąc i chwiejąc się na nogach, walił pięścią w zamknięte drzwi gospód, do których już go nie wpuszczano. Nawet inni myśliwi coraz rzadziej przyznawali się do znajomości z nim, a odkąd przepił zaprzęg, jawnie spluwali na jego widok. Zresztą bardziej przypominał teraz włóczęgę niż leśnego łucznika – chodził brudny, posiniaczony, z zabłoconą brodą i podpuchniętymi, zaczerwienionymi oczami. Nie trzeźwiał prawie nigdy, a jeśli już mu się to zdarzało, wyglądał jeszcze żałośniej, słaby, wygłodzony i struty.

W końcu jednak mimo otępienia spostrzegł, że wokół zaczęło dziać się coś dziwnego.

Najpierw z ulic zniknęli strażnicy, wszyscy, co do jednego. Przestali wychodzić z Ciepłowni, nawet nocą nie stukały po bruku ich podkute buciory. Z początku się nad tym nie zastanawiał, tylko śmielej rozprostowywał grzbiet, obolały od ciosów nabitych ćwiekami pałek. Teraz także po zmroku mógł krążyć po Mieście w poszukiwaniu knajp, gdzie jeszcze nie podpadł. Szybko się jednak przekonał, że dużo gorsze od strażników są przeróżne kanałowe męty, od których nagle zaroiły się ulice. W biały dzień wałęsali się pijanymi zgrajami ozdrowieńcy bez kominiarek, budząc swymi demonicznie powykrzywianymi twarzami grozę wśród zwykłych przechodniów. Gospody zapełniły się

wszelakim łotrostwem, mnożyły się rozboje, nawet schody Katedry obsiadły stare ulicznice, które sprzedawały się za kubek gorzałki. Cały ten rozhukany motłoch nie sypiał już w swoich podziemnych norach, ale na straganach w hali targowej, skąd wynieśli się kupcy. Spokojni ludzie bali się nosić przy sobie pieniądze, kobiety w ogóle przestały wychodzić z domów.

Maciek odpowiadał hardo na zaczepki kanalarzy, do czasu gdy jeden z nich przeciągnął mu rzeźnickim tasakiem po żebrach; życie zawdzięczał tylko myśliwskiemu kubrakowi z grubej skóry. Swój nóż stracił już dawno, nie pamiętał nawet, czy go przepił, czy dał sobie ukraść, więc teraz baczniej rozglądał się dookoła.

Odsłonięte otwory kanałów nie parowały już ciepłem, ścieki zamarzły, pogasły żelazne kosze na rogach ulic. Gdy któregoś dnia przestał dymić komin Ciepłowni, Maciek zrozumiał nareszcie, że do Miasta nie docierał już węgiel. Czarny Szlak zamarł.

Nie wiedział, co o tym myśleć.

Krążyły różne plotki – o jakiejś poważniejszej awarii za drutami, o wielkiej burzy śnieżnej gdzieś na Szlaku, nawet o tym, że Ciepłownik umarł i technicy pożarli się o schedę po nim – lecz po paru dniach niepewności z zachodu nadeszły wieści, że w Kopalni wybuchł bunt. Parszywcy wysadzili wieżę kieratu, ograbili składy żywności i uciekli gdzieś na bezludzie. Grozili podobno, że spalą Ciepłownię, wyrżną wszystkich techników, a samego Ciepłownika powieszą na kominie.

Dopiero wtedy nad Miastem zawisł prawdziwy strach. Przyzwyczajeni do gorących grzejników w domach ludzie nie mogli nawet sobie wyobrazić, że można żyć inaczej. Podobno w składach za drutami leżały jeszcze całe góry węgla, ale technicy dbali już tylko o siebie.

W piwnicach, na strychach i w ruinach niezamieszkanych dzielnic sporo jeszcze uchowało się starych żelaznych piecyków, jakich używano w pierwszych latach po zejściu z Gór. W wielu oknach na powrót pojawiły się więc dymiące blaszane rury, a na ulicach sanki wyładowane zdobytym gdzieś drewnem z powyrywanych futryn i porąbanych mebli albo miałem węglowym, wyskrobanym z porzuconych pokutniczych wagoników. Jednak takiego opału nie mogło wystarczyć na długo, a zdobycie go i przyciągnięcie do domu z każdym dniem wymagało większej odwagi. Przezorniejsi zaczęli uciekać z Miasta na wieś, do krewnych albo dokądkolwiek, gdzie tylko udało się wynająć jakiś kąt, choćby i miejsce w koziej obórce. Inni próbowali szukać schronienia w Ciepłowni, lecz strażnicy mieli rozkaz wpuszczać tylko rodziny techników – pozostałych rozpędzali pałkami, a kiedy na bramę napierał większy tłum, strzelali nawet z samopałów.

Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Bruk zbielał od śniegu jak dawniej, zamarzła zielona ścieżyna do Ciepłowni. Staruszek ksiądz uciekł z Katedry, zabierając Hostię, i schronił się za drutami. Coraz więcej domów pustoszało, a tam, gdzie wciąż jeszcze gnieździli się zatrwożeni ludzie, okna po zmroku i tak pozostawały ciemne w obawie przed napadem. Ulice się wyludniły: snuły się po nich watahy półdzikich psów, chudych i przemarzniętych, w ciszy donośniej brzmiało krakanie wron, których całe stada krążyły niespokojnie ponad ostygłymi kominami.

Maciek nie żałował Miasta ani jego mieszkańców, ale przyglądał się temu wszystkiemu z coraz większym wstrętem. Nawet pił już bez ochoty, jakby tylko z przyzwyczajenia.

Sypiał w psiarniach, w burdelach, w piwnicach.

Którejś nocy rozzuchwaleni ozdrowieńcy wdrapali się na wieżę Katedry, rozhuśtali dzwon i wyjąc z uciechy, strzelali przy świetle księżyca ze skradzionych samopałów do spłoszonych wron. Dopiero na ten widok myśliwy niespodziewanie mocno zatęsknił za Lasem, za jego czystym, białym, niewzruszonym spokojem.

Wymknął się z Miasta zaraz następnego ranka, słaby z przepicia, wychudzony, bez łuku i bez sakwy z zapasami. Każdemu z mieszczan taka wyprawa musiałaby wydać się szaleństwem, ale Maciek, chociaż był świadom ryzyka, nie lękał się Lasu. Ufał, że sobie poradzi, a gdyby nawet gdzieś tam w głuszy miała go spotkać w zamieci myśliwska śmierć, nie żałowałby niczego.

Do południa po prostu szedł przed siebie, nie dbając o to, dokąd zaprowadzi go kupiecki trakt. Nie spotkał nikogo, nie widział żadnych śladów poza lisimi i zajęczymi tropami; twarde, zmrożone koleiny wygładził świeży śnieg. Okolica wydawała się bezludna, choć przecież tak niedawno zaprzęgi mknęły tędy jeden za drugim. Nim słońce wspięło się najwyżej, niebo pociemniało, sypnęło gęstym śniegiem i cisza stała się jeszcze dotkliwsza. Niebawem zarys drogi zatarł się zupełnie, nogi grzęzły po kolana w bieli.

Prawie nie podnosił głowy, dlatego zobaczył zasypaną po okna chatę dopiero wówczas, gdy wpadł na krzywy płot. To musiała być jedna z wielu przydrożnych gospód, opuszczona i rozgrabiona. Na frontowej ścianie, przybity gwoździem za skrzydło, wisiał puchacz. Zanim zdechł, musiał długo walczyć o życie, ciemna belka zryta była pazurami. Na podwórzu sterczała spod śniegu sztywna kosmata łapa, na progu otwartych drzwi leżał drugi pies, zaszlachtowany jak koźlę i nadjedzony już przez szczury.

Maćkiem mniej by wstrząsnęło, gdyby zobaczył ludzkie trupy. Nie rozumiał, jak można zabić psa, nawet najlichszego bezpańskiego kundla, a co dopiero takie przydomowe leniwce, potłuściałe na odpadkach, które rzucali im goście. Trudno o bardziej przekonujący dowód, że opowieści o zbuntowanych parszywcach wcale nie były przesadzone. Niebezpieczeństwo czyhało już prawie pod samym Miastem.

Pobieżnie przeszukał domostwo. Gospodarze chyba uciekali w popłochu, nie pozamykali nawet okiennic. Złodzieje zabrali wszystko, co najcenniejsze – pieniądze, żywność, opał, skóry – ale w kuchni na zimnej blasze została patelnia z kluskami. Podgrzał je nad świecą i zjadł na stojąco. Znalazł jeszcze ostry nóż, zapałki i parę karpli wciśniętych za piec.

Wyruszył w dalszą drogę już nie jako obdarty, zabiedzony włóczęga – na powrót stał się myśliwym.

Po raz pierwszy od dawna pomyślał o matce. Nie obawiał się, że coś mogło jej zagrażać. Dla wieśniaków bunt w Kopalni na pewno nie był taką klęską jak dla mieszkańców Miasta. Ludzie Lasu zużywali niewiele węgla, mieli własne zapasy, a w razie potrzeby mogli długo jeszcze obywać się bez niego. Parszywcy nie ośmieliliby się ich zaczepiać, nawet dużą zgrają – co innego złupić samotną gospodę, obedrzeć zapóźnionego na trakcie kupca, a co innego wdać się w bójkę z twardymi chłopakami ze wsi.

O matkę mógł więc być spokojny, a poza nią nie miał żadnego powodu, aby śpieszyć się do domu. Nie ciągnęło go tam. Czuł, że nie tylko świat wokół niego się odmienił, ale

i w nim samym coś pękło, i że nie ma już dla niego powrotu do dawnego życia – do polowań, odpustowych zabaw i zawracania w głowach dziewczynom. Równocześnie nie miał pojęcia, co właściwie miałby dalej robić. Potrzebował czasu, żeby się z tym wszystkim jakoś uporać.

Zboczył z traktu na północ, gdzie rozciągały się niezamieszkane pustkowia. Nie znał dobrze tej okolicy, nigdy tu nie polował, ale przypuszczał, że dalej, gdzie nie było już żadnych osad, nie spotka także parszywców.

Późnym popołudniem, kiedy śnieżyca zaczęła słabnąć, dostrzegł w oddali sterczący nieruchomo ponad rowem Czarnego Szlaku komin parowozu. Nie widział dymu ani pary, nie słyszał głosów sprzątaczy. Zbliżył się ostrożnie, przykucając za zaspami, a potem czołgając się na łokciach, ostrożnie wyjrzał zza lodowej krawędzi.

Szlak był bielutki jak nigdy – od wielu dni nie przejechał tędy ani jeden wózek z węglem. Wykolejony parowóz stał przechylony nieco na bok, ukosem do niewidocznych spod śniegu torów. Ktoś musiał rozkręcić w tym miejscu szyny. Z tyłu, w otwartym wagonie, leżały rzucone bezładnie trupy sprzątaczy, niektóre odarte z ubrań. Ciało palacza czerniało w zaspie po drugiej stronie torowiska, widocznie próbował uciekać, nim dopadli go napastnicy.

Maciek odpiął karple, zeskoczył do rowu, a później, zerkając czujnie na boki, wspiął się po drabince do budki lokomotywy. Kiedy otworzył drzwiczki, ze środka wypadł technik, zesztywniały w przysiadzie. Ktoś roztrzaskał mu kask razem z czaszką jakimś ciężkim narzędziem, może kopalnianym kilofem.

Maciek zaklął na głos, ale zaraz podciągnął się wyżej. Nie tracił czasu na przeszukiwanie budki – zabrał tylko świecę dymną, zgarnął rozsypane pod wystygłym paleniskiem bryłki węgla i zarzucił na ramię bukłaczek zlodowaciałego kumysu, którym wzgardzili bandyci. Potem wdrapał się na oblodzony daszek i przeskoczył stamtąd na północny kraniec Szlaku.

Od razu ruszył pokracznym, ciężkim biegiem, sapiąc chrapliwie. Żałował, że przestało sypać – tylko świeży śnieg mógł sprawić, by Podgórze wyglądało jak dawniej.

Noc spędził w wypalonym wnętrzu potężnego dębowego pnia. Na garści węglowej drobnicy i wiórach rozniecił mały ogienek, ogrzał się trochę i rozmroził kumys. Drzemał czujnie, budził się na każdy głośniejszy szelest. Po zmroku nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien włóczyć się po Lesie – ale w tych niespokojnych czasach niczego już nie można było być pewnym.

Rankiem wytropił zającą norę z pięcioma młodymi. Powybierał je kolejno, pozaduszał i przytroczył za skoki do pasa. Bez łuku musiał się zadowolić tak lichą zdobyczą.

Z każdym krokiem zagłębiał się w odludny kraj bez wsi, kupieckich traktów i gospód, gdzie nie docierały żadne echa ludzkich szaleństw. Im głębiej wdychał mroźne i czyste powietrze, tym bardziej zdumiewał się, że potrafił tak długo wytrzymać w zaczadzonych i brudnych piwnicach Miasta. Znosił to chyba tylko dzięki gorzałce; tutaj nie czuł najmniejszej potrzeby, żeby się napić. Maszerując poprzez lśniące w słońcu, ciche pustkowie, zdrowiał na duszy i ciele.

Zapatrzony w roziskrzoną dal prawie wpadł do głębokiego wykopu wypełnionego w połowie sypkim śniegiem. Wiedział, że mu się poszczęściło – kopacz, który tu się

natrudził, zapewne wygarnął wszystkie liście i żołędzie, ale na dnie lodowej dziury musiały zostać kawałki kory, połamane patyczki, może parę suchych szyszek. Wszystko to mogło się przydać na opał. Skoczył na dół, szybko wyrzucił śnieg, a potem napchał kieszenie i zanadrze leśnym śmieciem.

Długo rozglądał się za jakimś schronieniem na noc. Bez noża do wykrawania śniegowych cegieł nie mógł postawić nowej koliby, ale w ostatnich blaskach słońca wypatrzył starą, wpółzawaloną. Wyporządził ją naprędce, jak zdołał. Przy robocie towarzyszyło mu krakanie wron, które niespodziewanie zaciągnęły zmierzchające niebo ogromną chmarą. Rzadko widywał je tak daleko od ludzkich siedzib, a już na pewno nie w takiej liczbie. Z ulgą rozprostował kark, gdy wreszcie, zatoczywszy szeroki łuk, odleciały z powrotem na południe.

Na wieczerzę zjadł opieczone z grubsza kocię, popił wrzątkiem doprawionym odrobiną żywicy, którą zeskrobał z sosnowej kory. Chociaż tym razem zasnął mocno, rozgrzany, bezpieczny w myśliwskiej kryjówce, w środku nocy się obudził. Przez jakiś czas leżał na plecach bez ruchu, wpatrzony w czarny otwór dymnika, daremnie próbując dociec przyczyny wzbierającego w nim niepokoju. Na zewnątrz wciąż było cicho i bezwietrznie, nie słyszał kroków człowieka czy zwierzęcia – a przecież miał mocne przeczucie, że dzieje się coś złego.

Podniósł się bezszelestnie, włożył nóż między zęby i powoli wysunął się na czworakach przez niskie wejście.

Niewiele widział w słabym blasku chudego księżyca, tylko obłe garby zasp. Dopiero gdy wstał, zobaczył czerwoną łunę na południu na tle mrocznej ściany gór.

Domyślił się, że to płonie Miasto – nie tylko zamieszkane dzielnice, ale chyba i sama Ciepłownia z hałdami węgla, stosami drewna, beczkami smoły, skrzyniami prochu; z halami, maszynami, parowozami; z leśnym zakątkiem pod dachem, z biblioteką; z wszystkim, co Ciepłownik wskrzesił z martwych i ocalił od zapomnienia.

Ogień trawił przyszłość, która już nigdy nie miała się ziścić.

Trzy kolejne dni i noce przesiedział w kolibie, słuchając nieustannego zawodzenia wiatru. Uporczywa zamieć słabła chwilami, mogło się zdawać, że niedługo ucichnie, ale potem wzmagała się na nowo i jeszcze zacieklej siekła kopułkę koliby. Zjadł na surowo resztki zajęczego mięsa, zgryzł nawet kruche kosteczki i przeżuł skórę, a potem głodował, ssąc koniuszek myśliwskiego pasa. Skąpo dosypywał do małego ognia suchej ściółki, tyle tylko, aby utrzymać żar.

Ale nie martwiła go burza, nie śpieszył się nigdzie. Miał okazję, aby zebrać rozproszone myśli i jaśniej zobaczyć samego siebie. Uznał, że jeśli w tym czasie pożoga wypali ten cuchnący, ropiejący wrzód, jakim było Miasto, jeśli śnieg pogrzebie tysiące darmozjadów, przez których coraz trudniej było na Podgórzu o drewno i zwierzynę, dobrze się stanie. Może tego właśnie potrzebowali – może tylko taki srogi dopust Boży mógł zawrócić ludzi ze ślepej uliczki, w którą poprowadził ich Ciepłownik.

Kiedy się wreszcie rozpogodziło i mógł się wygrzebać spod zwałów nawianego śniegu, oślepiła go jasność poranka, aż pociekły mu łzy. Było mu lekko i radośnie, jak dawniej, gdy nie musiał jeszcze szukać odpowiedzi na tyle trudnych pytań. Życie na powrót stało się zrozumiałe, odzyskało dawny powab. W taki słoneczny, błękitnobiały dzień gotów był nawet uwierzyć, że uda mu się jeszcze upolować tłuściutką fokę.

Niedbale omiótł spojrzeniem podnóża Gór i odwrócił się plecami do zgliszczy Miasta, które tliło się pewnie jeszcze gdzieś tam w ich cieniu.

Od pierwszych ciepłych jezior na północnym pustkowiu dzielił go jeszcze szmat drogi. Dotarcie tam bez zaprzęgu, bez zapasów i bez łuku było wyzwaniem bardzo ciężkim, lecz nie wahał się ani chwili. Czuł, że jeśli teraz sobie poradzi, jeśli odrodzi się jako myśliwy, na zawsze będzie mógł zapomnieć o swoim miejskim upadku.

Nie zboczyłby na to wzgórze – szkoda byłoby mu sił i czasu – gdyby nie zagubiona w zamieci wrona, która poderwała się nagle z płaskiego wierzchołka, spłoszona jego krokami. Przypuszczał, że po długiej burzy ptak był równie wygłodzony co on sam, a z góry mógł przecież dostrzec o wiele więcej.

Nadłożenie drogi opłaciło się, chociaż nie bardzo sowicie. Na wzgórzu znalazł tylko lisią łapę w potrzasku. Wydobył ją spomiędzy żelaznych zębów, ściągnął nożem skórę i ogryzł starannie chudy gnat, nie zważając na wronę, która krążyła nad nim, kracząc radośnie. Na koniec wydłubał końcem noża szpik, oblizawszy palce, naciągnął rękawice i przez chwilę przypatrywał się krwawemu tropowi, który zbiegał łagodnym zboczem po drugiej stronie wzgórza.

– Foczka może zaczekać – mruknął. – Najpierw poszukam ciebie, kłusowniku.

Wiedział, że zwierzę odgryzło sobie nogę, aby uwolnić się z potrzasku, ale przedłużyło życie ledwie o parę dni – okaleczone w ten sposób nie mogło polować. Ogarnęła go zawzięta nienawiść, jak zawsze, kiedy patrzył na kłusowniczą robotę, lecz tym razem było to coś więcej: chciał wyrównać porachunki z Miastem – za ojca, za siostrę, za siebie.

Idąc za tropem, czytał w nim całą krótką historię lisiej ucieczki. Trójnogi kaleka męczył się w głębokim śniegu, przystawał często albo kładł się, żeby polizać krwawiący kikut. U stóp wzgórza chyba zwęszył niebezpieczeństwo, próbował jeszcze umknąć w kilku koślawych susach, ale kłusownik, który wyskoczył zza zaspy, dopadł go i przetrącił mu grzbiet.

Maciek od razu podążył za śladami człowieka. Tamten przyszedł bez karpli i musiał być bardzo wyczerpany, bo słaniał się na nogach i co kilkanaście kroków padał na kolana. Myśliwy nie szukał długo – niebawem w płytkiej, osłoniętej od wiatru kotlince dostrzegł jakieś ułamki ruin. Ponad śnieg sterczały tylko na wysokość kolan dwie ściany bez dachu, w kącie między nimi piętrzyła się kupa gruzu, z której ulatywała jasna smużka dymu.

To musiał być jeden ze składzików drwali – lecz oni nigdy przecież nie chodzili do Lasu samotnie ani nie zastawiali sideł. Kłusownicy okradali czasem takie schowki, ale na pewno nie gospodarzyli w nich jak u siebie, rozpalając ogień. Może był to więc zbiegły

pokutnik albo uciekinier z płonącego Miasta, który zagubił się na pustkowiu?

Tak czy siak, musiał to sprawdzić, aby mieć spokojne sumienie.

Przykucnął za lodową bryłą. Ktokolwiek się tam schronił, mógł strzelić do niego z samopału ponad wykruszonym murkiem. Powinien zaczekać, aż tamten sam wyjdzie z ukrycia, i zaskoczyć go z nożem w dłoni, ale był zbyt słaby na takie podchody, poza tym bał się, że zaśnie.

W końcu, rozdrażniony własnym niezdecydowaniem, wstał i zbliżył się całkiem jawnie, nie starając się nawet stąpać po cichu.

– Hej tam! – zawołał. – Wyłaź.

Nie uzyskał odpowiedzi, ale żelazna rura piecyka ukryta w stercie kamieni przestała kopcić.

– Wyłaź, mówię! – krzyknął głośniej. – Chcę cię zobaczyć.

W ruinie nadal panowała cisza, nie usłyszał choćby szelestu.

– Dobra, cwaniaku, miałeś swoją szansę. Teraz to ja pójdę po ciebie.

Drewniana klapa pośrodku zwaliska chroniła piwnicę przed dzikimi zwierzętami, ale przed ludźmi mógł ustrzec ją jedynie uświęcony obyczaj. Maciek podważył deskę końcem noża i otworzył właz. Z dołu buchnął parą ciepły mrok. Nie zobaczył drabiny, pewnie rabuś ją odsunął. Nie wiedział, jak tam jest głęboko. Gdyby zeskoczył, tamten, oswojony z ciemnością, miałby nad nim przewagę, mógłby go zadusić nawet gołymi rękami.

– Tak mnie nie przechytrzysz, złodziejska gnido. – Splunął do otworu. – Wywlekę cię stamtąd za kudły.

Zdał sobie sprawę, że ta pusta pogróżka obnażyła jedynie przed przeciwnikiem jego bezradność. Zaklął; poszukał w kieszeni zapałek, żeby choć trochę rozproszyć ciemność – i naraz przypomniał sobie o świecy dymnej, którą ukrył w zanadrzu.

W błysku zapałki zdążył zobaczyć pękaty dzban pod ceglaną ścianą, jakieś skrzynki i piłę. Rzucił świecę i piwnicę szybko wypełnił gęsty dym. Nie czekał długo – usłyszał pokasływanie, chrobot przesuwanej drabiny, pośpieszny stukot butów na szczeblach. Zaraz potem pośród ciemnych kłębów zamajaczył jasny owal wymizerowanej twarzy.

Ręce mu opadły, nóż wyślizgnął się z dłoni.

– Jezus Maria… Kaśka!

Wyskoczyła z piwnicy i od razu rzuciła się do ucieczki. Pobiegł za nią dopiero po chwili, otrząsnąwszy się ze zdumienia. Bez rakiet nie mogła mu umknąć; dogonił ją łatwo, objął wpół i przewrócił. Broniła się jeszcze, kopała i drapała, lecz rychło osłabła w jego uścisku.

– To ja, Maciek! – wydyszał jej prosto w ucho. – Nie poznajesz mnie?

Nie odwróciła głowy, aby na niego spojrzeć, ale jej oddech z wolna się uspokajał.

– Zostaw mnie – poprosiła cicho.

– Nie zrobisz nic głupiego?

– Zrobię.

– Co w ciebie wstąpiło? Jestem twoim bratem!

– Po coś mnie tu wytropił?

Wstał zagniewany, otrzepał brodę ze śniegu.

– Wytropiłem cię w Ciepłowni. Potem już przestałaś mnie obchodzić.

Naciągnęła kaptur i skuliła się na śniegu.

– Więc nikt cię nie nasłał? – zapytała głucho.

Roześmiał się niewesoło.

– Myślałem, że znasz mnie trochę lepiej.

Usiadła wreszcie z ociąganiem, chowając w rękawy kubraka gołe, zziębnięte dłonie.

– Przytknij mnie w nos, jak dawniej, kiedy byliśmy mali. Inaczej pomyślę, że mi się tylko śnisz. – Po raz pierwszy podniosła na niego wzrok, krótko i lękliwie, mokre oczy lśniły w słońcu. – Co tu robisz?

– Dużo pytań jak na początek. – Splótł ramiona na piersi. – Skoro już przyłapałem cię na kłusowaniu, przyzwoicie będzie, jeśli zaprosisz mnie chociaż na pieczyste.

Maciek odbił deskę zasłaniającą małe okienko pod samym stropem, aby przewietrzyć zadymioną piwniczkę, ale gdy po pewnym czasie spostrzegł, że Kaśka drży przy blaszanej beczce przerobionej na piecyk, zasłonił na powrót lufcik i zamknął klapę włazu. Dziewczyna zapaliła w ciemnościach łojową lampkę z ubitym uchem. Myśliwy przysiadł na pustej skrzynce, przewrócił na drugą stronę paski mięsa skwierczącego na rozgrzanym wieku beczki i nalał sobie z dzbanka do wyszczerbionego kubka gęstego kumysu, mocno zaprawionego kozią krwią.

Zjedli w milczeniu, jakby nie było o czym rozmawiać, choć przecież tak wiele się zmieniło, w nich i dokoła nich. Oboje mieli coś do ukrycia, sprawy i myśli, którymi nie chcieli się dzielić. Musieli się najpierw poznać, jak obcy, zaufać sobie, a dopiero potem ostrożnie wydzierać jedno drugiemu prawdę słowo po słowie, zmagając się ze wstydem, gniewem i poczuciem winy.

Maciek przyjrzał się siostrze spod oka, z niedowierzaniem kręcąc głową. Nigdy jeszcze nie spotkał na północ od Czarnego Szlaku kobiety i nie wyobrażał sobie nawet, że któraś mogłaby aż tutaj zawędrować. Zresztą po co? Każda rozsądna dziewczyna powinna wiedzieć, że nie poradzi sobie sama na pustkowiu.

A jednak – Kaśka jakoś sobie radziła. Znalazła schronienie, rozpaliła w piecu. Nie wdepnęła w potrzask, tylko wygrzebała go spod śniegu i wykorzystała do zdobycia jedzenia. Tymczasem on, myśliwy, człowiek, który więcej życia spędził na łowach niż w domu, przywlókł się do niej w gości, zmarznięty i głodny.

Przemógł się wreszcie, odchrząknął zawstydzony.

– A więc uciekłaś od swojego technika – stwierdził raczej, niż zapytał.

– Nie chcę o tym mówić. – Przygarbiła się mocniej.

– Wiedziałem, że to się tak skończy. Trzeba było szukać sobie męża w Lesie. Bił cię?

– Nie bądź głupi.

– Więc co? Nie posprzeczaliście się przecież o to, kto będzie spał przy ścianie.

Bez słowa otworzyła wycięte z boku beczki drzwiczki, wrzuciła dwie szczapki. Maciek wzruszył ramionami.

– Dobra, twoja sprawa. Nie jestem ciekawski. Będziesz się tłumaczyć matce.

Potrząsnęła głową.

– Nie wrócę do domu.

– Co znowu za brednie? – Zapieklił się. – Ona czeka na ciebie!

– Nie rozumiesz? Nie mogę wrócić. Będą mnie tam szukać.

– Kto? Tamten wygolony chłoptaś? Już go pewnie zaciukali parszywcy albo usmażył się w pożarze. – Nawet w słabym świetle dostrzegł, że Kaśka pobladła, dodał więc łagodniej: – Zresztą czort jeden wie, mógł się z tego jakoś wywinąć. Tak czy siak, ma na razie własne kłopoty. Dla takich jak on lepiej teraz nie pchać się ludziom w oczy. Nawet gdyby skrzyknął jakichś strażników, żeby cię odbić, nasi chłopcy będą wiedzieli, jak ich przyjąć.

– O czym ty mówisz? – Jej zdumienie było tak szczere, że Maciek od razu zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

– Nic nie wiesz o buncie parszywców? – Pochylił się ku niej. – Jak długo tu siedzisz?

– Nie liczę dni… Co tam się stało, Maciek?

– Wygląda na to, że parszywcy puścili Miasto z dymem. Bardzo możliwie, że sam Ciepłownik już kwiczy w piekle. Chyba po nim nie zapłaczesz?

Nie odpowiedziała. Maciek pogładził ją niezręcznie po włosach; nie uchyliła się, ale i nie okazała żadnym gestem serdeczniejszych uczuć. Siedzieli więc tylko naprzeciw siebie w półmroku, a milczenie z każdą chwilą ciążyło im coraz bardziej.

– To składzik drwali – odezwał się wreszcie, wydłubując końcem noża zaprawę ze ściany.

– Wiem, znowu złamałam zasady. Same ze mną kłopoty. – Wzruszyła ramionami. – Wolałbyś, żebym umarła z głodu?

– Tego nie powiedziałem. Drwale teraz siedzą we wioskach, ale kiedy tylko ta ruchawka trochę się uspokoi, znowu ruszą do Lasu. Wiesz, co z tobą zrobią, kiedy cię tutaj znajdą?

– Poszukam innego miejsca.

– Opamiętaj się! Póki trwa lato, może jakoś się uchowasz, ale co dalej? Nikt jeszcze nie przezimował na północy.

– Więc ja będę pierwsza. Wrócę, jak urodzę.

Maciek zamarł z kubkiem uniesionym do ust; potem odstawił go ostrożnie, jakby bał się uronić choćby kroplę.

– Przed czym ty próbujesz uciec, Kaśka?

Parsknęła ni to gniewem, ni śmiechem.

– A ty?

– Co ja?

– Musiałeś bardzo się śpieszyć, skoro zapomniałeś zabrać zaprzęgu i broni.

– Nie będę tego dłużej słuchać – powiedział bardzo spokojnie. – Jutro zabieram cię do matki.

– Zrozum, ja…

– Pójdziesz ze mną, choćbym musiał zawlec cię tam na postronku jak kozę.

Położył się na stercie pustych worków i odwrócił twarzą do ściany.

Długo jeszcze wiercił się i sapał, nim uświadomił sobie, co nie pozwala mu zasnąć:

żadne z nich ani słowem nie wspomniało o ojcu.

Dał się zaskoczyć, bo wciąż jeszcze za bardzo ufał swoim myśliwskim nawykom, które nieraz ratowały mu życie. Dotąd zawsze mógł spać spokojnie na pustkowiu po zachodzie słońca, jeśli tylko miał dach nad głową i trochę opału. Dzikie zwierzęta nie zbliżały się tam, gdzie czuły dym, a ludzie, dobrzy czy źli, nie włóczyli się nocą po Lesie.

Ale teraz zmieniło się i to. Nikt już nie mógł pozwolić sobie na beztroski sen.

Ocknął się nagle na odgłos kroków, usiadł w ciemnościach. Tamci się nie skradali, kolce zgrzytały na lodzie i podzwaniały na cegłach. Kręcili się po gruzowisku, aż któremuś zadudniła pod butami przysypana cienką warstwą śniegu klapa od piwnicy. Odrzucili ją.

Maciek zobaczył kołyszącą się na łańcuchu latarnię. Zmrużył oczy; dostrzegł tylko kilka zakapturzonych, pochylonych cieni. Wiedział, że to pokutnicy, choć nie mieli dzwonków. Tylko oni mogli wędrować mroźną nocą, rozgrzewani przez parcha.

– Niespodzianka! – zaseplenił któryś, opuszczając latarnię niżej. – Goście!

Maciek kątem oka zerknął na Kaśkę. Spała mocno, zawinięta w wyliniałą niedźwiedzią skórę, niewidoczna w ciemnym kącie piwnicy.

– Mam tu tylko pół lisa i dzban kumysu – odezwał się półgłosem. – Weźcie to i zostawcie mnie w spokoju.

– Gardzisz naszym towarzystwem, przyjacielu? – Parszywiec zaczął schodzić po drabinie, rozkołysana latarnia rzucała na ściany świetliste kręgi; pozostali przyglądali się z góry. – Trudno, będziesz się musiał przyzwyczaić. Niedługo wzejdzie słońce, w samą porę znaleźliśmy to twoje przytulne gniazdko.

– Wynoście się!

– Bądź rozsądny, niech cię nie zaświerzbi ręka. Pamiętaj, że ja nie potrzebuję broni, wystarczy mi na ciebie splunąć.

Gdy zeskoczył z ostatniego szczebla, Maćka owionął odrażający smród.

– Bladziutki jesteś, przyjacielu. Boisz się? – Wyciągnął obrzękłą dłoń z kołkowatymi kikutami palców. Myśliwy cofnął się, aż dotknął plecami zimnego muru. – I słusznie. Nie chcę cię dotykać, ale mógłbym otrzeć się o ciebie przypadkiem w tej ciasnocie. – Westchnął, udając zafrasowanie. – Cóż, jeśli zechcesz nas pożegnać, nie zatrzymuję cię. Zostaw tylko buty.

– Co?

– Słyszałeś. – Przysunął się jeszcze. Maciek wciąż nie widział jego twarzy, ale zrobiło mu się słabo od cuchnącego oddechu. – Czeka mnie trudna droga na Lodowiec, potrzebuję dobrych butów.

– Równie dobrze mógłbyś mnie od razu zabić.

– Nie przesadzaj. Zostawię ci swoje. Zdarły się mocno na Czarnym Szlaku, ale pochodzisz w nich jeszcze trochę.

– Nie założę butów parszywca.

– Więc pójdziesz dalej boso.

– To rozbój!

Buntownik zsunął kaptur na plecy. Maciek zobaczył pożółkłe białka jego oczu z krwawymi zaciekami w kącikach.

– Rozbój, mówisz? A jak nazwiesz strzelanie z łuku do bezbronnych pokutników, dzielny myśliweczku?

Chłopak zacisnął dłoń na rękojeści noża za pasem.

Żółte oczy zwęziły się.

– Nie, Maciek! – zawołała nagle Kaśka ze swojego kąta.

Cienie nad włazem skupiły się ciaśniej. Parszywiec odwrócił się, czujnie wyciągając szyję.

– To twoja dziewczyna? Słuchaj się jej zawsze, przyjacielu, bo chyba ma więcej rozsądku od ciebie.

Maciek z wielkim trudem zapanował nad sobą.

– Dostaniesz te buty, tylko pozwól nam odejść.

– Nie ma pośpiechu. Od lat nie widziałem żadnej ładnej buzi. – Zarechotał obleśnie.

Podszedł do Kaśki, uniósł latarnię i z bliska oświetlił jej twarz.

Maciek sapał chrapliwie. Mocno zaciskał dłoń na trzonku noża, aż pobielały mu kostki. Dziewczyna drżała, ale nie cofnęła się.

Parszywiec milczał jakiś czas, potem odezwał się innym tonem:

– Odgarnij włosy z twarzy. – Odczekał chwilę, a gdy Kaśka ociągała się, powtórzył z naciskiem: – Odgarnij albo ja to zrobię.

Szybkim ruchem odrzuciła na boki splątane kosmyki.

Parszywiec skinął głową. Powiesił latarnię na haku w ścianie i odstąpił o krok.

– Tak właśnie mi się zdawało, że to ty. Przyszłaś w Ciepłowni pod płot schroniska, żeby spotkać się z ojcem.

Kaśka posłała mu szybkie, przestraszone spojrzenie.

– Skąd o tym wiesz?

– Widziałem cię tam. To ja urządziłem wam tę schadzkę.

– Znałeś mojego ojca?

– Może nawet zostalibyśmy przyjaciółmi, gdyby nie to, że parszywcy nie miewają przyjaciół. – Pokrzywionym kciukiem wskazał drabinę. – Dobra, zabieraj swojego narwanego nożownika i możecie iść.

Przemknęła obok niego i przylgnęła do boku brata. Maciek zaszurał w miejscu, zerkając niepewnie w górę, gdzie pomiędzy kapturami w otworze włazu już zaczynało blednąć niebo.

– A buty?

– Zatrzymaj je, to chyba jednak nie mój rozmiar.

– Dziękujemy… – szepnęła Kaśka. – Niech Bóg będzie dla ciebie miłosierny.

Pokutnik usiadł na skrzynce, wyciągając nogi w stronę pieca.

– Bóg nie zawraca sobie głowy takimi śmieciami jak ja. A dziękować nie masz za co, bo tak czy inaczej nie pożyjecie długo. Za nami idą następni. Setki, tysiące. Wszyscy, którzy potrafią jeszcze utrzymać się na nogach.

– Czego tu szukają? – spytał Maciek.

– Spalili Ciepłownię, rozgonili mieszczuchów, wytłukli techników, a strażników wrzucili żywcem do hutniczego pieca. Ale niedługo trwała ta uciecha, makownica szybko się skończyła. Co mieli robić? Ruszyli na Lodowiec. Lucyfer to ich ostatnia nadzieja. – Zakaszlał, otarł rękawem krwawą plwocinę z brody. – Moja także.

– Róbcie, co chcecie. To nie nasza sprawa.

– Dawniej chyba nie byłeś taki wyrozumiały dla zbiegów z Kopalni, co, myśliweczku? Cóż, czeka cię jeszcze jedno polowanie, ale tym razem to ty będziesz zwierzyną. Jeśli was złapią, przekonacie się, jacy potrafią być pomysłowi w zadawaniu bólu.

– Nie wierzę! – Wzdrygnęła się Kaśka. – Przecież na Podgórzu zawsze było tak spokojnie…

– Spokojnie? Dla ciebie może i tak, panienko. Chodziłaś sobie na tory, żeby zbierać węgiel i wdzięczyć się do chłopców z parowozów. Najgorsze, co ci się mogło przytrafić, to potknięcie o jakiegoś sztywnego parszywca w śniegu. Pewnie nigdy nawet nie pomyślałaś, że te wszystkie trupy to cena za ciepełko u ciebie w chacie

– Nie mów tak, to nieuczciwe… – Zwiesiła głowę.

– Nieuczciwe? W takim razie powiem ci coś jeszcze, ślicznotko. Nie jesteś ciekawa, czemu pokutnicy zbuntowali się właśnie teraz? Nikt tego nie wie, nawet oni sami. Nikt oprócz mnie. – Jego oczy błysnęły w złym uśmiechu. – Poszło o miłosne igraszki jednej swawolnej panny z Lasu z przystojnym technikiem.

Kaśka nagle mocniej zaciążyła na ramieniu brata.

– Nie wierzę ci.

– Ja wysadziłem kierat w Kopalni, ale wymyślił to twój ojciec. Gotów był na wszystko, byle tylko wydostać cię z Ciepłowni.

– Nie wierzę ci! – powtórzyła porywczo. – Ojciec nie naraziłby na cierpienie tylu niewinnych ludzi.

– Nie przewidział, jaką burzę rozpęta. Chciał tylko przerwać Czarny Szlak, ale kiedy runęła wieża, parszywcy zabili pierwszego strażnika i zapachniała im krew, nikt już nie potrafił nimi pokierować.

Maciek w zadumie zebrał w garści brodę.

– A Ciepłownik? Co się z nim stało?

– Podobno zginął w płomieniach. Parszywcy obnosili nawet po Mieście jakiegoś zwęglonego trupa, ale nie dało się go rozpoznać. A co, żałujesz go?

– Żałuję tylko, że tego nie widziałem. – Pociągnął Kaśkę do drabiny, ale obejrzał się jeszcze: – A z ojca jestem dumny. Jeśli nawet oszalał, pożar Miasta wart był każdej ceny.

Zatrzymali się na lodowym grzbiecie jakiegoś wzniesienia, odwróceni plecami do przenikliwego wiatru, i wypatrywali słońca. Chociaż twarze obwiązali szalami po same oczy, od mrozu drętwiały im policzki i cierpły zęby.

– Naprawdę z nim rozmawiałaś? – zapytał Maciek zduszonym głosem.

– Z kim?

– Z ojcem.

Poprawiła kaptur, przytupując w miejscu dla rozgrzewki.

– Tak.

– Co mówił?

– Chciał mnie ostrzec… Nie uwierzyłam mu wtedy.

– Ostrzec przed czym? Przed buntem parszywców?

Długo zwlekała z odpowiedzią, zapatrzona w siną mgiełkę na wschodzie, która już zaczynała opalizować w pierwszym brzasku.

– Ojciec jak to ojciec – odezwała się wreszcie niemal opryskliwie. – Nie uznawał łatwych dróg.

– Taak… Żeby do ciebie dotrzeć, wybrał chyba najtrudniejszą. Bardzo cię kochał. – Maciek bez celu grzebał czubkiem buta w śniegu. – Ze mną prawie nie rozmawiał.

– Bo był pewien, że ty zawsze wiesz co zrobić. – Kaśka ujęła go mocno pod rękę.

– No to się pomylił. Nigdy jeszcze nie byłem tak bezradny jak teraz. Czy pójdziemy do domu, czy zostaniemy tutaj, i tak wpadniemy w łapy parszywców. A ty chyba nie masz wśród nich już więcej przyjaciół?

W milczeniu pokręciła głową.

Maciek spojrzał w lewo, gdzie na północnym widnokręgu zarumieniła się w słońcu cieniutka pręga Lodowca.

Kaśkę przytłaczał ogrom lodowego urwiska. Gdy zadarła głowę i zobaczyła popielate chmury, które wypływały zza jego poszarpanej krawędzi, miała wrażenie, że Lodowiec lada chwila zawali się pod własnym ciężarem i pogrzebie ich oboje bez śladu.

– Spokojnie, nie będziemy się tam wspinać. – Głos Maćka przywołał ją do rzeczywistości. – Schowamy się i przeczekamy, aż wszyscy parszywcy pójdą do diabła.

Rozejrzała się bez przekonania pośród rumowiska u podnóża popękanej, niebosiężnej ściany.

– Znasz tu jakąś kryjówkę?

– Pewnie, inaczej bym cię tutaj nie ciągnął.

– Myślałam, że przy Lodowcu jest bardzo niebezpiecznie. Podobno czasem nawet można usłyszeć… – Nie dokończyła, znów zerknęła spod kaptura do góry.

– W taki pochmurny dzień jak dzisiaj, bez słońca, nie musisz się o to martwić.

– A co będzie, kiedy się rozpogodzi?

– Święty spokój miałaś u matki pod pierzyną – zniecierpliwił się – trzeba było stamtąd nie wyłazić.

Długo jeszcze błądzili w granatowym cieniu Lodowca, ostrożnie stąpając po kruszywie. Maciek zaglądał do każdej szczeliny, przykładał ucho do lodu, miejscami rozgrzebywał śnieg. Na pytania siostry odpowiadał tylko gniewnym posykiwaniem; im bliżej było wieczoru, tym bardziej posępniał.

– Wszystko się tu pozmieniało po ostatnim Wietrzysku. – Oparł ręce na biodrach

i spojrzał na różowiejące od spodu chmury na zachodzie. – Nie wiem, czy trafimy przed nocą.

– Może powiesz mi chociaż, czego szukamy?

Machnął ręką zniechęcony, ale zaraz potem wyprostował się nagle, odchylił kaptur i położył palec na wargach.

– Cii… Słyszysz?

Kaśka zmarszczyła ubielone brwi.

– Coś pluska, jak mleko w cebrze.

– To musi być tutaj. Szybko, pomóż mi, zanim się ściemni!

Kopali rękami w zmrożonym śniegu, okutymi obcasami kruszyli lodową skorupę, odrzucali ciężkie bryły. Coraz wyraźniej słyszeli cichy chlupot. W końcu dostrzegli na dnie wykopu słabe lśnienie wody.

Kaśka ściągnęła rękawicę, położyła się na brzuchu i sięgnąwszy w głąb, zanurzyła palce.

– Ciepła! – krzyknęła zdumiona.

– Pewnie, inaczej by zamarzła. Wskakuj.

– Co?

– Tędy pójdziemy dalej.

– Woda płynie pod Lodowiec!

– I bardzo dobrze. Tam nikt nie będzie nas szukać.

Podniosła się, przysiadła na piętach.

– Zwariowałeś! Ja tam nie wejdę. Utkniemy w tej dziurze. Jezu Chryste, Maciek! Nie mogę…

– Czujesz ten zapach?

Pochyliła się znowu, pociągnęła nosem.

– Śmierdzi jak w obórce.

– To foki. Jeśli one się prześlizgnęły, my też damy radę. Im można zaufać.

– Nie wiem tylko, czy dobrze zrobiłam, że zaufałam tobie.

– Za późno na wątpliwości, siostrzyczko. Obejrzyj się.

Daleko na południu, w gęstniejących ciemnościach, jedno po drugim rozżarzały się chybotliwie światełka latarni; niebawem pokryły całą połać Lasu, jakby rozpogodzone niebo strząsnęło na śnieg wszystkie gwiazdy.

– Aż tylu ich…? – Przelękła się Kaśka.

– Będzie więcej. Pierwsi dotrą tu jeszcze przed świtem.

Przeżegnała się pośpiesznie, głęboko zaczerpnęła powietrza i zsunęła się do wykopu.

Niegłęboka woda ciurkała po żwirowym dnie, żłobiąc pod lodem wąski przesmyk. Kaśka musiała się posuwać na łokciach i kolanach, w całkowitych ciemnościach, popędzana z tyłu przez brata. Szybko przemokła i poobijała golenie na kamieniach. Na szczęście dalej zrobiło się przestronniej, mogła podnieść głowę, a potem nawet wstać. Wąski początkowo strumyk rozlał się szerzej i sięgnął kolan, ze sklepienia kapały gęsto zimne krople. W parnym mroku pluskanie kroków rozbrzmiewało szemrzącym echem.

Nagle dziewczyna pisnęła i odskoczyła na bok, rozchlapując wodę.

– Co tam? – Maciek natychmiast był przy niej.

– Coś zaplątało mi się w nogawkę… Coś żywego!

– Trzeba było łapać, mielibyśmy kolację. – Objął ją wpół. – Chodź, to już niedaleko.

Strumień wciąż wzbierał, z obu stron w ciasnych łożyskach szumiały bystre dopływy. Kaśce, która przez całe życie oglądała wodę tylko w wiadrze, wydawało się, że wartki prąd podetnie jej kolana, porwie ją i uniesie prosto do piekła, lecz mimo to brodziła krok za krokiem, bo Maciek nie pozwalał jej nawet na chwilę odpoczynku.

Raptem znów zaparła się w miejscu.

– Tam dalej coś błyszczy…

Wyciągnęła rękę i wskazała miejsce, gdzie na wodzie drżała plamka zielonkawej jasności, pomarszczona drobną falą.

– To księżyc. Niedobrze, niebo znowu jest czyste.

– Widać go spod lodu? Jak to możliwe?

– Zaraz sama się przekonasz.

Na widok skrawka nieba odbitego w czarnej toni Kaśka poczuła się raźniej. Rozwiało się przykre wrażenie, że zabrnęła w pułapkę bez wyjścia, przestała myśleć o ciężarze Lodowca, który zawisł jej nad głową, nie wsłuchiwała się już ze strachem w nieustanne trzaski i chroboty. Smugi piany wokół wystających ponad powierzchnię kamieni pełgały blado w słabej poświacie.

Maciek pociągnął ją w bok, gdzie słabszy nurt pluskał na płyciźnie. Zapatrzona w pławiący się księżyc nie zauważyła nawet, kiedy wyszli na płaski żwirowy brzeg. Zaskoczyło ją głośne sapnięcie w ciemnościach, gdzieś blisko, i zgrzytanie kamyków pod przemieszczającym się ciężarem.

– To tylko foka – uspokoił ją brat. – Przestraszyła się bardziej od ciebie.

Potarł zapałkę. Kaśka zobaczyła obłożony kamieniami krąg paleniska.

– Ktoś tu już obozował!

– Pewnie – mruknął – ja.

Po raz pierwszy od dawna Kaśka spędziła spokojną, choć prawie bezsenną noc. Polubiła to miejsce, tak odmienne od wszystkiego, co znała. Od razu poczuła się tutaj dobrze, bezpiecznie, jakby do tego ukrytego zakątka nie mogło wedrzeć się żadne zło, lucyferiańskie czy ludzkie.

Była to przestronna, długa, lodowa jaskinia, rozciągnięta nad ciepłym strumieniem o kamienistych brzegach. Sklepienie rozcinała przez całą długość szczelina, obrośnięta przy krawędziach soplami, która po drugiej stronie, gdzieś bardzo wysoko, sięgała powierzchni Lodowca. Dało się przez nią zobaczyć wąskie pasemko nieba, najpierw rozjaśnione poświatą księżyca, potem obsypane gwiazdami, wreszcie zszarzałe o brzasku. W potężnym pęknięciu zawodził wiatr, ale tutaj, na dół, nie docierał nawet najlżejszy powiew.

Te pierwsze od czasu ucieczki z Ciepłowni godziny prawdziwego wytchnienia sprawiły, że rozkleiła się trochę, pochlipała w kołnierz, ale tak, żeby brat niczego nie zauważył. Dopóki czuła się osaczona, zagrożona pościgiem, trzymała się dzielnie – dzielniej nawet, niż sądziła, że potrafi. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać nad tym, że przecież taka

szamotanina nie może trwać bez końca. Nadejdzie dzień, kiedy będzie musiała poszukać bezpiecznego schronienia i zaczekać na to, co nieuchronne.

Odwróciła się na wznak, położyła rękę na brzuchu.

Było tak, jak przepowiedział jej to Ciepłownik. Po pierwszym, trudnym okresie ciąży, kiedy bała się nawet, że straci dziecko, ustąpiły wszystkie dolegliwości. Właściwie czuła się teraz lepiej, niż kiedykolwiek przedtem, silna i wytrzymała. Nie wiedziała, czy to naturalne w jej stanie, czy też może stary lekarz podawał jej w ziółkach jakieś swoje wzmacniające mikstury. Przypuszczała, że jeszcze za wcześnie, aby wyczuć pierwsze ruchy płodu, ale lubiła sobie wyobrażać, że gdzieś tam w głębi już zaczęło pośpiesznie bić maleńkie serce. Budziła się w niej macierzyńska tkliwość. W takich chwilach nie miała wątpliwości, że zniesie wszystko, byle uchronić dziecko przed najgorszym.

Czasem myślała i o Grzegorzu, choć każde takie wspomnienie bardzo bolało.

Jej mąż musiał być świadom zamiarów Ciepłownika wobec niej. Nie mogło być inaczej, żył przecież od lat pośród tych ludzi… tych kobiet. Okłamał ją. Oszukiwał od samego początku; od chwili, gdy spytał, czy za niego wyjdzie. Miała też jednak pewność, że naprawdę ją kochał, i właśnie dlatego było jej tak ciężko. Wszystko to splotło się w jakiś zagmatwany supeł, którego nie umiała rozwikłać. Nie potrafiła ani przebaczyć Grzegorzowi, ani go znienawidzić. Jedynym wyjściem była ucieczka.

Maciek zebrał trochę drewna, które naniosła woda; rozpalił małe ognisko, żeby osuszyć przemoczone ubrania i buty. Znów zagrzechotały kamienie, kilkanaście cieni przemknęło ku wodzie, klasnęły szerokie płetwy – foki pouciekały na drugi brzeg. Dym rozsnuwał się pod sklepieniem i znikał w szczelinie. Zalśniła słabo lodowa ściana, odległa o kilkanaście kroków.

Było tak ciepło, że Kaśka zrzuciła kubrak i rozciągnęła się z ulgą przy ogniu.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że znasz takie miejsce? – zapytała błogo rozleniwiona.

– To tajemnica myśliwych. Nikt o tym nie wie: drwale, kopacze, ksiądz ani nawet twój przemądrzały technik.

Żachnęła się, więc dokończył pojednawczo:

– Jesteś pierwszą kobietą, która tu weszła. Gdyby myśliwi się o tym dowiedzieli, straciłbym prawo do noszenia łuku.

– Dlaczego to takie ważne?

– Tu foki odchowują młode, nie wolno ich zabijać. Jeden kłusownik łatwo mógłby wytrzebić całe stado.

Kaśka przeciągnęła się, rozcapierzając w cieple ognia palce bosych stóp.

– Nie wygadam się – przyrzekła beztrosko. – A dokąd płynie ta cała woda?

– Nie wiem.

– Jak to? Nigdy nie próbowałeś tego sprawdzić?

– Nie – odburknął niechętnie.

– Dlaczego?

– Jesteśmy pod Lodowcem, w krainie Lucyfera! – Rzucił kamykiem w ciemność. – Nigdy o tym nie zapominaj.

Kaśka zasnęła dopiero o świcie, ale na krótko, bo Maciek zbudził ją, klepiąc

w policzek.

– Wstawaj, słońce już wzeszło. To zły czas na sen.

Chciała go ofuknąć i odwrócić się na drugi bok, lecz gdy tylko rozchyliła powieki, zapomniała o wszystkim.

Wielka szczelina w sklepieniu rozmigotała się słonecznym blaskiem, rozproszone w powietrzu drobinki wilgoci rozszczepiały światło na tęczowe refleksy, ruchliwe płatki jasności zdawały się spływać środkiem nurtu.

– Jakie to piękne… – Oczarowana szybko przetarła zamglone snem oczy.

– Lepiej uważaj, niedobrze jest gapić się za długo na słońce. Zwłaszcza tutaj.

– Co w tym złego?

– Łatwo można się zapomnieć. Zresztą nie obudziłem cię na podziwianie ładnych widoków. – Przyklęknął przy niej i zsypał na jej otwartą dłoń kilka rozgrzanych, miękkich kawałków wosku. – Zalepisz tym uszy. Tylko dokładnie, żebyś nie usłyszała śpiewu demonów.

– Przecież jest cicho, nawet wiatr przestał świstać. Jak zaczną śpiewać, zatkam uszy palcami.

– Jak zaczną, już będzie za późno. A ręce przydadzą ci się do innych rzeczy, nie będziesz przecież tak siedzieć do wieczora.

– Patrzeć nie wolno, słuchać nie wolno… Czego mi jeszcze zakażesz?

– Nie narzekaj. Powinnaś się cieszyć, że zostawiłem tu kiedyś stary ogarek. Wystarczy nam wosku na trzy, może cztery dni. Potem będziemy musieli użyć starego myśliwskiego sposobu.

– Jaki to sposób?

– Zatkamy uszy foczym gównem. – Uśmiechnął się krzywo.

Tego ranka zjedli upieczoną w żarze rybę, którą Maciek złapał na płyciźnie. Była niewielka i bardzo oścista, ale to na razie musiało im wystarczyć, mimo że na drugim brzegu umościły się gęsto tłuste, wąsate foki. Można by łatwo zatłuc kilka, choćby dużym kamieniem, ale Kaśka wiedziała, że brat tego nie zrobi, nawet gdyby oboje mieli umrzeć z głodu. Złościło ją to ślepe przestrzeganie łowieckich zasad, i to teraz, kiedy na Podgórzu nic już nie było takie jak dawniej. Złościło ją, że musiała porozumiewać się z nim za pomocą gestów, a on na ogół udawał, że ich nie dostrzega. Złościł nawet słoneczny pożar w szczelinie, który potężniał z upływem czasu. Mimo zmęczenia nie potrafiła już zasnąć przy tym jaskrawym blasku, który przenikał smugą czerwieni nawet poprzez zamknięte powieki.

Wreszcie wstała, żeby przejść się trochę wzdłuż brzegu, poczłapać na bosaka w zielonkawej od porostów, płytkiej wodzie.

W dole strumienia jaskinia się zacieśniała – suchy brzeg stał się ledwie wąską ścieżynką pomiędzy wartką wodą połyskującą pienistymi smugami bystrzyn a lodową ścianą, przybrudzoną domieszką błota, chropawą od piasku, najeżoną skalnymi odłamkami.

Sklepienie opadło tak nisko, że wspiąwszy się na palce, mogła dosięgnąć ręką szczeliny, cieniutkiej tutaj niczym świetlista rysa. Dalej, gdzie strumień wtłaczał się w ciasną gardziel, było już całkiem ciemno, rozpylona w powietrzu wilgoć osiadała na twarzy.

Potknęła się, przystanęła. Znienacka ogarnął ją lęk. Mocniej zabiło jej serce, dłonie spotniały, zaschło w ustach. Woskowe zatyczki w uszach, o których już prawie zapomniała, teraz zaczęły uwierać nieznośnie. Chciała zawrócić, ale gdy się odwróciła i spojrzała na rozświetloną mgiełkę pod szczeliną, zakręciło się jej w głowie i upadła na kolana. Do głowy uderzyła fala ciepła i Kaśka poczuła bolesny ucisk w skroniach, który wzmagał się, gdy próbowała przełknąć ślinę.

Bezwiednie podniosła dłonie do uszu, żeby wydłubać wosk. Wtedy raptem stanął przed nią Maciek. Migotliwa jasność skryła się za jego szerokimi barkami.

Pchnął ją tak mocno, że upadła i stoczyła się z niskiej skarpy brzegowej do wody. Zanim zdołała się podnieść, znowu był przy niej. Chwycił ją za nadgarstek i powlókł po kamieniach na środek strumienia, gdzie kipiała głębsza toń. Nie pozwolił jej nawet złapać oddechu; szarpnął ją za włosy, wtłoczył głowę pod wodę i przytrzymał tak długo, aż przestała kopać. Dopiero wtedy podniósł ją, zarzucił sobie na ramię i półprzytomną zaniósł do gasnącego już ogniska. Położył ją na boku, palcem wygrzebał z ust piasek i muł, przewiązał oczy jakąś szmatą i skrępował ręce na plecach wywleczonymi z butów sznurowadłami.

Do zmierzchu przeleżała w gorączce, wstrząsana drgawkami i dręczona gwałtownymi wymiotami. Chwilami chmury zasłaniały słońce i blask w szczelinie przygasał; nie mogła tego widzieć, lecz mimo to doznawała nieco ulgi. Potem znów się jej zdawało, że w napuchniętych uszach zamiast wosku ma rozżarzone żelazo; czaszkę rozsadzał głuchy łomot tętna. Jednak zarazem na dnie tego cierpienia tkwił już zalążek rozkoszy – wielkiej, bujnej, nieokiełznanej. Narastała pokusa, żeby jej ulec. Żeby słuchać, żeby patrzeć. Żeby nareszcie się wyzwolić, nie tylko z rzemiennych pęt, ale tak zupełnie, ostatecznie, na zawsze. Zaspokoić palącą tęsknotę, której nigdy wcześniej nie znała.

Wieczorem Maciek rozsupłał więzy na jej odrętwiałych rękach, zwilżył spieczone wargi i odetkał uszy. Usłyszała szmer strumienia, szum wiatru i łagodny, niemal tkliwy głos brata:

– Wybacz. Musiałem to zrobić, inaczej byś tego nie przetrzymała. Pierwszy raz zawsze jest najgorszy, a do tego demony śpiewały gdzieś blisko.

Chciała się do niego uśmiechnąć, ale nie zdołała. Głowa opadła jej na bok i Kaśka utonęła w czarnym śnie.

Nazajutrz szczelina nie rozpłomieniła się mocniej ani na chwilę. Od świtu do zmierzchu żarzyła się przytłumionym blaskiem i prószyła śniegiem, który pokrył wystające z wody głazy białymi czapami. Kaśka czuła się jeszcze bardzo słaba, ale nie chciała leżeć – potrzebowała jakiegoś zajęcia dla rąk i dla myśli, skupienia na czymkolwiek zwyczajnym, aby na nowo uwierzyć, że w tym pogmatwanym życiu wciąż jeszcze coś zależy od niej samej.

Wykąpała się w strumieniu, umyła włosy, oczyściła ubranie z przyschniętego mułu.

Nazbierała drewna, oprawiła i upiekła kilka ryb, które przyniósł Maciek. Nie rozmawiali o tym, co wydarzyło się wczoraj, jakby oboje uznali, że trzeba uszanować spokój tego pochmurnego, śnieżnego dnia. Ale wieczorem, kiedy Kaśka wydobrzała już na tyle, że przełknęła nawet kilka kęsów, podniosła wzrok na brata i powiedziała:

– Wątpię, czy przeżyję następny raz.

Zmarszczył czoło, jakby zagniewany, ale po chwili skinął głową.

– Wiem. Jedni lepiej znoszą śpiew demonów, inni gorzej. Myśliwi i drwale przyzwyczajają się do tego powoli, przez lata. Moja wina, powinienem był to przewidzieć.

– Nie obwiniaj się…

– Nie obwiniam, mówię tylko, jak jest. – Wzruszył ramionami. – Musimy wracać do Lasu.

– A parszywcy?

– Spróbujemy się jakoś przemknąć. Jeśli będzie trzeba, rozdzielimy się. Oni wszyscy nienawidzą myśliwych, ale nad samotną dziewczyną może się ulitują.

– Naprawdę myślisz, że mogłabym cię tak po prostu zostawić?

– Nawet powinnaś.

– Za kogo mnie masz?

– Za kogoś, kto musi teraz troszczyć się nie tylko o siebie.

Kaśkę zapiekły policzki. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni myślała o dziecku – i nie mogła.

– Jesteś bardzo rozsądny, jak zwykle. I jak zwykle mam ochotę cię za to udusić!

Położyła się na plecach i wsunąwszy ręce pod głowę, przyglądała się szczelinie, która była teraz ledwie o ton jaśniejsza od czarnego sklepienia. Dorzuciła po chwili:

– Przekłuję uszy grubą ością tak głęboko, aż ogłuchnę.

– Głupia jesteś.

– A rodzice też byli głupi, kiedy się oślepili, żeby nie opętał ich Lucyfer?

– Nie wiesz, o czym mówisz. Śpiew demonów nie tylko się słyszy, ale odczuwa całym ciałem, przez skórę, nawet przez podeszwy butów, w drżeniu lodu.

– Więc po co zatykasz uszy?

– Bo to łagodzi pokusę. Ale dla ciebie i tak będzie za silna. Ulegniesz jej albo umrzesz.

Kaśka nie spierała się dłużej, wiedziała, że Maciek ma rację. Mimo to czuła, że na tej jego racji, chłodnej, poukładanej, wysnutej z doświadczenia, nie można już polegać. Żeby przeciwstawić się Lucyferowi, trzeba było czegoś więcej poza zdrowym rozsądkiem. Potrzebna była jeszcze odrobina szaleństwa.

Ocknęła się z płytkiego snu na syk zalewanego wodą paleniska. Usiadła, rozejrzała się w mroku. Poprzez szczelinę odbijała się w strumieniu smuga jasnej, księżycowej nocy. Oprócz tego nie widziała nic, nawet własnych dłoni, którymi szukała wokół siebie butów.

– Bądź cicho – szepnął jej nad uchem Maciek. – Na górze są parszywcy.

W szczelinie zabełkotały przeciągle jakieś zwielokrotnione echem głosy, zniekształcone tak mocno, że przypominały bardziej zwierzęce pomrukiwanie niż ludzką mowę.

– Skąd wiesz, że to oni? Nie można nic z tego zrozumieć…

– Gdyby z tamtej strony wołała cię po imieniu matka, też byś jej nie zrozumiała.

– Mogą tu zejść?

– Nie. Ale lubią być złośliwi. Jeśli nas usłyszą albo zobaczą ogień, mogą zrzucić jakiś zapaskudzony łach, żeby zatruć wodę.

– To nie staw, wszystko zaraz spłynie.

– Foki uciekną. Na zewnątrz wybiją je buntownicy.

– Foki, foki… A co z nami?

– Musimy się stąd zabierać. Parszywcy nad nami czekają na świt.

– I co z tego?

– Nie rozumiesz? Jeśli pogoda się utrzyma, mogą zwabić tu demony. Zaśpiewają nad samą szczeliną, nie wytrzymamy tego. Ani ty, ani ja.

Chociaż nie mogła widzieć jego twarzy, a głos nawet mu nie zadrżał, zdała sobie sprawę, że Maciek się bał. Strach zaczaił się w jego milczeniu, w gorącym oddechu, w cierpkim zapachu skóry.

– Chodźmy stąd… – W ciemności dotknęła jego dłoni.

Opanował się szybko, wsunął rękę za pas.

– Sznuruj buty. Pójdę pierwszy, sprawdzę, czy przy wyjściu nie ma parszywców.

– A jeśli są?

– Odciągnę ich, ty wymkniesz się potem.

– Nie, Maciek. Pójdziemy razem, ale w drugą stronę, w dół strumienia. Zaczekaj! – Uprzedziła jego sprzeciw. – Wiem, co powiesz. Że jestem głupia. Może to i prawda, ale ja nie wrócę na Podgórze, przynajmniej dopóki nie dowiem się na pewno, że Ciepłownik nie żyje. Nie oddam mu dziecka.

Maciek nie rozzłościł się, nawet nie podniósł głosu.

– Nie mogę oceniać, co będzie dobre dla twojego dziecka. Ale tam, gdzie chcesz iść, czeka je tylko śmierć.

– Nigdy tam nie byłeś! Nie wiesz, co tam jest.

– Nic nie ma.

– Strumień przecież dokądś płynie!

– Niech sobie płynie. Wiem jedno: foki nigdy, przenigdy nie zapuszczają się poza przewężenie, a one dobrze wiedzą, co robią.

– Chryste, Maciek! Zapomnij choć na chwilę o tym, że jesteś myśliwym.

– Jeśli ktoś w ogóle może jeszcze przywrócić porządek na Podgórzu, to tylko myśliwi.

– No to róbcie sobie ten porządek, ale beze mnie! Ja urodzę dziecko po drugiej stronie Lodowca. Nad Morzem.

Zaskoczony Maciek milczał przez dłuższą chwilę. W szczelinie znów zadudniły głosy, jeszcze donośniej niż przedtem.

– Ktoś naopowiadał ci bajek, a ty uwierzyłaś – zamruczał wreszcie. – Na świecie nie brakuje naiwnych.

– Ksiądz Rafał też był naiwny?

– On przede wszystkim. Kto przy zdrowych zmysłach wybrałby się w taką podróż bez psów i zapasów?

– A wuj Stach?

– Ach, tak… Powinienem był się tego domyślić. Podsłuchiwałaś pod drzwiami, kiedy ksiądz z ojcem rozmawiali o wiadomości od wuja?

– Podsłuchiwałam! – odparła wyzywająco. – Chciałam pożegnać się po cichu z matką, ale w ostatniej chwili się przestraszyłam, że narobi krzyku. Za to słyszałam wszystko. Wuj pisał, że każda rzeka prowadzi do Morza.

W górze strumienia głośniej plusnęła woda, zaraz potem przez pasmo księżycowej poświaty przesunęło się kilka zanurzonych po nozdrza foczych łbów.

– Ktoś je wypłoszył ze stawu. Nie mamy już po co tam iść. Za późno. – Maciek westchnął z frasunkiem, a później dodał, niespodziewanie ożywiony: – Wiesz, kto nauczył mnie wszystkiego, co umiem?

– Chyba dziadek Józwa…

– Był najlepszym myśliwym na Podgórzu, dzisiaj takich już niewielu. To on znalazł tamten list, podobno czekał na niego. Dał do przeczytania księdzu i chyba uwierzył w to, co tam było napisane, bo inaczej nie odesłałby go ojcu, prawda?

– Prawda! – podchwyciła ochoczo.

– Więc może to nie takie głupie. Szalone, ale nie głupie.

Raptem smagnął Kaśkę węźlastym rzemieniem po policzku na tyle mocno, że zapiekło.

– A to za co? – krzyknęła oburzona.

– Za podsłuchiwanie starszych.

Pierwszy ruszył brzegiem strumienia w głąb Lodowca.

Kiedy poprzednim razem stała na grząskim skrawku brzegu, przed wąską lodową gardzielą, miała zatkane uszy i nie mogła słyszeć głośnego bulgotu rwącej w nieznane wody. Teraz zdawało jej się, że razem z wezbranym nurtem ucieka w mrok cała jej odwaga.

Na próbę zanurzyła stopę i cofnęła ją zaraz, przylgnąwszy plecami do lodowej ściany.

– Tędy chyba nie przejdziemy! – Musiała krzyczeć bratu wprost do ucha.

Maciek zaświecił zapałkę, przykucnął nad strumieniem i zajrzał w środek niskiego ujścia, skąd dobiegał nieustanny głęboki pomruk.

– Przejdziemy, ale na pewno nie wrócimy – zawołał. – Koryto idzie stromo w dół. Ciasno jak w lisiej jamie.

– Nie wiedziałam, że to tak wygląda…

– Teraz już wiesz. Kto pierwszy, ty czy ja?

Zanim rzucił zapałkę w kipiel, Kaśka zdążyła dostrzec, że dalej sklepienie opada niemal nad samą powierzchnię wody.

– Utopimy się!

– Bardzo możliwie. – Maciek zerknął na szczelinę, poprzez którą już zaczynał sączyć się brzask. – Ale przynajmniej nasze brudne dusze nie będą do końca świata tułać się po pustkowiu.

– Poczekaj chwilę, jeszcze nie jestem gotowa!

– Nigdy nie będziesz. Zaciągnij mocno rzemienie kaptura, nogi naprzód, ręce pod kark,

staraj się chronić głowę.

– Nienawidzę takich czarnych, mokrych dziur! – wybuchnęła i zaraz potem skoczyła w sam środek wzburzonego nurtu.

Poślizgnęła się, upadła na plecy, woda zalała jej twarz. Silny prąd porwał ją natychmiast, docisnął do dna i powlókł po śliskich, obłych kamieniach. Próbowała się czegoś przytrzymać, ale ręce obijały się tylko na gładkich, uciekających do tyłu ścianach. Choć strumień nie był głęboki, musiała walczyć zaciekle o każdy oddech, zachłystując się rozbryzgami. Woda huczała w ciemnościach, łomotały przetaczane kamienie, szumiały wiry. Sklepienie wisiało tak nisko, że uderzała czołem w lód; niekiedy, podtopiona, słyszała tylko własne tętno.

Zaczęła tracić przytomność. Zwidywało jej się, że przysiadł na niej demon, dusząc i gniotąc jej piersi kościstymi kolanami. Nie mogła się bronić, wyrwać, wzywać pomocy, bulgot wody brzmiał teraz jak złośliwy chichot.

Znienacka kamieniste łożysko strumienia urwało się, szum zapadł się raptownie gdzieś w otchłań. Oprzytomniała w mgnieniu oka. Nie starczyło jej tchu, aby krzyknąć z trwogi. Z rozpostartymi ramionami runęła w pustkę.

Głębsza toń pod wodospadem złagodziła nieco upadek, ale gdyby nie gruby kaptur, pewnie roztrzaskałaby głowę na podwodnych skałach. Jakoś udało jej się wypłynąć i zaczerpnąć oddechu, lecz potężny wir zassał ją na powrót do dna. Odbiła się rozpaczliwie obiema nogami, wynurzyła głowę trochę dalej od grzmiącej kipieli. Młócąc w ciemnościach rękami, usiłowała utrzymać się na powierzchni, jednak ciężkie robocze buty nieustępliwie ciągnęły ją w dół. Woda była tu bardzo zimna, skórzany kubrak krępował ruchy; zachłysnęła się raz i drugi, szybko traciła siły.

Niespodziewanie okuty czubek buta stuknął w kamień – znak, że prąd zniósł ją na płytszy odcinek strumienia. Zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek, zagarnęła ramionami mroczny odmęt, lecz zanim zdążyła odetchnąć, znów przytłoczyła ją szumiąca fala.

Coś mocno szarpnęło ją za rękaw i pociągnęło w poprzek nurtu. Poddała się temu bezwolnie, w gasnącej świadomości nie odbijał się już ani strach, ani nadzieja.

Długo dochodziła do siebie, leżąc na brzegu z policzkiem przyciśniętym do żwiru, świszcząc bolesnym oddechem i po trochu zwracając wodę, której się nałykała. Była zziębnięta, posiniaczona, szczypał przygryziony język, pod ubranie i do butów dostały się małe kamyczki, które uwierały przy każdym poruszeniu.

Rozpoznała głos Maćka, ale nie rozumiała słów, jakby mówił z oddali. Dopiero gdy podniosła się ostrożnie na łokciu, z uszu wypłynęła woda i usłyszała go wyraźniej:

– …całkiem ciemno, jak w grobie. Co z tobą? Nie połamałaś niczego?

Usiadła powolutku, podciągnęła nogi. W ustach czuła wstrętny smak szlamu.

– Raczej nie… A ty?

– Rzuciło mnie na skałę, chyba mam pęknięte żebro, ale to nic.

– Ty mnie wyciągnąłeś?

– Jakoś nie było innych chętnych.

– Jak mnie znalazłeś?

– Wpadłem na ciebie, prąd znosił nas razem. Strasznie jesteś prędka, siostrzyczko. Zanim ci powiedziałem, żebyś ściągnęła buty, już skoczyłaś do strumienia.

Wyczuła w jego głosie powściągliwie uznanie. Chciała odpowiedzieć, ale zęby zaczęły jej szczękać tak mocno, że nie mogła wydobyć słowa.

– Zrzuć te ciepłownicze łachy, trzeba je wysuszyć! – Maciek wstał zbyt szybko i stęknął z bólu. – Poszukam drewna.

Zapałki zamokły, ale jak każdy z myśliwych miał zaszyte pod kołnierzem kubraka krzesiwo. Sypnęły iskry; rozdmuchał ostrożnie tlącą się garstkę suchego próchna, dorzucił drewienek i niebawem nad wodą zadymiło ognisko.

– Łatwo ci to poszło! – zawołała Kaśka ze szczerym podziwem.

– Będziesz musiała się tego nauczyć, tak jak wielu innych rzeczy. Teraz dopiero leśni ludzie się przekonają, że Miasto to nie tylko gorące rury i rozczochrane ulicznice. Nie przyjadą już na wieś kupcy z zapałkami, patelniami, świecami, szybami do okien i czym tam jeszcze.

– Coś takiego mógłby powiedzieć mój mąż, ale ty?

– Nie porównuj mnie do niego. Poznałem Miasto na tyle dobrze, żeby go nie żałować. Ale bez niego w Lesie będzie ciężko, bardzo ciężko. Mam nadzieję, że matka nie wyrzuciła starego krzesiwa, które zostało po dziadku…

Na szerokim brzegu leżało dużo drewna – nie tylko naniesione przez wodę patyki, ale całe poprzewracane drzewa, uschłe krzewy, a nawet połamane deski z zardzewiałymi gwoździami. Mogli sobie pozwolić na utrzymywanie dużego ognia. Porozwieszali na sterczących z powalonego pnia gałęziach parujące ubrania i grzali się, półnadzy, opierając bose stopy na ciepłych kamieniach.

Podlodowcowy kanał był bardzo obszerny, na wysokim sklepieniu ledwie pełgał słaby odblask. W powietrzu wisiała mgiełka od pobliskiego wodospadu, z góry kapało, między kamieniami sączyła się woda.

– Wcale nie tak strasznie tu. – Kaśka odrzuciła na plecy rozpuszczone włosy. – Nie ma słońca, to prawda, ale za to nie słychać demonów. Nie ma też mrozu, zamieci, wilków, parszywców.

– I żarcia – mruknął Maciek.

– Możesz łapać ryby jak przedtem.

– Rozejrzałem się tu trochę. To już nie strumień, ale prawdziwa rzeka, tyle że całkiem martwa. Nie ma nawet porostów.

Kaśka spojrzała na szumiącą o dwa kroki wodę, na płyciźnie rozmigotaną ogniście, dalej złotomiedzianą, wreszcie czarną jak smoła. Koryto było tak szerokie, że drugi brzeg pozostawał niewidoczny.

– Jak myślisz, czy Morze jest daleko?

– Gdyby było blisko, wuj Stach odwiedzałby nas co niedziela.

– Ale dojdziemy tam jakoś, prawda?

– Bez jedzenia? Nigdy.

– Więc wymyśl coś! Jesteś przecież myśliwym.

Maciek dźgnął żar patykiem, snop iskier wzbił się wysoko.

– Jest sposób, żeby chociaż jedno z nas przeżyło. Tylko nie wiem, czy ci się spodoba.

– Mów!

– Będziemy losować, kto kogo zje.

Dłuższą chwilę pozwolił jej się w siebie wpatrywać, nim wreszcie uśmiechnął się nieznacznie.

– Maciek! – Z całej siły kolnęła go łokciem, aż złapał się za obolały bok.

– Spokojnie, siostrzyczko. Myśliwi są twardzi, ale nie aż tak. I nie martw się tyle, bo urodzisz leworęczne dziecko.

– Jak będziesz tak ze mną rozmawiać, zostawię cię tutaj i pójdę dalej sama!

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Zobaczymy!

– Nie pójdziesz, bo popłyniesz. Popłyniemy razem.

Spojrzała krzywo, niepewna, czy to znowu nie kpiny.

– Nie umiem pływać. Dopiero co mnie wyratowałeś.

– Nawet jakbyś umiała, w takiej wodzie umarłabyś z zima. – W skupieniu potarł palcami skronie. – Pamiętasz Biblię, z której ojciec uczył nas czytać?

– Pamiętam. Ty zawsze wolałeś oglądać obrazki.

– Właśnie! Najbardziej podobał mi się rysunek arki Noego. Wyglądała jak drewniany dom na wielkiej fali.

Cisnął patyk do wody. Przyglądali się oboje jak spływa z prądem i znika w mroku.

Pomagała bratu, jak mogła – wyszukiwała najmocniejsze deski, prostowała kamieniem krzywe gwoździe, przyświecała płonącymi głowniami – ale do samego końca powątpiewała, czy coś z tego będzie.

Maciek przyciągnął dwie kłody, ułożył równolegle na płaskim brzegu o dwa kroki od siebie, a potem je połączył, na całej długości przybijając w poprzek deski, ciasno jedna przy drugiej. Na koniec ociosał z mniejszych gałązek długi drąg.

– Dobra. – Otrzepał dłonie. – Teraz trzeba zepchnąć arkę na wodę.

Kaśka uniosła wyżej głownię i sprawdziła kopniakiem, czy ostatnia deska dobrze trzyma.

– To nie wygląda jak na obrazku…

– Noe miał więcej czasu, no i musiał zmieścić te wszystkie zwierzęta. Dla nas dwojga wystarczy.

– Skąd wiesz, że to będzie pływać?

– Drewno nie tonie.

– A jak wpadniemy na skały?

– To się rozbijemy! – sapnął ze złością. – Możemy też trafić na wodospad, utknąć w jakimś przewężeniu albo wywrócić się do góry nogami. Wszystko może się zdarzyć. Nikt przed nami tego nie robił.

Kaśka odetchnęła głęboko, jakby ta wyliczanka niespodziewanie sprawiła jej ulgę.

– Wuj Stach robił – powiedziała z przekonaniem. – Skoro on przepłynął, to nam też się

uda.

Zachrzęściły kamienie, plusnęła woda. Arka zanurzyła się po deski, przeszorowała po dnie, ale już kawałek dalej miękko zakołysała się na głębszej toni.

– Wskakuj! – krzyknął Maciek.

I Kaśka wskoczyła, wciąż ściskając w garści głownię. Przeciwna krawędź arki podniosła się wysoko, ale gdy myśliwy także wszedł na pokład, kłoda opadła z chlupotem.

Od razu stanął na szeroko rozstawionych nogach, wypatrując białych kołnierzy piany wokół wystających ponad powierzchnię głazów. Kilka razy musiał odepchnąć arkę drągiem, ale potem, gdy silniejszy prąd wciągnął ich na środek rzeki, mógł rozprostować kark.

– Teraz się przekonamy, czy naprawdę wszystkie rzeki prowadzą do Morza… czy raczej do piekła.

Głownia dopaliła się szybko. Teraz musiała im wystarczyć kopcąca smrodliwie lampka, którą Maciek zrobił z wklęsłego kamienia, rybiego tłuszczu i knota skręconego z nitek wyprutych z onucy. Blady płomyk dawał niewiele światła, ale dzięki niemu widzieli chociaż siebie nawzajem. Odgłos wodospadu cichł stopniowo, ciemność wypełnił jednostajny szum. W szparach pomiędzy deskami pluskała woda, niekiedy rozlegał się gdzieś w oddali suchy trzask pękającego lodu.

Niewiele było do roboty. Nie widzieli brzegów, więc szybko stracili poczucie ruchu i mijającego czasu. Płynęli gładko, bez wstrząsów, czasem tylko któraś z kłód zawadzała o mieliznę, a wtedy czujny Maciek natychmiast zanurzał drąg. Kaśka pilnowała, aby nie zgasła lampka, ale bezczynność, osłabienie głodem i ten mroczny, rozkołysany spokój sprawiały, że przysypiała po trochu na siedząco, drżąc z chłodu w ledwie podsuszonych ubraniach.

Drzemała właśnie ze zwieszoną głową, gdy naraz Maciek wstał raptownie i arka zakolebała się mocniej.

Podniosła głowę. Dalej przed nimi nad rzeką zawisła kurtyna prószącego śniegu, każdy płatek z osobna migotał srebrzyście w blasku księżyca. Dziewczyna domyśliła się, że to kolejna szczelina Lodowca – tam, na górze, przetoczył się już cały dzień. Poniżej sklepienia kanału oba brzegi łączył przerzucony nad szerokim nurtem most, podobny do tych, jakie widywała na Czarnym Szlaku. Lśniły betonowe filary i żelazne przęsła, w poprzek rzeki kładł się czarny księżycowy cień.

Dostrzegła też coś, czego nie potrafiła rozpoznać: od jednego krańca mostu do drugiego z belek zwisały nad wodą jakieś ciemne, smukłe kształty.

– Co to jest? – zapytała drżącym głosem.

Nie odpowiedział, uciszył ją tylko niecierpliwym gestem. Pośliniwszy palce, naprostował knot i uniósł lampkę nad głową.

Kiedy przepływali pod mostem, w półmroku przesunął się nad nimi rząd zastygłych cieni.

Kaśka zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

Wiedziała, że to demony, choć nigdy nie widziała żadnego z nich nawet z daleka. Wisiały nieruchomo, głowami w dół, uczepione belek chwytnymi stopami, otulone w skórzaste skrzydła. Zobaczyła wyraźnie ich łyse czaszki, wielkie, szpiczaste uszy,

obrośnięte od środka delikatnym puszkiem, nozdrza o podłużnych otworach, przy których gęstniała leciutka mgiełka oddechu. Zaciśnięte usta bez warg, podobne do sinej blizny, i ogromne, wypukłe oczy, przykryte półprzejrzystą błonką powiek, zza której przebijała głęboka czerń.

Dopiero wówczas, gdy jaśniejszy wyłom w mroku skrył się za brzegową skarpą, Kaśka ośmieliła się odezwać:

– Matko Boska! Były tak blisko…

– Starzy myśliwi opowiadają, że one na noc chowają się w szczelinach Lodowca, ale nikt ich jeszcze nie podpatrzył we śnie. Wisiały jeden przy drugim jak zające w wędzarni. – Klasnął dłonią w udo. – Psiakrew! Mogłem któremuś rozwalić drągiem łeb, byłoby o jednego mniej.

– Obudziłbyś resztę!

– Nie mają kłów ani pazurów, nic nie mogłyby nam zrobić. Są groźne tylko w słońcu, kiedy śpiewają.

– Mają takie wielkie ślepia! Nawet nie chcę myśleć, co bym zrobiła, gdyby któryś spojrzał prosto na mnie.

Wkrótce wypalił się cały rybi tłuszcz, płomyk zatrzepotał na knocie i zgasł, dalej płynęli więc w zupełnych ciemnościach. Odgadywali bliskość brzegu po klaskaniu fal na płyciźnie, słyszeli też plusk dopływów. Rzeka potężniała, rozlana szeroko szumiała jak wiatr. Maciek nie mógł już sięgnąć drągiem dna, nawet gdy zanurzał go w całości. Czasem obracały arkę niewidzialne wiry, raz chyba otarli się bokiem o filar mostu albo o jakąś inną przeszkodę.

Spali na zmianę. Kaśka przeleżała swój czas w bezsennym odrętwieniu, przemarznięta, umęczona nieustannym kołysaniem, dręczona głodowymi mdłościami. Gdy Maciek trącił ją nogą, usiadła z jękiem, zesztywniała od chłodu, który ciągnął poprzez deski z mrocznej głębi.

– Zejdźmy na brzeg, ogrzejemy się trochę przy ogniu – poprosiła niemrawo.

– Nie ma na to czasu, tylko bardziej osłabniemy. Musisz wytrzymać.

Czuwała, wpatrzona w niezmienną czerń, słuchając pochrapywania brata. Zazdrościła mu tej myśliwskiej umiejętności zasypiania w każdych warunkach.

Niezmiernie wyczerpana i otępiała nie drgnęła, gdy za łagodnym zakolem rzeki mrok znowu przebiło cieniutkie ostrze światła. Tym razem szczelina w sklepieniu była tak wąska, że nie przecisnąłby się przez nią nie tylko demon, ale nawet szczur. Gdy arka zbliżyła się do ukośnej smugi jasności, Kaśka dostrzegła oświetlony fragment nabrzeża, wymurowany prosto, jak w Mieście, z żelaznymi słupami latarni, ławką i wielkim, rozgałęzionym, wciąż jeszcze stojącym drzewem – pierwszym, jakie widziała w życiu.

Wszystko to błysnęło tylko jak mgnienie oka i natychmiast odsunęło się w cień; upiorne, senne widziadło pogrzebanego na wieki pod lodem świata.

Nie obudziła brata także potem, gdy jeszcze kilkakroć mrużyła oczy przed słońcem. Zaczęła wierzyć, że skoro wdarli się do tej wymarłej czeluści, którą nawet słońce podglądało tylko ukradkiem, będą musieli zapłacić za tę zuchwałość. Nigdy już się stąd nie wydostaną: będą tak płynąć i płynąć, nie oglądając siebie nawzajem, ani martwi, ani żywi, aż w końcu sami zamienią się w cienie.

Chyba jednak przysnęła na chwilę, bo gdy nagle kanał zadrżał od głębokiego, huczącego pogłosu, zerwała się przerażona, nie wiedząc, gdzie jest ani co się stało. Wpadłaby do wody, gdyby Maciek nie objął jej mocno.

Usłyszała jego spokojny, całkowicie przytomny głos.

– Nie brykaj, siostro, bo wywrócisz arkę i oboje pójdziemy na dno.

– Jezu, chyba oślepłam! Nic nie widzę!

– Jeszcze się napatrzysz, byleby tylko było na co.

Kaśka oprzytomniała, ale po chwili znów się szarpnęła, gdy kolejne ogłuszające dudnienie przetoczyło się kanałem.

– Wali się Lodowiec!

– Kiedy naprawdę się zawali, nawet nie zdążysz się przestraszyć. To dzwon.

Rozbrzmiało następne uderzenie, nim jeszcze ucichło echo poprzedniego.

– Dzwon? Skąd pod lodem dzwon?

– Taki mądry to ja nie jestem. Ale pewnie niedługo się tego dowiemy, jeśli tylko nas wcześniej nie utopisz.

Oparła czoło na piersi brata; przekonała się, że jemu także mocniej bije serce.

– Boję się, Maciek. A jeśli to zwołują się umarli?

– Przeciwnie. Pomyliłem się, siostrzyczko. Ta rzeka chyba wcale nie jest tak martwa, jak mi się przedtem zdawało.

Zwodniczy pogłos sprawiał, że trudno było ocenić, jak daleko jest dzwonnica. Chwilami Kaśka sądziła, że już ją minęli, ale za każdym razem ciemność przed nimi znów nabrzmiewała nowym potężnym tonem. Dziewczyna trwożyła się, że hałas obudzi wszystkie śpiące demony, gdziekolwiek są, i spłoszone zerwą się do lotu, furkocząc pod sklepieniem swoimi nagimi skrzydłami.

W oddali na czarną powierzchnię wody spłynął nikły odblask światła. To nie było słońce; niebawem mogli dostrzec pęcherzyk czerwonej jasności na prawym brzegu.

– To latarnia. – Maciek wreszcie puścił siostrę i schylił się po drąg.

Kaśka przetarła nadgarstkiem zwilgotniałe oczy, ale w smugach falującego oparu nie potrafiła wypatrzyć nic więcej.

– Czy ktoś ją niesie?

– Nie, wisi za wysoko i jest nieruchoma.

– To dobrze, może nikt nas nie zobaczy… – Urwała nagle, gdy arka zachwiała się mocniej i obróciła w stronę światła.

Zrozumiała, że Maciek sięgnął drągiem dna i stara się dobić do brzegu.

– Przestań! – Po omacku wpadła na jego plecy.

Odepchnął ją łokciem.

– Chciałaś się ogrzać, jest okazja.

– Uciekajmy! Tu się dzieje coś złego, czuję to!

– Twoimi przeczuciami się nie najemy, siostrzyczko. Odsuń się.

Dzwon nie rozbrzmiał już więcej; tylko echa brzęczały jeszcze jakiś czas w czeluściach kanału, póki nie zlały się z szumem rzeki. Kaśkę onieśmieliła ta niespodziewana cisza – wiedziała, że teraz nawet szept poniesie się daleko po wodzie.

Zaskoczony Maciek powoli, bez plusku wydobył z toni drąg.

Zapłonęła druga latarnia, większa i jaśniejsza. Tę na pewno ktoś trzymał w ręku, ponieważ chwiała się lekko w rytm kroków. Po chwili zajaśniała jeszcze jedna, a potem rozbłyskiwały kolejne, na całej szerokości brzegu, bliżej i dalej, aż pojaśniało tam jak na odpustowej zabawie.

Dostrzegli podmurowane nabrzeże ze szpalerem czarnych drzew, a ponad nim jakieś potężne budowle, podobne do opuszczonych wież w Mieście, ale odsłonięte tylko do poziomu trzeciego czy czwartego piętra – wyżej wtapiały się w lodowe sklepienie. Między nimi stały mniejsze domki, o ceglanych ścianach z resztkami tynku, z płaskimi dachami, na których zalegały pryzmy brudnego, pokruszonego lodu. Ruchome światła lśniły na wilgotnych murach, odbijały się w oknach i spływały na rzekę.

Z głębi pustych ulic wyłaniali się cicho ludzie z latarniami, wszyscy w takich samych szarych habitach, zakapturzeni, przepasani sznurami. Wciąż ich przybywało, na brzegu zebrały się dwie, może trzy setki. Zmierzali w jedną stronę – ku szerokiemu wejściu do największego budynku. Nie było słychać żadnych rozmów, tylko chrzęst kroków i czasem pokasływanie. Jeden po drugim znikali w przepastnym wnętrzu, ubywało latarni, ulice i nabrzeże na powrót zagarniała ciemność. Niebawem ostatnie ogniki zniknęły za przeszklonymi drzwiami. Pozostała tylko mała czerwona latarenka nad wejściem, która oddalała się, w miarę jak arkę znosił prąd. Teraz, gdy Kaśka była pewna, że nikt ich nie zauważył, patrzyła na osamotnione światełko prawie ze smutkiem.

– Jakie to wszystko dziwne… Jacyś ludzie żyją tutaj, tak niedaleko od Podgórza, a myśmy nic o nich nie słyszeli.

– Nie ludzie. – Maciek splunął do wody. – Parszywcy.

– Skąd wiesz? Nie mieli czarnych płaszczy ani dzwonków.

– Tutaj mogą się ubierać, jak chcą. Nawet udawać mnichów.

– Nie widzieliśmy ich twarzy…

– Mnie to niepotrzebne. Rozpoznam ich capi smród z daleka.

– A ty chciałeś tam płynąć!

Przyklęknął, wsunął palce w szparę między deskami i mocnym szarpnięciem wyrwał jedną z nich.

– Nadal chcę. – Zaczął wiosłować w poprzek nurtu.

– Co ty wyprawiasz! Przecież właśnie przed nimi uciekamy!

– Uciekamy przed zbuntowanymi brudasami z Kopalni. Ci są inni.

– Czy to znaczy, że nic nam nie zrobią?

Mocniej zagarnął deską wodę; słychać już było chlupot fal przy niewidocznym brzegu.

– Tego nie powiedziałem.

Kątem oka Kaśka wciąż widziała czerwone światełko w ciemnościach. Nie śmiała teraz spojrzeć wprost w tamtą stronę.

– Co to wszystko znaczy, Maciek? Chcę znać prawdę.

Arka zawadziła o skałę, przepłynęła jeszcze kawałek i utknęła na płyciźnie. Myśliwy rzucił deskę w stronę brzegu – nie plasnęła do wody, lecz twardo załomotała.

– Prawdę? Wymagasz zbyt wiele, siostrzyczko. Nikt nie zna prawdy. Całe życie słuchałem tylko legend o gnieździe Lucyfera pod Lodowcem, do którego uciekają pokutnicy. Nie bardzo w to wierzyłem, wiadomo, przy gorzałce myśliwi gadają byle co.

Myślałem, że wszyscy parszywcy giną w końcu od samozapłonu. Ale i tak musiałem strzelać… Myślisz, że to było łatwe? Że nie wstydziłem się tego przed matką? – Zgrzytnął zębami. – Teraz już wreszcie wiem, że nie zmarnowałem żadnej strzały. Oni naprawdę żyją tu z demonami, codziennie słuchają ich wycia! Siedzą sobie pod lodem, ukryci przed słońcem, niczego im nie brakuje.

– Muszą chyba wychodzić, żeby polować…

– Jeszcze nie rozumiesz? Widziałaś te budynki, ulice? To jest miasto! I to prawie nietknięte. Poza tymi śmierdzielami nikt tu jeszcze nie grzebał. Wyobrażasz sobie, ile tu można znaleźć żarcia? Przecież nawet u nas czasem jeszcze trafi się w zasypanych piwnicach jakaś puszka czy słoik, chociaż ludzie przetrząsają ruiny od trzystu lat. Tutaj musi być tego pełno, może całe hale! Wystarczy tylko popracować kilofem.

– Dobrze, weźmy trochę jedzenia i płyńmy dalej.

– Nic cię nie obchodzi, że na Podgórzu tej zimy ludzie będą umierać z głodu? Tutaj mogliby przetrwać.

– Przecież nikt tu nie zamieszka, zanim… zanim…

– Wiem. Dlatego trzeba się ich pozbyć.

– To nic nie da! Nie wystrzelasz wszystkich!

– Wystarczy, jeśli zabiję najważniejszego. Ktoś musi im przecież przewodzić. Kiedy zdechnie, resztę łatwo będzie rozpędzić jak psy zaprzęgowe bez przodownika.

Wzdrygnęła się. Znowu przeniknął ją chłód, wilgoć drapała w gardle.

– Wiesz, czego najbardziej teraz się boję? Ciebie. Ty zwariowałeś.

– Całkiem możliwe: przecież płynę z tobą do Morza, którego nikt nie widział. Ale skoro już tu jestem, zamierzam zrobić, co do mnie należy. – Zeskoczył do wody i w kilku krokach wydostał się na brzeg. – Zaczekaj tu na mnie – zawołał jeszcze. – Jeśli nie wrócę, płyń dalej sama.

Pobiegła za nim, wyciągając ręce przed siebie. Odnalazła go w ciemnościach i objęła, żeby znowu nie uciekł.

– Idę z tobą.

– Będziesz mi tylko zawadzać.

– Nie chcę tu siedzieć sama i ogryzać paznokci.

– Posłuchaj! – Ujął jej twarz w szorstkie dłonie i podniósł ku sobie. – To prawdziwe dzieci Lucyfera, nie jacyś zwyczajni pijani parszywcy. A zabijanie to nie sprawa dla dziewczyn.

– Mało o mnie wiesz, braciszku. Bardzo mało.

Choć droga nie była daleka i prowadziła ich czerwona latarnia, posuwali się powoli, potykając się co rusz w mroku i ostrożnie wymacując słupy, mury i inne przeszkody. Szum rzeki przycichał, pod butami kruszył się lód i zgrzytało potłuczone szkło. Gdy dotarli wreszcie do oświetlonego wejścia, mogli na chwilę na siebie spojrzeć; w sinych z zimna i wychudzonych twarzach skrzyły się płonące gorączką oczy. Ponad ich głowami, na przytwierdzonym do muru wysięgniku wisiał dzwon – nie tak duży jak ten, który znali ze

wsi, jednak tutaj, w podlodowcowych kanałach, jego dźwięk przypominał odgłos wydawany przez trąby apokaliptycznych aniołów.

Wewnątrz budynku na gładkiej podłodze pełgała poświata, ale dalej znów gęstniał mrok.

– Nie znajdziemy ich tam… – szepnęła Kaśka.

Maciek wszedł kawałek do środka, pociągnął nosem.

– Znajdziemy.

Poprowadził ją przez rozległą, zawilgoconą przestrzeń; kroki stukały głośno, jak w pustej hali. Uchylił jakieś skrzypiące drzwi. Teraz i Kaśka poczuła tak dobrze znaną, odpychającą woń, którą przesiąknięte były zawsze porzucone na Czarnym Szlaku szmaty, dymy z kominów schronisk, a czasem i sam węgiel.

– Uważaj, tu są schody – uprzedził Maciek.

Po omacku poszukała dłonią rozchwianej poręczy, ale puściła ją zaraz, gdy uświadomiła sobie, że parszywcy także musieli się tutaj opierać.

– Dokąd teraz?

– Ciii… – Szturchnął ją.

Wstrzymała oddech. Po chwili dosłuchała się w ciszy odległego szurania wielu stóp.

– Chyba weszli bardzo wysoko! – zdumiała się.

– To wieżowiec. Dalej, nie ma czasu. Jeśli mamy ich zaskoczyć, musimy zdążyć, zanim skończą swoje bluźniercze nabożeństwo.

Rozpoczęli długą, żmudną wspinaczkę. Dwadzieścia stopni, podest, nawrót i znowu to samo. Kaśka tylko z początku liczyła piętra, po czwartym czy piątym myślała już tylko o tym, żeby nadążyć za bratem. Szybko się przekonała, jak wiele straciła sił od dnia ucieczki z Ciepłowni. Miękły jej nogi, rwał się oddech, przed oczami wirowały czerwone płatki.

– Złap mnie z tyłu za pas – sapnął Maciek.

Tak było jej nieco łatwiej, choć co rusz obijała kostki i kolana. Zrobiło jej się gorąco, z trudem łapała powietrze przez otwarte usta, tętno rozsadzało jej skronie.

Przy którymś z nawrotów nie utrzymała pasa w obolałych palcach, wpadła na ścianę i osunęła się po niej zamroczona.

– Odpocznij trochę, dalej pójdziemy po cichu. Jeszcze tylko kilka pięter. Cuchnie, aż mdło się robi.

Nie dał jej wiele czasu – wkrótce podniósł ją, zmusił, żeby stanęła na drżących nogach, i znów poprowadził pod górę.

Niespodziewanie ocucił ją zimny powiew, który schłodził rozpaloną twarz. Chciała o to zapytać, ale Maciek ścisnął mocniej jej łokieć, nakazując milczenie. Starała się teraz stąpać bardzo ostrożnie, stopień po stopniu, tłumiąc chrapliwy oddech.

Zobaczyła przed sobą prostokąt pustej framugi, bez drzwi, odrobinę jaśniejszy od mroku klatki schodowej. Bił stamtąd smród parcha, ale zarazem ciągnął świeży, mroźny podmuch. Zrozumiała, że dotarli na miejsce, choć nie miała pojęcia, czego się spodziewać.

Weszli na ostatni podest i cichaczem podkradli się do wejścia. Maciek wysunął dłoń spod jej ramienia; domyśliła się, że położył ją teraz na trzonku noża za pasem.

Wyczuwała przed sobą zimną, mroczną głębię. Gdzieś dalej siąpiła z góry leciutka poświata gwiazd, zapewne przez jakiś wyłom w stropie. Chciała tam podejść, pragnęła

zachłysnąć się pogodną nocą, ale Maciek nie ruszył się, stał obok cichy jak cień, więc i ona nie zrobiła ani kroku.

Z wolna zaczęła zdawać sobie sprawę z obecności parszywców. Byli tutaj – pogasili latarnie i wtopili się w ciemność. Milczący, nieruchomy tłum. Zdradzał ich nie tylko gnilny zaduch, ale też leciutki opar wielu oddechów, który podnosił się ku gwiazdom, czasem jakieś westchnienie czy szelest habitu. Choć Kaśka nie mogła ich widzieć, była prawie pewna, że patrzą wszyscy w stronę słabego światła, skupieni i milczący.

Nie zapomniała, po co tu przyszli. Wiedziała, że Maciek czeka, aż wydarzy się coś, co pomoże mu rozpoznać swoją ofiarę.

W głębi ducha wcale nie chciała, żeby tak się stało. Nie chodziło o zwykły, babski strach. Coś ją niepokoiło, jakieś natrętne skojarzenie, niejasne poczucie, że to miejsce nie jest jej obce – że gdyby tylko nie była tak bardzo znużona, umiałaby przywołać właściwie wspomnienie.

Niebawem gwiazdy zaczęły blednąć, niebo w wyłomie szarzało. Z ciemności wyłoniło się z wolna wnętrze jakiejś długiej, wąskiej, wysokiej przestrzeni; w górze zamajaczyły wklęsłości sklepienia wspartego na dwóch rzędach smukłych kolumn. Gdy na gładkich ścianach zalśniły pierwsze smugi brzasku, Kaśka zdała sobie sprawę, że to lód. Dołem coraz wyraźniej odcinały się od półmroku równe szeregi mnisich kapturów.

Westchnęła głęboko, wstrząśnięta i zachwycona.

– Katedra… – wyszeptała. – To jest lodowa katedra!

Pod wyłomem ktoś klęczał samotnie. Na jego głowie złociła się biskupia mitra.

– To musi być on – zachrypiał Maciek. – Już mi nie ucieknie.

– Zaczekaj! Przecież nie robi nic złego, modli się tylko.

– Litujesz się nad nim? – Wyszarpnął nóż. – Lepiej zamknij oczy.

– A jeżeli się mylisz? Będziesz miał na sumieniu śmierć niewinnego człowieka!

– Jeśli tak, mam na sumieniu o wiele więcej niewinnych śmierci. Ale nie tylko ja. Także księża, którzy wyprawiali im pogrzeby za życia, Ciepłownik, który zmusił ich do roboty w Kopalni, i każdy, kto ich kosztem grzał sobie dupę w Mieście. Ty też, siostrzyczko. – Szorstko odtrącił ją na bok. – Ktoś musi to zrobić, wypadło na mnie. Na wyrzuty sumienia będzie czas później, jak już uratuję tylu ludzi z Podgórza, ilu zdołam.

Nie starał się już nawet mówić cicho, a jednak żaden z parszywców się nie obejrzał. Między nieruchomymi, zakapturzonymi szeregami środkiem lodowej nawy ciągnęło się wolne przejście.

Zanim Maciek ruszył naprzód, niespodziewanie rozbrzmiał śpiew:

– „Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki!”

Myśliwy powoli opuścił rękę z nożem.

Pieśń, chociaż znajoma, w niczym nie przypominała smętnego zawodzenia wiejskich babin. Sepleniące, bełkotliwe, chropawe głosy parszywców zlewały się jakimś cudem w czystą melodię, pod sklepieniami dźwięczały szklane echa. Ważniejsza od słów była ich mocna, niezachwiana wiara.

– A widzisz, miałam rację! – Rozradowana Kaśka szarpnęła brata za rękaw. – To przecież nie Lucyfera tak czczą!

Maciek, bardzo blady, wpatrywał się w nawę, gdzie na lodowych kolumnach już migotały słoneczne iskierki.

– Na dół, szybko… – wystękał z trudem, jakby brakowało mu tchu.

– Co z tobą? Już nie musimy się bać! – Roześmiała się uszczęśliwiona, podchwyciła śpiew.

– „A człowiek, który bez miary obsypany Twymi dary, coś go stworzył i ocalił, a czemużby Cię nie chwalił?”

Nie zauważyła, kiedy do chóru przyłączyły się inne głosy, jakby płynące wprost z błękitnych głębi nieba. Zdawało jej się, że prosta pobożna piosneczka, którą znała od dziecka, z każdą chwilą nabierała jakichś nowych, nieuchwytnych dotąd znaczeń, jakby po raz pierwszy naprawdę współgrała z tęsknotą duszy, jakby przysłuchiwał się jej sam Pan Bóg, uśmiechając się w słonecznym świetle.

– Nie śpiewaj, Kaśka! – Krzyk Maćka zaskrzeczał niemile przy uchu.

Przestała go słyszeć, gdy jeszcze gorliwiej oddała się pieśni.

– „Ledwie oczy przetrzeć zdołam, wnet do mego Pana wołam, do mego Boga na niebie, i szukam Go koło siebie”.

Rozpierała ją radość, odurzała słoneczna beztroska. Śmieszyło ją teraz wspomnienie zatyczek do uszu i tych wszystkich niepotrzebnych katuszy, które przecierpiała. Przecież to było takie proste: wystarczyło tylko współbrzmieć z pochwalną pieśnią, aby się przekonać, czym jest prawdziwa pełnia życia.

Raptem poczuła bardzo silny skurcz w dole brzucha. Zgięła się z bólu, pociemniało jej w oczach. Harmonia pieśni rozpadła się natychmiast na setki osobnych, nieudolnych głosów, podobnych do krakania wron. Śpiew demonów także utracił cały czar – budził teraz tylko grozę, jakby na zewnątrz, gdzieś w oddali, wyły głodne wilki.

– „Wielu snem śmierci upadli, co się wczoraj spać pokładli. My się jeszcze obudzili, byśmy Cię, Boże, chwalili”.

– Bądź cicho albo poronisz!

W półmroku zobaczyła szeroko otwarte, przekrwione oczy brata, zapadnięte głęboko w zarośniętej twarzy. Chwiał się na nogach, głowa trzęsła mu się jak u starca.

– Co się dzieje? – wyjąkała, przerażona jego wyglądem i oszołomiona tak nagłym odpływem uniesienia.

– Śpiewałaś z demonami.

– Ale tu przecież wszyscy chwalą Boga…

Rozpłakała się z wielkiego zawodu. Nie potrafiła już zrozumieć słów, jakie parszywcy mamlali nieskładnie bezzębnymi ustami. Ostry ból w podbrzuszu zelżał nieco, mogła się wyprostować i otrzeć rękawem mokrą twarz. Chciała cofnąć się w głąb ciemnej klatki schodowej, ale właśnie wtedy Maciek ruszył naprzód, sapiąc ciężko i zataczając się.

Bez namysłu poszła za nim mimo strachu o dziecko i o własną duszę. Nie wiedziała nawet, czy chce mu pomóc, czy go powstrzymać; czuła po prostu, że nie powinna zostawiać go teraz samego.

Parszywcy wciąż na nich nie zważali. Zachowywali się teraz jak szaleńcy: pląsali, podkasawszy habity, klaskali w zdeformowane dłonie, wymachiwali rękami ponad głową. Ich głosy nie przypominały już śpiewu – brzmiały jak gaworzenie rozdokazywanych dzieci,

jak szybka, niezrozumiała paplanina przerywana okrzykami, piskami i pohukiwaniami. Gdyby Kaśka nie widziała ich tak niedawno pogrążonych w cichej kontemplacji jutrzenki, pomyślałaby, że wszyscy są pijani.

Musiało upłynąć znacznie więcej czasu, niż jej się zdawało, bo dzień był już jasny. Po bokach nawy, za rzędami kolumn, zalegał cień, ale naprzeciwko, pod wyłomem, na podłożu rozświetlił się zarys ognistego krzyża.

Posuwała się za bratem prawie na oślep, oczy łzawiły jej od blasku. W głowie miała zamęt, wszystko w niej dygotało jeszcze od śpiewu.

Gdy Maciek się zatrzymał, podniosła wzrok.

Przed nimi klęczał parszywiec ze złożonymi dłońmi i zadartą głową, wpatrzony w wycięty w sklepieniu otwór w kształcie wielkiego krucyfiksu. Z góry, wprost z tej olśniewającej jasności, spływała aż do ziemi sznurowa drabinka.

W ręku Maćka błysnął nóż. Kaśka zamknęła oczy. Usłyszała dźwięk, od którego przeszły ją ciarki – jakby ostrze zazgrzytało na kamieniu – i zaraz potem zduszone przekleństwo brata.

Spojrzała znowu. Parszywiec wciąż klęczał jak przedtem. Myśliwy, buchając parą wzburzonego oddechu, zrzucił mu z głowy mitrę. Na łysej czaszce, pokrytej zmechaconymi kępkami parcha, przebłyskiwała bielą goła kość.

Uderzył nożem jeszcze raz, z rozmachu, mierząc z boku w nasadę szyi. Ręka mu odskoczyła; z niedowierzaniem podniósł na wysokość oczu ostrze o wygiętym czubku.

– Co za szatańskie kurewstwo… – wycharczał.

Człowiek na klęczkach nie poruszył się, nie zachwiał nawet.

Z tyłu zapadła cisza, ale żaden z tamtych nie przybiegł na ratunek. Śpiew demonów wibrował teraz tak wysokimi tonami, że Kaśka przestała go słyszeć. Czuła tylko mrowienie na całym ciele, suchość w gardle i tępy ból głowy. Osunęła się na kolana. Tuż obok brzęknął upuszczony przez Maćka nóż.

Nie zemdlała chyba tylko dlatego, że szarą mgłę przed oczami rozproszył blask. Poprzez jedno z ramion krzyża wychylił się obrębek słońca, tryskając ogniem. W tej samej chwili usłyszała niepokojący dźwięk, jakby chrupnięcie; wydłużony cień skamieniałej postaci lekko drgnął.

Któryś z parszywców krzyknął chrapliwie, przejmująco, jakby jednocześnie z przestrachu i z zachwytu, i zaraz wszyscy rozjazgotali się na nowo.

Kaśka była zbyt słaba na ucieczkę, musiała pozostać w tej zamarzłej, rozświetlonej świątyni i przyglądać się aż do końca wstrząsającemu misterium.

Coś zaczynało dziać się z klęczącym parszywcem, coś w środku, pod pancerzem zaskorupiałej skóry. Coś trzeszczało, bulgotało, przelewało się – jakaś rozbudzona siła szukała ujścia. Nadal się nie poruszał, drżał tylko ledwie dostrzegalnie w napiętym wysiłku. Kaśka nie słyszała jego oddechu, nie widziała twarzy, a jednak wyczuwała tę jego wewnętrzną, bolesną walkę.

Coś mlasnęło głośniej, z ucha strzyknęła strużka cuchnącej mazi. Bardzo szybko, jeden po drugim rozlegały się w ciszy suche trzaski. Stwardniała powłoka na karku, na policzkach i na głowie pokryła się siateczką drobnych pęknięć. Z nozdrzy ze świstem uszło powietrze, jakby wstrzymywane od dawna; kilkakroć powtórzył się stłumiony odgłos

podobny do czkawki.

Powoli zaczął podnosić się na nogi, krusząc opór skorupy, która odpryskiwała małymi kawałkami i z szelestem osypywała się spod habitu. W odsłoniętych miejscach lśniła wilgocią żywa, sprężysta, pokryta szarym meszkiem skóra. Wyprostował się, a jednak wciąż jeszcze sięgał głową coraz wyżej, jakby rósł, smuklał, rozprężał ciało po długim trwaniu w niewygodnym ścisku. Sparciała tkanina na plecach wybrzuszyła się, napięła i rozdarła; habit spłynął z ramion i opadł na lód.

Wielkie skrzydła demona rozpostarły się szeroko, rzucając daleko w głąb nawy zimny cień.

Oniemiała ze zgrozy Kaśka patrzyła na jego sterczące, włochate uszy, na wysoko sklepioną czaszkę, do której przylgnęło kilka strzępów dawnej ludzkiej skóry, na wąskie, choć mocno umięśnione barki, kościste biodra i długie nogi o chwytnych stopach.

Demon stał, wpatrzony w światłość, oddychał głęboko i spokojnie. Poruszał lekko parującymi płachtami skrzydeł, aby osuszyć je w słońcu. Potem je opuścił, chwycił drabinkę w drobne, jakby przykurczone dłonie i lekko wspiął się do otworu. Zniknął w blasku, na podłogę opadło tylko trochę lodowego pyłu.

Niebawem także pieśń wsiąknęła w przestworza, zamarły echa podzwaniające cichutko między kolumnami.

Któryś z parszywców podszedł, schylił się, przez chwilę szukał ręką po omacku, aż natrafił na mitrę. Podniósł ją i troskliwie otrzepał z pokruszonych szczątków.

Półprzytomny Maciek odrzucił nóż i zrobił ruch, jakby chciał chwycić go za gardło, ale wtedy tamten zsunął kaptur i ukazał w świetle twarz.

– Nie spodziewałem się, że usłyszę tutaj znajomy głos. Kiedyśmy się ostatnio spotkali, byłem gościem twojego ojca, a ty obroniłeś mnie przed gniewem sąsiadów. Wolałbym takim cię zapamiętać.

Myśliwy powoli opuścił ręce, cofnął się o krok.

– Ksiądz Rafał! – krzyknęła Kaśka.

Chciała podbiec do mnicha, ale Maciek zastąpił jej drogę.

– Nie dotykaj go! Ma wybroczyny w oczach. To parszywiec.

Ksiądz uśmiechnął się tkliwie.

– A więc jesteście tu oboje? Zawędrowaliście daleko od domu, dzieci.

Z tyłu wszczęło się zamieszanie. Rozgrzani ekstatyczną modlitwą parszywcy dopiero teraz zaczęli przytomnieć; stopniowo docierało do nich, że do lodowej świątyni wdarł się ktoś obcy. Szemrali niespokojnie, tłoczyli się w cieniu za rzędami kolumn, lecz żaden nie wysunął się naprzód, do światła.

Rafał nałożył na głowę mitrę, odwrócił się do nich i przekrzyczał gwar, rozkładając ramiona.

– Nie trwóżcie się, bracia! Znam tych dwoje. Są pod moją opieką.

– Nie przyprowadził ich tutaj nikt z nas, sami się wkradli! – zawołał ktoś nieprzyjaźnie.

– To uciekinierzy, jak my wszyscy.

– Chłopak ma myśliwski kubrak!

– Nieważne, kim był kiedyś. Teraz jest naszym bratem.

– Jeśli to prawda, niech przywita się z nami braterskim uściskiem!

Maciek spojrzał ukradkiem na otwór w sklepieniu. Sam może zdołałby się tamtędy wydostać, ale pewnie nie zdążyłby już wciągnąć Kaśki. W bezsilnym gniewie zacisnął pięści.

– Nikt go nie dotknie! – Rafał podniósł prawą dłoń. Klejnot pierścienia błysnął w słońcu. – Pamiętajcie, że teraz jestem waszym biskupem, choć przyszedłem do was tak niedawno.

Gdy wrzawa ucichła z wolna, dodał łagodniej:

– Parch jest łaską tylko dla tych, którzy potrafią przyjąć go z ufnością. Nikt nas nie zmusi, abyśmy wyrzekli się naszej nadziei, ale i nam nie wolno jej nikomu narzucać. Ci dwoje sami zdecydują, czy zechcą z nami pozostać, czy odejdą. A teraz wracajcie w spokoju do swoich cel, bracia. Z każdym oddechem dojrzewajcie do Przeobrażenia.

Rozeszli się posłusznie, cisi już i pokorni, przy wyjściu zapalając latarnie.

Kiedy ostatnie rozbłyski spełzły już z oblodzonych murów, a kroki mnichów oddaliły się w głąb klatki schodowej, Kaśka zatoczyła się bezwładnie w ramiona brata.

– Co się stało? – Rafał nasłuchiwał z troską.

– Ma dosyć – warknął Maciek, ciągle jeszcze zjeżony. – Musi coś zjeść, ogrzać się i wyspać.

Myśliwy położył siostrę na czystej pryczy w małej, cichej celi. Mimo zaślepionego okna nie było tu duszno – poprzez zakratowany otwór pod sufitem napływało świeże powietrze, poruszając lekko płomykiem świeczki.

Kaśka usnęła od razu, nie doczekawszy posiłku, po który Rafał posłał jednego z mnichów.

– Biedne dziecko… – Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknięciem przypomnieć sobie rysy jej twarzy, ale opamiętał się, gdy Maciek syknął z pogróżką. Schował dłonie pod szkaplerz. – Lepiej byłoby dla niej, gdyby mogła tu zostać dłużej, ale będziecie musieli odejść jeszcze tej nocy.

– Cierpliwość braciszków ma swoje granice? – zakpił gorzko myśliwy.

– Bądź sprawiedliwy, nie przyszedłeś tu jako gość. Słyszałem, jak w świątyni nóż wypadł ci z ręki.

– Chciałem zadźgać tamtego bluźniercę, nie wstydzę się tego. A teraz, kiedy wiem, że to był przebrany demon, jeszcze bardziej żałuję, że mi się nie udało. Obronił się jakimiś diabelskimi sztuczkami.

– Masz oczy, a nie widzisz. Masz uszy, a nie słyszysz. Podniosłeś rękę na biskupa, następcę Apostołów.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

– W ogóle nie rozumiesz, czego byłeś świadkiem. To Przeobrażenie. Nowe narodziny do lepszego życia. Parch nie jest karą za grzechy, ale najcudowniejszą z łask. To nie z niego trzeba się oczyścić – on sam oczyszcza.

– I to mówisz ty, ksiądz? Kościół zawsze potępiał tych, którzy uciekali na Lodowiec!

– Dopiero teraz jestem prawdziwym księdzem. I nie potępię nikogo tylko za to, że

wybiera życie.

– Lepiej umrzeć po ludzku niż żyć jako demon.

– Zmieniłbyś zdanie, gdybyś choć raz mógł zaśpiewać razem z nimi. Ale to potrafi tylko ten, kto przyjmie parcha.

– Nigdy tego nie zrobię!

– Wiem. Jesteś synem swojego ojca, upór masz we krwi. Ale nie odbieraj innym prawa do szczęścia, zwłaszcza tym, którzy dotąd prawie go nie znali.

Kaśka jęknęła cicho przez sen i poruszyła się na pryczy.

– Chodźmy stąd, niech śpi. – Ksiądz zniżył głos do szeptu. – Pokażę ci pieśniarza z bliska. Zobaczysz, że nie ma się czego bać.

Wyszli cicho, zamykając drzwi celi. W ciemnościach Rafał poprowadził Maćka schodami do góry, kilka pięter wyżej, a potem wspiął się po przytwierdzonej do muru żelaznej drabince do włazu w stropie. Odsunął zasuwę, pchnął klapę barkiem; dzienne światło wdarło się w mrok klatki schodowej.

– Słońce ci nie zaszkodzi? – zaniepokoił się Maciek.

– Dopiero co wzeszło, jeszcze słabo świeci, a ja jestem parszywcem ledwie od paru dni. Za tydzień–dwa przestanę w ogóle opuszczać klasztor. Zamieszkam poza wieżowcem, do świątyni będę przychodzić tylko wtedy, gdy dzwon wezwie wszystkich na jutrznię. Będę służyć zgromadzeniu jako biskup, a kiedy się zestarzeję, wybiorę kogoś na swoje miejsce, wyświęcę go i sam z ulgą poddam się Przeobrażeniu.

Wydostali się na płaski, zawiany śniegiem dach wieżowca, który wznosił się nieco ponad Lodowiec. Pośrodku sterczała wyniosła iglica, obwiedziona w połowie wysokości wąską galeryjką. Blisko szczytu, obejmując palcami stóp jakieś obłamane pręty, przysiadł nowonarodzony pieśniarz. Pod jego złożonymi skrzydłami uwypuklały się sterczące kolana. Szczupłą twarz o zapadniętych policzkach obrócił na wschód. Patrzył prosto w słońce, bez ruchu, nie przymrużywszy nawet swoich ogromnych, jednolicie czarnych oczu. Oddychał bardzo powoli, głęboko; wokół nozdrzy utworzyły się białe obwódki szronu.

Maciek przyglądał mu się ponuro, zadarłszy brodę.

– Czego tak siedzi?

– Musi nabrać sił. Jest wyczerpany po Przeobrażeniu.

– Przecież karmi ich sam Lucyfer.

– Zawsze wierzysz we wszystko, co opowiadają prości ludzie? – Rafał bezwiednie obracał pierścień na palcu; Maciek zauważył, że paznokcie już mu poczerniały. – On narodził się na nowo, jest wolny od naszych ludzkich ograniczeń. Już nigdy nie będzie pragnął ani łaknął.

– Przecież to nie duch, ma ciało! Śpi, lata, oddycha! I można go zabić, kiedy już wylazł z tego swojego twardego pancerza.

– Można. Nie jest nieśmiertelny. Ale nie zestarzeje się i nie zachoruje. A jeśli nie spotka nikogo zaślepionego nienawiścią, jak ty, będzie żył aż do końca świata, żeby śpiewać każdego słonecznego dnia.

– I to nazywasz życiem? Żeby docenić sytość, trzeba znać głód. Czasem musi być pod górkę, musi być trochę strachu w burzliwą noc. Czasem musi zaboleć ząb. Jak dla mnie całe to ich szczęście gówno warte.

Ksiądz nie obruszył się.

– Rozumujesz jak myśliwy, trudno cię o to winić. Ale nie potrafisz nawet wyobrazić sobie tej radości, której on dozna, kiedy zaśpiewa. To uczucie przy każdym wschodzie słońca jest nowe, świeże, głębokie. Pieśń nigdy go nie znuży.

Maciek drgnął zaniepokojony, gdy po śniegu przemknął smukły cień. Spojrzał w niebo – kilkunastu pieśniarzy szybowało w przestworzach, bardzo wysoko, prawie nie poruszając skrzydłami.

– Nie bój się, dziś już nie będą śpiewać – zapewnił go Rafał. – Wiedzą, że nowy pieśniarz jest jeszcze słaby. Chodź wyżej, rozejrzysz się trochę po okolicy.

Po oblodzonych szczeblach wdrapali się na galeryjkę.

Przy bezchmurnym niebie z góry roztaczał się bardzo rozległy widok. Wszędzie wokół ścieliła się bezkresna, wyzłocona słońcem biel, którą tylko na południu szpeciły ciemne smugi po samozapłonach; niektóre z nich wciąż jeszcze dymiły w przejrzystym powietrzu. Było ich tak dużo, że w oddali zaczerniły cały widnokrąg.

– Chryste… Tak musiał wyglądać Martwy Las dwadzieścia pięć lat temu, kiedy ludzie uciekali z Gór przez Świetlikami. – mruknął Maciek. – Nie wiedziałem, że aż tylu parszywców wylazło spod ziemi.

– To dopiero początek. Teraz nic już ich nie zatrzyma.

– Ilu z nich dotrze aż tutaj?

– Niewielu. Tylko najwytrwalsi. Tacy, którzy naprawdę tego pragną. Pieśniarze pomogą im przetrwać. W nocy mnisi wyjdą na Lodowiec, żeby szukać żywych. Tak właśnie znaleźli mnie.

– I co będzie z nimi dalej?

– Czeka ich próba nowicjatu. Post, modlitwa, powolny wzrost parcha. Śpiew w świątyni przy każdej pogodnej jutrzence. A w końcu, kiedy będą gotowi, Przeobrażenie.

Maciek oparł się ciężko na poręczy.

– Nie rozumiem cię… Zawsze byłeś taki gorliwy, może nawet za bardzo. Kościół był dla ciebie wszystkim. Walczyłeś o niego, chociaż nieraz miałeś przez to kłopoty, w Mieście i po wsiach. Jak to się stało, że twoja wiara tak nagle osłabła?

– Nie tylko nie osłabła, ale się umocniła. Tu znalazłem to, czego szukałem przez całe życie. Prawdziwe wyzwolenie.

– Wyzwolenie? Może dla parszywców, oni i tak nie mają już nic do stracenia.

– Za to mają wszystko do zyskania. Całkiem nowe życie, czyste, proste i piękne. Będą pić Łaskę prosto ze Źródła, jak anioły.

– A co z pogorzelcami na Podgórzu? Mają zdychać z głodu tylko dlatego, że wolą pozostać ludźmi?

– Sądzisz, że nie obchodzi mnie ich los? Modlę się za nich każdego dnia.

– To nie wystarczy. Głodują, zamarzają, giną w pożarach! Przyprowadzę ich tutaj.

– Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Tu słoneczna pieśń rozbrzmiewa nawet donośniej niż na Lodowcu.

– Więc zabierz swoją śmierdzącą trzódkę gdzie indziej! – Maciek nie zdołał już dłużej powstrzymywać gniewu.

Ksiądz smutno potrząsnął głową.

– Nie, Maciek. Tutaj jest nasza ziemia obiecana, nie mamy innej. Może zamieszkać z nami każdy, kto zapragnie oczyszczenia ciała i duszy, kto dobrowolnie przyjmie parcha, żeby wejść do grona stu czterdziestu czterech tysięcy wybranych. Ale dla innych nie ma tu miejsca. – Rysy mu stwardniały jak wtedy, w czasie ostatniego nabożeństwa, jakie odprawił na Podgórzu. – Oni upadli, odwrócili się od Boga, i nie dźwigną się już o własnych siłach. Pierwsze rzeczy przeminęły. Teraz nastanie nowe niebo i nowa ziemia.

– Zastanów się, człowieku! Mógłbym tu wrócić z dwoma tuzinami myśliwych i powystrzelać was wszystkich w jedną noc.

– Mógłbyś, ale nie zrobisz tego.

– Kto mi zabroni?

– Twoje sumienie. Dawniej zabijałeś pokutników, bo wierzyłeś, że w ten sposób walczysz z Lucyferem. Teraz nie jesteś już tego taki pewien, prawda?

– Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Wystarczy, że zrzucę cię stąd na lód, a tamci, ani się obejrzymy, sami się rozpierzchną.

– Jestem ostatnim biskupem na całym świecie. Zabijając mnie, zabijesz Kościół.

Maciek z trudem się opanował.

– Świat jest wielki. Tak mawiał Stach, opowiadała mi o tym matka.

– Wielki i pusty.

– Przecież to ty niedawno namawiałeś ojca, żeby szukał drogi nad Morze! A teraz, kiedy sam ją znalazłeś, nie masz odwagi sprawdzić, co jest po drugiej stronie. A może nie chcesz? – Znów podniósł głos. – Może wcale byś się nie ucieszył, gdyby się okazało, że gdzieś tam żyją zwyczajni ludzie, którzy wcale nie marzą o tym, żeby wyrosły im skrzydła?

Ksiądz rękawicą ocienił twarz, słońce musiało już dawać mu się we znaki.

– Chciałbym oszczędzić ci choć trochę tej goryczy, która jeszcze przed tobą, ale nie mogę. Nie odnajdziesz spokoju, dopóki sam nie wypijesz jej do dna.

Pieśniarz drgnął nagle, zastrzygł uszami, a potem odbił się mocno, aż z iglicy osypał się śnieg, i poszybował na północ nisko ponad Lodowcem, zbyt słaby, żeby wzbić się wyżej.

– Odleciał za wcześnie! – Rafał wychylił się przez barierkę, nasłuchując. – Coś musiało go spłoszyć.

Maciek rozejrzał się, osłaniając dłonią oczy; wszędzie dokoła panowała ta sama martwota.

– Nic nie widzę. Może przestraszył się mnie?

– Nie, zna już twój zapach i głos. To coś innego. Coś, co usłyszał.

– Mówię przecież, że nic tu nie ma… – urwał, wpatrzony w południowy widnokrąg. – Chyba ktoś idzie w naszą stronę.

– Sam?

– Raczej tak.

– To nie może być parszywiec, nie w pełnym słońcu.

– Może jakiś uciekinier z Miasta?

– Nikt jeszcze nie dotarł górą w pobliże klasztoru. Musiałby słuchać pieśniarzy przez kilka kolejnych dni.

Czekali w milczeniu, przejęci myślą o samotnej wędrówce przez Lodowiec pośród grozy samozapłonów, o znoszeniu, dzień po dniu, bolesnej rozkoszy pieśni. Musiał być

w tym jakiś nadludzki upór, coś więcej niż tylko rozpaczliwa próba ucieczki z plądrowanego przez buntowników Podgórza.

Maciek zacisnął dłonie na barierce.

– Idzie z psem przy nodze – powiedział cicho. – To ślepiec.

Teraz widział, że tamten jest u kresu sił; szedł ze zwieszoną głową, powłócząc nogami po zmrożonym śniegu, ze smyczą przypiętą do pasa. Pies wybierał kierunek marszu, omijał zaspy i szczeliny, ale i on musiał być już bardzo zmęczony. Kuśtykał na trzech łapach; jedną z tylnych, zranioną albo odmrożoną, podkulił pod brzuch.

– Boże… – odezwał się raptem Maciek zmienionym głosem. – Boże wielki!

– Co tam? – Ksiądz szarpnął go za rękaw. – Co tam się dzieje, mów!

Myśliwy nie odpowiedział. Wyrwał rękę i zaczął szybko schodzić po drabince, ale zabrakło mu cierpliwości – zeskoczył z wysoka, upadł, podniósł się zaraz i ruszył ślepcowi naprzeciw, nie poprawiając przekrzywionej czapy.

Po kilkunastu krokach zwolnił i się zatrzymał, choć dzieliła ich jeszcze spora odległość. Zagwizdał krótko na palcach. Pies szczeknął ochryple, niemrawo pomachał ogonem. Przybysz potknął się i także przystanął.

– Kudłacz – szepnął Maciek.

Tamten czekał, nie podnosząc głowy. Pies legł przy jego nodze, opierając pysk na wyciągniętych łapach.

Myśliwy pobiegł ciężko, niezdarnie, gubiąc czapę. Odczuwał trochę radosnego zdumienia, dużo niepewności, a najwięcej strachu. Bał się chwili, kiedy będzie musiał zajrzeć pod nasunięty głęboko kaptur. Bał się, a jednocześnie chciał mieć to jak najszybciej za sobą. Rozpoznawał już jeden ze starych kubraków ojca, z ozdobnymi kościanymi guzikami, jego buty i sakwę, chyba pustą, bo luźno zwisającą na ramieniu.

Dobiegł, chwycił wędrowca oburącz za ramiona. Zaskoczyło go, jak bardzo był drobny i wiotki.

– Nie rób tego, ojcze! – zawołał porywczo. – Każdy inny, ale nie ty!

Wycieńczony człowiek zachwiał się, nogi się pod nim ugięły jak podcięte. Maciek lewą ręką przycisnął go do siebie, prawą odrzucił do tyłu jego kaptur.

Zobaczył starą, ślepą kobietę o bielutkich, zmierzwionych włosach i suchej, złuszczonej od mrozu twarzy.

Zmarszczyła popielate brwi, jakby z trudem usiłowała coś sobie przypomnieć. Poruszyła sinymi wargami, coś zarzęziło jej w krtani, a potem wyświszczała ledwie dosłyszalnie:

– Czy jest tu Kacper?

Maćkowi na chwilę pociemniało w oczach. Usłyszał za sobą kroki księdza, potrząsnął głową. Poczuł, że kobieta zwisła mu bezwładnie w ramionach.

– Nie poznałem jej! – krzyknął rozpaczliwie, jakby wołał o pomoc. – Nie poznałem własnej matki…

Choć bardzo było mu szkoda Kaśki, obudził ją z głębokiego snu. Ktoś musiał rozebrać matkę, umyć, dokładnie obejrzeć i opatrzyć.

Przyjęła niewiarygodną wieść bez słowa, jakby nie potrafiła już dziwić się czemukolwiek. Maciek zaprowadził ją do sąsiedniej celi, skąd wydreptał Rafał.

– Jest przytomna, ale bardzo słaba – powiedział ksiądz. – Gdyby chciała się wyspowiadać, poślijcie po mnie.

Kaśka cicho zamknęła za sobą drzwi.

Maciek nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Długo krążył bez celu po pustych, ciemnych korytarzach i klatkach schodowych, zagubiony w trzewiach wieżowca i we własnych myślach. Chwilami zdawało mu się, że będzie tak już błąkać się do końca życia, lecz w końcu jednak zwabiło go światło, które sączyło się z lodowej świątyni.

Wszedł do pustej teraz nawy.

Zobaczył Kudłacza, który leżał na boku, grzejąc się w cieple słonecznego krzyża na podłodze. Pies uniósł łeb na odgłos kroków, zaskomlał cicho, ale nie wstał.

Maciek zbliżył się do niego ze ściśniętym sercem. Przyklęknął, przeczesał palcami jego skołtunioną sierść, pod którą sterczały żebra.

– Wszyscy o tobie zapomnieli, biedaku. Pewnie nikt cię nawet nie nakarmił.

Wziął go ostrożnie na ręce i usiadł na podłodze, wsparty plecami o kolumnę. Otulił psa szalem, położył na kolanach, a potem zaczął wygryzać spomiędzy palców jego obolałej łapy ostre kawałki lodu, jak robił to zawsze ze swoimi zaprzęgowcami po długiej drodze.

Niedługo potem nadeszła Kaśka. Przyniosła zawinięte w szmatkę skrawki surowego mięsa. Podsunęła je Kudłaczowi, ale ich nie tknął – obwąchał tylko i polizał jej ręce.

Usiadła ciężko obok brata, wystawiła do słońca szarą, opuchniętą twarz. Milczała tak długo, aż wreszcie Maciek zrozumiał, że sama nie odważy się rozpocząć tej trudnej rozmowy.

– Co z nią? – zapytał zgaszonym głosem, drapiąc psa pomiędzy uszami.

– Głodowała przez tydzień, albo i dwa, jest lekka jak dziecko. Mocno gorączkuje, kaszle, boli ją przy oddychaniu. Chyba ma zapalenie płuc. Ale najgorsze nogi… Obie odmrożone, czarne aż za kostki. – Przerwała na chwilę. Nie otworzyła oczu, tylko powieki jej zadrżały, na policzkach błysnęły łzy. – Umrze. Nie dziś, to za parę dni.

Maciek nie potrafił płakać na trzeźwo, więc tylko zaklął z cicha, po myśliwsku.

– Nigdy nie opuszczała wsi. A teraz nagle to… – Westchnął, pokręcił głową. – Gdybym nie chlał wtedy w Mieście, tylko wrócił prosto do domu, zatrzymałbym ją.

– Nie zatrzymałbyś. Cały czas pyta o ojca. Upiera się, że on potrzebuje pomocy. Pamiętasz, zawsze powtarzała, że pierwsza będzie wiedzieć, jeśli stanie mu się coś złego.

– Ano tak. Kudłacz sam wrócił do domu, ludzie pewnie coś tam jej nagadali. Kiedy zaczęły się rozruchy, pomyślała, że ojciec gdzieś się zawieruszył. Wszyscy parszywcy szli na Lodowiec, więc i ona poszła. Jak raz wbiła to sobie do głowy, nic już nie mogło jej powstrzymać. Nawet demony.

– Za długo słuchała pieśni, pomieszało się jej od tego w głowie. Nie rozumie, gdzie trafiła ani kto do niej mówi. Ale może to i lepiej, że nie dowie się wszystkiego. – Poruszyła ręką, jakby odganiając jakąś niechcianą myśl. – Chyba powinieneś tam pójść… pożegnać się.

Maciek złożył troskliwie psa na kolanach siostry i wstał niemrawo, otrzepując spodnie.

– Dziwnie pomyśleć, żeśmy się tu wszyscy odnaleźli, pod Lodowcem. Ja, ty, matka,

Kudłacz nawet. To może i ojciec przyjdzie po zmierzchu razem z parszywcami?

– Nie przyjdzie.

– Mówisz, jakbyś to wiedziała na pewno… – Spojrzał na nią uważnie, ale Kaśka nie podniosła oczu.

– Idź – poprosiła cicho.

Leżała na pryczy, teraz już spokojna, przebrana w czysty mnisi habit, z twarzą zwróconą w stronę tłuszczowej lampki; chwiejny płomyk odbijał się w jej ślepych źrenicach. Wysuszona pierś podnosiła się w powolnym, świstliwym oddechu.

Maciek podsunął sobie bliżej stołek, usiadł i przez jakiś czas przyglądał się jej bez słowa. Potem wyciągnął rękę, ostrożnie odgarnął z jej czoła wilgotny kosmyk.

– To ja, mamo. Maciek.

W żaden sposób nie dała poznać, że go słyszy i rozumie. Zdawało się, że płomyk pochłania całą jej uwagę, choć nie widziała go, mogła tylko czuć na twarzy jego słabe, trzepotliwe ciepło.

– Nie upilnowałem go. – Maciek zwiesił głowę; mruczał teraz bardziej do siebie niż do niej. – Starałem się, ale on nigdy się ze mną nie liczył.

Chwycił w obie ręce jej gorącą, spierzchniętą dłoń i pochyliwszy się, przycisnął do twarzy.

– Wybaczysz mi, mamo?

Niespodziewanie poczuł, że oddała mu bardzo słaby uścisk. Podniósł głowę, ufnie spojrzał na nią z bliska, ale jej twarz pozostała nieruchoma, nieobecna, skupiona głęboko na czymś, do czego on nie miał dostępu.

Może właśnie na umieraniu.

Nie ochłonął jeszcze, gdy gdzieś na niższych piętrach zadudniły na schodach ciężkie, gromadne kroki, całkiem inne od powolnego szurania mnichów. Rozległo się szczekanie. Tutejsza psiarnia natychmiast odpowiedziała wściekłym ujadaniem.

Pomyślał o siostrze – o jej strachu przed pościgiem, którego nie pozbyła się nawet wówczas, gdy z Ciepłowni pozostały tylko zgliszcza. Była przekonana, że mimo zamętu na Podgórzu będą jej szukać, a on zlekceważył te obawy. Dopiero teraz, gdy na krańcach znanego świata usłyszał stukot podkutych buciorów, zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

Zostawił matkę samą i pobiegł z powrotem do lodowej świątyni, aby ostrzec Kaśkę.

Nie było jej tam. W miejscu, gdzie przedtem siedziała, pozostał tylko szal z kłakami psiej sierści.

Miał nadzieję, że w porę zdążyła się wymknąć i ukryć. Kroki załomotały na ostatnim piętrze, w wejściu zakołysały się latarnie i do świątyni wbiegło kilkunastu ozdrowieńców w kominiarkach. Niektórzy na krótkich smyczach trzymali psy.

Jeden z nich, porządniej ubrany niż reszta, bez samopału i pałki przy boku, ruszył wprost do niego, zerwawszy kominiarkę z głowy. Maciek rozpoznał technika, z którym wiosną Kaśka uciekła do Miasta.

– Gdzie ona jest? – zapytał tamten od razu.

Myśliwy, już spokojniejszy, zdołał nawet uśmiechnąć się kpiąco.

– Kto taki, gołowąsie?

– Nie szukam z tobą zwady. Powiedz tylko, gdzie moja żona. Wiem, że ją tutaj przyprowadziłeś.

– Skoro nie szukasz zwady, po ci pałkarze?

– Zrozum, człowieku, ona potrzebuje pomocy!

– Uciekła od ciebie, widocznie miała powód.

– Jak chcesz, błagać nie będę. – Grzegorz wyciągnął z kieszeni kubraka kwiecistą chustę Kaśki, rzucił najbliższemu ze strażników. – Nie może być daleko, wytropią ją psy.

Maciek zaskoczył go w tym półobrocie; złapał za nadgarstek, przyciągnął mocno do siebie i przyłożył mu nóż do gardła.

– Wszyscy zostają na miejscu! – zawołał.

Ozdrowieńcy patrzyli na siebie zmieszani, najeżone psy warczały.

– Rozstąpcie się, wyjdę z nim powoli. – Maciek starał się, aby w jego głosie brzmiało zdecydowanie, choć tak naprawdę nie był pewien, czy tamci wystarczająco wysoko cenią życie technika.

Nie dowiedział się tego. W wejściu stanął jeszcze jeden zziajany strażnik, zgarbiony pod ciężarem białobrodego starca, którego przydźwigał z dołu na plecach.

Postawił go na ziemi. Staruszek omiótł jasną nawę spojrzeniem zza grubych szkieł, a potem zwrócił się beznamiętnie do Maćka:

– Schowaj nóż, chłopcze. Tak niczego nie rozwiążesz.

– Z drogi!

– Pamiętaj, że ja też mogłem posłać kogoś do celi, gdzie leży twoja matka, a jednak tego nie zrobiłem.

Odczekał chwilę, a gdy Maciek zaklął i odepchnął technika, skinął głową.

– Tak jest lepiej. Jeśli uważasz, że ktoś skrzywdził twoją siostrę, powinieneś winić mnie, nie jego. Jestem Ciepłownikiem.

Maciek milczał. Patrzył ponuro, przygryzając wąsa.

– Domyślam się, że mnie nienawidzisz, pewnie nawet bardziej niż inni myśliwi. Jeśli zechcesz, możesz stąd teraz wyjść. Nikt cię nie zatrzyma, nikt za tobą nie pójdzie. Ale jeśli zostaniesz, mogę zrobić dla ciebie coś, czego pragniesz najbardziej. – Zdjął okulary, pochuchał na szkła i otarł o rękaw. – Mogę odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania, które dręczą cię od dawna. Masz prawo wiedzieć, dlaczego na twoją rodzinę spadło tyle ciosów. To mój podarunek dla ciebie, chłopcze. Możesz go przyjąć lub odrzucić, ale pamiętaj, drugiej takiej szansy już nie dostaniesz. Nie spotkamy się nigdy więcej.

Maciek rozumiał, że musi zyskać na czasie. Dopóki miał wszystkich na oku, Kaśka była bezpieczna.

Spośród tylu pytań, które mógł zadać, na razie do głowy przyszło mu tylko jedno:

– Jak nas tu znalazłeś?

– Może będziesz zawiedziony, ale to przypadek. Zawsze liczyłem się z tym, że prędzej czy później wydarzy się coś złego i trzeba będzie uciekać z Podgórza, dlatego przygotowałem kryjówkę pod Lodowcem. To niedaleko stąd, kawałek w dół rzeki.

– To znaczy, że od dawna wiedziałeś o rzece? I trzymałeś to w tajemnicy?

– Tak. Pilnują jej strażnicy. Zdarzało się, że trafiali tu przypadkiem myśliwi albo kopacze. Kazałem ich wyłapywać, odstawiać do klasztoru i sparszywiać.

– Teraz rozumiem, czemu żaden nigdy nie wrócił…

– To było konieczne. Nie mogłem pozwolić, abyśmy się rozproszyli po świecie. Zostało nas zbyt mało.

– Przypłynęliście bardzo szybko. Tak czy inaczej, ktoś musiał cię zawiadomić, że tu jesteśmy.

– Oczywiście. Ksiądz Rafał od razu przysłał jednego z mnichów.

– Zdrajca!

– Wypełnił tylko wolę poprzedniego biskupa. To mądry kapłan, wie, że bez cnoty posłuszeństwa nie ma Kościoła. – Ciepłownik dopiero teraz dostrzegł wyraz twarzy chłopaka. – Prawda, dla ciebie to też nowość. Nie mogłeś wiedzieć, że ten klasztor od samego początku był pod moją opieką. Pomogłem biskupowi się tutaj urządzić, dałem psy i sprzęt. Także tę świątynię wykuli w lodzie ozdrowieńcy.

Przez dłuższą chwilę Maciek tylko potrząsał głową jak po silnym ciosie pięścią.

– Wszyscy byli przeciwko nam… Wszyscy. Nic dziwnego, że przez tyle lat nie mogliśmy pokonać Lucyfera.

– Wy, myśliwi, strzelaliście tylko do bezbronnych pieśniarzy. Nawet gdybyście wszystkich wybili, niczego by to nie zmieniło. To nie oni są naszym wrogiem.

– Więc kto?

– My sami. Nasze głupie, uparte przywiązanie do przeszłości, której nigdy już nie uda się ożywić. Nasz strach przed zmianą.

– Zmianą? Tak, widziałem tutaj, jak człowiek zmienił się w demona. Tego właśnie chcesz?

Ciepłownik klasnął w dłonie.

– Wszyscy precz!

Strażnicy natychmiast zawrócili do schodów. Ostatni wyszedł technik. Gdy zostali tylko we dwóch, starzec zbliżył się.

– Nie, chłopcze. Nie tego chcę. Poświęciłem wiele lat życia na to, żeby znaleźć lekarstwo na parcha. Próbowałem wszystkiego, nawet najbardziej zjadliwych trucizn, ale pomogły mi dopiero szczury. I to nie te, na których prowadziłem doświadczenia w Lecznicy, ale te kopalniane, które żerowały na trupach. Same uodporniły się na parcha, nie zarażały się. Zrozumiałem, że lek był w nich. Nauczyłem się wytrącać go ze szczurzej krwi.

– Myślałem, że to pokuta oczyszcza parszywców!

– Bo chciałem, aby tak wierzono. Gdyby było inaczej, wszyscy pokutnicy zażądaliby ode mnie oczyszczenia, a ja nie mógłbym im tego dać. Byli potrzebni do roboty w Kopalni, bez nich Miasto uwiędłoby, na powrót popadłoby w ruinę.

– Nikt by go nie żałował…

– Mówisz tak, bo nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, czym byłoby Podgórze bez Miasta. Przetrwałoby najwyżej kilka wiosek, garstka ludzi, a i to pewnie niedługo.

– Zaczekaj, nie tak szybko… To jakieś szaleństwo! Miałeś lekarstwo, ale oczyszczałeś tylko tylu pokutników, ilu trzeba ci było do straży? To podlejsze niż zdrada!

– Mogłem oczyścić wszystkich. Mogłem nawet sprawić, aby nie sparszywiał już nikt więcej. Ale nie chciałem zniszczyć parcha, rozumiesz? On jest naszą szansą, może już ostatnią, na przetrwanie.

– Jesteś prawdziwym sługą Lucyfera!

– Jeśli naprawdę tak myślisz, możesz mnie zabić. Jesteśmy tu sami, nikt ci nie przeszkodzi. – Oczy za szkłami pozostały chłodne i uważne. – Dalej, chłopcze. Jeśli czujesz się na siłach, aby zdecydować w pojedynkę o przyszłości świata, zrób to.

Maciek oddychał ciężko, spocony mimo chłodu. Nie poruszył się.

Ciepłownik westchnął.

– Sam widzisz, to nie jest łatwe. A jeszcze trudniej przyznać, że to, co wydarzyło się trzysta lat temu, to nie żadna kara Boża, ale co najwyżej Jego pomyłka.

– Bóg nie może się mylić…

– Dlatego właśnie uważam, że Boga w ogóle nie ma. A skoro tak, nie ma też Lucyfera.

– Bluźnisz.

– Możliwe. Taki już jestem, nikomu nie wierzę na słowo, potrzebuję dowodów. O Upadku nie wiadomo nic pewnego. Z tamtych czasów ocalało tylko parę spisanych relacji i bałamutne legendy. Ale i z tych strzępów da się wysnuć jakieś wnioski, byle tylko nie bać się myśleć. Chcesz poznać moje?

Po długiej chwili milczenia Maciek skinął głową.

– Wtedy z nieba nie spadł zbuntowany anioł, tylko życie. Najpierwotniejsze, czyste życie, które do przetrwania potrzebuje jedynie wody i słońca. Takie, które jeszcze nie ma żadnego kształtu, ale może przybrać każdy. Gdyby trafiło na jakiś inny świat, pusty i jałowy, zagnieździłoby się tam, rozrosło, a z czasem pokryło każdy jego zakątek w swojej nieskończonej różnorodności. Lecz stało się inaczej. Nasz świat nie był martwy. Kiedyś, miliardy lat temu, taki Upadek już się wydarzył. Stwórca niepotrzebnie zabrał się po raz drugi do tego samego dzieła. To się musiało źle skończyć.

– Bluźnisz, mówię!

– Skoro nie zabiłeś mnie i nie uciekłeś, słuchaj dalej. Po Upadku drobinki nowego życia rozproszyły się na cały świat. Unosiły się w powietrzu. Świeciły blaskiem, którego natury nie znamy. Może to był jakiś rodzaj energii duchowej czy aury. Może zalążek świadomości, duszy, jeśli wolisz.

– Świetliki…

– Właśnie. Sadzę, że po pierwszym Upadku wszystko wyglądało podobnie. Ta siła twórcza przeobrażała życie i jednocześnie się w nie wcielała, ulepszała pokolenie po pokoleniu, aż w końcu powstała najdoskonalsza z żywych istot, duchowa i cielesna zarazem. Człowiek. Duchowa energia się nie wyczerpała, wciąż w nas jest, chociaż już jej nie widzimy. Sprawia, że działamy, czujemy, myślimy. Ale taka historia nie mogła się powtórzyć, nie w tym samym miejscu. Nowa aura, która spadła z nieba trzy wieki temu, próbowała wcielić się w gotowe, rozwinięte formy życia, a to za każdym razem kończyło się samozapłonem. Wtedy pojawiły się brudne dusze. To właśnie one sprawiły, że świat stał się mroźny i martwy. Nie sądzę, aby tego chciały. Zaślepia je rozpacz. Wierzą, że są potępione, że nie ma już dla nich żadnej nadziei. Boją się słońca, ale potrafią w jakiś sposób wysysać ciepło z otoczenia. Tam, gdzie przebywają, natychmiast robi się zimniej.

Jedna brudna dusza nie ma znaczenia, najwyżej wpadnie do ognia, zasmrodzi izbę, postraszy ludzi. Gorzej, kiedy pojawia się wiele w jednym miejscu, jak w Kopalni. Tam już czuje się ich obecność, trwoga wisi w powietrzu, szybciej pozbawia ludzi sił niż ciężka praca. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to było przed trzystu laty, kiedy w krótkim czasie przestworza zaroiły się od milionów, miliardów brudnych dusz. Na kilka tygodni całkiem zaćmiły słońce, jakby całe niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Miotały się w przerażeniu, a ich rozpacz rozpętywała burze, powodowała trzęsienia ziemi, zmieniała kierunki prądów morskich. Z czasem, kiedy nauczyły się wyszukiwać podziemne kryjówki, wszystko to uładziło się powoli, ale gdy znów zaświeciło słońce, świat wyglądał już całkiem inaczej. Stał się pusty, zimny i martwy. I taki pozostanie, dopóki mrozi go ich strach.

Maciek pohamował wzburzenie, wzruszył ramionami.

– To tylko twoje domysły. Wcale nie lepsze od wszystkiego tego, w co wierzymy.

– Racja. Ale wielu innych rzeczy dowiedziałem się już sam. Prowadziłem badania, których nie odważył się podjąć nikt przede mną. Odkryłem, że kiedyśmy się nauczyli chronić przed Świetlikami, one nie wyginęły, ale zaczęły wykorzystywać swoją energię w inny sposób. Niektóre drobinki życia przeniknęły do wód gruntowych, ogrzewają teraz źródła, jeziorka i strumienie. To dzięki nim rzeka pod Lodowcem nie zamarzła. Są nieszkodliwie, a nawet pożyteczne, bez nich nie potrafilibyśmy przetrwać tak długo na Podgórzu. Inne przedostały się do ludzkiej krwi i stały się dla nas pasożytem, wyniszczającą chorobą. Ale gdyby nie to, nigdy nie poznalibyśmy ukrytej w nich zdolności do przemiany. W sprzyjających warunkach parch nie zabija swego nosiciela, lecz zmienia go, przeobraża w nową postać, o wiele lepiej przystosowaną do przetrwania w tym świecie. Pieśniarze nie potrzebują jedzenia, energię pobierają przez oczy bezpośrednio ze słońca. Od czasu do czasu liżą tylko śnieg, żeby się nawodnić.

– Czort z nimi!

– Nie rozumiesz, jaka to dla nas szansa? Jeśli następne pokolenie się nie zmieni, będzie ostatnim. Pozostaną tylko szybujący w słońcu pieśniarze i brudne dusze, drżące w ciemnościach.

– Jak mielibyśmy się zmienić? W demony?

– Nie słuchasz mnie uważnie. Chodzi o to, żeby to przeobrażenie udoskonalić. Pieśniarze nie rozmnażają się, niczego nie tworzą. Wszystkie ich władze umysłowe, cała świadomość jest skupiona tylko na słońcu. Są pijani światłem. Nasze dzieci także powinny żyć słońcem, jak oni, nie troszczyć się już nigdy więcej o pożywienie i opał, ale jednocześnie nie mogą zatracić ludzkich uczuć, zdolności i marzeń. Dopiero takiemu pokoleniu przestanie zagrażać zagłada.

– Dzieci? To znaczy, że ty chciałbyś… – Maciek urwał, przerażony.

– Tak, chłopcze. Dlatego właśnie potrzebujemy parcha. Ale na to, by takie scalenie się udało, nie wystarczy zarazić się parchem. Trzeba się z nim urodzić.

– Chryste!

– Próbowałem zaszczepiać parcha zdrowym płodom jeszcze w łonie matki.

– To ohydne!

– Te dziewczyny wiedziały, co robią. Każda z nich miała szansę urodzić nowego

Adama, odnowić ludzkość. Opiekowałem się nimi w czasie ciąży, a kiedy pojawiało się zagrożenie dla ich życia albo zdrowia, usuwałem płód. Kilka razy byłem bliski celu, jednak nigdy na tyle, żeby doszło do porodu. Dopiero twoja siostra dała mi wielką nadzieję, że w końcu się uda.

– To dlatego Kaśka uciekła z Ciepłowni! Bała się, że jej też to zrobisz. Chyba że… – Maćkowi cała krew odpłynęła z twarzy.

Ciepłownik potwierdził lekkim skinieniem głowy.

– Po tylu niepowodzeniach zrozumiałem, że to nie jest właściwa droga. Parch musiał być jeszcze ściślej zespolony z płodem, musiał być jego częścią od samego poczęcia. Powinien trafić do łona matki z nasieniem ojca. – Dał Maćkowi trochę czasu, aby mógł zrozumieć, co to oznacza. – Wybrałem Grzegorza, bo był młody, zdrowy i odpowiedzialny. Zaszczepiłem parcha wprost w jego nasienie. Wiedział, że jeśli się zgodzi, nigdy już nie będzie mógł mieć innych dzieci. Wiedział też, że nie wolno mu mówić o tym żonie. Stawka była zbyt wielka, a ona, prosta dziewczyna ze wsi, mogłaby nie udźwignąć takiego ciężaru.

– Skręcę ci kark, stary diable…!

– Jeśli to zrobisz, nie dasz jej żadnej szansy. Ona bez mojej pomocy nie zdoła przeżyć takiego porodu. A z drugiej strony, jeśli wszystko pójdzie dobrze, nikt nie każe jej wychowywać tego dziecka, nie będzie musiała nawet go widzieć. Zrobię wszystko, o co poprosi. Zadbam, żeby do końca życia nie musiała już o nic się martwić.

Na schodach znów podniosła się krótka wrzawa, do świątyni wbiegł Grzegorz.

– Przyszedł strażnik z dołu… – Stanął przed Ciepłownikiem, z trudem łapiąc oddech. – Zniknęła jedna z naszych łodzi.

– Może była źle uwiązana?

– Może… Ale myślę, że to Kaśka. Psy zgubiły trop na brzegu. – Zawahał się, poszukał wzroku Maćka. – Czy ona… wie?

Myśliwy splunął mu pod nogi.

– A co za różnica, mendo? Za to, coś jej zrobił, powinienem wyrwać ci te parszywe jaja!

Grzegorz mocno zacisnął zęby, aż napięły się pod skórą ścięgna żuchwy.

– Boję się o nią. Jeśli uciekła po to, żeby chronić dziecko, będzie na siebie uważać. Ale jeśli coś podejrzewa…

Maciek przybladł, zmagał się w milczeniu z jakąś myślą.

– Może wie – powiedział w końcu. – Ksiądz twierdzi, że tylko parszywcy potrafią śpiewać z demonami… A ona śpiewała!

– Tak, to możliwie – wtrącił strapiony Ciepłownik. – Ona sama jest czysta, ale brzemienna parchem. Chyba mogła śpiewać. – Zadumał się, mrużąc oczy. – Czy była przy tym, co mówił ci ksiądz?

– Tak, ale spała.

– Głęboko?

Maciek rozeźlił się nagle.

– Skąd mogę wiedzieć? Teraz się o nią martwicie? A może zależy wam tylko na sparszywiałym bachorze? Gdyby chciała ze sobą skończyć, wymknęłaby się górą, na Lodowiec. Nie musiała wcale wykradać wam łodzi i ryzykować, że ją złapiecie. –

Odetchnął, dokończył spokojniej. – Nie, ona nie jest taka. Uciekła, żebyście nie dostali dziecka w łapy. I nie dostaniecie!

– Chyba nie życzysz jej dobrze, chłopcze. Jeśli szybko jej nie znajdziemy, umrze w samotności, w wielkim cierpieniu.

– Nie będzie sama! Tam, nad Morzem, ktoś na nią czeka.

– Nikt na nią nie czeka. Poza Podgórzem nie ma żadnych innych ludzi. Wszyscy wyginęli niedługo po Upadku.

– To jeszcze jedno twoje kłamstwo!

– Byłem tam wiele razy. Sprawdziłem całe wybrzeże.

– A ja wiem, że ktoś dotarł nad Morze przed tobą. Nie wierzę ci!

– Chodzi o wiadomość na skórzanym pasku uwiązaną do łapy pingwina, prawda? Sam ją przygotowałem i kazałem podrzucić staremu Józwie – wyjaśnił Ciepłownik. – Ale nie chodziło mi o niego, tylko o twojego ojca. Chciałem wywabić go z domu, żeby przyszedł na Lodowiec.

Rozbity zupełnie chłopak zdołał tylko wyszeptać:

– Cośmy ci złego zrobili, człowieku…

– Spróbuj mnie zrozumieć, chłopcze. Nie miałem zamiaru dręczyć spokojnego kopacza. Pamiętam go jeszcze ze szkoły, choć jest ode mnie sporo młodszy. Potem, kiedy wyprowadził się z Miasta, na całe lata zniknął mi z oczu. Dopiero Grzegorz mi o nim przypomniał. Los chciał, że spotkał na Czarnym Szlaku Kaśkę i się w niej zakochał. Zależało mi na tym, żeby się pobrali, żyli szczęśliwie i szybko doczekali się dziecka. Ale kiedy doniesiono mi, że ojciec dziewczyny to właśnie Kacper, wiedziałem już, że będą kłopoty. On nie zgodziłby się na takie małżeństwo, wolałby nigdy nie doczekać wnuków. Zamknąłby córkę w domu, a cała wieś by mu sprzyjała. Dlatego musiałem użyć podstępu. Znałem historię Stacha, dwadzieścia pięć lat temu było o niej głośno. Liczyłem na to, że twój ojciec wyruszy natychmiast na wezwanie brata, a wtedy młodzi nie musieliby już dłużej ukrywać swojej miłości.

– Chciałeś go tu sparszywić jak innych?

– Nie spodziewam się, że mi uwierzysz, ale gdyby usunął się na jakiś czas, nie spotkałoby go nic złego. Dawno temu to on dał mi klucz do wiedzy i nigdy mu tego nie zapomnę. Postarałbym się o to, żeby znalazł rzekę, a potem kazałbym strażnikom przepuścić go na drugą stronę Lodowca. Podrzuciłbym mu tam jeszcze kilka tropów, zwodziłbym go tak długo, jak byłoby trzeba, a kiedy przekonałby się, że wybrzeże jest bezludne, pozwoliłbym mu wrócić. Ale Kaśka byłaby już wówczas szczęśliwą matką. – Przygładził białą brodę. – Niestety, albo nie uwierzył w tę wiadomość, albo czuł się za stary na taką wyprawę. Próbowałbym dalej, może wymyśliłbym inny sposób, ale wtedy ty napadłeś na Grzegorza i Kaśka postanowiła uciec od razu. – Skinął na technika. – Płyń za nią, ale nie zabieraj ze sobą strażników, mogłaby się wystraszyć. Twoja w tym głowa, żebyś przywiózł ją z powrotem.

Grzegorz wybiegł.

Ciepłownik chciał mówić coś jeszcze, ale umilkł raptownie, gdy w wejściu niespodziewanie ukazała się Mira, wsparta na ramieniu Rafała.

Stąpała z trudem, ledwie przesuwając bose, poczerniałe stopy. Każdy krok musiał

sprawiać jej ogromny ból, lecz nie zważała na to, nie krzywiła się nawet, cała pochłonięta troskliwym staraniem, aby nie zagasić przypadkowym oddechem czy nagłym ruchem płomyka lampki, którą niosła przed sobą w obu dłoniach jak jakiś skarb.

– Mówiłem jej, że nie powinna mnie dotykać. – Laseczka, którą ksiądz ostukiwał drogę przed sobą, drżała. – Próbowałem ją przekonać, żeby nie wstawała. Wszystko na nic. Powiedziała, że chce się tutaj pomodlić.

Maciek podbiegł, ujął matkę pod drugą rękę. Podziękowała mu przytomniejszym uśmiechem, prawie takim jak dawniej, ale zaraz znowu pochyliła twarz nad płomykiem.

Przeszli powoli wzdłuż całej nawy aż do miejsca, gdzie Mira poczuła pod stopami ciepło słonecznego krzyża. Przystanęła przy złączeniu jego ramion. Uklękła sztywno, podtrzymywana przez księdza i syna, i bardzo ostrożnie postawiła przed sobą lampkę. Gdy przez wyłom u góry wtargnął jakiś powiew i przydusił płomyk do dna miseczki, natychmiast przysiadła na piętach i pochyliwszy się nisko, otuliła go dłońmi.

Rafał przeżegnał się krzyżykiem różańca, zmówił półgłosem *Wieczny odpoczynek*, ale Mira nie przyłączyła się do modlitwy.

Maciek niezgrabnie dotknął jej wystających łopatek.

– Wracajmy, mamo – poprosił cicho. – Powinnaś odpoczywać.

Zgnębiony czekał na jakąś odpowiedź, lecz zamiast tego usłyszał raptem skwierczenie wrzącego w lampce tłuszczu.

– Brudna dusza! – Ksiądz błysnął ku niemu skrwawionymi oczami.

Lampka zakopciła ciężkim, cuchnącym dymem, prosto w schyloną twarz Miry, lecz ona się nawet nie uchyliła.

– Chodźmy, mamo! – Maciek chwycił ją za łokieć, lecz napotkał zaskakująco silny opór, gdy Mira napięła uwiędłe mięśnie.

Zakasłał. Poprzez gęstniejący dym spojrzał bezradnie na księdza, jednak tamten cofał się teraz krok po kroku, osłoniwszy nos i usta szerokim rękawem.

– Trzeba to zgasić, szybko! – zawołał z tyłu Ciepłownik.

Maciek chciał kopniakiem odrzucić lampkę jak najdalej, ale matka osłaniała ją pieczołowicie, choć gorący tłuszcz pryskał jej na dłonie. Pomiędzy jej palcami przeświytywał bladoniebieski, łopoczący płomyk.

Chłopak gotów był już odciągnąć matkę siłą, gdy nieoczekiwanie odezwała się całkiem wyraźnie, swoim zwykłym, trzeźwym głosem.

– To ojciec. Chcę zostać z nim sama.

Nie mógł już złapać oddechu. Zaczął teraz odczuwać rozpaczliwe osamotnienie brudnej duszy, które przenikało go na wskroś niczym lodowaty podmuch. Pomroczniało mu przed oczami, zdrętwiał cały, nawet serce przyczaiło się jakby w strachu.

Ktoś szarpnął go mocno, przewrócił i pociągnął na bok. Ocknął się po chwili, otworzył oczy, zobaczył pochyloną nad sobą twarz Ciepłownika z przekrzywionymi okularami na nosie.

– Za późno, teraz musi się wypalić samo – powiedział szybko, zasapany. – Powinniśmy stąd iść.

– Co z matką…?

– Jeśli ją ruszysz, tylko przedłużysz jej mękę o dzień czy dwa.

Maciek stanął na drżących nogach, otarł załzawione oczy, ale nie dostrzegł już Miry – zniknęła w czarnych kłębach. Chciał do niej wrócić, lecz powstrzymał go zachrypły głos księdza:

– Zostaw! Ona wie, co robi. Chce pomóc mężowi, tak jak on przez lata pomagał innym. Jemu potrzeba teraz miłości, żeby się rozgrzać i pozbyć strachu przed światłem. Tylko Mira może mu ją dać.

W świątyni robiło się coraz ciemniej. Chociaż dym uchodził na zewnątrz przez otwór w sklepieniu, wciąż go przybywało – snuł się między kolumnami, na ścianach osadzał się czarny kopeć.

Maciek trząsł z zimna. Każdy wydech ubielał mu teraz wąsy szronem.

– Jest ich tu więcej… – wydusił przez zaciśnięte zęby. – Coraz więcej.

Zdawało mu się, że słyszy zgiełk przerażonych głosów, krzyki i błagania. Ruchliwe cienie otaczały go, napierały ze wszystkich stron, tchnęły mroźną grozą. Nie chciał wychodzić, ze straceńczym uporem próbował odnaleźć matkę, i dopiero strażnicy, którzy przybiegli na wezwanie Ciepłownika, zdołali pochwycić go i wyprowadzić z wykręconymi do tyłu rękami.

Powlekli go schodami w górę, do drabinki pod włazem. Było bardzo ślisko – podłogę i ściany pokryła warstewka lodu – i całkiem ciemno, bo strażnicy pogasili latarnie w obawie przed brudnymi duszami. Gdy ktoś otworzył klapę i do klatki schodowej wdarło się trochę świeżego powietrza, Maciek oprzytomniał na tyle, żeby chwycić lepkie od mrozu szczeble i wspiąć się na górę.

Padł w świeży śnieg, lecz nie mógł odpocząć ani chwili, bo już deptali po nim uciekający ozdrowieńcy i mnisi. Poczołgał się dalej. Dobrnął do podnóża iglicy i obrócił się na wznak.

Nie zobaczył błękitu nieba, blady krąg słońca ledwie przeświecał przez szary welon dymu. Setki spłoszonych pieśniarzy szybowały nisko, zataczając kręgi i nawołując się krótkimi, przenikliwymi okrzykami, które w niczym nie przypominały słonecznego śpiewu. Gdzieś w zmrożonej ziemi narastał stłumiony pomruk, lód drżał coraz wyraźniej – a jednak wokół było dziwnie cicho.

Podniósł głowę. Ludzie, którym udało się wydostać na dach wieżowca, stali lub siedzieli w śniegu, zapatrzeni w jedną stronę.

Parędziesiąt kroków od krawędzi dachu, ponad czerniejącym pośród śniegu otworem w kształcie krzyża, unosił się gruby, kłębiasty słup dymu, który rozcapierzał się gdzieś na wysokościach w ciemną chmurę. Mimo podmuchów wiatru nie chwiał się, buchał niepowstrzymanie prosto w niebo.

– Ona już nad tym nie panuje… – Głos Ciepłownika zabrzmiał jakoś głucho, jak pęknięty dzwon. – Jak to możliwie, że jeden mały płomyk zwabił tak wiele dusz?

Rafał klęczał nieopodal, ściskając w dłoniach krzyżyk różańca.

– To już nie ona. – Powoli pokręcił głową. – To Kacper. Ona wskazała mu drogę, a on pociągnął za sobą inne.

– Brudne dusze są przecież samotne, nie umieją współdziałać!

– On mógł je wezwać. Tak, on jeden mógłby to zrobić...

– W jaki sposób?

– Zawsze im pomagał, choć ludzie go za to potępiali. I ja też… Teraz myślę, że przygotowywał się do tego od lat. Dawno zrozumiał, że to w ich cierpieniu kryje się Lucyfer. Tylko w ten sposób można uwolnić od niego świat. Zaplanował to. Wybrał to miejsce, bo w kanałach pod Lodowcem kryje się ich najwięcej, ale wciąż będą się zlatywać nowe, nawet z najdalszych krańców ziemi. – Księdzu coraz trudniej było mówić, głos mu się łamał. – Nie przewidział tylko jednego: że najpierw będzie musiał uwolnić od strachu samego siebie. Nie udałoby mu się bez poświęcenia Miry. Poczuła jego rozpacz, tam, w swojej wiosce, rzuciła wszystko i przyszła tutaj.

We wnętrzu Lodowca coś tąpnęło. Pieśniarze wzbili się wyżej, ciężko uderzając skrzydłami.

– Jak wiele może wyprowadzić ich z ciemności?

Ksiądz wstał i wyprostował się, blady, surowy, ale jednocześnie jakby rozradowany wewnętrznie. Milczał, bezdźwięcznie poruszając wargami.

– Mówże, człowieku! – zawołał Ciepłownik. – Jak wiele?

– Wszystkie… – wyszeptał Rafał.

Lodowcem targnął gwałtowny wstrząs. Iglica przechyliła się, słychać było, jak z trzaskiem pękają kolumny świątyni, i zaraz potem strop zawalił się z łoskotem. Wzbiła się śnieżna kurzawa, wielka dziura jeszcze obficiej bluznęła smolistym dymem.

W miejscu, gdzie pod lodem przebiegał kanał, pojawiło się głębokie, wydłużone zaklęśnięcie.

Po raz pierwszy tego strasznego dnia twarz Ciepłownika stężała z grozy.

– To koniec. – Opuścił ręce. – Już po dziewczynie.

– Z Bożą pomocą może zdążyła uciec! – Rafał podszedł do krawędzi dachu, usiłując dostrzec, gdzie kończy się ogromne zapadlisko.

– Wątpię. A nawet jeśli ocalała, już jej nie zobaczymy, lód zamknął jedyne przejście. Umrze w opuszczeniu, jak jej przepowiedziałem.

– Popłynął za nią tamten chłopak…

– Więc umrą oboje! Wszystko na nic, tyle lat pracy, tyle nadziei… Byłem już tak blisko, żeby odrodzić ludzkość! Jeśli istnieje Bóg, chyba naprawdę postanowił nas wygubić.

– Mówisz tak, bo zawiodły twoje plany. Ale Bóg ma własne.

– Szkoda tylko, że się z nich nikomu nie zwierza.

– Czasem coś jednak zdradza. Na przykład to: „Nie będę już więcej złorzeczył ziemi ze względu na ludzi, bo usposobienie człowieka jest złe już od młodości. Przeto już nigdy nie zgładzę wszystkiego, co żyje, jak to uczyniłem. Będą zatem istniały, jak długo trwać będzie ziemia: siew i żniwo, mróz i upał, lato i zima, dzień i noc”[**].

– Myślałem, że słońce wypaliło ci już z pamięci wszystkie święte pisma. Taki jesteś pewien, że twój Bóg zawsze dotrzymuje słowa? – Ciepłownik obrócił się na południe. – Spotka cię zawód. Na szczęście już ostatni w życiu.

W oddali, ponad niewidocznymi Górami, piętrzył się złowrogi wał brunatnych chmur. Znajomy widok rozbudził w Maćku myśliwski instynkt na nowo

– Zanosi się na Wietrzysko – mruknął. – Widziałem ich już wiele.

– To będzie gorsze od wszystkich poprzednich. Rozniesie całe Podgórze. Wątpię, czy ostoi się nawet komin Ciepłowni.

– Wygląda całkiem zwyczajnie…

– Wiem, co mówię. Twój ojciec uratował brudne duszyczki, ale przez to naruszył równowagę strachu, która tak długo mroziła cały świat.

– Czy to znaczy, że zrobi się cieplej?

– Na pewno. Ale zanim to się stanie, przejdą straszne burze, nawałnice, gradobicia. Sądzę, że przez wiele dni nikt nie zobaczy słońca. Potem zacznie topnieć Lodowiec. To będzie jak nowy potop. Na kilka lat całe Podgórze zniknie pod wodą.

Rafał w uniesieniu odrzucił głowę do tyłu i wyciągnął ku niebu zaciśnięte pięści.

– Kiedyś przecież naga ziemia obeschnie i znowu się zazieleni. Przyjdzie wiosna. Pierwsza od trzech wieków prawdziwa wiosna!

– Szkoda tylko, że nie będzie komu tego cudu oglądać. Nawet twoi pieśniarze nie ocaleją, Wietrzysko potarga im skrzydła.

Ksiądz powoli opuścił ręce.

– Nie wierzę ci…

– Tak trudno pogodzić się z tym, że i twoim planom Bóg nie sprzyja? Zdawało ci się, że znalazłeś Go w słonecznym błogostanie, a przecież nawet ja, niedowiarek, wiem o tym, że On zawsze przychodzi poprzez cierpienie. To nasza wspólna klęska, księże. Moja, twoja, Kacpra.

Maciek otrzepał się z grubsza ze śniegu. Jeszcze raz obrzucił uważnym spojrzeniem spękany Lodowiec i zadymione niebo. Nie potrafił ogarnąć wyobraźnią wizji odrodzonego świata, nawet nie próbował, ale ostatnie słowa Ciepłownika go wzburzyły.

– Ojciec nie był szaleńcem! Skoro zapłacił tak wysoką cenę, na pewno wiedział za co. Dla Kaśki i matki nic już nie mogę zrobić, ale spróbuję dokończyć, co on zaczął. Nie pozwolę tego zmarnować.

– Twoja wiara w ojca nie ocali nikogo.

– Poprowadzę ludzi w Góry, tam nie dosięgnie nas powódź.

– Bzdury! – sarknął Ciepłownik. – Tam nic nie ma.

– Są nasze domy, porzucone dwadzieścia pięć lat temu.

– A opał? Żywność?

– Musiało zostać sporo drewna z dawnych czasów – przecież ludzie nie brali tego ze sobą, kiedy uciekali na Podgórze. Będziemy polować na foki i łowić ryby. Wytrwamy do czasu, aż opadnie woda.

– Pewnie nawet nigdy tam nie byłeś.

– Dziadek dużo opowiadał mi o Górach. I ojciec.

– Wyobrażasz sobie, że ludzie tak po prostu zaufają jakiemuś młodziakowi? Przywykli do Miasta, do ciepła. Taki pomysł ich przerazi. Może uda ci się namówić do tego jakąś garstkę, ale inni za tobą nie pójdą.

– Pójdą, kiedy zobaczą biskupi pierścień.

– Tak, to mogłoby dodać im odwagi. Tyle tylko, że najpierw musiałbyś przekonać biskupa, a o to chyba też nie będzie łatwo.

Ksiądz odrzucił do tyłu głowę, jakby mimo ślepoty pragnął dostrzec zagubionych w dymie pieśniarzy.

– Nie nazywajcie mnie tak… – wymamrotał. – Nie jestem biskupem.

– Mówiłeś, że przyjąłeś święcenia! – krzyknął Maciek.

– Tam są moje owieczki, to im miałem pasterzować. Jeśli Bóg chce je wygubić, to znaczy, że zawiodłem…

– A ludzie? Pomyśl o ludziach!

– Kiedy Bóg przestanie się uśmiechać w słońcu, wszystkim ukaże swoją gniewną twarz.

– Opamiętaj się! Będziesz potrzebny tym, którzy przeżyją.

Rafał potrząsnął głową.

– Nie trudź się, chłopcze – Ciepłownik wzruszył ramionami – on nawet cię nie rozumie. To nie jest już człowiek, którego znałeś. Od kiedy po raz pierwszy zaśpiewał w chórze, nic innego nie ma dla niego znaczenia. Stracił wolną wolę, teraz wszystkimi jego pragnieniami rządzi parch, który dąży do przeobrażenia.

Milczał przez jakiś czas, patrząc na zapadlisko, po czym dodał ciszej:

– Naprawdę wierzysz, że możemy jeszcze raz zacząć wszystko od początku?

Oczy Maćka zwęził gniew.

– Ty nie jesteś jednym z nas. Nigdy nie byłeś.

– Nie zapominaj się, młodzieńcze. Wystarczy jedno moje słowo, a strażnicy rozniosą cię na strzępy gołymi rękami.

– Taki jesteś pewien ich wierności? Jak długo jeszcze? – Zbliżył się pewnym krokiem, ściszył głos. – Szybko się przekonają, że nie służą już u potężnego Ciepłownika, tylko u przegranego starca. Porzucą cię, prędzej czy później zostaniesz sam. A wtedy wpełzniesz do pierwszej lepszej dziury, jak jakiś śmierdzący pokutnik, żeby tam zdechnąć w samotności. I wiesz co? Dopiero wtedy świat naprawdę odmieni się na lepsze.

Ciepłownik słuchał spokojnie. Na koniec poprawił okulary na nosie; jedno szkiełko pękło w czasie ucieczki ze świątyni.

– Jeśli chcesz poprowadzić ludzi, musisz się nauczyć odkładać na bok swoje osobiste sprawy. Wiem, że wolałbyś się mnie pozbyć, ale zapomnij na chwilę o zemście, a zrozumiesz, że jestem ci potrzebny.

– Obejdziemy się bez twoich maszyn. Będziemy żyć jak dawniej.

– Możliwe. Jakaś licha wioszczyna pewnie przetrwa w Górach. Ale to jeszcze nie będzie nowy początek, tylko przedłużenie końca. Kacper uwolnił brudne dusze, ale parch pozostanie z wami. Nie uciekniecie przed nim, z czasem wygubi was wszystkich. Tylko ja wiem, jak go wytępić.

Nim Maciek zdołał zebrać myśli, zagrzmiał nowy zawał, aż dach wieżowca zadrżał im pod nogami.

– Na Podgórzu jest wielu takich, którzy chętnie rozszarpaliby cię żywcem… – powiedział z wahaniem.

– Założę habit, zdejmę okulary, schowam twarz pod kapturem. Nikt mnie nie pozna.

– Ciepłownia spalona, lekarstwo pewnie przepadło.

– Mam duży zapas, dobrze ukryty. Wystarczy dla wszystkich, którzy będą chcieli oczyszczenia.

Maciek uspokoił się nieco, odetchnął.

– Nie ufam ci. Gdybyś naprawdę to zrobił, przyznałbyś się do porażki. Za szybko, za łatwo.

– Jestem stary. Nie wystarczy mi sił, żeby rozpocząć jeszcze raz to wielkie dzieło. – Uśmiechnął się lekko, znów całkiem opanowany. – Właściwie mógłbym odpuścić sobie tych kilka ostatnich lat, jakie mi jeszcze pozostały. Tym bardziej, że nie będą łatwe ani przyjemne. Ale rozbudziłeś moją ciekawość. Chcę wiedzieć, jak to się skończy.

Maciek zbliżył się jeszcze, tak żeby inni go nie słyszeli.

– Jesteś bardzo ostrożny, wszyscy to wiedzą. Na pewno masz przy sobie trochę leku. Na wszelki wypadek, dla siebie.

– Może i mam. Co z tego?

– Pokaż mi, że to naprawdę działa.

– Oczyściłem w Ciepłowni setki pokutników. To ci nie wystarczy?

– Nie było mnie przy tym.

– Uparty jesteś jak ojciec – prychnął, rzucił okiem w stronę grupki oszołomionych mnichów. – Którego z nich?

– Biskupa.

– Ach, więc tak to chcesz wychytrzyć… Ale nic z tego. On się nie zgodzi.

– Nie będziemy go pytać. Zrobimy to siłą, a jak mnisi będą przeszkadzać, rozpędzą ich twoi ludzie.

– Parch nie poddaje się tak łatwo, jak myślisz. Rafał straci przytomność, kilka dni przeleży w gorączce, a może i umrze.

– Trudno. Poniosę go na plecach, jeśli będzie trzeba.

– Za kogo się masz, żeby decydować za niego? Pamiętaj, że przyszedł tutaj dobrowolnie.

– Nie ja będę go za to sądził. Nawet święty Piotr trzy razy zaparł się Jezusa. Ale ksiądz Rafał oprócz parcha przyjął też święcenia. Sam wybierze, co jest dla niego ważniejsze, kiedy już będzie do tego zdolny.

– Masz nadzieję, że będzie mu się jeszcze chciało głosić kazania do kmiotków, którzy najpierw słuchają, a potem i tak robią swoje? Możesz się gorzko rozczarować.

– Zobaczymy.

– Nawet jeśli pójdzie z wami w Góry, do końca życia nie zapomni o słonecznych hymnach, nigdy nie przestanie tęsknić. Będziecie mieli nieszczęśliwego, zapijaczonego, bełkocącego biskupa. Cud, jeśli utrzyma kielich przy ołtarzu w roztrzęsionych dłoniach.

– Nie ma czasu na gadanie. Oczyść go albo idź do diabła.

Zrobiło się mroczno, jakby zapadał przedwczesny zmierzch.

– Bóg, jeśli istnieje, musi mieć poczucie humoru, skoro to właśnie mnie upatrzył sobie na obrońcę Kościoła, nie uważasz? – Ciepłownik roześmiał się w głos. – A jeśli, mimo wszystko, twoja siostra naprawdę przeżyje… i dziecko? Wtedy może się okazać, że to jednak ja miałem rację. Będziecie musieli ustąpić miejsca nowemu, lepszemu pokoleniu. Powiedz mi, myśliwcze, czy zamierzasz ich szukać, kiedy otworzy się znowu droga na północ?

Maciek nie odpowiedział, ale i nie uciekł wzrokiem.

– Śpieszmy się.

* J 15, 5–6, za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002.
** Rdz 8, 21–22.

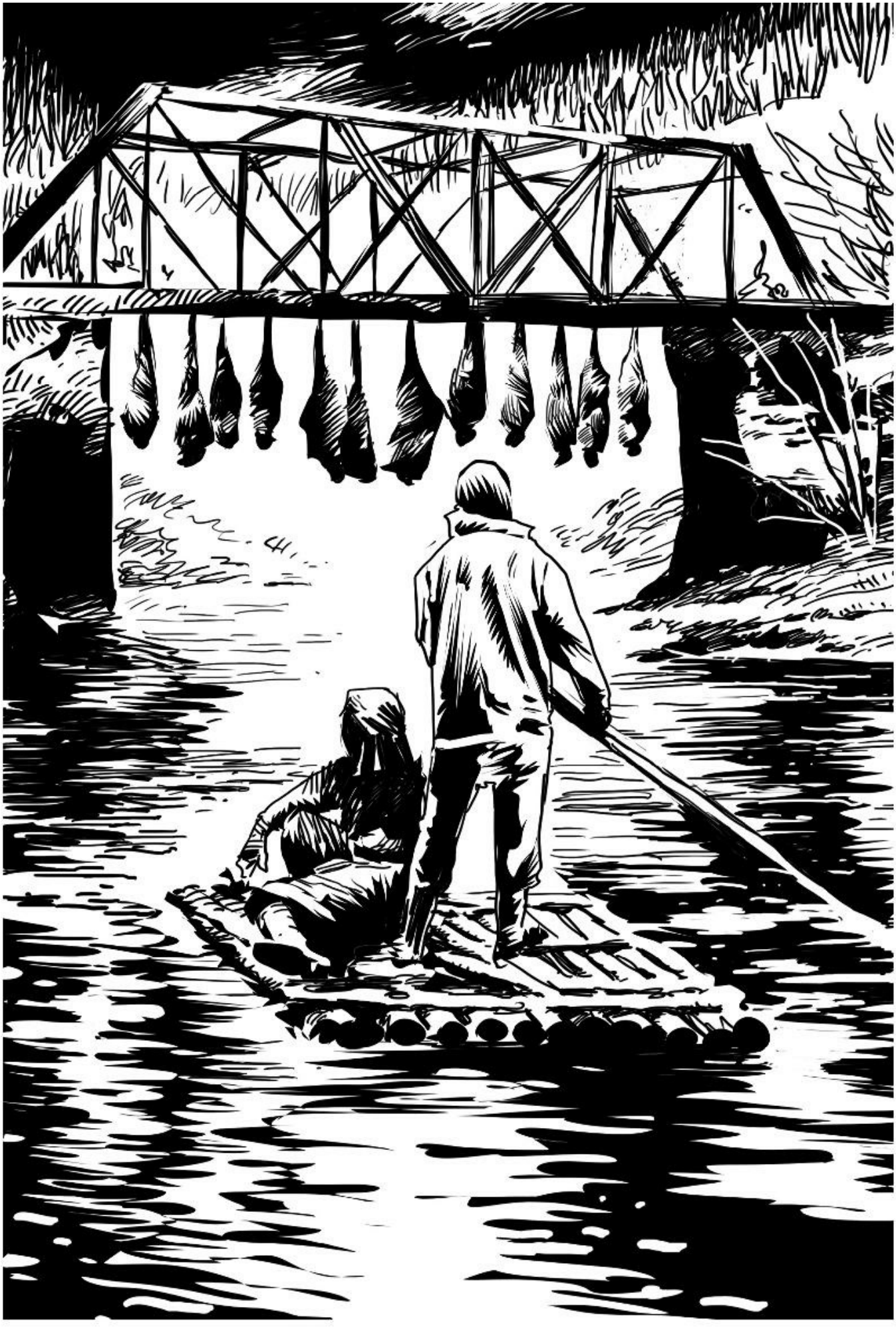

I wrzucą was w ogień

Copyright © Piotr Patykiewicz 2016
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

Redakcja – Joanna Mika
Korekta – Marta Pustuła
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Rysunek na okładce i wszystkie rysunki w książce – Rafał Szłapa

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek
inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu
bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2016
ISBN EPUB: 978-83-7924-638-0
ISBN MOBI: 978-83-7924-637-3

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Strona redakcyjna
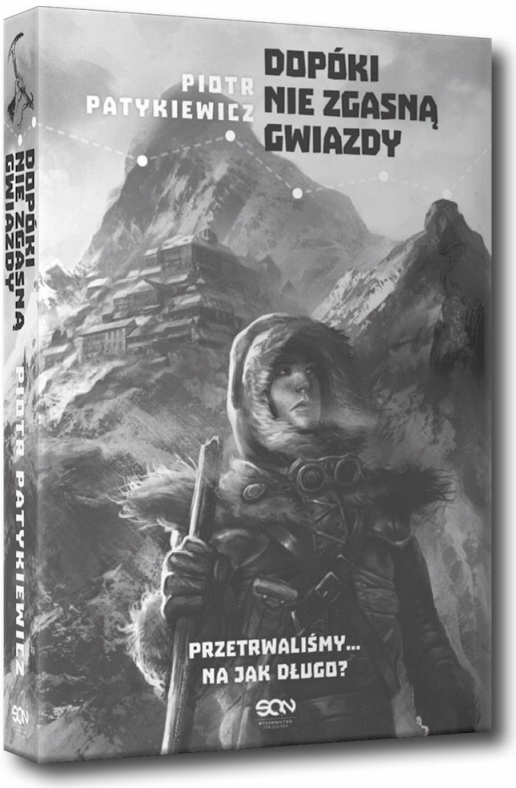
Poznaj wcześniejsze losy bohaterów